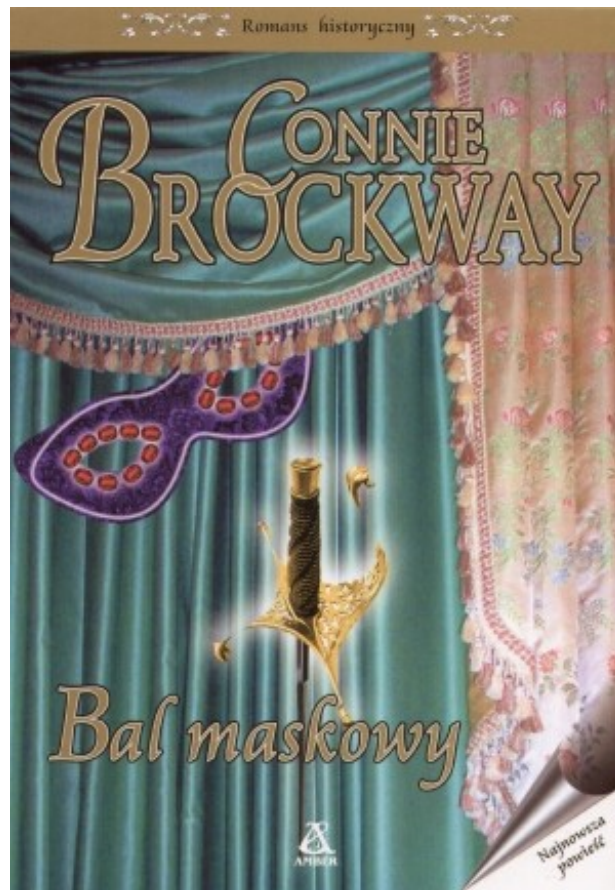


*Romans historyczny*

# CONNIE BROCKWAY

## *Bal maskowy*

Przekład: Marta Wolińska



*Page Winebarger, której talent, determinacja  
i niezachwiane oddanie tak dobrze i tak długo służyły  
Minnesota Wildlife Rehabilitation Center. W imieniu wszystkich istot,  
które korzystały z Twoich miłości i oddania, dziękuję Ci, Page.*

## *1. Ukłon szermierczy: zwyczajowy gest szacunku dla przeciwnika*

*Ogród Vauxhall, Londyn  
czerwiec 1805 roku*

Gdzieś w niebiosach maestro Angelo uronił łzę.

- Kto to powiedział? - Młody lord Figburt, Figgy, obrócił się w miejscu po zademonstrowaniu odparowania grupce rówieśników. Wbił wzrok w słabo oświetloną Aleję Kochanków, wypatrując człowieka, który przywołał imię największego fechtmistrza ostatniego stulecia.

- Ja. - Z otaczających krzewów wyłoniła się wysoka, zgrabna postać i ruszyła ku nim jak ucieleśniona ciemność nocy. - Nie chciałem wtykać nosa w cudze sprawy. Miałem zamiar przejść bez słowa - mówił cicho nieznajomy ze szkockim akcentem. W jego twarzy skrytej w półmroku błysnęły białe zęby. - Ale póki tli się we mnie życie, nie ścierpię, żeby sztuka, która jest mi tak droga, była tak hańbiona.

- A czemuż to Angelo miałby ronić łzy? - zapitym głosem spytał potężny Thom Bascomb, przebrany na wieczorną maskaradę za pasterkę. - Co pan sugerujesz na temat szermierki Figgy'ego?

- Ja nie sugeruję, lecz mówię wprost, że jego powtórzenie natarcia jest godne politowania. Chociaż nie aż tak beznadziejne, żeby nie dało się go poprawić.

Gdy nieznajomy podszedł bliżej, ujrzeni w mdłym świetle gazowych latarni zawieszonych między drzewami jednego z najprzystojniejszych mężczyzn,

jakiego Figgy kiedykolwiek spotkał. Szkot był wysoki, muskularny, o sprężystych ruchach i w przeciwieństwie do innych uczestników wieczornej zabawy nie zadbał o przywdzianie kostiumu. Miał na sobie ciemne spodnie, czarny surdut, spod którego wyglądała niebieska kamizelka, i prosty biały halsztuk z wpiętą złotą szpilką w kształcie róży jako jedyną ozdobą. Wszystko w jego wyglądzie sprawiało, że Figgy czuł się niezręcznie, co nadrabiał opryskliwością.

- To jest maskarada, mój panie, należy więc być w kostiumie - rzucił z irytacją. - Spójrz pan choćby na Thoma. Nie jest naprawdę pasterką, tak

jak ja nie jestem radzą. -Co pan powie?

Thom zbliżył się chwiejnie do Szkota i zmierzył go spojrzeniem.

-A za jaką to postać pan się przebrał? Szkot, prawie tak wysoki jak Thom, ale przynajmniej dwadzieścia kilogramów lżejszy, powiódł wzrokiem po potężnym torsie młodzieńca skrepowanym gorsetem i po warstwach różowych falbaniastych spódnic.

-Za dżentelmena - odparł łagodnie. Pozostali młodzieńcy wybuchnęli śmiechem. Thom poczerwieniał na twarzy, ale mimo doznanej obrazy nie zażądał satysfakcji. Przez zamroczenie alkoholowe docierało do jego świadomości, że z tego człowieka emanuje coś niebezpiecznego, wręcz zabójczego. -Kto pan jesteś? - spytał.

-Ramsey Munro, do usług. - Mężczyzna lekko skłonił głowę.

-Właściciel L'Ecole de la Fleur. Małej sali szermierczej w White Friars.

-Fechtmistrz? - prychnął Thom, wręczając Figgy'emu płaską flaszkę, którą wygrzebał spod spódnic. -Tak - odparł Munro. - Przypadkiem tędy przechodząc, usłyszałem rozmowę panów o zaczynającym się wkrótce Wszechświatowym Turnieju Pojedyneków. Zamierzają panowie zgłosić swój udział?

-A jeśli tak, to co? - burknął Figgy. - Co panu do tego?

Nic. Ale jako nauczyciel sztuki szermierczej byłem zaciekawiony.

Przystanąłem i zobaczyłem, jak wykonuje pan powtórzenie, które

dziecko potrafiłoby odparować. -Pan, jak mniemam, lepiej byś je

wykonał? Mężczyzna lekko skinął głową. -Co istotniejsze - rzekł -

mógłbym pana nauczyć lepiej je wykonać. Figgy uśmiechnął się

szeroko w przeczuciu dobrej zabawy. Był zdecydowanie najlepszym

szermierzem wśród kolegów.

- Potrafiłby pan nauczyć Thoma odeprzeć moje powtórzenie?

Munro zerknął z ukosa na olbrzyma.

- Tę dojarke? Oczywiście.

- I każdego z nich? - Figgy wskazał resztę swych kompanów, snujących się chwiejnie z tyłu.

- Każdego.

Nieznajomy był tak pewny siebie, że zachwiał wiarę Figgy'ego we własne możliwości. Może Szkot zna jakąś sekretną sztuczkę, jakiś manewr nie do odparowania, wymagający nie tyle praktyki, ile paru słów pouczenia szepniętych do ucha?

Niech to diabli, nie może się teraz wycofać. Niepotrzebnie tyle pił. Z tą myślą przechylił flaszkę i wlał sobie do gardła resztkę trunku. Przelykając, zauważył ruch na końcu żwirowej ścieżki. Zmierzała ku nim postać przypominająca wyglądem młodego służącego z ubiegłego stulecia.

Figgy przyglądał jej się z ulgą. Jej, bo mimo męskiego stroju nie można było wątpić, że pod aksamitnymi pantalonami w rubinowym kolorze i opiętym kasakiem kryje się ona- uroczo zaokrąglona i pociągająca. Włosy wsunęła pod czarną czapkę, a oczy zasłoniła czarną jedwabną maseczką, ale nic nie mogło ukryć kołysania biodrami ani biustu, który kpił sobie z krępujących go więzów.

Dama czy lafirynda, to nie miało większego znaczenia. Znalazła się bez asysty na maskaradzie w ogrodzie Vauxhall, w niesławnej Alei Kochanków.

A to znaczyło, że w najlepszym razie jest zabłąkanym żaglowcem szukającym mielizny, by się rozbić, a w najgorszym - galarem z Haymarketu szukającym nowych pasażerów. Tak czy inaczej, sama się prosiła, by się z nią zabawili, a zabawa, którą Figgy miał na myśli, była doprawdy niewinna. Uśmiechnął się.

- Potrafi pan naprawdę - zwrócił się do Munro - nauczyć każdego?
- Tak.
- Więc może ją? - Figgy wskazał kobietę.

Tymczasem ona zwolniła kroku. W blasku latarni spod maski zaświeciły jej szafirowe oczy. Figgy miał słabość do niebieskich oczu. Munro się obejrzał.

- Kobietę? - spytał lekceważącym tonem. - Nie.

Figgy uśmiechnął się z ulgą. Przedstawivszy nieznanego jako samochwałę, mógł dać mu odprawę i skorzystać z ciekawszych możliwości spędzenia wieczoru, które nagle zaczęły się odsłaniać.

- Ja za to - odparł - chętnie nauczyłbym ją paru umiejętności, z których zrobi lepszy użytek.

Jego przyjaciele parsknęli śmiechem, kobieta zaś, po sekundzie wahania, gwałtownie skręciła i przyspieszyła kroku. Thom chwycił ją i objął w pasie potężnym ramieniem.

- Puść mnie, młodzieńcze. - Jej głos był niski, spokojny i nieoczekiwanie silny. Gdyby Thom nie wytrąbił tyle piwa, cofnąłby rękę i wycofał się jak zmyty. Niestety był pijany, i to mocno.

- Śmiało, cukiereczku - rzekł do niej słodko. - Na pewno to nas szukałaś.

- Z całą pewnością nie. - Nie szarpała się. Po prostu zadarła brodę nad swym halsztukiem obszytym koronką i patrzyła spokojnie spod czarnej jedwabnej maski w uśmiechniętą twarz Thoma. - Starczy tego - ciągnęła głosem ledwie głośniejszym od szeptu. - Czy nie macie nic lepszego do roboty? Budek nocnych stróżów do przewracania? Latarni do rzucania kamieniami?

- Robiliśmy to wczoraj - wyznał Thom, pociągając ją do światła.

Figgy wyczuł napięcie Munro i zerknął na Szkota zaintrygowany. Przez moment byłby przysiągł, że tamtego coś zdumiało.

- Młodzieńcy - odezwała się kobieta - najwidoczniej wzięliście mnie za kogoś innego, niż jestem w istocie.

Na jej twarzy wykwitł lekki rumieniec, ale mówiła bez trwogi. Czyżby była obyta z podobnymi sytuacjami? Bywalczyni ogrodów rozkoszy i miejsc rozrywek? Tym lepiej.

- O nie. - Jeden z młodych ludzi pokręcił głową. - Dobrze cię znamy. Rajski ptak szukający grzędy.

Wyglądała na kobietę swobodnych obyczajów, to pewne. Miała długie nogi i zgrabny tyłeczek, który pantalony opinały dość ciasno, by wyobraźnia dopowiedziała szczegóły ukryte dla oczu. Cerę miała gładką jasną i świetlistą jak kamea, a usta ciemnoróżowe. Krótka, wygięta w łuk górna warga koronowała dolną pełną i obfitą.

- Mylicie się panowie - odparła, cofając się.

- Hola, dokąd to? - zaprotestował Thom i przyciągnął ją z powrotem.

- To śmieszne. Nie mam czasu na zabawy z chłopcami. Puśćcie mnie. - Wyszarpnęła dłoń.

„Chłopcami”? Figgy zagroził jej drogę odwrotu. Przecież w tym miesiącu kończy osiemnaście lat! Nauczy ją kto jest mężczyzną, a kto chłopcem! Markiza czy pomywaczka, sama tu przyszła, oni jej nie szukali. Jeśli dziewczyna nie zamierza się zabawić, to nie powinna była znaleźć się sama w Alei Kochanków. Ani ubrać się tak nieprzyzwoicie, by mężczyzna zauważył, co trzeba... i zrobił bezkarnie to, o co aż się prosi.

Zresztą nie miał złych zamiarów, ot, tylko posmakować tych niesamowitych ust...

- Zmieniłem zdanie. - Munro wyrósł nagle pomiędzy Figgym a dziewczyną. - Potrafię nie tylko nauczyć ją odparować pana pchnięcie. Mogę ją nauczyć pana rozbroić.

- Co? - Figgy zamrugał. Zapomniał o Szkocie. Zapomniał o wszystkim prócz chęci liźnięcia odrobiny słodczy z tego przemądrzałego cukiereczka. Nikt mu tego nie zabroni.

- To znaczy - ciągnął Szkot - jeśli jest pan człowiekiem tak rezolutnym, za jakiego pana biorę.

Rezolutnym? Figgy, sięgający właśnie po dziewczynę, znieruchomiał. Miał niemiłe wrażenie, że Munro zakwestionował jego determinację.

- Z pewnością jestem - wymamrotał, marszcząc czoło. Oczywiście, że jest. Kto może w to wątpić?

- I lubi pan zakłady?

Figgy skwapliwie kiwnął głową. Jak każdy przedstawiciel elity towarzyskiej, uważał się za prawdziwego kapitana Sharpa, nawet jeśli chwilowo nie miał szczęścia.

- Mam dziesięć funtów - oświadczył Szkot - które mówią że po kwadransie nauki ta kobieta będzie zdolna pana rozbroić.

- A ja mam dwadzieścia funtów, które mówią: niech on się zabiera ze swymi dziesięcioma! - wykrzyknął Thom, pozerając dziewczynę wzrokiem.

- Sto funtów - wypalił Munro.

Na to Thom i reszta towarzystwa zamilkli. Zakład o sto funtów brzmiał interesująco. Zwłaszcza że Figgy spłukał się poprzedniego wieczoru i wiadomo było, że zrzuci na kompanów sfinansowanie dzisiejszej zabawy.

- Zgódź się! - krzyknął ktoś.

Kobieta go rozbroi? Sto funtów? O wiele za łatwe.

- Niech będzie.

- To absurd! - oznajmiła dziewczyna. Obróciła się i nagle, mimo że nadal była w masce, Figgy rozpoznał ten moment, gdy naprawdę zobaczyła Munro. Znieruchomiała schwytna przez niego w pułapkę i zauroczona jego diabelnie przystojną fizjonomią. Przez mgnienie oka trwała tak, a potem zaczęła się przeciskać obok Munro, zapewniając zapalczywie: - Ja nie jestem...

Szkot chwycił ją nad łokciem i pociągnął bez wysiłku ku sobie.

- Obawiam się, moja droga, że to, kim jesteś, nie robi w tym momencie żadnej różnicy - powiedział. - Daj spokój, bądź dobrą dziewczynką i jesz cze lepszą hazardzistką.

Chociaż na pół pijany, Figgy wyczuł, że dziewczyna chce zaprotestować. Ale nim zdążyła wykrztusić choćby słowo, Munro pochylił twarz nad jej twarzą. - Na szczęście - powiedział i ją pocałował.

## 2. *Aller:* *„Naprzód!”*

Dwudziestopięcioletniej Heleny Nash nikt jeszcze nie całował - przynajmniej nie w taki sposób. Twardo, z doświadczeniem i bezosobowo. Obrzążająco bezosobowo. Jakby była manekinem albo prostytutką.

Jej siostra Kate na pewno by się opierała. Młodsza, Charlotte, bez wątpienia walczyłaby zaciekle. Styl postępowania Heleny był inny. Doprowadziła do perfekcji sztukę zamykania się w sobie i otaczania panczerem obojętności. Teraz też skorzystała z tej umiejętności, odcinając się wewnętrznie od przedstawienia granego przez Szkota. Bo to, co robił - nie miała cienia wątpliwości - było właśnie przedstawieniem obliczonym na zaimponowanie publiczności, a nie obdarowanej pocałunkiem.

Oczywiście wiedziała, kim on jest. Rozpoznała go, gdy tylko w słabym świetle odwrócił piękną twarz w jej stronę. Każdy, kto raz zobaczy Ramseya Munro, zapamięta go na zawsze, tak samo jak wyda się znajomy każdej kobiecie, która kiedykolwiek stworzyła sobie wizję Anioła Ciemności w jego najbardziej uwodzicielskiej postaci. Po prostu Munro jest piękny.

Był równie piękny cztery lata temu, kiedy ujrzała go pierwszy raz, a czas tylko nasycił te klasyczne rysy gorzką znajomością życia, nadając im twardość i wspaniałość diamentu. Gdyby urodził się w dawniejszych czasach, jego twarz zainspirowałaby Michała Anioła: klasyczny rzymski nos, wyraziste usta, głęboko osadzone oczy w kształcie migdałów i silnie zarysowana szczęka. Wysoki i smukły, przypominał Helenie psa gończego, harmonijnie zbudowana istota stworzona do zabójczej prędkości i ogromnej wytrzymałości, z szerokimi ramionami i szczupłymi biodrami, muskularnymi długimi nogami i płaskim brzuchem.

Nawet gdyby dawno temu nie pojawił się w ogołoconym salonie jej matki i nie ślubował ich rodzinie swej służby, znałaby jego nazwisko. Powtarzane szepcąc w kuluarach oper, było na ustach młodych dziewcząt, dostojnych

żon i drogich kurtyzan. Walory jego urody analizowały seniorki rodu, śledząc swe tańczące podopieczne. Na popołudniowych herbatkach snuto domysły na temat jego podbojów, a jego cięty dowcip i rozwiązłe wyrafinowanie naśladowali hulacy chcący uchodzić za światowców.

Teraz, ostrzegając sama siebie przed jego reputacją, Helena, by nie upaść na ziemię, wczepiła się dłońmi w szerokie ramiona Munro i przygotowała do zniesienia afrontu tak, jak znosiła tyle innych, od kiedy jej rodzina popadła w ubóstwo: z beznamiętną obojętnością, nienaruszoną godnością i chłodnym... chłodnym...

W jego pocałunku zaszła dziwna zmiana.

Stał się miękki i uwodzicielski. Stopienie się warg, zaproszenie do grzechu, jakby... Dobry Boże! Jego język dotknął jej warg, leniwie obwodząc ich kontur, drażniąc, by się rozchyliły, ostrożnie wsuwając się do środka i opierając na krawędzi zębów.

Nigdy sobie nie wyobrażała czegoś podobnego!

Zapomniała o wszystkim: dlaczego się tu znalazła, o obawie, czy ktoś jej nie rozpozna, o umówionym spotkaniu na końcu alejki i o okropnym uczuciu, że obserwują ją czyjeś wrogie oczy.

Objął ją w tali i przycisnął mocniej. Drugą ręką przesunął w górę jej szyi i ujął ją pod brodę, a błaganie tkwiące w tym leciutkim dotknięciu całkiem ją obezwładniło. Już miała się poddać, lecz w momencie bliskim ostatecznej kapitulacji coś w głębi jej istoty, coś pozostającego dotąd w uśpieniu, ocknęło się i rozpoznało niebezpieczeństwo.

Próbowała się wyprostować, ale on przechylił ją mocniej, więc uczepiła się go kurczowo, czując zawrót głowy i słabość w nogach. Zabrał jej oddech. Skradł jej skromność. Przedarł się przez jej barykady. Jego pocałunek ożywił uczucia ledwie pamiętane z ciemnych, gorących snów: erotycznych, pełnych tęsknot, pożądliwych.

Zadrżała, a on w odpowiedzi na jedną krótką chwilę przycisnął ją mocniej. Potem postawił ją na nogi i zrozumiała, że ma zamiar skończyć pocałunek. Wbiła głębiej palce w twarde jak skała mięśnie pod surdudem, bezradnie ścigając jego cofające się wargi.

- Jezu! - wyrwał mu się zduszony jęk. Przycisnął ją do siebie i rozwarł usta na jej ustach, tym razem w głębokim skupieniu, nie zważając na nic prócz pocałunku. Jego niepohamowane pożądanie spływało na nią i wsączało się w nią, ognisty zapal, który przyćmiewał jej własne budzące się pragnienia...

Wokół nich rozległ się grubiański śmiech.



Munro podniósł głowę i obrzucił młodzieńców takim spojrzeniem, że natychmiast przestali się śmiać.

- A niech mnie - rzucił któryś. - Nie wiedziałem, że będzie ją pan uczył tego rapiera!

Munro pochylił się ku niej.

- Jeśli chcesz odejść stąd niezaczepiana, rób, co powiem - szepnął.

Po chwili stała na własnych nogach, z szumem w głowie i bijącym sercem. Dlaczego on to robi? Dlaczego troszczy się o los nieznannej kobiety? Przecież nie może wiedzieć, kim ona jest! Specjalnie zniżyła głos i wyzbyła się akcentu.

Skąd Munro miałoby przyjść do głowy, że całuje córkę pułkownika Nasha, jedną z jego trzech córek, których przysiągł bronić (możliwe, że od takiej zniewagi, jakiej się właśnie dopuścił), by spłacić dług wdzięczności za to, że ojciec okupił życie Ramseya własnym? Nigdy by w coś podobnego nie uwierzyła. Nawiasem mówiąc, czuła się nie tyle znieważona, ile... wzburzona.

- Dostyc tego, Munro! Zakład stoi!

- Słusznie - powiedział Ramsey. - Czas na lekcję. Inną lekcję.

Śmiechy wybuchły na nowo, uprzytamniając Helenie jej niezręczną sytuację: śmieszny zakład i jej rolę w nim. Nie może tego zrobić. Nigdy nawet nie trzymała w ręku szpady. Pijani młodzieńcy muszą sobie znaleźć inną rozrywkę.

- Ja nie umiem...

Spojrzenie Munro skrzyżowało się z jej spojrzeniem i dalszy protest uwiązał jej w gardle. Najwidoczniej sprawy są trochę bardziej skomplikowane, niż myślała.

Potężny młodzian w jaskraworóżowych spódnicach i peruce ułożonej w loki skrzyżował ramiona na piersi okrytej gorsetem i zastąpił Helenie drogę ucieczki, a drugi, przebrany za radcę, którego rysy skrywała czarna farba, uśmiechnął się złośliwie.

- Dziękuję. - Munro stanął pośrodku zwirowej alejki. - Błagam, panienko, dobrze zważaj na to, co ci chcę pokazać. Zademonstruję kilka prostych manewrów, które będziesz później naśladować. Zrozumiałaś? Doskonale.

- A teraz - podjął po chwili - może by któryś z was, chłopcy, był tak miły i ofiarował się w celu demonstracji?

- Po co to wszystko? - zaprotestował młodzian w turbanie, Figgy, jak na niego mówili. - Powiedział pan, że nauczy ją mnie rozbroić.

- I zrobię to. Ale najlepszy sposób nauczania się to najpierw zobaczyć jak to wygląda. Nie bój się, młody bohaterze, doczekasz się swego starcia.

-Munro rozejrzał się wokoło. - Kto mi pomoże? Dobrze, pan będzie osobą

uzbrojoną w szpadę. Wszystko, o co proszę, to żeby mnie pan zaatakował. Czy to takie trudne?

- Nie. - Jeden z młodzieńców chwiejnie stanął na nogi, cisnąwszy precz buklak z winem. - Ja to zrobię.

Munro zahaczył czubkiem buta ostrze porzuconej szpady Figgy'ego, od niechcenia podbił ją w powietrze, zręcznie chwycił i podał chłopakowi, który gapił się z otwartymi ustami.

- Proszę. Niech pan przyjmie postawę i atakuje.

- He?

Ramsey westchnął.

- Bacność... i... atakować.

- He?

- Na litość boską, dźgnij go! - krzyknął Figgy.

- Aha. - Z furią, choć bez elegancji, młodzian natarł z wysuniętą szpadą. Tylko że jego cel zmienił tymczasem miejsce. A broń, którą dopiero co trzymał, znalazła się w dłoni Munro.

Chłopak zdumiony szeroko otworzył oczy.

- Co się stało?

- Rozbroilem pana. O to chodziło, prawda? - odrzekł Munro, oddając szpadę. - Jeśli ktoś stanie do pojedynku, prawdziwego pojedynku, i jego życie zależy od własnych umiejętności, a są takie, że szkoda gadać, powinien dobrze umieć przynajmniej jedno, mianowicie rozbroić przeciwnika.

- Ha! - wykrzyknął młody człowiek, chwyciwszy na powrót broń. - Jeszcze zobaczymy...

Ponownie zaatakował. Tym razem Helena przygotowała się, by śledzić, co się dzieje.

Nieznaczne chwycenie równowagi, ruch ramienia Munro i szpada chłopca trafiła za nisko. Munro sięgnął ku ostrzu mierzącemu w jego żebra i z szybkością atakującego węża owinał je przedramieniem od spodu do wierzchu, zacisnął palec na górze kosza i bez wysiłku wyłuskał broń z dłoni młodzieńca.

- Właśnie tak. Widziała pani?

Poważnie skinęła głową, udając wiarę we własne siły.

- Oczywiście to jest tylko najłatwiejszy sposób, by kogoś rozbroić. Są inne metody, wymagające trochę więcej siły. - Oddał skonfiskowaną broń. - Czy jeszcze ktoś chce spróbować?

Potężny mężczyzna w spódnicach i peruce, ten, którego nazywali Thomem, wystąpił naprzód.

- Ja.

Munro-pokręcił głową.

- Spódnice czynią z pana zbyt łatwego przeciwnika - rzekł i obrócił się do Figgy'ego. - No, młodzieńcze. Proszę. - Cisnął mu szpadę. - Do tego potrzebuję broni. O! - Wypatrzył kij pasterki od kostiumu Thoma. Z uśmiechem uniósł go w górę, ważąc w dłoni. - To się doskonale nada.

- Ja też bym każdego rozbroił szpikulcem dwa razy dłuższym od jego broni - prychnął Figgy.

Trzask! Munro złamał pręt na kolanie, tak że stał się dużo krótszy niż szpada radży.

- Bacność!

Na ostro wydaną komendę młodzieniec odruchowo przyjął właściwą postawę.

- Pana ruch - powiedział Munro, wspierając się na kiju, którego złamany koniec wbił w ziemię.

Figgy obliznął wargi i udał, że zadaje pchnięcie. Munro opędził się od napastnika ruchem dłoni.

- Śmiało - strofował go. - Ja mam patyk. Pan ma stal.

Prowokacja okazała się skuteczna. Z groźnym pomrukiem Figgy zamachnął się i pchnął. Kij w dłoni Munro pomknął w górę, zakręcił się wokół lśniącego ostrza, przemknął ku rękojeści i nagle szpada frunęła w ciemność, a chłopak wrywał dłoń, przeklinając.

- Czy zechce pani zobaczyć to jeszcze raz? - Tym razem Munro nawet nie udawał, że zwraca się do niej. Jego oczy, leniwe, rozbawione, niebezpieczne, spoczywały na grupie młodych arystokratów.

Co by przyszło z ponownej demonstracji? Ona i tak nie zdoła tego odtworzyć, a on o tym wiedział.

- Nie. Myślę, że się zorientowałam.

- Tak sądziłem. Ale może pani zechce użyć subtelniejszych metod rozbrojenia przeciwni...

- Nie! - wtrącił się Figgy, kuląc zbolące palce. - Żadnych więcej pokazów! Zakład stoi o to, że nauczy ją pan mnie rozbroić w piętnaście minut. Więc niech próbuje.

Munro się uśmiechnął.

- Oczywiście. Proszę wziąć broń.

Jeden z młodzieńców rzucił Figgy'emu szpadę. Radża chwycił ją w locie i zamachał nią dziko w powietrzu.

- Tak to niemożliwe - rzekł Munro.

- Co? - spytał Figgy, nie przestając ciąć szpadą w powietrzu.

Munro wznosił otwarte dłonie.

- Ona nie ma szpady. Przecież nie poprosi jej pan, żeby użyła tego patyka.

Helena odetchnęła z ulgą. Więc taki był jego plan.

Figgy rozciągnął wargi w złośliwym uśmiechu.

- Ed, daj jej swoją broń - poprosił kolegę.

Jeden z chłopców podał dziewczynie swoją szpadę.

Helena cofnęła się o krok, ale zanim zdążyła zrobić kolejny, Munro zacisnął rękę na jej nadgarstku i wsunął jej w dłoń rękojeść szpady.

Czuła się jak bohaterka powieści grozy, niezdolna się poruszyć ani wycofać, unoszona przez niebezpieczny prąd.

Strach rozpraszał jej myśli. Ona, Helena Nash, która nigdy nie ulegała panice, teraz myślała tylko o tym, że ten chłopak, z pewnością tak pijany, na jakiego wygląda, niechybnie dźgnie ją w samo serce. Rozmyślnie czy niechętnie, skutek będzie ten sam: zostanie zabita. Głupio będzie umrzeć w ten sposób, tutaj, teraz.

- Gdy tylko powiem „baczość”, upuść broń i cofnij się o krok. Rozumiesz? - Munro ściszył głos, by tylko ona go słyszała.

Rozumieć? Nie była zdolna nawet oddychać.

- Wszystko będzie dobrze - szepnął, widząc jej obawy.

- Tak. Jestem pewna, że ten chłopiec potrafi ocenić, na jaką głębokość może pchnąć, by nie trafić w coś ważnego dla życia - odszepnęła drżącym głosem.

Dłoń Munro zamknęła się ciasniej wokół jej dłoni. Spojrzała na niego, Zaskoczona, że zadał jej ból. Jego oczy ściemniały pod osłoną gęstych, czarnych jak sadza rzęs.

- Będzie dobrze. Przysięgam na mój honor.

Zdumiewające, ale mu uwierzyła. Przypomniała sobie przysięgę, którą złożył cztery lata wcześniej. Stał przed jej rodziną i obiecywał przyjść im z pomocą, kiedy tylko będzie trzeba. Uwierzyła mu wtedy tak samo jak teraz. Co nie świadczyło zbyt dobrze o jej bystrości. Mimo wszystko kiwnęła głową.

Munro odsunął się i Helena znalazła się twarzą w twarz z pijanym zawałką w turbanie przekrzywionym nad czarno pomalowaną twarzą. Z kpiącym parsknięciem uniósł broń w ukłonie szermierczym. Nieśmiało ujęła własną szpadę i spróbowała naśladować jego ruchy.

- Gotowi? - usłyszała pytanie Munro.

- Tak - odparł Figgy. - To będzie najłatwiej wygrane sto funtów w moim życiu. Prawie czuję się winny.

- Baczość!

Ciężka klinga wypadła z jej drżących palców w tej samej chwili, w której wśliznął się między nią a młodego człowieka. Helena krzyknęła i zatoczyła się wstecz, właśnie gdy Munro chwycił klingę jej przeciwnika, powstrzymując jej lot. Od niechcenia wyluskał ją z chwytu młodzieńca.

Nie umrę. Naprawdę nie. Przepelniła ją rozkosz wymknięcia się śmierci, przyprawiając o zawrót głowy.

- To nieuczciwe! - jęknął Figgy. - Ona nawet nie spróbowała.

- Spróbowałam - zaprzeczyła, uśmiechając się niepewnie.

Munro popatrzył na nią i pokręcił głową.

- Nie, nie spróbowała pani. Rozbroiła pani sama siebie.

- Rzeczywiście - przyznała ze skrucą. - Ogromnie mi przykro.

Munro obejrzał się na młodzieńców i westchnął.

- Jestem głęboko rozczarowany, że mój pierwszy pogląd był słuszny. W końcu to kobieta. Nie da się jej nauczyć.

- Ja ledwie umiem czytać - wyznała żałośnie.

Figgy otworzył usta i zamknął, jak ryba wyrzucona z wody. Raz. Potem drugi.

- Ale...

- Jestem panu winien sto funtów. - Munro sięgnął do kieszeni, oddzielił kilka banknotów z małego zwitka, który wyciągnął, i z uśmiechem włożył je Figgy'emu do ręki. - Uczciwie wygrane - powiedział.

Gdy pozostali wciąż gapili się na nich zdezorientowani, wziął Helenę za ramię i zwrócił się do Figgy'ego:

- Jedyna przewaga, jaką możesz mieć w pojedynku, to twoje oczywiste nieobycie z bronią. Nikt, kto zobaczy cię ze szpadą nie potraktuje cię poważnie. Jeśli jednak postanowisz studiować tę sztukę poważnie, poszukaj mnie. W White Friars.

- Ale... ale... dziewczyna! - jęknął Thom żałośnie, ignorując afront uczy-niony przyjacielowi.

Munro spojrział na grupkę młodzieńców.

- Dżentelmeni... jak mniemam, jesteście dżentelmenami? - Popatrzyli po sobie, by uzgodnić pogląd w tej kwestii, po czym wszyscy skinęli głowami.

- Chyba nie chcecie wziąć i pieniędzy, i dziewczyny, prawda? - Munro nie czekał na odpowiedź. Odwrócił się, pociągając za sobą Helenę.

### *3. Zasłona usuwająca:*

#### *działanie obronne klingą w celu odbicia działania zaczepnego przeciwnika bez brutalności, ale z utrzymaniem styku kling*

Z Alei Kochanków skręcili w szerszą, lecz równie słabo oświetloną Aleję Południową. Tam, wreszcie z dala od pełnych wyrzutu spojrzeń chłopców, Helena przystanęła z zamiarem podziękowania Munro za pomoc.

Popatrzyła mu w oczy. Były hipnotyczne, niezgłębione w swym błękiecie.

- Chce pani coś powiedzieć?

- Tak. - Zamrugła. - Chcę pana zapewnić, że nie miałam zamiaru ich prowokować ani mówić niczego, co by ich zachęciło do przemocy. Nie jestem głupia. - Wzdrygnęła się, gdy zdała sobie sprawę, że kilka okrągłych jorkszyrskich sylab wkradło się do jej wymowy. Musi pamiętać, by zniżyć głos i utrzymać londyński akcent.

Ramsey nie może się dowiedzieć, że córka człowieka, którego wielbił jako swego wybawcę, bywa w Vauxhall przebrana za chłopca. Nie zdołałaby się wytłumaczyć z obecności w takim miejscu.

Munro wydawał się rozbawiony.

- Ale uważała pani, że kobieta ubrana w taki sposób musi zrobić coś więcej, zachęcić, ba! sprowokować pobudliwych młodych mężczyzn do przemocy?

- Nie. - Zarumieniła się. - Sądziłam jednak, że nie brak mi praktyki w od-pieraniu niechcianych awansów.

- Proszę wybaczyć, że podałem w wątpliwość pani rozważę. Nie miałem pojęcia, że jestem w towarzystwie tak trzeźwo myślącej... kobiety?

Słowo „kobiety” wypowiedział jak pytanie. Próbował wybadać, jaka jest jej pozycja społeczna. Dama szukająca przygód? Mężatka szukająca kochanka? Czy może kurtyzana?

Ta ostatnia myśl nie wstrząsnęła nią aż tak bardzo, jak powinna. W końcu jej obecność tutaj, bez asysty i w przebraniu chłopca, daje wiele do myślenia.

Uświadomiła sobie, że perspektywa bycia kimś innym niż płatną towarzyszką jednej z najbardziej zgryźliwych starszych dam wydała jej się nieoczekiwanie pociągająca. Co nie znaczy, że kiedykolwiek brała pod uwagę

prostytycję jako realną alternatywę. Nie tyle - niech Bóg ma litość dla jej bezbożności - z powodu niemoralności takiego wyboru, ile dlatego, że doświadczyła, co to znaczy być na każde zawołanie, zmuszona koniecznością zdobywania pieniędzy.

- Czym miała pani zamiar ich przekonać, by pozwolili pani przejść nienastowaną? - spytał Munro, kiedy ani nie zaprzeczyła jego domysłom, ani ich nie potwierdziła.

- Tym, że spieszę na spotkanie z osobą królewskiej krwi - odparła. Wyczuła jego zaskoczenie, choć nic się nie zmieniło w wyrazie jego twarzy. Tylko lekko przechylił głowę.

- A spieszy pani?

- Nie, chyba że młody człowiek, z którym próbuję się spotkać, nagle odkrył, że ma zupełnie innych rodziców niż ci, których do tej pory kazano mu uważać za matkę i ojca.

- Takie rzeczy się zdarzały.

Pokręciła głową.

- Nie tym razem, chociaż wielka szkoda.

Gdyby Oswald Goodwin naprawdę miał królewskich krewnych, nie byłby tak rozpaczliwie biedny, a ona nie musiałaby się skradać w przebraniu, by się z nim spotkać.

Munro zmrużył oczy.

- Taka kobieta jak pani powinna ostrożniej dobrać sobie towarzystwo.

Sekret, który skrywała, nie był jej sekretem, nie mogła więc mu wyjawić, dlaczego się tu znalazła, ani mu powiedzieć, kim jest.

- Jestem ostrożna. Upewniam się co do sytuacji i charakteru mężczyzny, zanim... Człowiek, którego szukam, nic dla mnie nie znaczy oprócz tego, że...

- urwała. Gorąco zalało jej policzki. Dać mu do myślenia, że jest damą żądną przygód, to jedno, a kazać mu się domyślać, że jest ladacnicą, to coś całkiem innego. - Nie jestem - szukała właściwego słowa i postanowiła użyć tego samego co on - kobietą za jaką mnie pan bierze. Nie jestem - pochyliła się naprzód, przemawiając z największą gorliwością- kobietą, którą się wydaje.

- Naprawdę? Ale to przedstawienie było znakomite! Ta uległa miękkość...

- Wygiął wargi w drapieżnym uśmiechu. - No cóż, muszę wyznać, że w pełni nie dałem się zwieść. - Nachylił się ku niej. - Mogę chyba żywić nadzieję, że nie będziesz rozpowiadać, jak gorąco zareagowałem na twe wdzięki? Było by dla mnie nieznośne, gdybym musiał z tego powodu kogoś wyzwać. To rujnuje proszony obiad.

- Co? - zająknęła się zdumiona.

- Jesteś zakłopotany. - Odsunął się o krok. - Nie bardziej niż ja. Żywię podziw dla twojej sztuki. Słyszałem, że są kluby w East Endzie, gdzie tacy dżentelmeni jak ty dokonują zdumiewającej przemiany swojej płci na przeciwną, ale sam nigdy...

- Nie jestem dżentelmenem!

- Nikt się tego nie domyśli - odparł pocieszająco. - Możesz nie być dobrze urodzony, ale mową i manierami dorównujesz każdemu szlachcicowi - zmarszczył brwi - lub szlachciance spośród mych znajo...

- Nie jestem mężczyzną! - wykrzyknęła zbulwersowana. - Jestem kobietą! Chodziło mi po prostu o to, że nie jestem tego rodzaju kobietą!

- Ach tak? - Przekrzywił głowę, badając spojrzeniem jej sylwetkę i twarz.

Helena, pierwszy raz w życiu znalazłszy się w sytuacji, gdy podano w wątpliwość jej kobiecość, nie mogła się powstrzymać od wypięcia piersi i przekrzywienia głowy pod kątem, który korzystnie eksponował jej długą szyję, którą bardzo wielu mężczyzn uznałoby za nieskazitelną.

- I co? - spytała wyniośle.

Jego uśmiech wyrażał zachwyt.

- Wierzę. Jesteś kobietą. A już zważyłem w mą zdolność rozróżniania. Nie mówiąc o moich nadziejach na przyszłych dziedziców.

Powinna się poczuć obrażona, upokorzona, a przynajmniej zaszokowana. Tymczasem się roześmiała.

Munro znieruchomiał i przyglądał jej się z leniwym uśmiechem.

Uświadomiła sobie, że nie spodziewał się po niej śmiechu. Zaskoczyła go, a chyba trudno było go zaskoczyć. On otrzymywał wiele propozycji od dżentelmenów, ale on bez wątpienia otrzymywał ich znacznie więcej od dam. Różnica między nimi tkwiła w tym, że ona zawsze odmawiała, a plotki mówiły, że on zawsze się zgadzał.

- Jeśli obraziłem panią przy tych młodzieńcach - powiedział - to przepaszam. Uznałem, że lepsza obraza niż utrata reputacji.

- Nie poczułam się urażona - odparła. - Jestem panu wdzięczna i pozostaję pana dłużniczką. Dziękuję.

Gdy tak rozmawiali, zapadł zmierzch i łagodne ciepło wieczornego wiatru przyniosło odurzający zapach kwiatów rozkwitających nocą. Byli sami w brązowym mroku. On stał zbyt blisko. A może ona? Nie potrafiła powiedzieć.

- Ależ tu ciepło. Nad rzeką będzie chłodniej. - Rozejrzała się i dojrzała szy na końcu alei jaśniejsze światła, skierowała się ku nim.

Zrównał się z nią i towarzyszył jej w milczeniu do skrzyżowania Alei Południowej z Promenadą Poprzeczną. Było tu widniej i tłoczniej, bo wiele



osób przybyło obejrzeć fajerwerki. Chciała wmieszać się w tłum, ale Munro ją zatrzymał.

- Ten pocałunek - zaczął.
- Po prostu pocałunek - skłamała.
- Jest pani nad wyraz wyrozumiała. - Nakrył jej rękę swoją dłonią i powiódł kciukiem po wnętrzu nadgarstka.

Poczuła gorąco, które przenikało ją do szpiku kości i mąciło jasność myśli.

Zmusiła się do oprzytomnienia. Jeszcze nigdy w życiu nie zemdląła i nie ma zamiaru teraz spróbować. Może wygląda słodko i krucho jak ciasto francuskie, ale nie jest taka. Odkrycie tego speszyło niejednego zalotnika.

- Pocałunek był najskuteczniejszym sposobem wyratowania mnie z nieżręcznej sytuacji - rzekła z uśmiechem, wycofując się, póki jeszcze miała szansę, za bastion opanowania, którym się zawsze szczyciła.

Przyglądał jej się z niewyraźną miną. Jak to możliwe, że ktoś tak zepsuty może być tak przystojny? Jak ktoś tak przystojny może być nic niewart?

- Imponuje mi pani, traktując ten pocałunek zupełnie bez emocji - rzucił dziwnym tonem i puścił jej rękę. -A teraz może mi pani powie, co naprawdę tutaj robi?

- Już powiedziałam. Przyszłam się spotkać z pewnym młodym człowiekiem.

- W jakim celu?
- Sądzi pan, że to pańska sprawa?
- Jako pani obrońca mam chyba prawo wiedzieć.

Nie ustąpi, póki nie dostanie odpowiedzi.

- W zwykłym celu, jak sądzę - odparła sztywno.
- I przychodzi tu pani często. Ze zwykłych powodów?
- Dość często.

- Kłamczucha z pani - rzekł tonem, w którym pobrzmiwało coś na kształt

czułości. - Nie jest tu pani stałą bywalczynią. Założę się o swą szpadę.

- Po co? Żeby przegrać jeszcze jeden zakład? - spytała oschle.

Zaśmiał się.

- Trafiony. Jednak ten zakład bym wygrał. Nie wie pani nawet, z której strony jest rzeka.

- Skąd pan wie, że nie?

- Bo oznajmiła pani, że chce iść nad rzekę, a zmierza dokładnie w przeciwnym kierunku. - Nachylił ku niej głowę. - No dobrze. Jeszcze raz pytam. Co pani tu robi?

Nie może mu powiedzieć. Przynęła Florze dochować jej sekretu. Dawno temu nauczyła się, że jedynym sposobem na powstrzymanie indagacji jest wymijająca odpowiedź.

- Dobrze. Skoro pan nalega, powiem. Poznałam młodego mężczyznę, który jest źle widziany w domu, w którym... - zawahała się - ...mieszkam. Więc umówiliśmy się tutaj. - Było to bliskie prawdy, z paroma istotnymi wyjątkami.

- On jest żonaty? - spytał Munro.

- Tak.

Czy cię przemknął po jego przystojnej twarzy?

- A pani jest zamężna?

- Nie!

- Więc dlaczego marnuje pani czas dla żonatego mężczyzny?

Słyszając jego lekko rozbawiony ton, zdała sobie sprawę, że gwałtowne zaprzeczenie poważnie zmniejszyło jej szansę udawania osoby nonszalanckiej. Ale jest dobrą aktorką, całe lata spędziła na graniu roli przeciwnej swej naturze. Teraz więc przywdzieje inną maskę i sprawi, że on jej uwierzy.

Rzuciła mu bezwstydną spojrzenie spod spuszczonej rzęsy.

- Dlatego, że znudziło mi się cnotliwe i stateczne życie. Pozwoliłam sobie na... przygodę.

Zmrużył oczy, a kącik ust drgnął mu nieznacznie. Czy jej uwierzył? Nie była pewna. Śmiało wytrzymała jego spojrzenie. Jedno uderzenie serca. Pięć. Dziesięć.

- Więc gdzie się podział pani żonaty amant?

Wzruszyła ramionami.

- Widocznie okazał się bardziej parafiański, niż oboje przypuszczaliśmy.

- Więc... - nachylił się ku niej, pieszcząc wzrokiem jej usta -jeszcze nie osiągnęła pani swego celu? - Jego żartobliwy nastrój uleciał, ustąpiwszy pełnemu napięciu oczekiwaniu.

Cofnęła się, próbując opanować panikę.

- Do pewnego stopnia.

Jak gdyby ta odpowiedź uwolniła go od roli, której nie miał ochoty odgrywać, ujął jej dłoń i ponownie ułożył sobie na rękawie, całkiem od niechcienia. Pochylił głowę.

- A zatem niech mi będzie wolno odprowadzić panią do bramy. Nie powinno być kłopotu z najęciem powozu tak wcześnie wieczorem.

Odejść stąd? Nie, nie może odejść. Może Oswald jeszcze czeka.

- Dziękuję, ale nie ma takiej potrzeby.

- Ma pani własny powóz?

- Nie-- odparła. - Będę musiała jakiś wynająć. Później. - Wątpiła, czy znajdzie Oswalda, ale powinna przynajmniej spróbować.

- Czy mogę w takim razie zaoferować pani mą eskortę na dzisiejszy wieczór? Tak się składa, że uchodzę za -jego głos zabrzmiał twardo - pierwszorzędną przygodę.

- To zbytek łaski z pana strony.

Nie lubił, gdy mu odmawiano.

- Czy ma pani pojęcie o rodzaju względów, o jakie prosi się samotna młoda kobieta w takim miejscu jak to?

Oczywiście, że nie. Nigdy przedtem nie była w takim miejscu. W dodatku bez stosownej asysty.

- Dopiero co miałam tego próbkę, czyż nie? - odparła, siląc się na stanowczy ton.

- Nie - powiedział rzeczowo. - Tamci to byli chłopcy. A niektórzy mężczyźni nie udają, że zachowują się jak zwierzęta, lecz naprawdę są zwierzętami. Jeśli więc musi pani zostać, proszę mnie wziąć na przewodnika na czas pani... przygody. - Jego piękne usta wykrzywiły się przy tym ostatnim słowie. - Gwarantuję, że znam się na rzeczy.

Co do tego nie miała wątpliwości.

- Dziękuję, ale nie skorzystam. - Oswald Goodwin za nic do niej nie podejdzie, jeżeli zobaczy ją w towarzystwie innego mężczyzny. Poza tym intuicja, która zawsze dobrze jej służyła, teraz podpowiadała, że o wiele niebezpieczniej byłoby pozostać z Ramseyem Munro niż samą.

Dlatego, że napięcie zdawało się iskrzyć między nimi. Dlatego, że nie była zdolna patrzeć na jego twarz bez zdenerwowania i fascynacji. Ale przede wszystkim dlatego, że pragnęła z nim zostać. I to silniej niż czegokolwiek od bardzo, bardzo dawna.

- Hej! - Natarczywe szarpnięcie za rękaw przerwało jej rozterki.

Spojrzała w dół na zadartą ku niej umorusaną twarz małego ulicznika.

- Proszę. - Chłopiec wcisnął jej w dłoń krwistoczerwoną różę na długiej łodydze bez kolców.

- Co to? - spytała.

- Jakiś gość odpalił mi cztery pensy, żebyś pani to dał - odrzekł chłopiec. - No to dałem. Dzięki! - Z zawadiackim pstryknięciem palcami skoczył w tłum, zostawiając Helenę ściskającą różę.

To na pewno od Oswalda. Znak, że jest w pobliżu, śledzi ją i czeka, aż zostanie sama. Podniósłszy wzrok, zobaczyła, że Ramsey przygląda jej się z dziwnym wyrazem twarzy.

- No proszę. Przyszedł - powiedziała, okazując dużo większe zadowolenie, niż naprawdę czuła. - Okazuje się, że nie musi pan psuć sobie wieczoru. Do widzenia, panie Munro.

Chciała zawrócić, ale zastąpił jej drogę.

- To nie w porządku, że pani wie, jak ja się nazywam, a ja nie wiem tego o pani.

Milczała chwilę, zaambarasowana koniecznością wymyślenia sobie imienia. Powinno brzmieć lekko i radośnie, hardo i zuchwale, pasować nie do osoby, jaką jest, lecz do takiej, jaką chciałyby być.

- Może mnie pan nazywać Corie.

Zanim zdążył odpowiedzieć lub ją wstrzymać, wymknęła mu się i szybko oddaliła alejką.



Kto by pomyślał, że niewprawna żarliwość pocałunku młodej kobiety może go tak głęboko poruszyć? Do tego stopnia, że na jedną krótką chwilę zapomniał o wszystkim prócz niej. Może nie jest aż tak zblazowany, jak sądził.

W zamyśleniu śledził wzrokiem oddalającą się Helenę Nash. Bo to z pewnością jest Helena Nash, choć udaje kogoś innego, a londyński polor maskuje jej jorkszyrską wymowę. W czasie ich krótkiego spotkania kilkakrotnie był bliiski powiedzenia jej tego. Ale skoro postanowiła udawać inną osobę... Cóż, nie jest pierwszą damą, która tak postępuje, a on nie ma prawa jej demaskować.

Wiódł za nią spojrzeniem wśród tłumu. Nie było to trudne. Wystarczyło tylko zwracać uwagę na kierunek, w którym mężczyźni odwracają głowy.

Rzucił kilka monet sprzedawcy w pobliskim kiosku z tandetnymi strojami maskaradowymi, wybrał najtańsze domino i narzucił na ramiona. Pozwolił, by kaptur opadł mu głęboko na czoło, ocieniając twarz. Ruszył za Heleną w tłum. Nie włączał się do zabawy, tylko obserwował. Przez ostatnie lata nauczył się trzymać na dystans od Heleny Nash.

Od prawie czterech lat był wierny złożonej obietnicy oddania swej osoby i talentów na służbę siostrze Nash. Zobowiązania wobec średniej siostry, Kate, wygasły z chwilą, gdy poślubiła Christiana MacNeilla, jego druha z lat dziecińczych, a Charlotte, która jeszcze nie wyrosła na dobre z dzieciństwa, pozostawała pod ochroną majątnej, dobrze ustosunkowanej rodziny. Tylko Helena wymagała staranniejszej opieki. Początkowo sprawował ją głównie z poczucia obowiązku, ale w miarę upływu czasu angażował się coraz bardziej.

Helena go fascynowała. Z pozoru chłodna, taka spokojna i milcząca, a jednak... Wiele razy dostrzegał niemal dziki błysk w jej niebieskich oczach i zastanawiał się, co obudziło w niej taką zapalczywość. A może to tylko wyobraźnia dopatrywała się tajemnego ognia pod jej lodowatą maską? Tajemnica podsycała jego zainteresowanie, coraz mocniej go pochłaniając.

Chociaż stale czuwał nad Heleną, rzadko pozwalał sobie zbliżyć się na tyle, by usłyszeć jej głos. A teraz naprawdę z nią rozmawiał. I ją pocałował. Ogień, nad którym dumał tak często, okazał się prawdziwy.

Zbyt prawdziwy.

Obserwował, jak toruje sobie drogę w tłoku. Nagle odwróciła głowę i zauważył, że rozgląda się ukradkowo, jakby szukając kogoś w tłumie. Przystanęła, a kiedy znów ruszyła naprzód, zakołysała się róża w jej dłoni.

- Kto ci przysłał tę różę, dziewczyno? - mruknął Ramsey. - Kto cię wywabił z wieży czarownicy do ciemnego lasu?

Powiedziała, że szuka tu przygody. Czy naprawdę?

Ze wszystkich osób, które by się spodziewał spotkać w cieszącej się złą sławą Alei Kochanków, ona była ostatnia. A już na pewno nie przebraną za chłopca. I w żadnym razie nie samą. Powinna była siedzieć bezpiecznie w jednym z pokojów na poddaszu, które lady Tilpot przeznaczała dla rezydentów o niepewnej pozycji towarzyskiej, a nie przechadzać się wśród gromady pijanych młodzików pragnących dowieść swej męskości.

Całe szczęście, że znalazł się tam w samą porę. Wcześniej zawarł transakcję, dzięki której wpadło mu do kieszeni pięćset funtów potrzebnych na wpisowe do Wszechświatowego Turnieju Pojedyneków. Wygrana w turnieju zapewni mu pewniejszą przyszłość niż uczenie szermierki rozpuszczonych paniczów. W drodze powrotnej natknął się na młodych zawadiaków i widząc okazję pozyskania kilku dobrze płacących uczniów, pokusił się o przyciągnięcie ich uwagi. A potem... ona.

Obejrzała się, marszcząc brwi, on zaś na powrót wtopił się w cień pod okapem drzew. Wiatr szeptał niczym namiętny kochanek, a paplanina rozbawionych ludzi zdawała się zbyt głośna. Jego obecność w takim miejscu nie zdziwiła Heleny - cieszył się nie najlepszą opinią - ale jego pocałunek tak.

Ledwie dotknął jej ust, poczuł, że ogarnia go ogień. Jego ciało jeszcze nigdy nie zareagowało tak szybko i tak gwałtownie. Poczul przemożną żądzę, wręcz niepoohamowany głód.

Ona czuła to samo. Natychmiast rozpoznał moment, w którym od ognia spalającego go od środka zatliło się jej pożądanie.

Więc czemu nie uwierzył, gdy twierdziła, że szuka przygody? W końcu Helena ma dwadzieścia pięć lat. Dlaczego zatem nie do przyjęcia wydaje mu się myśl, że szuka ukojenia tych samych dręczących pragnień, które szarpią jego ciało? Bo to niepodobne do tej Heleny Nash, której poświęcał długie godziny, strzegąc jej, obserwując ją i poznając z intymnością dostępną niewielu kochankom.

Mimo wszystko musiał przyznać, że wielu rzeczy o niej nie wie. Oczekiwał po niej dojrzałości i opanowania, a nie śmiechu. Nie spodziewał się, że będzie się z nim przekomarzać, że porzuci rezerwę typową dla kobiet w jej sytuacji, kobiet, które kroczą przez życie, trzymając język i myśli pod strażą.

Po tylu latach pilnowania Heleny Nash nie znał jej aż tak dobrze, jak przypuszczał - ta myśl intrygowała go i zarazem wytrącała z równowagi.

Helena zwolniła kroku, przystanęła i jeszcze raz obejrzała się za siebie. Nie znalazła tego, kto przysłał jej różę, kimkolwiek był. Wzruszył ramionami, jakby chciał uwolnić się od niepokoju wywołanego obecnością róży. Znaczenie, jakiego dla niego nabrały róże, było zupełnie inne od tego, jakie przypisywały im romantyczne serca.

Helena skierowała się ku najbliższej bramie.

Wyszedł kilka metrów za nią wśliznął się między dwa powozy i patrzył, jak podchodzi do pierwszego z oczekujących pojazdów. Woźnica zgramolił się z kozła, pomógł jej wsiąść, po czym wspiał się na powrót na swoje miejsce. Czekał, by zobaczyć, czy ktoś do niej dołączy, Ramsey zdjął domino i cisnął młodemu zamiataczowi ulic wspartemu na miotle - chłopak na pewno sprzeda je w następnym maskaradowy wieczór za dwa razy tyle, ile zarabia całonocną pracą. Z kimkolwiek Helena zamierzała się spotkać, człowiek ten ją zawiódł. Musi być największym głupcem pod słońcem.

Ramsey patrzył, jak powóz zanurza się w strumieniu ulicznego ruchu i niknie w oddali.

- Jesteś kawał drogi od domu, dziewczyno - szepnął w zamyśleniu, po czym zawrócił w stronę mostu. -Ale czy nie tak samo jak my wszyscy?

*Manchester, Anglia  
październik 1787 roku*

Przygarbiony stróż poprowadził Ramseya wąskim, słabo oświetlonym korytarzem Domu Ubogich w Manchesterze do izdebki, która służyła za pokój przyjęć dla bezdomnych chłopców. Do tej samej izdebki przyprowadzono

go dwa tygodnie wcześniej, po tym jak konstabl znalazł go zawodzącego nad ciałem matki, przygniecionym skrzynią, która urwała się z bloku wciągnika w dwupiętrowym magazynie. Stróż zatrzymał się przed drzwiami i zerknął litościwie na chłopca.

- Lepiej idź z tym mnichem, który chce cię zabrać, i ucieknij mu później, w drodze, daleko od miasta. Jesteś za ładny, żeby tu długo wytrzymać. Dziwię się, że przetrwałeś do tej pory, ale skoro dwa dni na trzy trafiałeś do celi za bójkę, reszta nie miała zbyt wielu okazji, żeby zrobić ci krzywdę, prawda?

Ramsey nie kwapił się z odpowiedzią. Wargi, przecięte w ostatniej walce, wciąż go bolały, czuł się słaby i skołowany. Najgorsza w karze zamknięcia w celi nie była dla niego izolacja, ale to, że jedyne pożywienie stanowił suchy chleb popijany wodą. Jednak rada stróża trafiła mu do przekonania. To była tylko kwestia czasu, żeby kilku większych chłopców połączyło siły w napaści na niego.

Stróż jeszcze raz zmierzył go wzrokiem, wzruszył ramionami, otworzył drzwi i wepchnął go do środka. Ram zamrugał od nagłej jasności. Dwa poprzednie dni spędził w celi, którą rozmyślnie utrzymywano w ciemności.

- Wielkie nieba, dziecko, co oni ci zrobili?! - wykrzyknął ktoś z akcentem typowym dla szkockich górali.

Na dźwięk tego głosu Ramseyowi łzy napłynęły do oczu. Ale ma przecież dziewięć lat, nie jest dzieckiem, a ostatni raz płakał nad ciałem matki. Nie dopuści, żeby znów coś go przyprawiło o łzy. Koniec ze łzami na zawsze, pomyślał wojowniczo.

- Nic, proszę księdza - zdołał wykrztusić przez spuchnięte wargi, zerkając na wysoką postać ubraną w zakonny habit.

Mężczyzna był trochę więcej niż średniego wzrostu, ale zdawał się wyższy przez swą chudość. Jego gęste włosy miały połysk cyny, a czas wyrzeźbił bruzdy z obu stron szerokich ust i krogulczego nosa. Mimo surowego wyglądu oczy miał przyjazne i bystre i Ramsey od razu nabrał przekonania, że nie przepuściły niczego, co było godne widzenia.

- Jestem ojciec Tarkin, opat z St. Bride's, i przybyłem, by cię tam zabrać. Zabrać cię do domu.

To słowo obudziło nagły przypływ tęsknoty, ale Ram zaraz ją stłumił.

- Nie mam domu, proszę księdza. I nigdy nie byłem w miejscu zwanym St. Bride's. Bierze mnie ksiądz za kogo innego.

- Nie pomyliłem cię z nikim innym. Jesteś synem Córy Munro.

Na dźwięk nazwiska matki zainteresowanie Ramseyego nagle wzrosło.

- Skąd ksiądz zna moją matkę?

- Jej ród należał kiedyś do najznacniejszych góralskich klanów, a ona sama była prawnuczką wodza klanu. Jestem góralem, co stawiam zaraz po tym, że jestem księdzem, więc to oczywiste, że ją znałem. Oczywiście jak górskie jeziora i duma, na jaką stać tylko latorośl wojownika. Przybyłem do Anglii, gdy tylko dostałem jej list. Bardzo żałuję, że za późno, by zabrać stąd was oboje; żałuję też, że kiedy dowiedziałem się o jej śmierci, tyle czasu mi zajęło odszukanie ciebie.

Ramsey wpatrywał się w księdza, zdumiony tym, co usłyszał.

- Matka posłała po księdza, żeby nas zabrał? - spytał wreszcie.

- Pisała, że jest w trudnym położeniu, i pytała, czy znam kogoś w tym mieście, kto mógłby jej przyjść z pomocą. Przyjechałem z własnej woli. A teraz chciałbym cię zabrać ze sobą do St. Bride's.

- Po co?

Ksiądz pierwszy raz się uśmiechnął.

- Jakie to podobne do Munro pytać, co jest w menu, mimo że głoduje. Stare porzekadło jezuitów głosi: „Daj mi dziecko, które nie ma siedmiu lat, a ja zrobię z niego człowieka”. Wiem, że masz więcej lat, ale wciąż żywię wielkie nadzieje co do twojej przyszłości. To co, jedziesz ze mną?

- A co będę robił w tym księdza opactwie? - spytał Ram.

- Pracował nad zdobywaniem wiedzy i umiejętności, których będziemy cię uczyć. W St. Bride's jest więcej chłopców. Od dwunastu do dwudziestu, a wszyscy bardzo ciężko pracują. Nie sądzę, by kiedykolwiek wymagano tego od ciebie, wnuka angielskiego markiza... nawet jeśli nie prawowitego dziedzica.

Ramsey poczuł, że pieką go policzki. Uwaga opata była celna. Zanim jego ojciec zginął w pojedynku w obronie honoru matki, prowadzili wystawne życie. Chociaż według angielskiego prawa rodzice nie byli legalnie zaślubieni, żyli jak małżeństwo, a kiedy ojciec odziedziczył dożywocie wdowie ze strony matki, kupił wielki dom w Szkocji i zapewnił rodzinie wszelkie luksusy i wygody, jakie dało się kupić za pieniądze.

Ramsey pobierał lekcje fechtunku i jazdy konnej, uczył się języków klasycznych i dobrych manier. Ale po śmierci ojca wszystko się skończyło. Zostali wraz z matką odprawieni z jedyne go domu, jaki znał, i nie mieli się gdzie podziać.

- Czy uważasz, że jesteś zdolny do ciężkiej fizycznej pracy, tak samo jak do umysłowej?

Wytrzymał spojrzenie księdza.

- Tak.



Ksiądz uśmiechnął się, wyraźnie zadowolony.

- Dobrze. Więc umowa stoi. Pojedziesz ze mną.
- Pod jednym warunkiem.
- Dyktujesz mi warunki? - Ksiądz się zdziwił.

Ramsey skłonił się sztywno. Był świadomy swej buty, ale wciąż nie zamierzał się poddać.

- Nie chcę, żeby ktoś znał moje... wiedział, kto jest moim dziadkiem ani kim byli mój ojciec i matka.

Ksiądz zmarszczył czoło.

- Ale dlaczego, drogi chłopcze? Masz długie i dumne dziedzictwo ze strony matki i szacowne ze strony ojca.

- Klany się skończyły i odeszły w przeszłość - odparł Ram. - Tak samo jak moi rodzice. Dziadek nie kiwnął palcem, by pomóc mej matce, kiedy go błagała o pomoc. Jestem dla niego nikim i on jest nikim dla mnie. Jestem Ramsey Munro i to wszystko, do czego pretenduję. Proszę mi obiecać.

Ksiądz przyglądał mu się długo i badawczo, wreszcie powoli kiwnął głową.

- Zgoda, Ramseyu Munro. Będzie wedle twego życzenia.

#### 4. *Część słaba:*

*spiczasty koniec klingi,*

*który jest jej najsłabszą częścią*

Pociąg fizyczny. Czy to po prostu inna nazwa żądy?

Chociaż Helena wróciła do rezydencji Tilpotów dobrze po zmroku, była prawie pewna, że nie zostanie przyłapana. Tego wieczoru lady Tilpot grała w wista, nie powinna więc pojawić się w domu przed północą. Helena wolno pokonywała trzy kondygnacje tylnych schodów prowadzących do jej pokoju.

Zdawała sobie sprawę, że jej reakcja na wypadki minionego wieczoru była niewłaściwa, ale też całkiem zrozumiała. Nawet dawniej, jako ciesząca się wszelkimi przywilejami córka zamożnego dżentelmena, czuła się skrzępowana względami, jakie okazywano jej urodzie. Po śmierci ojca jeszcze baczniej strzegła się przed niestosownymi zalotami, które - nim znalazła obecną

posadę u lady Tilpot - stały się dla niej prawie codziennością, uważano ją bowiem za równie piękną jak biedną.

Pocałunek Munro, jego szarmanckość i męskość poruszyły ją tak mocno tylko dlatego, że były niespodziewane. Jest wystarczająco rozumna, by wiedzieć, że ten nieoczekiwany epizod miał dla niej urok zakazanego owocu. Tak, jej reakcja była w pełni zrozumiała. Nie pojmowała tylko, dlaczego wspomnienie tamtego pocałunku nie blaknie. To przecież minęło. Skończone!

Dotarła do szczytu schodów spragniona samotności, w której mogłaby uporządkować myśli. Niestety przed drzwiami zastała Florę, najwyraźniej pogrążoną w rozpacz. Zrezygnowana, sięgnęła ręką za plecy dziewczyny i pchnąwszy drzwi, gestem zaprosiła ją do środka. Może to i dobrze, że nie dano jej rozpamiętywać zmysłowych detali wieczornej wycieczki. Ma dość kłopotów na głowie, by pochłonęły całą jej uwagę.

- Widziałś go? - spytała Flora, gdy tylko znalazły się w pokoju.

- Nie. Pan Goodwin się nie pokazał - odparła Helena, nieco nachmurzona. Po tym, jak przysłał różę, musiało zdarzyć się coś, co przeszkodziło mu w spotkaniu. Cisnęła zwiędły kwiat na toaletkę i ściągnęła chłopięcą czapkę. Jasne jak len włosy spłynęły jej kaskadą na plecy.

- Och! - W tym krótkim okrzyku krył się bezmiar rozczarowania. - To znaczy, że coś go zatrzymało i będzie tam w przyszłym tygodniu.

Helena zdjęła halsztuk, potem kubrak, pozbywając się stroju należącego do jakiegoś sługi Tilpotów z ubiegłego wieku, i schowała rzeczy na dno swojego kufra. Włożyła wełniany szlafrok, ciasno zawiązała pasek i zebrała się w sobie, by powiedzieć to, co konieczne.

- Przykro mi, Floro - rzekła, nie odwracając się, by nie widzieć, jaki skutek wywrą jej słowa - ale nie mogę dłużej odgrywać roli kuriera pomiędzy tobą a panem Goodwinem.

Jeden, dwa, trzy... usłyszała, jak Flora osuwa się na podłogę. Westchnęła ciężko, odwróciła się i popatrzyła na dziewczynę z irytacją połączoną z czułością. Kiedyś pomyślałaby, że Flora wygląda jak krucha mała orchidea, leżąc tak wśród jasnych spódnic. Ale ostatnio, gdy Flora padała na ziemię - a zdarzało się to coraz częściej - Helenie przychodziła na myśl raczej zmięta chusteczka.

- Wstańże, Floro.

- Jesteś naszą jedyną przyjaciółką, a teraz nas porzucasz - padła zdławiona odpowiedź.

- Nie porzucam - zaprzeczyła Helena z oburzeniem. Dziś wieczór o mało nie została przebita szpadą przez pijanego chłopaka. Gdyby Ramsey Munro nie zawarł tego zakładu...

Z nagłą konsternacją zdała sobie sprawę, że jest mu winna sto funtów i nawet nie próbowała ich zwrócić.

- Heleno? - Ładna, choć biała twarzyczka uniosła się znad muślinów. - Przepraszam. Jestem pewna, że nigdy nas nie porzucisz. Tylko że... jestem taka... spięta! Proszę, powiedz, co się stało?

Problem długu zaciągniętego u Munro trzeba odłożyć na później. Teraz pierwszeństwo ma Flora ze wszystkimi jej problemami.

- Postąpiłam co do joty według wskazówek pana Goodwina - odparła - ale nie było go na umówionym miejscu i chociaż długo szukałam, nie udało mi się go znaleźć.

- Więc stało się najgorsze! Zabrali go! - Flora znowu padła na podłogę u stóp Heleny.

- Cii... Twoja ciocia mogła już wrócić - powiedziała Helena, siadając na brzegu łóżka.

- Nic mnie to nie obchodzi! - Flora zaszlochała, ale tym razem dwa razy ciszej.

- Powinno cię obchodzić - stwierdziła surowo Helena. - Nie dostaniesz ani pensa od lady Tilpot, jeśli odkryje, co zrobiłaś, a dopiero za cztery lata skończysz dwadzieścia jeden i będziesz mogła przejąć pieniądze, które ojciec zostawił ci w powiernictwie. Do tego czasu, jeśli pan Goodwin nie znajdzie jakiejś zamożnej osoby, która... przykro mi to mówić, Floro, ale nakazuje mi te słowa uczciwość... zechce uwolnić się od ciężaru bogactwa przez podzielenie się nim z twoim młodym utracjuszem, jesteś zmuszona pozostać na utrzymaniu ciotki.

Jak można się było po niej spodziewać, Flora puściła mimo uszu całą przemowę Heleny oprócz ostatnich słów.

- Dawniej nie uważałaś Oswalda za utracjusza!

Cóż, nie było dnia, żeby Helena nie żałowała tego błędnego osądu.

- Przyznaję, że kiedyś wydawał mi się czarujący.

- On jest czarujący.

- Ale jest też łajdakiem.

Wielkie piwne oczy Flory zamrugały ze zdumieniem i urazą.

- Jak możesz tak mówić, Heleno?

- A kto inny, jak nie łajdak wykorzystałby młodą dziewczynę i uciekł z nią, gdy tylko jej opiekunka i ciężko winna towarzysząca owej opiekunki wyjechały na tydzień do Brighton?

- Przywiózł mnie z powrotem, nim ktokolwiek się domyślił, co zaszło - odparła Flora wojowniczo. - Oprócz ciebie. Zawsze jesteś taka bystra.

-

Popatrzyła na Helenę ze szczerym podziwem. -Ale reszta świata nic nie wie o naszej ucieczce, więc moja reputacja jest bezpieczna.

- Nie przypisuj szlachetnych motywów temu, co naprawdę jest po prostu banalne. Pan Goodwin przywiózł cię z powrotem tylko dlatego, że narobiłaś wrzasku na całą oberżę, kiedy pierwszy raz zobaczyłaś pluskwę. I nie próbuj zaprzeczać, Floro. Sama mi się przyznałaś.

Flora nie miała zamiaru przeczyć. Po prostu wzruszyła ramionami.

- Odkryłam... Odkryliśmy oboje, że nie nadaję się do skromnego stylu życia.

- A kto się nadaje? - spytała Helena oschle, wstając i podchodząc do stolika, na którym stały dzban i miednica. -A teraz siadaj i otrzyj łzy. Poza tym, jeśli pan Goodwin nie jest skończonym łajdakiem, to w każdym razie jest oportunistą.

Nalała trochę wody do miednicy, zmoczyła koniec myjki, wyżeła ją i podała dziewczynie.

Flora dźwignęła się do pozycji siedzącej i posłusznie zaczęła wycierać twarz. Taka właśnie była; podatna na wpływy, posłuszna, wręcz potulna. Łatwo było odciągnąć jej uwagę od wszystkiego, z wyjątkiem Oswalda Goodwina.

Kiedy Helena objęła posadę damy do towarzystwa u lady Alfredy Tilpot, przez ponad tydzień nie docierało do niej, że w ogromnym, eleganckim domu mieszka jeszcze jedna kobieta. Przy fascynującej, władczej lady Tilpot błakły dużo wyrazistsze osobowości niż Flory. Cudem było, że dziewczyna zachowywała w ogóle kręgosłup.

Właśnie po to, by utwierdzić Florę w poczuciu własnej wartości, Helena popierała jej niewinny flirt z Oswaldem Goodwinem. Gdy pewnego popołudnia ów młody człowiek przyszedł w odwiedziny z grupą innych kawalerów do wzięcia, wręcz przyrósł do kanapy, równie przerażony osobą lady Tilpot, co oczarowany Florą. Flora zauważyła jego oczy poety i słodki uśmiech, a Helena spostrzegła, że Flora zauważyła jego.

Przodkowie bez skazy, pusta sakiewka, on sam nie groźniejszy niż piesek pokojowy, jednym słowem idealny kandydat do wzbudzenia w młodej, trzymanej pod kloszem dziewczynie wiary, że ona sama jest coś warta, a nie tylko dwadzieścia tysięcy funtów, którymi lady Tilpot bezwstydnie wymachiwała przed niekończącym się orszakiem młodych kandydatów na mężów.

Kiedy piesek pokojowy zmienił się w lisa w kurniku? Helenie przez myśl nie przeszło, że Oswald Goodwin mógłby wykorzystać młodą dziewczynę. Pokładała tyle ufności w jego nieszkodliwość, że pozwoliła im na kilka chwil

rozmowy na osobności - sama usadowiona w przyzwoitej odległości trzydziestu metrów. Goodwin nigdy nawet nie dotknął dłoni Flory!

I z pewnością nie całował jej tak jak Ram. Nie, po trzykroć nie, powiedziała sobie Helena stanowczo. Nie ma zamiaru o tym myśleć. To była tylko przypadkowa chwila szaleństwa, wycieczka w świat zmysłowych przyjemności, która nigdy się nie powtórzy. To był jego świat; jej świat jest tutaj. Jeden z drugim już nigdy o siebie nie zawadzą.

Niestety przypomniawszy sobie, że nie ma innego wyjścia, jak tylko doręczyć mu sto funtów...

- Dlaczego oskarżasz kochanego Ossiego o oportunizm? - wdarł się w jej myśli głos Flory. Skończyła się wycierać i składała porządnie ręczniczek.

- Bo jeżeli twojej ciotki nie uda się unieważnić małżeństwa, to wygląda na to, że jest zaślubiony bardzo bogatej osobie, czyż nie? - Ujrawszy grymas niezadowolenia na twarzyczce Flory, pospieszyła z dalszym wyjaśnieniem, nie dając sobie przerwać. - A jeśli uda ci się utrzymać małżeństwo w tajemnicy, dopóki nie nabędziesz prawa do swego spadku, to on odniesie podwójną korzyść, mając zapewnioną przyszłość i mogąc się cieszyć nieodpowiedzialną terażniejszością zgodzisz się chyba?

- To okropne mówić takie rzeczy - stwierdziła Flora. - Co w ciebie wstąpiło, Heleno? To do ciebie niepodobne! Gdzie się podział mój anioł? Moja droga, piękna przyjaciółka? Ledwie mogę uwierzyć, że tak nieżyczliwe słowa płyną od kogoś tak uroczonego! Tak anielskiego!

- Floro...

- Tak - upierała się dziewczyna. - Jesteś aniołem! Czy inaczej mogłabyś zachować taką pogodę mimo wszystkich trudności, jakie zgotowało ci życie? Jak mogłabyś wytrzymać z moją ciotką gdybyś nie była prawdziwą świętą? I jesteś taka piękna. - Popatrzyła na nią z uwielbieniem.

Helena westchnęła. Piękność, o której wszyscy tak często wspominali, wydawała się jej czymś obcym, co pojawiło się w ciągu jednej nocy w szesnastym roku jej życia. Wtedy, tak jak teraz, własna „piękność” nie wydawała się jej... realna. Nieprzygotowana na ciągłe adorowanie, schowała się za wrodzonym opanowaniem. Ludzie, jak odkryła, lubią otaczać się ładnymi rzeczami - nie dbając o to, co fasada, którą ubóstwiają może ukrywać.

Nawet jej siostra Kate zdawała się uważać opanowanie Heleny za oznakę braku charakteru. Nigdy nie poprosiła jej o pomoc ani nie spytała o zdanie po śmierci rodziców, lecz po prostu przejęła rządy nad resztą rodziny. A Helena, nie chcąc jeszcze bardziej obciążać i tak przemęczonej siostry, pozwoliła Kate kierować swym życiem. Do czasu lady Tilpot. Do czasu, gdy znalazła

okazję zrobienia dobrego użytku z ćwiczonej od lat pełnej wdzięku powściągliwości.

- Chcę być taka jak ty, Heleno - mówiła Flora z całą szczerością. - Chcę być podziwiana i poważana, i...

- Floro! - przerwała jej ostro Helena. - Ja nie jestem poważana. Ja się podobam. To nie jest to samo. W żadnym razie.

Flora zmarszczyła czoło, wyraźnie skonsternowana.

Helena nie łudziła się, że Flora ją zrozumie. Bezpieczeństwo, rodzina, pozycja w świecie, podziwiana uroda, wszystkie te rzeczy, które ona miała teraz, a Helena kiedyś także, okazywały się uludą.

Jej wychwalana uroda? Po śmierci matki tak schudła, że w ludzkich spojrzeniach czytała tylko litość. Jej pozycja? Przepadła wraz z majątkiem rodziny dziedzicznym w innej linii. Bezpieczna przyszłość? Umarła wraz z ojcem. Rodzina? Rozproszona na wietrze, bo Kate ze swym mężem, pułkownikiem Christianem MacNeillem, wędruje z armią po kontynencie, gdzie ich poślą rozkazy, a Charlotte nieoficjalnie adoptowała rodzina urwipolciów i pustych głów.

Helena nie miała władzy nad kapryсами losu, które kształtowały jej życie, ale miała ją nad swoją reakcją na te kaprysy. Będąc sierotą bez grosza, znajdowała w tym sporo satysfakcji. Ale musi próbować wyperswadować Florze jej sposób patrzenia na życie.

- Kiedy jest się osobą w jakimś stopniu piękną, ludzie nie oczekują po tobie niczego więcej. A dość miłe usposobienie, które u kogoś innego w ogóle nie zwróciłoby niczyjej uwagi, u osoby urodziwej urasta w ludzkich oczach do cnoty. Co jest mało rozsądne, prawda?

Flora popatrzyła na nią obojętnie. Była niewrażliwa na takie subtelności.

- Ludzie oczekują bardzo niewiele od ładnej dziewczyny - ciągnęła Helena. - A kiedy od kogoś niewiele się oczekuje, ta osoba zaczyna mieć sama względem siebie małe wymagania. I w tym tkwi niebezpieczeństwo. Można się zadowolić byciem kimś gorszym, niż nas na to stać.

- Ale ty jesteś ideałem! - oznajmiła Flora, a potem spuściła oczy i wygięła usta w podkówkę. - Przynajmniej byłaś.

- Nie powiedziałabym.

- Ostatnio - ciągnęła Flora, jak gdyby Helena się nie odezwała - no cóż, przykro mi to mówić, ale stałaś się doprawdy bez serca!

Na ten zarzut Helena omal się nie roześmiała. Gdyby była bez serca, wyniosłaby się z tego domu miesiąc temu, mając widoki na część wielkiego skarbu, znalezionej przez Kate i jej męża w Szkocji. Tylko dwie rzeczy

powstrzymywały ją od udania się do banku i załatwienia pożyczki - która, jak oświadczył pełnomocnik szwagra, nie stanowi żadnego problemu - a potem kupienia sobie domu i wycofania się do skromnego, lecz wygodnego życia.

Pierwszym powodem były doświadczenia ostatnich czterech lat, które nauczyły ją nie polegać na szczęściu, które nagle spada jak z nieba. Cały jej obecny dochód pochodził od lady Tilpot, która choć dokuczliwa, dobrze płaciła za przywilej dręczenia pracujących dla niej ludzi. Drugi, ważniejszy powód był taki, że Helena czuła się częściowo odpowiedzialna za obecne kłopotliwe położenie Flory. Uważała, że powinna pozostać przy niej i starać się naprawić sytuację.

Dlatego nie dowiadywała się nawet o formalności niezbędne do otrzymania pożyczki. Nie powiedziała też lady Tilpot o niespodziewanej okazji, gdyby bowiem stara despotka choćby podejrzewała, że któryś z jej pracowników nie żyje w ustawicznym strachu przed odprawą z miejsca by go wyrzuciła. A Helena wiedziała, że raz odprawiona, już nigdy nie miałaby wstępu do tego domu jako przyjaciółka Flory. Nie wpuszczono by jej za próg, słudzy lady Tilpot nie zaryzykowałiby posady, pomagając byłej damie do towarzystwa.

Flora była strzeżona jak księżniczka w wieży. Z wyjątkiem jednego ciężkiego uchybienia, które zdarzyło się miesiąc temu, gdy Helena po powrocie z krótkiego wyjazdu do Brighton z lady Tilpot zastała dziewczynę w swym pokoju, zupełnie jak dziś wieczór. Najpierw rozgorączkowaną, potem omdlewającą i wreszcie przyznającą się do małżeństwa z Oswaldem.

- Wiesz, że Ossie robi wszystko, co w jego mocy, by się ze mną połączyć!  
- przekonywała Flora.

- O tak! - odparła Helena oschle. - Jego wysiłki są doprawdy godne uwagi... z powodu katastrofalnego w skutkach trzymania się złej drogi. Skąd panu Goodwinowi przyszło do głowy, że może zrobić fortunę przy stoliku do gry?

- Miał pecha i...

- Nie, Floro - przerwała jej Helena. - Okazał się karygodnie głupi! Zignorowała westchnienie Flory i dalej drażyła temat, starając się otwożyć jej oczy na charakter mężczyzny, z którym uciekła z domu.

- Zamienił na gotówkę wszystko, co miał wartościowego, i przepuścił pieniądze, licząc na wygraną w najpodlejszych domach gry. Potem, jakby mało mu było tego, że stał się niewypłacalny, oddał się w szpony niejednego, lecz dwóch naraz lichwiarzy, a pożyczone pieniądze przetrwonął tak samo, jak wcześniej własne. Tylko głupiec nie uczy się na błędach, Floro, a ja nie widzę żadnych oznak, że pan Goodwin nauczył się ze swych obecnych kłopotów czegokolwiek poza tym, jak wymykać się wierzycielom!

- To nieuczciwe tak go oceniać! -jęknęła Flora łamiącym się głosem.  
-On tylko próbuje zebrać dość zasobów, żebyśmy mogli żyć razem, niezależnie i... i... wygodnie!

- Powiem ci, co tu jest nieuczciwe - oświadczyła stanowczo Helena.  
-Nieuczciwe jest to, że naraża na ryzyko przyjaciół, wciągając ich w ukrywanie go przed wierzycielami i pomaganie w unikaniu lichwiarzy. Twierdzę, Floro, że ten człowiek kryje się po mysich dziurach jak złodziej! Nie możemy nawet się z nim skontaktować, bo nigdy nie wiadomo, kto go przenocuje albo pożyczycy mu pieniądze na wynajęcie pokoju.

Flora, przekonawszy się, że Helena nie zamierza cofnąć gorzkich słów pod adresem światła jej życia, jeszcze raz rozciągnęła się jak długa na podłodze.

- Ty go nienawidzisz!

Helena poczuła, że gniew ją opuszcza. Lekko dotknęła ramienia dziewczyny.

- To nieprawda. Ja tylko jestem, hm, zaniepokojona jego brakiem zasobów.

- On wydał wszystkie zasoby!

Helena przymknęła oczy, po raz setny zadając sobie w duchu pytanie, jakie chwilowe zaćmienie umysłu kazało jej przystać na udział w tym nonsensie. Ale nawet zwątpiwszy we własny rozsądek, wiedziała, że naprawdę innego wyjścia nie ma.

Nikomu ze służby lady Tilpot nie mogła zaufać, że nie puści pary z ust o małżeństwie Flory z Goodwinem, a co dopiero, że zgodzi się być ich posłańcem. Wszyscy żyli w ciągłym strachu przed swą panią. Nie było też mowy, żeby Flora przez wyjście wieczorem z domu naraziła się na utratę dobrej reputacji i gniew ciotki. Zresztą Helena wątpiła, czy dziewczyna potrafiłaby przejść na drugą stronę ulicy bez stosownej asysty, nie mówiąc już o znalezieniu drogi do ogrodu Vauxhall.

Pozostawała więc tylko ona. A że miała ochotę coś przedsięwziąć, zamiast tylko trwać w wyczekiwaniu na rozwój wydarzeń, odbierała swą rolę jako ekscytujące przeżycie. Wciągające jak nałóg.

Aby uniknąć oczu tropiących młodego Goodwina, uknuła plan spotkań na tłumnie uczęszczanych publicznych maskaradach. Szczęśliwie się złożyło, że tego sezonu towarzystwo upodobało sobie bale kostiumowe. Okazji do przebrania się i założenia maski było co niemiara.

Ten raz był trzecim, kiedy nie ściągając na siebie uwagi, wmieszała się w rozbawiony tłum, by spotkać pana Goodwina. Poprzednie spotkania przebiegły bez przygód. Ale dziś stało się inaczej.



Helena machinalnie dotknęła ust koniuszkami palców. Wargi wciąż miała lekko nabrzmiałe, wciąż przechowujące wspomnienie jego warg. Dziwne. Ledwie sobie przypominała lęk przed starciem z Figgym. Pamiętała tylko uczucia, jakie obudził w niej wysoki, przystojny Szkot o czarnych puklach spadających na ramiona i oczach księdza pozbawionego sutanny.

- Czy pochwalasz Ossiego, czy nie, Heleno, musisz tam wrócić! Nie prosiłabym cię, gdybym miała inne wyjście - oznajmiła Flora z powagą osoby przekonanej, że mówi najszczerzą prawdę. - Ossie musiał pomylić daty albo coś go zatrzymało, albo zobaczył kogoś i nie odważył się do ciebie podejść. Proszę, spróbuj jeszcze raz. Błagam.

Niech лихо porwie tę dziewczynę. Helena wytrwałaby w oporze wobec hysterii, ale wobec tego płynącego z głębi serca apelu? Dała się złapać we własne sidła i musi tu zostać, dopóki nie wymyśli, co zrobić - a wbrew swym najzarliwsiemu modlitwom nie wątpiła, że to ona, a nie pan Goodwin czy Flora, jest osobą, która będzie musiała coś wymyślić.

W tej chwili jedyną alternatywą- doprawdy straszna myśl - było zdać się na litość lady Tilpot. Fakt, iż Helenie w ogóle przyszło do głowy, że lady Tilpot byłaby zdolna do litości, dowodził narastającego w niej poczucia beznadziejności.

- Zgoda, Floro.

Uśmiech dziewczyny zajaśniał jak słońce po wiosennej burzy.

- Ale to będzie ostatni raz. - Helena odwzajemniła blado ten promienny uśmiech. - I musisz obiecać, że nie będziesz więcej szlochać na mojej podłodze. Dywan całkiem przemókł.

## *5. Manipulatory: kciuk i palec wskazujący uzbrojonej dłoni*

Tydzień później Helena gorliwie zajmowała się gośćmi w salonie lady Tilpot. Na początek zjawiała się grupka modnych młodzieńców, którzy woleli stać niż siedzieć w swych ciasno opiętych spodniach.

Przy wystroju wnętrza według gustu lady Tilpot - polegającym głównie na tym, by wyeksponować tyle ozdobnych pamiątek rodzinnych, ile tylko salon zdoła pomieścić - lawirowanie w dusznym, przegrzanym pomieszcze-

niu stawało się trudne. Mimo wszystko Helena starała się wypełniać swoje obowiązki, do których należało pilnowanie, żeby nie zabrakło poczęstunku, rozmawianie z przyzwoitkami i dziadkami oraz dbanie o to, by Flora prezentowała się jak najlepiej. Jedyny problem stanowiło to ostatnie, nie można bowiem dobrze zaprezentować kogoś, kogo nie ma.

Kiedy Flora zaczęła się uskarżać na ból głowy, Helena odetchnęła z ulgą. Bez Flory, która oglądała i była oglądana przez tegoroczny wysyp kawalerów, goście szybko się rozejdą. Potem lady Tilpot uda się na swego czwartkowego wista, dając Helenie okazję ostatni raz poszukać Oswalda Goodwina w ogrodzie Vauxhall.

- Nie, nie, pani Winebarger! - zawołała lady Alfreda do pruskiej damy, która upuściła wachlarz. - Proszę nie zadawać sobie trudu i nie odstawiać pani zwierzątko.

Lady Tilpot, niewiasta o nieciekawej twarzy, płaskiej piersi i okrągłej sempiternie, utkwiała znaczące spojrzenie swoich rybich oczu w małej łaciatej kotce usadowionej na kolanie pani Winebarger. Lady Tilpot nie zносиła w domu „żywego inwentarza”.

- Niech panna Nash poda pani wachlarz. Coś musi robić za swoją pensję. Panno Nash! Proszę podnieść wachlarz pani Winebarger!

Helena natychmiast wstała. Pojęła, co się kryje za tą uwagą: lady Tilpot uznała, że trzeba jej przypomnieć, gdzie jest jej miejsce. I wszystkim obecnym również.

W sezonie swojego debiutu towarzyskiego Helena szybko zdała sobie sprawę, że jest taksowana jak klacz na aukcji, i twardo, choć uprzejmie, odmówiła udziału w tym targu. Nie była skłonna okazać więcej uległości żadnemu z obecnych założycieli stajni - czy też założycieli dynastii - jak by ich nie nazwać.

Jej problem polegał na tym, że chociaż wszystkich zadowalało to, iż jest ładna, ona chciała czegoś więcej. Chciała, by jakiś mężczyzna zainteresował się tym, co ona myśli, jakie ma zalety i jakie słabości. By postarał się ją poznać, a nie tylko obejrzeć.

Przeprosiła swoich rozmówców i podeszła do pani Winebarger, zaciękawiona, bo pruska dama nie należała do stałych gości lady Tilpot i ciągnęła się za nią swego rodzaju zła sława. Była to czarująca niewysoka kobieta o zgrabnej figurze, wielkich niebieskich oczach i włosach w kolorze jesieni.

Plotki głosiły, że kiedyś dla wygrania zakładu przebrała się za chłopca, by dostać się na służbę do domu księcia, i utrzymała się tam przez cały tydzień, zanim ją odkryto. W ten sposób zdobyła prócz wygranej przydomek Pazia.

To właśnie pani Winebarger była natchnieniem dla Heleny przy wyborze kostiumu.

- Bez względu na rozkazy tej Tilpot - powiedziała cicho pruska dama, gdy Helena pochylała się nad wachlarzem - sama podniosłabym wachlarz, gdyby nie to, że chciałam z panią porozmawiać.

- Słucham?

- Przyglądałam się pani. Nie pasuje pani tutaj, tak samo jak ja. Mój mąż i ja zostaliśmy zaproszeni, ponieważ Robert należy do faworytów Wszechświatowego Turnieju Pojedyneków. Ale w ostatniej chwili okazało się, że nie może mi towarzyszyć, a lady Tilpot niezręcznie było cofnąć zaproszenie dla mnie.

To wiele wyjaśnia, pomyślała Helena. Mimo jej bigoterii lady Tilpot nie można było posądzać o głupotę. Wiedziała, że wszyscy młodzi ludzie, których pragnęła przyciągnąć do Flory, są ogarnięci najnowszą manią fechtowania się. W miarę jak zbliżał się turniej, eksperci od szermierki z wielu krajów przybywali coraz liczniej. Lady Tilpot zapraszała największe sławy, by zwabić na swoje wieczorki liczących się kandydatów na mężów.

- Widzę, że pani rozumie - ciągnęła lady Winebarger. - Pozwalam użyć się do jej celów, bo mnie to bawi. Ale pani... - Klepnęła w poduszkę zapraszająco. - Proszę usiąść przy Księżniczce i przy mnie.

- Księżniczce? - spytała Helena, siadając. Mała szaro-beżowo-biała kotka nie wyglądała na istotę królewskiej krwi. Jej uszy były postrzępione, a różowy nosek podrapany.

Pani Winebarger kiwnęła głową.

- Ależ oczywiście. Jest wspaniałą zakłęta księżniczką. - Delikatnie pogła skąła nierówne koniuszki uszu kotki. - Na szczęście widzę ją taką, jaka jest, a nie taką jaką ją uczynił świat. A teraz proszę mi opowiedzieć o gościach.

Helena zaczęła od hrabiego, który z lekkim zniecierpliwieniem słuchał tyrady lady Tilpot, co pewien czas kiwając głową.

- Przypuszczam, że wyraża żal z powodu nieobecności jego syna i jedyne go dziedzica, co jest gorzkim rozczarowaniem dla lady Tilpot.

- A kto to jest ten łysy, który się do nich przyłączył?

Przygarbiony mężczyzna podszedł do lady Tilpot i skłonił się z szacunkiem. Miał twarz, na której wiek nie pozostawia śladów, równie gładką jak czubek jego głowy. Uwagę przykuwały oczy, chwilami przygaszone i pełne smutku, to znów skrzące się nieoczekiwanym humorem. Wrażenie pogarszała niezbyt atrakcyjna figura, której nie poprawiało źle leżące ubranie; surdut wypchany na ramionach i spodnie wiszące luźno wokół kolan, zbyt ciasno opinające wydatny brzusek.

- To wielebny Tawster.  
- Ach tak. - Pani Winebarger się uśmiechnęła. - Ulubieniec lady Tilpot. Słyszałam, że poprzedni pastor uciekł.

Helena odwzajemniła uśmiech.

- Wielebny Tawster wydaje się lepszy od swego poprzednika. Zdarza mu się nawet powątpiewać w słowa pani Tilpot. - Na niedowierzające spojrzenie pani Winebarger dodała: - Co prawda bardzo rzadko. Lubiła wielebnego Tawstera i trochę mu współczuła. Cenił powściągliwość i skromność, nie potrafił jednak ukryć fascynacji życiem na wysokiej stopie.

Skierowała uwagę pani Winebarger na grupkę dżentelmenów przy kominku i wymieniła syna irlandzkiego hrabiego, dwóch wicehrabiów oraz baroneta.

- A ten przystojny mężczyzna obok niego? - spytała pruska dama.

- To lord Forrester DeMarc, wicehrabia DeMarc - odpowiedziała Helena, nagle chłodniejszym tonem. Wicehrabia stanowił idealny wzorzec przedstawiciela śmietanki towarzyskiej, ubrany w żółto-brązowe spodnie, ciemnogranatowy surdut i żółtą kamizelkę, uwydatniające jego wysoką, atletyczną postać.

Odrobina uśmiechu, pomyślała, bardziej by za nim przemawiała niż wyniosłość, którą okazuje. Ale zwątpiła, czy cokolwiek przemawiałoby za wicehrabią w jej oczach. W zeszłym tygodniu DeMarc znalazł jakiś pretekst, by znaleźć się z nią sam na sam w pokoju śniadaniowym lady Tilpot. Wpa-trywał się w nią porozumiewawczo, ale nie wyrzekł ani słowa.

Helena już dawno odkryła, że zwykle ignorowanie na ogół wystarczy, by ostudzić zapalę dżentelmena. Ale DeMarc nie zrozumiał aluzji.

Sposób, w jaki jej się przyglądał, uznała za bezczelny, zwłaszcza że jego pozycja towarzyska pozwalała mu spędzić ledwie parę chwil na grzecznej rozmowie z nią nim przeszedł do znakomitszych osób.

- Słyszałam o nim.

- Doprawdy? - rzuciła Helena obojętnie i dyskretnie wskazała jedyną oprócz nich młodą damę w salonie, kipiącą życiem niewiastę o tycjanowskich włosach, zielonych oczach i wydatnym biuście. - To jest panna Jolene Milar.

Zdrobnienie Jolly panna Milar zawdzięczała nie wesołemu usposobieniu, ale pewnej swobodzie moralnej. Na szczęście lady Tilpot o tym nie wiedziała. W przeciwnym razie nawet fakt, że brat Jolly jest jednym z najbogatszych kawalerów do wzięcia, nie otworzyłby przed nią drzwi jej domu. Grzeszkom mężatki można było pobłażać, jeśli miało się ku temu dostateczne powody, ale u niezamężnej panny były absolutnie niewybaczalne.

- Jej brat jest doskonałą partią.  
Pani Winebarger pochyliła się ku Helenie i szepnęła:

- Co mnie sprowadza na powrót do pierwszego pytania, dlaczego tkwi pani tutaj? Przecież nie powoduje panią uczucie... - Otworzyła szeroko śliczne oczy. - Ależ myślę się! To jest uczucie. Z pewnością nie do lady Tilpot. Jakiś młody człowiek?

Helena poczuła, że gorąco uderza jej do twarzy.

- Panno Nash?

Helena obróciła się szybko i znalazła się twarzą w twarz z lordem DeMarkiem, aż za bardzo świadoma, że płoną jej policzki.

- Witam pana, wicehrabio.

- Jest pani zarumieniona - zauważył sztywno. - Ufam, że ta rozmowa -przeniósł oskarżycielskie spojrzenie na panią Winebarger - nie okazała się zbyt emocjonująca?

Na jego ukrytą naganę pani Winebarger roześmiała się, a głos jej zadźwięczał w dusznym pokoju jak dzwoneczki.

- Wicehrabia DeMarc, czy dobrze poznałam?

DeMarc skłonił głowę.

- Madame.

- Mąż wspominał mi o panu. Mówił, że jest pan uważany za znakomitego szermierza.

- Nie przypominam sobie tej znajomości - stwierdził DeMarc.

- Mąż uczęszcza do wielu najlepszych sal szermierczych - wyjaśniła pani Winebarger. - Obserwuje. Rozmawia z mistrzami o tym, kto się liczy jako poważny przeciwnik, a kogo można zlekceważyć. Może rozmawiał z pana fechtmistrzem?

- A ktoś miałby nim być?

- Pan Ramsey Munro, czyż nie?

Dłoń Heleny zanurzona w jedwabistym futerku Księżniczki zadrżała, a w jej wyobraźni eksplodował obraz Ramseya, upadłego anioła, świętego grzesznika. Znow poczuła smak jego pocałunku, fakturę jego języka na swoim, jak gdyby w ciągu minionego tygodnia wspomnienie przyczaiło się w cieniu, czekając na okazję, by zaatakować jej zmysły i przewrócić jej świat do góry nogami.

- Uczyłem się u wielu instruktorów - usłyszała słowa DeMarca - ale żadnego nie uważam za mego mistrza. Nawet Ramseya Munro, aczkolwiek jest  
dobrym partnerem sparingowym.

Po drugiej stronie salonu Jolly Milar zadarła głowę jak lis, który zwęszył ptaka, i ruszyła ku nim.

- Może to i lepiej - odparła pani Winebarger. - Byłoby niewłaściwe, gdyby mistrz walczył z uczniem, a słyszałam, że pan Munro jest zdecydowany stanąć do turnieju.
- Nie sądzę, żeby Munro dbał o to, co jest albo nie jest właściwe. Ale czy mogę spytać, gdzie pani posłyszała tę pogłoskę?
- O tym także wiem od męża - odparła pani Winebarger.
- Dziwne - mruknął DeMarc ze źle skrywanym niesmakiem - że mąż właśnie panią wybrał na powiernicę.
- A to czemu? - spytała, nie przejmując się jego dezaprobatą.
- W Anglii nie dopuszczamy naszych żon i dzieci do spraw, które ich nie dotyczą. Towarzyskich, a także politycznych.
- To tak samo jak w moim kraju. Ale mój mąż - oczy pani Winebarger nabrały łagodnego wyrazu - jest wyjątkowym mężczyzną. Na przykład ta plotka, że pan Munro wyraził pragnienie, by stanąć do turnieju, martwi go prawie tak samo, jak cieszy.
- Dlaczego? - spytała Jolly Milar, przyłączając się do nich.
- Bo prawdziwy szermierz pragnie spróbować się z najlepszym, a Ramsey Munro jest najlepszy - odparła pani Winebarger.
- Tak, pomyślała Helena, Ramsey Munro musi być najlepszy. Nie dopuściłby, by było inaczej.
- Jednym z najlepszych - sprostował DeMarc. - Ale nawet jeśli tak, szczerze wątpię, by Ramsey Munro miał środki na wniesienie opłaty wpisowej. Pięć tysięcy funtów to wysoka suma dla takiego człowieka.
- Przecież wręczył tamtemu chłopcu sto funtów, pomyślała Helena.
- Jakiego rodzaju to człowiek, milordzie? - zapytała pani Winebarger.
- Człowiek z niezaprzeczalnym i nadzwyczajnym talentem do szpady. Ale poza tym zwykły prostak.
- W Ramseyu Munro nie ma nic prostackiego - oświadczyła Jolly Milar i wybuchnęła dziewczęcym chichotem. -No i chodzą słuchy, że w Londynie roi się od jego byłych kochanek.
- Byłe kochanki. Tak, oczywiście, słyszała plotki o jego podbojach. Wprawdzie ostatnio było ich jakby mniej, ale pewnie dlatego, że nauczył się dyskrecji. Musi mieć ogromne powodzenie u kobiet, z takim wyglądem i wykwintnym obejściem. Helena przełknęła ślinę i się uśmiechnęła. DeMarc, widząc to, zmarszczył orli nos, nawet pani Winebarger spojrzała badawczo na dziewczynę.
- Pani zna tego dżentelmena?
- On nie jest dżentelmenem - powiedział chłodno wicehrabia.

Jeszcze raz Helena zgodziła się z nim: Ramsey Munro nie jest dżentelmenem. Świadczył o tym list, który Munro i jego towarzysze przysłali do domu jej matki. Bez żadnych skrępowań i przeprosin oświadczyli, że pomoc, jaką pragną świadczyć jej rodzinie, nie może być ani finansowa, ani towarzyska.

- Jest księciem White Friars - powiedziała Jolly, lekko się krzywiąc.  
-A tron ma w swojej sali i tam panuje niepodzielnie.  
- A skąd pani to wie? - spytała pruska dama.  
- Byłam tam - odparła Jolly.  
- W sali? - DeMarc był wyraźnie zde gustowany.  
- To jest teraz w modzie - rzekła Jolly entuzjastycznie. - Wszystkie chodzimy tam w soboty. Wszystkie młode damy.

Tymczasem ich grupka przyciągnęła uwagę lady Tilpot. Nie znosząc pozostawania na uboczu niczego, co mogło stanowić pozycję dla plotek i złośliwości, dźwignęła się z kanapy i uwiesiwszy się na ramieniu wielbnego Tawstera, podreptała naprzód, ciągnąc speszonego pastora.

- To nieprzyzwoite! - wykrzyknął DeMarc, gdy gospodyni i Tawster przyłączyli się do nich. - Czy nie mam racji, pastorze?

- Co? - spytał duchowny. - Chodzenie na pokazy sportowe?  
- Sale szermiercze to szkoły dla młodych dżentelmenów, a nie sale wystawowe - powiedział DeMarc. - Kobieta, która szuka tam rozrywki, trudno nazwać damą.

- To prawda, że panuje zbyt swoboda w tym, co jest dopuszczalne, ale liczne wykroczenia cięższe niż odwiedzanie sal szermierczych proszą się o nasze modlitwy i nasze oburzenie - odrzekł łagodnie wielbny Tawster.

Helena uśmiechnęła się do pastora i przysięgłaby, że ten mrugnął do niej jednym okiem. - W żadnym razie - oznajmiła lady Tilpot.

- Nie zgadza się pani z pastorem? - spytała ją pani Winebarger.  
- Absolutnie nie. Młodzież przejmie pewnego dnia naszą pozycję w świecie, toteż żadne oczekiwanie nie jest zbyt wygórowane, jeśli chodzi o jej przyzwoitość. Musimy być czujni na wszelkie oznaki zła i zgnilizny moralnej i szybko reagować, by je wyplenić.

- Niewątpliwie ma pani słusność - polemizował pastor -ja jednak ufam, że nasza młodzież jest dumna ze swego dziedzictwa i dlatego nie zrobi niczego uwłaczającego szlachetnym nazwiskom.

- Chyba że otrzyma niewłaściwe wychowanie. - Lady Tilpot patrzyła prosto na Helenę.

- Z pewnością nie odnosi pani tego do panny Nash - zadeklarował wielbny Tawster, szczerze zdumiony. - Krótko ją znam, ale w tym czasie ani razu nie zachowała się inaczej niż w jak najbardziej stosowny i uprzejmy sposób.

- Oczywiście, że nie - oświadczyła chłodno starsza dama. - Nie tolerowałabym niczego innego w moim domu. - Popatrzyła na Helenę, uśmiechając się blade. - Ale - ciągnęła moralizująco - aczkolwiek jej manieri mogą być przyjemne, krew mówi za siebie. Najwyraźniej gdzieś w rodowodzie panny Nash kryje się niefortunna konsekwencja.

Helena poczuła, że usta same jej się zaciskają. Nie może dać się sprowokować. Nigdy się nie dawała.

- To wierutna bzdura! - Rozbawienie pani Winebarger całkiem się ulotniło. Wytrzymała apoplektyczne łypnięcie lady Tilpot, mierząc ją chłodnym spojrzeniem. - Jeśli się nie mylę, jej ojcem był pułkownik Roderick Nash. -Zwróciła się ku Helenie i jej wzrok złagodniał. - Czy mam rację? Człowiek szanowany za życia i uhonorowany po śmierci.

- Tak - odpowiedziała Helena cicho, z wdzięcznością. Ale... skąd pruska dama o tym wie? To prawda, ojciec był wojskowym o pewnej renomie, ale nie aż takiej, by jego nazwisko było powszechnie znane w towarzystwie. -Jestem zdziwiona, że pani o nim słyszała.

- Mój mąż bardzo dokładnie śledzi wydarzenia wojenne. Jest wielkim wielbicielem pani ojca i - spojrzała na DeMarca-jako powierniczka mego męża dowiedziałam się bardzo dużo o tym dzentelmenie. Wiem na przykład, że gdy pełnił misję dyplomatyczną we Francji, dobrowolnie oddał się w nie wolę za trzech szkockich więźniów, młodych ludzi, których Francuzi podejrzewali o szpiegostwo i skazali na śmierć.

Przerwała na chwilę.

- Wiem także - podjęła miękko - że po tej wymianie został stracony. Umarł jak bohater.

Słowa pani Winebarger wywołały w Helenie natłok wspomnień: najpierw ciężka żaloba, jeszcze pogłębiona gniewem Kate na ojca, że poświęcił życie dla trzech obcych ludzi; potem wstrząs spowodowany odkryciem, że ich rodzina nie może nadal zajmować posiadłości należnej ojcu tylko dożywcio; przygnębiająca świadomość, że muszą wyjechać z Yorku. A w tym grzęzawisku rozpacz i żaloby przybywają więźniowie, za których pułkownik Nash oddał życie, i ślubują że zrobią wszystko, o co ich poprosi rodzina ich wybawcy. Co goście lady Tilpot powiedzieliby na wiadomość, że jednym z tych więźniów był Ramsey Munro?



- Ojcu Heleny należy się cześć - niechętnie przyznała lady Alfreda. - Ale jej siostry to inna sprawa. Ta owdowiała dopiero co popełniła megalians, poślubiając zwykłego szkockiego żołnierza. Proszę powiedzieć wszystkim, panno Nash, że to prawda.

- Tak, to prawda - przyznała Helena z ulgą. Przynajmniej w tej sprawie nie musi czuć się winna, że nie broni honoru krewnych. Kate i Christian nie potrzebują ani nie chcieliby jej wstawiennictwa. Nic ich nie obchodzi opinia eleganckiego towarzystwa.

- Na to jeszcze by można przymknąć oko, jako na osobliwy przypadek. Ale młodsza siostra stanowi wyraźny dowód, że drzewo genealogiczne Nashów ukrywa niepożądane elementy.

Włoski na karku Heleny nagle się zjeżyły. Kate potrafi się o siebie zatroszczyć i zawsze to robiła, ale Charlotte - impulsywna, zapalczywa Charlotte - niebacznie szła, dokąd ją kierowały poryw serca lub przelotna zachcianka.

Wkrótce po śmierci rodziców Helena i Kate zdecydowały, że skoro Charlotte nie otrzyma niczego, co zapewniłoby jej odpowiednią pozycję w świecie, powinna przynajmniej mieć przewagę dobrego wykształcenia. Robiły, co w ich mocy, by opłacić jej pobyt w ekskluzywnej szkole. Ale kiedy edukacja się skończyła, Charlotte przy pierwszej okazji wymknęła się spod ich opieki, wkradłszy się w łaski rodziny szkolnej koleżanki, jedynej córki barona Weltona.

Helena uczciwie przyznawała, że początkowo chętnie się zrzekła trudnego zadania opieki nad upartą nastolatką na rzecz rodziny o ustalonej pozycji towarzyskiej. Później, kiedy dotarło do nich, że w tej rodzinie nie ma co liczyć na opiekę, wysiłki sióstr, by zabrać Charlotte z domu Weltonów, spotkały się z jej stanowczym protestem.

Z łobuzerskim uśmiechem, bez cienia skruchy, Charlotte oznajmiła, że nie odpowiada jej życie w ubóstwie, że lubi swoje modne stroje i ładny pokój, a także że jest pełnoletnia, więc ani Helena, ani Kate nie mają nic do gadania.

Ostatnio Helena usłyszała, że siostra zawiera niepożądane znajomości. Wiele razy próbowała porozmawiać z Charlotte na ten temat, ale bez powodzenia. Ilekroć przychodziła do domu Weltonów, Charlotte zawsze była nieobecna. Jej odpowiedzi na listy Heleny - na przemian błagalne i rozkazujące - były zdawkowe, beztroskie, wypełnione ostatnimi nowinkami o jej garderobie i bieżącymi ploteczkami na temat jej przybranej rodziny.

Beznadziejna sprawa. Helena nie miała możliwości dotarcia do Charlotte. Towarzystwo, w którym obracali się Weltonowie, nie bywało zapraszane do domu lady Tilpot. Ostatecznie więc musiała się pogodzić z faktem, że Char-

lotte ani nie chce, ani nie przyjmie wtrącania się siostry w jej życie, i choć zmartwiona, zaniechała dalszych prób.

Teraz imię młodszej siostry na zasznurowanych wargach lady Tilpot wyzwoliło w Helenie instykt opiekuńczy, a z nim poczucie winy. Zdawała sobie sprawę, że przelała znaczną część swej troski o Charlotte, której nie mogła pomóc i która nie chciała jej pomocy, na Florę, z którą było całkiem przeciwnie.

- I jak, panno Nash? Nic pani nie ma na jej obronę? - spytała lady Tilpot.

Helena mocno zagryzła wewnątrz policzków. Jeśli będzie zuchwała, stara dama z miejsca ją zwolni, a Flora zostanie sama. Musi ścierpieć lady Tilpot jeszcze przez kilka tygodni. Tylko kilka tygodni. Może się na to zdobyć.

- Charlotte - odpowiedziała w końcu ze ściśniętym gardłem - jest wszędzie bardzo dobrze przyjmowana.

- Tak - potwierdziła lady Tilpot. - Ale jak długo jeszcze? - Po tym ostatnim strzale zwróciła się do pastora, dając do zrozumienia, że skończyła z tamtą sprawą: - Wielebny Tawsterze, czy byłby ksiądz tak dobry i podał mi ramię? Pragnę usiąść.

Pastor spełnił prośbę, zapewne uświadomiwszy sobie, która strona jego chleba jest posmarowana masłem. A sądząc z jego krągłego brzuszka, musiał lubić masło.

- Zatem - Jolly zwróciła się znów ku nim, gdy tylko lady Tilpot z pastorem znaleźli się poza zasięgiem jej głosu, jak gdyby poglądy starej damy na dobre wychowanie były częścią gadaniną, którą się nie warto przejmować - to, co mówiłam o Ramseyu Munro i o tym, że wszystkie młode damy odwiedzają jego salę w sobotnie popołudnia...

- Panno Nash, obawiam się, że ta rozmowa staje się dla pani nużąca. - Chłodny głos DeMarca uciął wypowiedź Jolly.

Helena rzuciła mu poirytowane spojrzenie. Chciała posłuchać, co Jolly wie o Ramseyu.

- Z pewnością pani nie zna osób, o których opowiada panna Jolly, a ja wątpię, by mój krąg znajomych zajął się z kręgiem pani Winebarger. - Podał Helenie ramię. - Jestem pewien, że zgodzi się pani pokazać mi kolekcję sztychów lady Tilpot.

Nie chciała się okazać grubiańska, wstała więc i przyjęła jego ramię. Poprowadził ją na przeciwną stronę salonu, gdzie lady Tilpot wyłożyła portfolio sztychów.

Nawet nie udawał, że na nie patrzy.

- Teraz ma pani moją niepodzielną uwagę. Powinna pani być zadowolona.

Helena zamrugała, niepewna, czy dobrze usłyszała.

- Obawiam się, że nie rozumiem.

- Przykro mi, że była pani narażona na wybryki tej kobiety.

Helena spojrzała na niego zaskoczona. Czyżby miał zamiar bronić Charlotte przed lady Tilpot? Może źle oceniała...

- Prusacy są powszechnie znani z nieokrzesań, a ta mała bestyjka Milar... - Wzruszył ramionami.

Nie. On nie staje w jej obronie.

Próbowała znaleźć właściwą ripostę, ale było to niemożliwe. Nie wypadało jej zaprzeczyć i utrzymywać, że rozmowa wcale nie była niewybredna, ale nie mogła też się z nim zgodzić. Zmilczała więc, choć wbrew sobie. Tak samo jak wbrew sobie broniła Charlotte przed oskarżeniami lady Tilpot. Cóż, dzięki temu zrobi, co będzie konieczne, żeby znaleźć szczęśliwe wyjście dla rozdzielonych kochanków.

- Znosi pani swoje położenie z chwalebłą cierpliwością, panno Nash - wyszeptał DeMarc.

Najwidoczniej uważał, że rola milczącej cierpiętnicy zasługuje na podziw. Helena spuściła oczy, by nie dostrzegł w nich gniewu.

- Tak.

- Ty mała flirciaro. Spójrz na mnie. Nikt na nas nie patrzy. Jesteś zawsze dyskretna. - Poderwała głowę. DeMarc się uśmiechał. - Ale nie dość dyskretna. Zauważyłem twoje zainteresowanie. Inni też. Widzę, jak na mnie patrzysz. Widzę twój uśmiech.

Zdumienie Heleny przeszło w konsternację.

- Wobec tego mam tylko jedno pytanie: co zrobić w tej kwestii?

Nie. Och, nie. Nie może zranić jego uczuć. Ktoś taki jak Forrester DeMarc przyjąłby fatalnie każde odrzucenie. Ale nie może go też zachęcać, i to nie tylko dlatego, że wcale nie ma na to ochoty. Gdyby lady Tilpot podejrzewała, że jej wieczorki urządzone dla Flory Helena wykorzystuje do ściągania na siebie uwagi mężczyzn, natychmiast by ją odprawiła.

A nie może opuścić Flory. Nie teraz. Jeszcze nie. Wysilała umysł, szukając stosownej odpowiedzi.

- Zbyt pan uprzejmy - wymamrotała wreszcie.

- Panno Nash! - Stanowcze wezwanie lady Tilpot zabrzmiało jak smagnięcie biczem i przynajmniej raz Helena poczuła wdzięczność za to kapryśne, rozkazujące warknięcie. - Proszę przestać monopolizować lorda DeMarca i przyjść tutaj.

Posłusznie spełniła rozkaz, nie oglądając się za siebie.

## *6. Przygotowanie:*

### *działanie zmierzające do rozpoczęcia*

#### *pierwszej fazy natarcia*

Popołudniowe cienie wydłużyły się w fioletowe smugi, kiedy Helena wciskała szyling w dłoń służącego z ogrodu Vauxhall. Tym razem nie spuszczała oczu pod czarną jedwabną maską. Doświadczenia z ubiegłego tygodnia, zamiast ją zniechęcić, dodały jej pewności siebie. Podniecenie innych uczestników zabawy było zaraźliwe, ich śmiech wibrował w powietrzu.

Obdarta dziewczynka stojąca przy furtce wetknęła Helenie w dłoń bukiet

fiolków, a potem uniosła głowę, zmierzyła ją wzrokiem i powiedziała:

- Nie wiem, czyś ty mężczyzną, czy kobietą, ale tak czy owak należą mi się dwa pensy.

- Daj mi kwiaty za pensa, to odkryję me sekrety - odparła Helena, drażniąc się z małą.

Ta prychnęła kpiąco.

- Nie jestem ich ciekawa. A mama powiedziała mi, że jak tylko kto wspo mni, że mi coś odkryje, mam wrzeszczeć jak opętana. No to jak, dwa pensy czy mam zacząć wrzeszczeć?

Helena roześmiała się i cisnęła małej czteropensową monetę. Zatknęła kwiaty za brzeg miękkiego kapelusza i ruszyła dalej, zafascynowana, że taki skrzat ma tyle pewności siebie i bystrości. Nie pamiętała, by kiedyś dano jej równie bezpardonową odprawę.

To sprawa maski, uświadomiła sobie. Nikt nie widzi jej twarzy ani włosów, niczych oczu nie przyciągała jej uroda. Mogła poruszać się w tłumie całkiem anonimowo, mogła powiedzieć, co tylko zechce, i nie ponieść kary za przypadkową niedyskrecję, uszczypliwą uwagę czy zbyt hałaśliwy śmiech. Czuli się wolna i swobodna jak nigdy przedtem.

Wcześniej nie bywała w takich miejscach jak ogród Vauxhall. Właściwie nigdzie nie bywała bez asysty przynajmniej pokojówki lub służącego. Ta nowo odkryta wolność naprawdę uderza do głowy. Mogłaby...

- Mógłbym zrobić z tobą wszystko, co zechcę. Zaraz. Jesteś moja- szepnął chrapliwy głos tuż przy niej.

Helena okręciła się wokół, ale tłum był gęsty, a właścicielem głosu mógł być każdy z tuzina ludzi, którzy ją otaczali: otyły mężczyzna ubrany w stylu

Tudorów, kobieta w kimonie i gipsowej masce, żeglarz lub indiańska księżniczka. Zmusiła się do zachowania spokoju. Może te straszliwe słowa nie były skierowane do niej? Po prostu poczucie, że jest śledzona, które ją prześladowało przez cały tydzień, pobudziło jej wyobraźnię.

Tak czy inaczej niesmaczny epizod przyćmił jej radość. Nieco zgaszona, skierowała się ku centralnej części ogrodu zwanej Gajem, a stamtąd ku Alei Kochanków. Przy odrobinie szczęścia zastanie tam Oswalda. Gorąco na to liczyła. Od ciągłych szlochów Flory zaczęły jej pleśnieć powłoczki na poduszkach.



-Moja droga, cudowna, najmiłsza panno Nash! - Arlekin uniósł do ust dłoń Heleny i wyciskał na nich żarliwe pocałunki.

Wpatrywała się ironicznie w dzwoneczki ozdabiające błazeńską czapkę pochyloną nad jej dłońmi. Oswald Goodwin nie mógł sobie wybrać lepszego przebrania.

-Ogromnie pani dziękuję za przybycie - ciągnął Oswald. - Nie znajduję słów przeprosin za moją niesłowność w zeszłym tygodniu...

Helena uwolniła ręce i bez słowa wyciągnęła spod aksamitnego zakietu list Flory. Pozbyła się go z prawdziwą ulgą: list był tak nasycony perfumami, że noszenie go przyprawiało ją o ból głowy.

Oswald rozpromieniony wziął list, podniósł do nosa i wdychał zapach, mrużąc

oczy w delirium rozkoszy. Helena przyglądała się z niechęcią, jak małżonek Flory łamie pieczęć. Co będzie dalej z Florą i z nim? Nie wątpiła, że jego miłość jest prawdziwa, ale jak głęboka? Czy przetrwa lata rozdzielenia? Biedy? Trudności? Towarzyskiej banicji?

Oswald czytał przez kilka sekund, po czym podniósł wzrok, przyciskając papier do serca.

-Ma się dobrze! - wykrzyknął z egzaltacją.

Helena powstrzymała się od uwagi, że gdyby Flora niedomagala, ona sama nie zjawilaby sie tu, by doręczyć miłosny liścik. Przeczytał jeszcze kilka linijek i znowu przycisnął papier do serca.

-Tęskni za mną!

-Tak mi mówiła - odparła Helena sucho. -1 to nie raz. Jego duże orzechowe oczy wypełniły się łzami.

-Ja też za nią tęsknię.

- Tak, tak - mruknęła Helena niecierpliwie. - Będzie naprawdę wspólnie, kiedy znów będziecie razem. A przy okazji, może wydam się wścibską, ale spytam, co pan robi, by przyspieszyć nadejście tego szczęśliwego dnia?

Ledwie mogła uwierzyć, że mówi do niego w taki sposób. Zwykle bardzo się liczyła ze słowami, nigdy nie była sarkastyczna. Ale, niech to licha! Cudownie było dać ujście irytacji postawą nieszczęśliwych kochanków, niezdolnych zrobić cokolwiek dla własnego dobra. Skoro postanowili wciągnąć ją do spisku, muszą się pogodzić z konsekwencjami.

- Nigdy przedtem pani taka nie była, panno Nash! - Zdumiony Oswald jeszcze raz chwycił jej dłoń i uniósł do swych warg. - Nasz aniele! Ty, która ułatwiłaś nasz radosny związek...

- Nieprawda! - warknęła Helena, wyrrywając rękę. - Ułatwiłam poznanie się, nie związek!

- Skoro woli pani tak to określić. - Oswald wzruszył ramionami. - Cóż, teraz jesteśmy razem i zawdzięczamy to pani.

Przypomnienie o tym było jej równie miłe, jak przypomnienie, że kotka pani Winebarger ma pchły. Spojrzała na Goodwina zza jedwabnej maski.

- Jako naszej dobrodziejce - powiedział - nie możemy pani wyrzucać arogancji. Nigdy! Jesteśmy w pani rękach. Całkowicie i z absolutną ufnością.

Właśnie tego Helena się obawiała. Nie chciała tej roli dla siebie i odmawiała jej przyjęcia. Oswald i Flora powinni byli przynajmniej spróbować znaleźć wyjście ze swej trudnej sytuacji.

- Jestem do głębi poruszona - odparła. - Skoro obciążacie mnie winą za wasze małżeństwo i uważacie, że cokolwiek zrobię, nie uwolnię się od ciężaru obowiązków wynikających z tego oskarżenia, proszę mi powiedzieć, panie Goodwin, co pan zamierza, aby być razem ze swoją małżonką?

Oswald, niegrzeszący bystrością zamrugał zdziwiony.

- Hm... Mam pewien plan.

- Jaki? Rozejrzył

się wkoło.

- Niezawodny plan.

- Świetnie. - Helena uśmiechnęła się zachęcająco. Znowu się rozejrzył, a potem spojrzał na nią i powiedział:

- Przykro mi to mówić, ale wątpię, czy mimo przebrania ktokolwiek wzięł by panią za chłopca. Za dużo w pani tych kuszących krągłości. Proponował bym pani na przyszłość zrezygnowanie z męskiego kostiumu jako zbyt zwracającego uwagę.

Na tę jawną próbę zmiany tematu Helena westchnęła ciężko.

- Sądzę, że ma pan rację - odparła. - Proszę mi wierzyć, że nie wdzieję już więcej tego stroju. A wracając do sprawy, jaki jest pana plan?

- Hm... - Zatarł dłonie. - Zdobyłem pewne informacje, które, jeśli się nimi posłużę we właściwej chwili, pozwolą mi zwielokrotnić małą sumę, o jaką się muszę postarać, tak że urośnie do znaczącego majątku.

Helena wbiła w niego wzrok.

- Błagam, by mnie pan wyprowadził z błędu, bo gotowa jestem przysiąc, że właśnie mi pan oznajmił, że zamierza postawić pieniądze, których jeszcze nie ma, na coś, czego wynik jest tak niepewny, że inni pragną postawić jeszcze większe sumy na wynik dokładnie przeciwny. Niechże pan powie, że to nie o to chodzi.

Zaczął kręcić się niepewnie, aż zadzwoniły dzwoneczki przy jego błazeńskiej czapce.

- Nie mogę.

- Jak pan mógł, panie Goodwin?

- Co mogłem? - Oswald zamrugął, udając niewiniątko.

- Znow uprawiać hazard! - odparła Helena wściekłym szeptem. - Pozwolę sobie zauważyć, że już pan przegrał wszystko, co miał!

Twarz Oswalda oblała się rumieńcem.

- To coś całkiem innego, panno Nash - rzekł z największą powagą. - To jest absolutna pewność.

Załamano rękę.

- Ach, panie Goodwin...

- Proszę, panno Nash - wszedł jej w słowo. - Jeszcze tylko parę tygodni i przysięgam, że będę bogaty jak nabab, na wszystko mnie będzie stać i nawet trochę odłożę. Starczy mi na spłacenie wierzycieli i urządzenie Flory ze wszystkimi cacuzkami i czym tam jeszcze, czego jej serduszko zapagnie!

- Dzięki zakładowi.

- Nie zakładowi. Inwestycji. Inwestycji w bardzo solidne przedsięwzięcie, która pozwoli Floruni i mnie żyć w dostatku przez resztę naszych dni. Przysięgam na mój honor - oświadczył pompatycznie - że potem już nigdy na nic nie postawię pieniędzy.

- No CÓŻ...

- Naprawdę.

- Czy nic nie mogę zrobić, by odwieść pana od pogrążania się głębiej w przepaści, w którą się pan rzucił i do której próbuje pan teraz wciągnąć również Florę?

Skrzywił się, lecz dzielnie wytrzymał jej spojrzenie.

- Bardzo mi przykro, ale nie.
- Ach! - Skrzyżowała ramiona na piersi i obróciła się na pięcie, by nie patrzeć na jego upartą twarz pełną miłosnego cierpienia.
- Panno Nash?
- A kiedy to - wycodziła przez zęby - ma zaowocować ten wspaniały plan?
- Za miesiąc - odparł bez namysłu. - Do tego czasu zgarnę pieniądze, spłacę sumy, jakie jestem winny różnym ludziom - zawahał się - i jeszcze mi mnóstwo zostanie, by zabrać Florę od ciotki i urządzić ją w jej własnym domu. Naszym domu.

Uśmiechał się tak promiennie, że zdała sobie sprawę, iż cokolwiek by powiedziała, nie odwiedzie go od powziętego zamiaru.

- A jeśli przegra pan zakład?
- Nie przegram.
- Ale powiedzmy, że świat przestanie się obracać, niebo zwali się nam na głowy i pan przegra? Co wtedy?
- Wtedy? - Zrobił tak nieszczęśliwą minę, że przez chwilę Helena czuła się jak szubrawiec. - Wtedy nie będę miał innej ucieczki, jak stawić się przed lady Tilpot i poprosić ją o pomoc.
- A ona stanie na głowie, by doprowadzić do unieważnienia tego małżeństwa - stwierdziła Helena z bezwzględłą szczerością.
- Muszę się chwycić tej szansy. - Oswaldowi łzy napłynęły do oczu.

-Nie mogę prosić Flory, by żyła samotnie pod tyranią lady Tilpot, dopóki nie nabędzie praw do swego spadku. Jeśli mój plan zawiedzie, zdam się na jej łaskę...

I skończysz w więzieniu za długi, pomyślała Helena ponuro. A przynajmniej przesiedzisz tam do czasu, gdy za cztery lata Flora będzie cię mogła wykupić. Jeśli, oczywiście, jej uczucie przetrwa tyle czasu. Co nie było zbyt prawdopodobne, skoro wierność Flory przysiędze małżeńskiej nie wytrzymała nawet próby paru pluskiew.

Nie, Helena nie pokładała ufności w przyszłość tej pary. Ale, przypomniała sobie, niewiele może na to poradzić. Jeśli Bóg pozwoli, może ten nowy szalony plan Oswalda przyniesie owoce. Ponoć Bóg czuwa nad dziećmi i głupcami, a zdaniem Heleny Flora i Oswald zaliczali się do obu kategorii.

- Czy przekonałem panią o mej szczerości? - spytał Goodwin.
- Tak - odparła Helena, bo co innego mogła powiedzieć. - Wierzę, że jest pan szczery.



- I poprzez pani moją decyzję? Flora ma głęboki szacunek dla pani zdania i będzie się czuła o wiele lepiej, jeśli jej napiszę, że mam pani pełne błogosławieństwo.

„Pełne błogosławieństwo” nie było z pewnością określeniem, z którym Helena by się zgadzała, uznała jednak, że wszystko, co może pomóc młodej parze wybrnąć z trudnej sytuacji, jest godne polecenia.

- Przypuszczam...

- Och!

- Co się stało? - spytała Helena, okręcając się w miejscu. W połowie długości ścieżki od miejsca, gdzie stali, zatrzymało się dwóch mężczyzn w zakonnych habitach. Nawet z tej odległości i przy tak słabym oświetleniu dało się zauważyć ich wyraźne zainteresowanie Oswaldem.

- Ja... muszę iść! - oświadczył, cofając się chyłkiem. Mężczyźni na ścieżce znieruchomieli jak psy, które złapały trop. - Przyślę wiadomość przez London Post, gdzie się spotkamy następnym razem.

- Jakim następnym razem? Nie będzie następnego...

- Szukajcie ogłoszeń od arlekina - przerwał jej. - I niech pani pamięta, nie w stroju chłopca! Suknia. Różowa suknia! - krzyknął i rzucił się do ucieczki.

Mężczyźni rzucili się w pościg, mijając Helenę szalonym pędem. Minutę później była sama na ścieżce, a odgłos oddalających się kroków rozlegał się daleko w ciemności.

- Wstrętni egzekutorzy - burknęła. Nie zdążyła odebrać bezcennego listu miłosego Oswalda do Flory, będzie więc musiała poszukać Oswalda w następnym tygodniu albo zaryzykować całkowite zniszczenie swego umeblowania potokami łez Flory. I gdzie, na litość boską, ma znaleźć różową suknię?

Może, zastanawiała się, idąc mroczną alejką, podrobi list miłosny od Oswalda, tak by zadowolił Florę. Co się pisze w liście miłosnym? „Najdroższa, nie mogę się doczekać, kiedy znowu Cię zobaczę”.

Zmarszczywszy brwi, przystanęła przed barierką oddzielającą alejkę od imitacji greckich ruin. To do niczego. Za grzeczne. Spróbowała jeszcze raz.

„Moje kochanie, zeszłej nocy śniłem, że wpatruję się w Twe oczy...”

Nie, nie, po trzykroć nie. Musi postawić się na miejscu kochanka, spróbować sobie wyobrazić, co on by napisał...

„Mój Grzechu, Mój Występku, Moja Rozkoszy!”

Jakże żarliwie pragnę Cię ujrzeć. Jak rozpaczliwie się boję, że już więcej Cię nie zobaczę. Śnię o Tobie i budzę się samotnie ze wspomnieniem Twych

błyszczących oczu i promiennego uśmiechu. Rodzą się we mnie rozpustne uczucia, o jakie trudno by mi się było podejrzewać. Ale nie czuję skruchy. Tęsknię za Twym dotknięciem, Twym pocałunkiem..."

- Witaj, Corie.

*7. Szukanie tempa - szermierka na słowa:  
wysuwanie i cofanie kling na przemian  
przez przeciwników*

Nie za bardzo oddany ten pani amant.

Helena zakręciła się w miejscu, wpadając tyłem na barierkę. Ramsey Munro kroczył ku niej jak zjawą wynurzająca się z mroku w magicznej godzinie między dniem a nocą. Dziś też ubrany w tradycyjnym stylu, któremu, jak zauważyła, hołdował, ze złotą różą wpiętą pod szyją jako jedynym żywszym akcentem. Oczy miał łagodne i promienne, uśmiech lekko drwiący. Dreszcz strachu w żyłach Heleny działał jak narkotyk, przesywający i niepokojąco przyjemny.

- I to był ten wychwalany żonaty mężczyzna?

- Tak - odparła, z trudem łapiąc oddech. Musi pamiętać, żeby mówić zmienionym głosem. Jej normalny akcent mógłby coś poruszyć w pamięci Ramseya Munro. W Londynie spotykało się niewiele kobiet z Yorkshire.

Pokręcił głową.

- Niezbyt imponujący osobnik. Mimo tego żarliwego całowania rączek.

- Tak pan uważa? - spytała, próbując odzyskać równowagę.

- Tak.. Brak mu ogłady.

Zatrzymał się tuż przy niej, o wiele za blisko. Prawie czuła drgające powietrze między nimi, magnetyzm, który ją przyciągał.

- Może jego ogłada nie jest dla mnie taka ważna.

- Nie pomyślałem o tym.

- Może potrzebuję tylko niewolniczego oddania - podpowiedziała figlar-  
nie, wchodząc w nieznaną, lecz fascynującą rolę.

Uśmiechnął się.

- Ach, rozumiem. Pragnie pani służalczości.

- O, nie - odparła bez zająknięcia, z rosnącą pewnością siebie w miarę rozwijania się konwersacji. - To by oznaczało fałszywość. Chcę być uwielbiana najzupełniej szczerze.

- Cóż - odrzekł - z pewnością znajdzie pani szczerotę wśród młodych ludzi. To jedna z zalet, którą posiadają w obfitości i upierają się rozdzielać bez umiaru.

- Mówi pan z uprzywilejowanej pozycji sędziwego starca.

- Są różne sposoby liczenia lat - odparł. - Doświadczenie jest jednym z kryteriów, a pod tym względem usurpuję sobie pozycję osoby doprawdy wiekowej. Skoro tak się rzeczy mają - ciągnął, odstępując o krok i od niechcenia kładąc dłoń na barierce - proszę mi powiedzieć, jakim sposobem ten młodzieniec o gładkiej buzi zdołał zdobyć uczucia niejednej, lecz dwóch dam? Poślubić jedną dziewczynę, a potem uwieść drugą, mając... no ile? Dwadzieścia? Dwadzieścia jeden lat? Przyznaję, że ciekawość mnie żżera.

Nie chciała rozbudzać jego zainteresowania Oswaldem. A to znaczyło, że musi zmienić temat.

- Po pierwsze - odparła gładko - przyjmuje pan, że to on był uwodzicielem.

Tak. To go zaskoczyło.

- A po drugie - ciągnęła - nie dla każdego doświadczenie jest tak pociągające jak, powiedzmy, żywiołowa energia. - Uśmiechnęła się, a on odpowiedział uśmiechem.

Wielkie nieba, to upajające! Wprawiała ją w euforię ich szermierka słowna, jak gdyby zadawali pchnięcia, odparowywali je i robili uniki.

- Pani - powiedział niskim, głębokim głosem - nie dałoby mi spokoju, gdybyś zwątpiła w mój wigor. Broniąc honoru wszystkich niedocenianych mężczyzn na świecie, jak mam cię przekonać, byś poddała mnie próbie?

- Gdyby miał pan wizję tego, co zaproponowałabym jako próbę - odrzekła słodko - to obawiam się, że już pan przegrał.

- Śmiałe słowa, ale łatwo o takie, chowając się bezpiecznie pod maską.

Sięgnął po trudny do odparcia pokrętny argument. A jednak dojrzała cień prawdziwej natury mężczyzny, który posiadał tę idealną harmonię cielesną. Miała pewną wiedzę o maskach, jakie nakłada piękność.

- Mówi pan z doświadczenia.

- Jak to? - Uniósł dłoń, zachęcając do wyjaśnienia. - To pani się ukrywa. Ja jestem, jak pani widzi, bez maski.

- Doprawdy?

Wybuchnął śmiechem.

- Jesteś cudownie nieprzewidywalna, dziewczyno. Gdyby twój nadgarstek i praca nóg dorównywały zręczności umysłu, byłabyś znakomitym szermierzem.

- Może pewnego dnia przyjdę do pana na lekcję - zaproponowała. - Pouchę chłopców szermierki słownej.

Jego oczy rozbłysły.

- Gdyby pojawiła się pani w swym obecnym stroju, gra byłaby bardziej fizyczna niż słowna.

Zapomniała, że nosi chłopięce ubranie: spodnie i lnianą koszulę, biały jedwabny krawat i aksamitny surducik, a jej włosy przykrywa miękki staromodny kapelusz. Patrzyła, jak uśmiech rozjaśnia jego twarz: jedna część pięknie ukształtowanych ust wygięła się leniwie, chwilę wcześniej, niż druga poszła w jej ślady. Od tego olśniewającego krzywego uśmiechu serce zatrzepotało jej w piersi i poczuła uderzenie gorąca na szyi.

- Z pewnością pana uczniowie nie są takimi brutalami - odparła.

- To nie uczniów miałem na myśli. - Odsunął się od barierki i stanął tuż przed nią, zamykając jej drogę, tak że nie mogła go wyminąć.

Gorąco eksplodowało z całą mocą na jej policzki. Spróbowała wymknąć się bokiem, a on ją przepuścił. Pomyślała, że stroi sobie żarty. Nie chciała, by Ramsey Munro się z niej śmiał.

- To była ciekawa rozmowa, ale powinnam już pójść. Najpierw... - Sięgnęła do górnego guzika aksamitnego surduta, rozpięła go i z satysfakcją spostrzegła, że ciemna brew Ramseya unosi się w wyrazie zdziwienia. Trafiony! - Byłam panu winna sto funtów.

- Słucham?

Chociaż nie spodziewała się spotkać go drugi raz, była przygotowana na taką ewentualność. Odwróciła się i rozluźniła pod szyją sznurowanie lnianej bluzy. Czowała na sobie jego spojrzenie, gdy zanurzyła dłoń pod miękki materiał i wyjęła spomiędzy piersi małą paczuszkę złożonych banknotów. Obróciła się z powrotem ku niemu, podając paczuszkę na wyciągniętej dłoni.

- Chyba nie oczekuje pani, że wezmę od niej pieniądze? - spytał, bardziej rozbawiony niż urażony.

- Przeciwnie. Dlaczego nie?

- Dlaczego nie? - Obrzucił ją niezgłębionym spojrzeniem. - Powiedzmy, że mimo niezliczonych i uzasadnionych sprzeciwów lubię utrzymywać iluzję, chociażby tylko wobec siebie, że jestem dżentelmenem.

- Pan radośnie pozbył się pieniędzy, by chronić moją tożsamość. Mam zatem dług wobec pana. Proszę mi pozwolić go spłacić. - Przycisnęła pieniądze do jego torsu. Nawet nie rzucił na nie okiem.

- Uczciwość każe mi powiedzieć, że nie przypominam sobie, abym był wtedy choć trochę radosny. Myślę, że nie doceniasz niebezpieczeństwa, w jakim się znalazłaś, dziewczyno.

Delikatna serdeczność zawarta w tym zwrocie poruszyła jej zmysły.

- Może ma pan rację.

Jeszcze raz czarna brew uniosła się pytająco.

- Przecież - wyjaśniła - zostałam tu z panem. A biorąc pod uwagę pańską reputację, to dość ryzykowne, prawda? Proszę powiedzieć - przekrzywiła głowę - czy powinnam się bać?

Zmniejszył i tak niewielką odległość, jaka ich dzieliła, i pochylił się nad nią. Znowu się cofnęła, ale tym razem postępował za nią, dopóki barierka nie naparła na jej biodra. Schylił się, a jego piękna twarz Lucyfera znalazła się tak blisko, że wyczuła słaby zapach brandy w jego oddechu.

- To właśnie - mruknął - jest pytanie, które sobie zadaję.

Zabrakło jej tchu i opuściła pięść przyciskającą banknoty do jego piersi. Ciemność zapadająca wokół nich zrobiła się nagle cieplejsza i bardziej intymna, a jego mroczna piękność zaczęła się wydawać niebezpieczna. Może nawet zabójcza...

- Nie.

- Nie? - powtórzyła cicho, czując strach pomieszany z grzesznie przyjemnym podnieceniem.

- Nie, nie ma pani powodu się bać - powiedział. Nachmurzył się i odsunął od niej. - W końcu pani wie coś o mnie, tymczasem ja nic nie wiem o pani. Oczywiście, że to pani ma przewagę.

Miał rację i wołała, by tak zostało między nimi. Nie chciała, aby wiedział, że jest Heleną Nash: nieśmiałym, ładnym manekinem, płacną towarzyszką najbardziej złośliwej z arystokratycznych matron. Nie chciała, aby wiedział, bo on nigdy by nie ścierpiał takiego traktowania.

A ona je znosiła.

- To - powiedziała - dopiero się okaże.

- Jesteś niezwykle spostrzegawcza, kochanie.

- I głupia? - szepnęła bardzo cicho.

Ale usłyszał jej słowa. Szelmowski uśmiech wygiął jego idealne wargi.

- Odpowiadając twymi słowami, moja droga, to dopiero się okaże.

Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek doznała uczucia, że żyje całą pełnią tutaj, w tej chwili, jak gdyby jej całe jestestwo skoncentrowało się na tym jednym momencie. Była w pełni świadoma każdego szczegółu otoczenia: ciepłego, pachnącego i wilgotnego powietrza wionącego znad Tamizy, żwiru

pod cienką skórą podeszew, szelestu liści nad głową i cichego szmeru dalekich głosów.

- Proszę wziąć pieniądze. Kobieta też ma swój kodeks honorowy. - Po dała mu banknoty.

Przez długą chwilę wpatrywał się w nią, a potem wyciągnął rękę. Nim zdołała zareagować, lekko ścisnął ją za ramiona i obrócił twarzą ku jasno oświetlonemu wylotowi ścieżki.

- Myślę, że pora, by pani wróciła do domu.

Nie chciała wracać. Nie spieszo jej było stać się na powrót milczącym, ładnym popychłem lady Tilpot.

- Myślę, że zostanę jeszcze trochę.

- Nie uważam, żeby to był dobry pomysł.

- To ostrzeżenie czy groźba? - spytała, spoglądając mu w oczy.

Munro się roześmiał.

- Och, dziewczyno droga, gdybym był dla ciebie groźbą, nie musiałbym cię o tym zawiadamiać. I tak byś wiedziała.

Oczywiście miał rację. Mógł z nią zrobić, co chciał, i nie wątpiła, że przyszłoby mu to bez wysiłku. Był jak hartowane ostrze, eleganckie, ale zabójcze. Jak jego rapier, Ramsey Munro sam był pięknym narzędziem zniszczenia. Ale tkwił w tym jego niezaprzeczalny urok. Nie przypominał żadnej ze znanych jej osób, ostrze brzytwy oddzielało w nim uprzejmego do przesady dżentelmena od samowolnego Szkota. Kim był naprawdę?

- Wiesz, co myślę? - Wygiął w uśmiechu swoje usta upadłego anioła. Półmrok przydał łagodności jego ostrym rysom. Światło księżyca połyskiwało w granatowoczarnej miękkości jego kędziorów i jarzyło się w ciemnej patynie złotej róży wpiętej pod szyją. -- Myślę, że jesteś damą. Damą, która nigdy przedtem nie stąpała po tych ścieżkach ani innych im podobnych. Bystrą i rozumną, trochę za dojrzałą na nieostrożność, trochę za młodą na ostrożność.

To było o wiele gorsze od wszystkiego, czego się mogła spodziewać. Jakby czytał w jej duszy. Skąd on to może wiedzieć?

- I nie zgadzam się zostawić cię samej, na łaskę czegokolwiek czy kogo kolwiek, na co możesz się tu natknąć.

Czekała.

- Mam więc propozycję - ciągnął - która zadowoli nas oboje i zaspokoi mój nieoczekiwany odruch rycerskości. - Jego głos miał w sobie ciepło letniej nocy. - Wezmę twoje sto funtów, jeśli pozwolisz mi być twą eskortą na ten wieczór.

Wlepiała w niego wzrok zafascynowana, ledwie opierając się pokusie. Wykonał ruch, jakby miał dotknąć jej policzka, ale nagle pozwolił ręce opaść. Cała pieszczota zawarła się w jego głosie.

- Chodź, dziewczyno - mówił. - Pozwól pokazać ci rzeczy, jakich nigdy nie widziałaś. Zaprowadzić cię w miejsca, w jakich nigdy nie byłaś. Te ogrody to brama do świata, którego nie potrafisz sobie wyobrazić.

Żadne słowa ani obietnice nie mogły być bardziej kuszące. Miała za sobą prawie cztery lata milczącej cierpliwości, godziny niewysłowionej przygniatającej nudy, przymusu słuchania tych samych okropnych rozmów stosownych dla uszu dziewicy. Chciała czegoś więcej. Chciała radości płynącej z przyglądania się, jak mężczyzna - ten, nie żaden inny - reaguje na jej słowa, a nie na piękną twarz. Chciała patrzeć na świat jego oczyma. Zacząć żyć, zamiast, jak przez tyle lat, trwać w uśpieniu.

Jakby na zawołanie śmiech pomieszany z muzyką przyplął gdzieś z końca alejki, śpiew pełen nieposkromionej wesołości. Pragnęła stać się częścią tej uciechy, dać się porwać wrzawie i ściskowi gorących ciał, unieść prądowi triumfującej natury ludzkiej.

- Tak - szepnęła, nim zdała sobie sprawę, że wymawia to słowo.

Nie odrywając oczu od jej twarzy, Ramsey Munro otoczył długimi palcami jej dłoń, wciąż trzymającą banknoty, i uniósłszy do ust, pocałował. Gorąco przeniknęło ją do głębi, kolana jej osłabły, a kiedy opuszczała drżącą rękę, pieniądze zniknęły. Spojrzała mu w oczy i zrozumiała. Dokładnie odczytała jej reakcję na niego: taką samą jak każdej innej kobiety.

Cóż, choćby tak było, czeka go rozczerwanie, jeśli myśli, że ona się temu podda. Nie stanie się jedną z jego byłych kochanek, od których „roi się” w Londynie.

- Zanim zaczniemy - rzekła - muszę postawić jedną rzecz całkowicie jasno.

Pytając skłonił głowę.

- Nie pozwalam panu mnie dotykać, całować mojej dłoni ani żadnym sposobem mi się narzucać.

Udał, że jest wstrząśnięty.

- Ależ nigdy bym nie śmiał się pani narzucać.

- Wie pan, co mam na myśli.

- Doprawdy? - Uśmiechnął się bezczelnie nieprzyzwoicie.

- Tak.

- Więc dobrze. - Położył dłoń na sercu. - Przysięgam, że pani nie tknę, jeśli sama pani nie zapragnie, bym to zrobił. Nawet żeby pomóc pani wsiąść

do powozu. Ale może mogłaby pani ustąpić w kwestii przyjęcia mego ramienia, gdy będziemy szli? Dla zaspokojenia mej próżności? Zerknęła na niego podejrzliwie.

- Byłbym niepokojony, gdyby zaczęto rozpowiadać, że Ram Munro drep-  
tał cały wieczór krok w krok za śliczną młodą kobietą która nie mogła ścier-  
pieć dotknięcia jego przyzwoicie odzianego ramienia. To byłoby wielce po-  
niżające.

- Dobrze - zgodziła się. - Ale skąd pan wie, że jestem śliczna i młoda?  
Równie dobrze mogę być harpią pod tą maską.

Wpił się w nią spojrzeniem, a jego oczy rozjarzyły się pożądliwością.

- Cóż, kochanie -jego szkocki akcent stawał się wyraźniejszy w miarę,  
jak głos się zniżał - szyję masz długą i białą jak łabędź, wargi, o czym się  
przekonałem, miękkie jak aksamit, a nawet spod maski kolor twych oczu  
prześwieca takim błękitem, że poranne niebo zapłakałoby z zawiści. Jeśli  
tak miałaby wyglądać harpia - zakończył, ujmując jej dłoń - to składam  
modły dziękczynne, że niebo cię zesłało, by mnie nękać.



Schowany za żywopłotem Forrester DeMarc zmuszał się, by nie odwracać  
wzroku. Nawet nie drgnął, gdy Ramsey Munro pocałował opuszki palców  
Heleny, odbierając od niej złożone banknoty, które wetknął w kamizelkę.  
Stał nieruchomo, chociaż twarz paliła go jak ogniem, a świszczący oddech z  
trudem wydobywał się ze ściśniętej piersi.

Helena. Jego Helena. Jego jasnowłosy anioł, delikatna królewna z bajki,  
daje pieniądze tej rozwiązłej kreaturze. Żołądek mu się wywracał, więc cofnął  
się o krok i zamknął oczy, by wymazać widok, który ujrzał. Ale nie mógł  
wymazać jej obrazu, jej miękkich i pełnych warg lekko rozchylonych pod  
brzegiem czarnej maski, błysku szeroko otwartych oczu, dreszczu podniece-  
nia przenoszącego się w przestrzeni, jaka ich rozdzielała.

A ten Munro! Patrzy na nią jak wilk. Głodny wilk. Ta jego nienasycona  
żądza jest wprost namacalna. DeMarc czuł się chory na samą myśl, że Hele-  
na jest obiektem takiej chuci. O nie, nie zamierza tego tolerować.

Ona jest jego.

Dwa miesiące temu przyszedł do salonu lady Tilpot znudzony i niecieka-  
wy towarzystwa. Najpierw zauważył piękność Heleny, którą każdy mężczy-  
zna musiał zauważyć: gładką mleczną cerę, idealne patrycjuszowskie rysy,



lśniące włosy w kolorze lnu, spokojne niebieskie oczy obramowane rzęsami w kolorze miodu. Ale świat jest pełen piękności, aroganckich istot pewnych swej władzy nad żalonymi głupcami, którzy rzucają się do ich stóp. Takich jak Sara Sweet.

Tamta historia zdarzyła się całe lata temu, uprzytomnił sobie, a on był wtedy młody i idealistycznie nastrojony. Już nie jest taki naiwny.

Nie, to dopiero usta Heleny uświadomiły mu, że natknął się na coś innego, coś niepowtarzalnego. Były delikatne i spokojne, zdradzające słodką bezradność, jakiej Sara nigdy nie miała. Jednocześnie inni zwrócili mu uwagę na to, co dla niego od razu było oczywiste: Helena Nash jest nim urzeczona.

Nie tylko uśmiechała się do niego. Ona uśmiechała się z jego powodu. Był pewien, że uznała istnienie głębokiej więzi między nimi. Od tamtej chwili należy do niego.

Wystarczyłoby mu kiwnąć palcem, by ją mieć. Ale co dalej? Co z niej uczynić? Chociaż stoi towarzysko dużo niżej od niego, to nie aż tak nisko, by mógł bez reperkusji wziąć ją na kochankę, jak to zrobił z Sarą Sweet. Czekał więc, żeby sama zdecydowała, co począć w jej sprawie.

A teraz ta... zdrada.

Zamknął oczy, czując w ustach gorycz żółci.

Wcześniej tego wieczoru, gdy wrócił do domu lady Tilpot po tabakierkę, którą zostawił, zastał tam wielbego Tawstera próbującego się uwolnić od zaborczej pani domu. Wyszedł razem z lizusowatym pastorzyną. Przez pewien czas duchowny przetrzymywał go na frontowych schodach, wychwalał przymioty Heleny Nash - jak gdyby DeMarc od dawna ich nie znał. Nagle Tawster znieruchomiał wpatrzony gdzieś w bok.

- To nie może być... - Wielebny pokręcił głową. - Przywidziało mi się.

- Co takiego, pastarze? - spytał wicehrabia, ciekaw, kto przyciągnął uwagę duchownego. Dostrzegł szczupłego chłopca w pelerynie wychodzącego z alejki za domem lady Tilpot. W jego ruchach było coś znajomego. - Kto to taki?

- Nie wiem, zdawało mi się, że widziałem jej twarz...

- Jej?

Pastor uśmiechnął się przepaszająco.

- No właśnie. Oczywiście to nie kobieta. Dlaczego kobieta miałaby się ubierać jak chłopiec? Zwłaszcza że...

- Zwłaszcza że co?

Pastor unikał wzroku DeMarca.

- Naprawdę muszę już iść. Już jestem spóźniony na wieczorne nabożeństwo. Liczę, że się spotkamy niezadługo. Do widzenia! - To powiedziaw-

szy, oddalił się truchcikiem, z niepokojem załamując dłonie w rękawiczkach z kozłej skóry.

DeMarc nie zaprzętał sobie nim uwagi. Był pochłonięty pragnieniem dowiedzenia się, kogo pastor rozpoznał w chłopięcej postaci. Ruszył w ślad za wątlą figurką, wydawszy instrukcję woźnicy, by śledził dwukołową dorożkę wynajętą przez tamtą kobietę.

I oto w ogrodzie Vauxhall, w jaskrawym świetle kulistych lamp odkrył, kogo zobaczył pastor: Helenę Nash.

Wściekłość DeMarca mieszała się z poczuciem, że został zdradzony. To niesłychane, żeby ona szukała takich niskich rozrywek! Ubrana tak niestosownie - ba! Skandalicznie. Ale znacznie gorsze było to, że mogła zapomnieć choć na chwilę o swych obowiązkach względem niego. To było niewyobrażalne! Nie do zniesienia.

Zaczął ją śledzić, trzymając się daleko z tyłu, a kiedy skręciła w cieszącą się złą sławą Aleję Kochanków i spotkała się z młodym mężczyzną, żółć wezbrała mu w gardle. Potem, gdy Helena odesłała młodzieńca precz, sądził, że wróci do domu.

Nie wróciła.

Pojawił się on. Jego partner od szpady. Jego instruktor. Jego... jak ta głupia Prusaczka miała czelność go określić? Jego mistrz. Ramsey Munro.

Przyszedł, ona rozkwitła w jego obecności jak jakiś haniebnie dojrzały kwiat, a Munro... wprost dygotał z żądz.

DeMarc otworzył oczy. Helena i Munro odeszli.

Ale on wie, gdzie jej szukać. Tak jak wie, co zrobić, by przypomnieć jej, do kogo należy.

## *8. Atak: pokonywanie*

### *natarciem zasłony przeciwnika*

Ramsey Munro poprowadził Helenę Aleję Kochanków do skrzyżowania z inną ścieżką zwaną Alejką Druidów od, jak ją poinformował, licznych kokietyjnie upozowanych i chytrze oświetlonych posągów wśród zieleni. Stamtąd wkroczyli na szeroką, jaskrawo oświetloną Wielką Promenadę.

Atmosfera intymności ustąpiła radosnemu nastrojowi zabawy. Mała skakała z ramienia swego tresera, by wykradać pióra z fryzur dam i oddawać im je z ukłonem, gdy ten podsuwał cynową miseczkę po monetę. Żonglerzy mieszały się z tłumem, sprzedawcy ciastek i przekąsek toczyli wózki alejkami, a chłopcy uginający się pod wielkimi pojemnikami arakowego ponczu przytroczonymi do pleców sprzedawali kubek za szylinga.

Helena chłonęła to wszystko: kolory, dźwięki, zapachy czosnku, perfum i świeżego pieczywa zmieszane ze słonym fetorem unoszącym się nad Tamizy. Ludzie, niektórzy w bogatych kostiumach, inni okryci tanimi maskaradowymi płaszczami, przechadzali się, śmiejąc się i żartując, słuchając muzykantów, oglądając pokazy mimów i przystając, by przyjrzeć się wyszukanym dioramom.

Helena nie mogła nie zauważyć, że wiele kobiet otwarcie przygląda się Ramseyowi Munro. Ale przyciągał uwagę nie tylko dam. Zdarzało się, że dżentelmeni klepali go po plecach z przesadną wylewnością. Jego zażenowanie taką poufalością było oczywiste, lecz odpowiadał na nią grzecznym pozdrowieniem. Co dziwne, jego tolerancja wobec ludzkiej natarczywości nie przenosiła się na Helenę. Ilekroć ktoś podchodził ku nim, wysuwał się przed nią, dyskretnie osłaniając ją od ciekawych spojrzeń.

- To uczeń? - spytała Helena przy kolejnym takim spotkaniu.

- Kandydat na ucznia.

- Jest pan wielce poważany.

- Jestem ostatnio w modzie - odparł, spoglądając na nią obojętnie, jednak nie mogła pozbyć się wrażenia czujnej uwagi czającej się za jego rezerwą. - Zajmuję szczególną pozycję w towarzystwie. Żyję z łaski lepszych ode mnie i jestem na ich usługi. Co, jak sądzę - skrzywił się - jest o niebo lepsze niż w ogóle nie żyć.

- Uczy pan fechtunku. To przecież nie jest gięcie się w ukłonach.

- Nie zawsze ukłon polega na zgięciu się w pasie. - Podał jej muskularne ramię, a ona położyła na nim dłoń i ruszyli dalej. - Jestem uważany za coś więcej niż służącego, a mniej niż ich krawca.

- Nie sądzę - zaprotestowała. - Ci dżentelmeni nigdy nie witaliby się z krawcem z takim entuzjazmem.

- Myśli pani, że nie? Może i racja. Posiadam umiejętność, za której nauce płacami niezgorzej. Ponieważ nie jest to umiejętność czyniąca kogoś bardziej pożytecznym ani nawet lepiej wyglądającym, tak jak zdolności krawca, towarzystwo, kierując się kaprysami, z których jest znane, uważa ją za bardziej romantyczną niż inne praktyczne usługi. A tym samym moją skromną

osobę za bardziej godną ich zainteresowania. „Kto to jest?” - pytają. „Gdzie się nauczył wypatroszyć człowieka dwoma ruchami? Jakie to bestialskie! Czy ja też mógłbym się tego nauczyć?”

Tak przedstawione, to naprawdę wydawało się absurdalne. Ale jego słowa nasuwały setki pytań. Gdzie Ramsey Munro był przez ostatnie cztery lata? Co robił przedtem, przed uwięzieniem we Francji? Kim był pięć lat temu? Dziesięć? Kim jest Ramsey Munro?

- Mężczyźni są w głębi duszy krwiożerczymi bestiami - mówił dalej, prowadząc ją z taką swobodą, jak gdyby przechadzali się po Hyde Parku po niedzielnym nabożeństwie - zafascynowanymi siłą i tymi, którzy potrafią ją okiełznać dla swych celów. Proszę powiedzieć, czy nie uważa pani za fanfaronadę, że ja jestem zapraszany na salony, a nauczyciel albo guwernantka, którzy sprawują pieczę nad charakterem ich potomstwa, nie mają prawa prze  
stąpić ich progu?

Przystanął przed ozdobnie przyciętym kwitnącym krzewem.

- Och, nie każde drzwi salonu otwierają się przede mną. - Posłał jej przełotny uśmiech. - Niektórzy utrzymują standardy.

- Mówi pan, jakby gardził sztuką, której uczy.

- Nie. Ani trochę - odparł, poważniejąc. - Tylko że mnie uczono szermierki jako dyscypliny, nie jako rozrywki.

- Dyscypliny?

- Tak. Sprawności umysłu znajdującej wyraz fizyczny, precyzji i instynktu doskonalonych przez długie lata przed zespoleniem ich z wyobraźnią. Nie dostałem szpady do ręki, dopóki nie opanowałem podstawowej pracy nóg. Zajęło mi to rok, a byłem zdolnym uczniem. Gdybym miał wolną rękę -ciągnął - uczyłbym w taki sam sposób. Ćwiczył sprawność moich uczniów, tak jak moi mistrzowie ostrzyli klingi. Ale nie mam czasu. Nie mam... -urwał, przepaszając ją krótkim, smutnym uśmiechem, po czym odwrócił od niej wzrok i znowu zamknął się w sobie. - Do licha! Nieprawdopodobne, ale przysięgam, że zaczynam nudzić samego siebie! Moje uznanie dla pani zdolności przechadzania się w uśpieniu. Doprawdy nie mogę pojąć, jak mogłaś nie usnąć podczas mego samochwalczego kazania.

- Przeciwnie, zafascynowało mnie.

- Naprawdę? - spytał, przybierając pozę rozbawionego, chłodnego i niewrażliwego. - Przebóg, moja droga, musi pani częściej się wymykać. Czy możemy kontynuować?

Starął się ją oczarować, żartobliwy, drwiący i odrobinę złośliwy w swych spostrzeżeniach. Prowadził ją od jednej rozrywki do drugiej, kupował wstążki

i kwiaty z jedwabiu do przypinania do rękawów, raczył ją wyborym arakowym ponczem i małutkimi lukrowanymi ciasteczkami, a raz przystanął pod ogromnym bukiem, by posłuchali kwartetu smyczkowego grającego sonatę Haendla. Krótko mówiąc, robił dokładnie to, co obiecał. Pokazywał Helenie nieznaną świat i dawał odczuć, że nie można jej się oprzeć.

Na szczęście już wcześniej doświadczyła, jak to jest być podziwianą, więc nie będzie próbować się w tym czegoś dopatrywać. Nie zawróci jej w głowie zaangażowanie, z jakim Munro okazywał jej względy. Nie da mu się oczarować. Ramsey Munro jest biegły w budzeniu w damach przekonania, że są pociągające i interesujące. Czy to nie jest chleb powszedni hulaki?

Aleja przywiodła ich ku ustawionym łukami altankom restauracyjnym, gdzie towarzystwo w maskach zaczynało hałaśliwy wiejski taniec. Helena zaczęła przytupywać w rytmie wybijanym przez werbel, gdy nagle poczuła lekki dreszcz pełznący w górę kręgosłupa. Rozejrzała się, nie mogąc się otrząsnąć z przykrego uczucia, że śledzą ją wrogie oczy, ale nikogo nie zauważyła. Spojrzała na Ramseya.

- Widzi pani tamtą damę? - spytał, wskazując kiwnięciem głowy dorodną indiańską księżniczkę wirującą w ramionach młodego żeglarza.

- Tak.

- To znana markiza, która ostatnio została babką. Jej reputacja jest nieskazitelna, a pozycja towarzyska ze wszech miar imponująca. A jednak jest tutaj, bawi się całą duszą wszystko dlatego, że może zachować anonimowość, tak jak... -jego wzrok ześliznął się ku jej twarzy - ...jak pani.

Helena przyglądała się zdyszanej kobiecie osuwającej się ze śmiechem w ramiona swego żeglarza.

- Kim jest ten żeglarz?

- Żeglarzem. - Uśmiechnął się na jej sceptyczne spojrzenie. - Naprawdę. Jest podporucznikiem Marynarki Jego Królewskiej Mości. Rozmawiałem z nim wcześniej. Jego okręt w zeszłym tygodniu wrócił z Egiptu.

- Ale jeśli ona jest wielką damą, to czy rozsądnie robi, przychodząc tutaj?

- Rozsądnie? Może nie. Ale pewnie czuje, że gra jest warta świeczki. Wróci dziś do domu zadowolona, a jutro będzie może trochę radośniejsza po tym, jak sobie przypomniała młode beztrudne lata. I to, jak się tańczy wiejskie tańce.

Podniosła na niego oczy. Jego uśmiech wydał jej się ujmujący i całkiem szczery.

- A młody porucznik - ciągnął Munro - pewnego dnia opowie swym dzieciom, że kiedyś przez parę radosnych chwil trzymał w ramionach markizę

i doprowadził ją do śmiechu. Nie - mówił cicho, w zamyśleniu - może nie jest rozsądna. Ale pewnych rzeczy trudno się wyrzec, choćby były bardzo nierozsądne. Objął wzrokiem jej skrytą za maską twarz.

- Pani zawsze jest rozsądna?

Chciała mu powiedzieć, że nie, nie zawsze, i że chce - i to bardzo! - być nierozsądna. Ale przecież on o niej nic nie wie, oprócz tego, że jest damą, i jedyny wniosek, jaki może wyciągnąć z jego zainteresowania, to że stanowi dla niego wyzwanie. Smutno pokręciła głową, żałując nie tego, że Munro dla zabawy próbuje ją uwodzić, lecz tego, że jest na tyle rozsądna, by zdawać sobie z tego sprawę.

- Tak. Zawsze jestem rozsądna.

- Obawiałem się, że pani to powie. - Przez chwilę ostentacyjnie przyglądał się tańczącym, a kiedy znów spojrzał na nią, jego czarujący uśmiech wrócił w pełnej krasie. - Dokąd teraz, mała podróżniczko? Gdzieś w pobliżu czatuje pustelnik, który przepowie ci przyszłość za pensa. Pani Bland ma śpiewać swoje sławne ballady w rotundzie, a o dziesiątej zaczynają się fajerwerki.

- Och, nie będę mogła zostać tak długo.

Zmarszczył brwi.

- Dlaczego nie? To jeszcze tylko kwadrans.

Kwadrans? Dobry Boże, jak to możliwe, że zrobiło się tak późno? Flora pewnie odchodzi od zmysłów, czekając na wiadomość od Oswalda. Zapomniała o Florze. I o wszystkim innym.

- Muszę iść. - Zakręciła się w miejscu.

Chwycił ją za rękę.

- Nie.

- Tak - upierała się, pełna poczucia winy. - Muszę. Ktoś na mnie czeka...

Jego dłoń zacisnęła się mocniej.

- Kto? Mężczyzna? - spytał. - Jeszcze jedna przygoda?

- Nie!

- Obiecała mi pani ten wieczór. Zawarliśmy kontrakt. - Był zły. Widać to było po gniewnych błyskach oczu i grymasie ust, mimo że jego twarz pozostawała chłodna, a ton swobodny. - I ja przyjąłem pani warunki. Z powodu pani zapewnienia, że kobieta ma poczucie honoru.

O nie! On nie walczy uczciwie!

- Dotrzymam obietnicy, jeśli pan nalega, ale wołałabym nie być do tego zmuszona, bo sprawię tym ból pewnej osobie. Ona niecierpliwie wyczekuje mego powrotu.

- Ona? - powtórzył. - Spodziewa się pani, że zrzeknę się swego prawa tylko po to, żeby uspokoić jakąś „ją”? - Skrzywił wargi. - Widzę, że jeden wieczór spędzony razem nie dał pani poznać mego charakteru.

A jednak dał.

- Proszę spojrzeć na to rozsądnie - odparła. - Pan mnie nie chce.

- Czyżby? - spytał z lodowatą uprzejmością.

- Chciał pan dostać to, co wytargował, i czuje się pan oszukany.

- Tak pani sądzi?

- Tak. I jeszcze raz proszę, żeby mnie pan zwolnił z umowy.

Obserwował ją spod na pół przymkniętych powiek przez długą chwilę, wreszcie rzekł twardym, niedbałym tonem:

- Jak pani sobie życzy.

- Dziękuję.

W milczeniu poprowadził ją łukowato sklepionym wąskim przejściem do bram ogrodu. Widziała stąd Kensington Lane, gdzie dorożki i powozy stały rzędem, czekając na pasażerów. Munro się zatrzymał.

- Nie będzie pani trudno znaleźć transport - powiedział.

Spłynęła na nią świadomość, że przygoda się kończy. Zawahała się, czując nagle rozżalenie. Obróciła się i spojrzała mu w twarz.

- Do widzenia panu.

- Do widzenia.

Wyciągnęła dłoń, chcąc dać się zapamiętać jako dobrze wychowana miła znajoma, jeśli nie niezdobyta femme fatale, jaką próbowała przed nim grać. Spojrzał na jej rękę z zakłopotaniem.

Chrząknęła.

- Powinien pan ująć moją dłoń i się uklonąć.

- Ach! Dziękuję za pouczenie. Człowiek czasami zapomina, czego się od niego oczekuje.

- Brednie.

Ujął jej dłoń, strzelił obcasami i schylił się nisko nad koniuszkami jej palców, muskając wargami knykcie okryte rękawiczkami. Potem wyprostował się, ale nie puścił ręki.

- Bardzo dobrze, panie Munro - pochwaliła go, postarawszy się przybrać właściwy ton: wyrafinowany, troszkę urażony, odrobinę rozbawiony. -A teraz powinien pan puścić moją dłoń.

- Tak. - Spojrzał jej w twarz. - Tak, oczywiście. Ale gdybym pani nie obiecał... - urwał.

- Czego? - spytała bez tchu.
- Że nie dotknę pani bez jej jasno wyrażonej zgody, to teraz bym panią całował.
- Naprawdę? - Przelknęła ślinę. Niemożliwe, że zdobędzie się na taką bezczelność. Ale dziś wieczór jest zdolna być, czym on tylko zapragnie.

-Zawsze może pan... poprosić.  
 Odpowiedział swoim cudownym szelmowskim, krzywym uśmiechem. Nieznacznie zacisnął palce wokół jej dłoni.

- Niestety, dziewczyno -jego chropawa szkocka wymowa odezwała się całą mocą, głęboka i wibrująca - mam dwie wielkie wady. Po pierwsze, nigdy nie proszę o pozwolenie.

Jej twarz zgasła.

- A po drugie, jestem diabelnie... wielkim... kłamcą.

Jednym szarpnięciem przyciągnął ją do siebie, objął w pasie i uniósł tak, że ich twarze znalazły się na wprost siebie. Ujął ją za tył głowy i nakrył ustami jej usta.

Był to twardy, karzący pocałunek, niczym nieprzypominający jego wcześniejszej leniwej biegłości. Napelniał ją gorącym rozlewającym się w jej ciele. Wargi Ramseya poruszały się władczo na jej ustach, miażdżący uścisk nie zostawiał jej pola na obronę.

A ona się temu poddała. Poddała się jemu.

Z jękiem rozpaczy wyciągnęła ręce, zarzuciła mu na szyję i przywarła do niego, oszołomiona pragnieniem, jakie w niej wzniecił.

- Jezu! - wymruczał niewyraźnie i wciąż trzymając ją nad ziemią, zaczął się cofać w cień arkad, za kolumnę odległego łuku, dopóki ramiona Heleny nie oparły się o ceglana ścianę.

Przygwoździł ją tam, ciasno przywarłszy biodrami do jej bioder, zmuszając ją, by zrozumiała przekaz wysyłany przez twardą męską obecność i rozpoznała własną odpowiedź w gorącu rozlewającym się między jej udami. To było rozpustne. Złe. Obezwładniające. Rozsądek wołał o ostrożność, o powściągliwość, nakazywał, by się cofnęła. By się broniła.

Nie posłuchała. Nie była zdolna.

I rozsądek, nie znalazłszy dla siebie dostępu, ustąpił pola instynktowi, który rozkwitł całą pełnią. Zamknęła oczy i odpowiedziała na jego żarliwe pocałunki. Z własnej woli zaczęła wodzić dłońmi pod jego surdudem i gładzić lnianą koszulę. Przesunęła ręce wzdłuż twardych boków na plecy i w górę płytkim rowkiem kręgosłupa do ciężkich płaszczyzn jego barków.



Zadrzał pod jej dotknięciem.

Z gardłowym jękiem uniósł dłonie, ujął jej twarz i odchyliwszy głowę, przeciągnął palącym pocałunkiem od brody wzdłuż policzka pod ucho.

- Pocałuj mnie - mówił zdławionym szeptem. - Pocałuj, jak gdybyś mnie pragnęła. Daj mi w to uwierzyć.

„Jak gdyby?” Pragnęła go naprawdę. Pożądanie dojrzało w niej jak rzadka orchidea spokojnie czekająca przez lata na ciemną, gorącą, bezksiężycową noc, by rozkwitnąć. On był tą ciemną nocą.

Zanurzyła palce w gęste czarne loki i pociągnęła w dół jego głowę, by spotkać usta. Pocałowała go namiętnie, niecierpliwie, a kiedy jego język wśliznął się między jej wargi, otworzyła usta i spotkała go własnym językiem.

Chciała tego zawsze, od chwili gdy ujrzała go w Alei Kochanków. Pragnęła go od chwili, gdy rozpałił ją pocałunkiem. Wieczorami, w rozpalonych gorączką momentach między snem a jawą, to właśnie wypełniało jej wyobraźnię.

Niejasno zdała sobie sprawę, że on rozplątuje jej sznurowanie pod szyją i rozgarnia lnianą bluzkę. Głaskał miękkie krągłości jej piersi w miejscu, gdzie wymykały się ponad ciasne zabandażowanie. Nachylił głowę i... Boże! Zaparło jej dech od rozkosznego muśnięcia jego ust, szorstkiego draśnięcia kielkującym zarostem delikatnego dziewiczego ciała. Wygięła się w łuk na spotkanie kuszącego doznania i...

Nagle znieruchomiał.

Jego ciało napięło się mocniej, a głowa poderwała w górę i gwałtownym ruchem przechyliła na bok, jak u psa, gdy zwęszy coś niedobrego. Cofnął się ostrożnie i wolno rozluźniał chwyt, póki jej stopy nie dotknęły ziemi. Przytrzymała się go bezradnie, modląc się, by jej teraz nie zostawił, bo nie była zdolna ustać na nogach.

- Panie Munro?

- Ktoś nas śledzi.

Krew uciekła jej z twarzy. Na chwilę ich spojrzenia się spotkały i dostrzegła, że jego usta zmieniły się w wąską linię. Wodził wzrokiem od pustego przejścia prowadzącego na ulicę do przeciwległego, wiodącego do ogrodów. Przez oba portale Helena widziała przechadzających się ludzi niezwracających na nich uwagi. Ale chociaż cień osłaniał ich przed przypadkowym przechodniem, nie mogli się ukryć przed ukrytym obserwatorem.

Ani przez chwilę nie wątpiła w to, co powiedział Munro. Wszak ona też wcześniej tego wieczoru czuła na sobie wrogie spojrzenie.

Wzdrygnęła się, a Ramsey przyciągnął ją ciaśniej ku sobie, osłaniając własnym ciałem. Spuściła oczy i zobaczyła własne piersi wystające nad krępujące więzy, mlecznobiałe wśród brunatnej ciemności. Z tym widokiem czar prysł i wróciło jej poczucie rzeczywistości. Oto stoi w ramionach mężczyzny, który nie zna nawet jej imienia, a jej piersi noszą ślady kłującego męskiego zarostu. Zgodziła się na pocałunki, jakich, jak podejrzewała, niewiele żon ma przyjemność doświadczyć.

Przyjemność.

Zamknęła oczy na to zdradliwe słowo. Jej ciało płonęło chęcią wyrzeczenia się dumy dla rozkoszy. O ile dalej była gotowa się posunąć, idąc za syrenim zewem swego ciała? Dzięki Bogu, nie musiała się przekonać.

Odepchnęła go.

- Muszę iść. Muszę.

Nachylił ku niej głowę i na chwilę utkwiał wzrok w jej twarzy. Potem z przekleństwem na ustach odsunął się i sięgnął dłonią między nich. Skuliła się, przywierając do ściany, ale on tylko zasznurował jej bluzkę, zawiązał gorset z bezwstydną wprawą po czym ujął ją pod łokieć, zawrócił z przejścia i poprowadził na ulicę.

- Nie musi pan...

Jego spojrzenie kazało jej zamilknąć w pół słowa. Zaprowadził ją do powozu i wskazał gestem woźnicy, by został na swym siedzeniu.

- Nie przypuszczam, żeby podała mi pani adres do przekazania woźnicy - powiedział.

Pokręciła głową.

- Nie.

- Może mu pani powiedzieć po drodze. - Szarpnięciem otworzył drzwiczki powozu i wyciągnął z wnętrza rozkładane schodki.

Dała nura do środka, a on zamknął za nią drzwi. Usłyszała, jak woła do woźnicy, by kierował się ku miastu. Chwilę potem powóz oderwał się od krawężnika.

I tak to się skończyło.

Oparła się o brzeg okna i wytknęła głowę na zewnątrz. On stał przy krawężniku w tym samym miejscu, w którym się rozstali. A potem powóz skręcił i Munro zniknął jej z oczu.

Usiadła na popękanej skórzanej tapicerce i dopiero wtedy dojrzała ją pod oknem z przeciwnej strony. Jedną czerwoną różę.

*9. Florentine:  
styl szermierczy, w którym jest używane  
dodatkowe ostrze*

Ramsey zawrócił do ogrodów z zamiarem odnalezienia człowieka, który ich szpiegował. Wciąż czuł na sobie to złe spojrzenie. Myśl, że spoczęło ono również na Helenie, pełzając po niej jak robactwo, napelniła go zimną furią. Szukał przez pół godziny, póki ostatecznie nie pogodził się z faktem, że ktokolwiek to był, zniknął bez śladu.

Pełen niepokoju, nie mając nic więcej do roboty w Vauxhall, postanowił wrócić do White Friars.

Wciąż jeszcze czuł dotyk jej ciała, gibkiego i uległego, jej ust pod swymi ustami. Pożądanie pulsowało w nim tak żywo, jak gdyby wciąż trzymał ją przypartą do ściany. Kto by pomyślał, że osławioną zimną krew Ramseya Munro zburzy zamaskowana kobietka w chłopięcym stroju?

Ale też nikt nie obserwował jej tak nieustrudzenie jak on; nie spędzał całych lat na uczeniu się języka jej opanowania: sposobu, w jaki jej źrenice rozszerzały się z gniewu, łagodnienia jej ust, gdy ją coś rozbawiło, spuszczenia wzroku, gdy chciała ukryć rzucaną w myśli ripostę, której nie śmiała wypowiedzieć. Nikt inny nie ulegał coraz silniejszej fascynacji pozorną zagadką jaką stanowiła, nie zmuszał się do tkwienia z dala od niej na otwarciu nowej wystawy czy na zatłoczonym ulicznym targu, świadomy, że nie wolno mu dopuścić, by zwróciła na niego chłodne niebieskie oczy. Helena nie może wiedzieć, że on ją śledzi i jej strzeże.

Przyspieszył kroku. Do swej sali miał stąd kilka kilometrów, ale wieczór był jeszcze wczesny, a potrzeba aktywności fizycznej - jakiegokolwiek - nagła. W miarę jak zbliżał się ku nabrzeżom, okolica stawała się coraz bardziej obskurna. Domy były coraz mniejsze, sklepy nędzniejsze, szynki podlejsze i liczniejsze, a dobiegające z nich głosy bardziej hałaśliwe.

Ramsey niewiele uwagi poświęcał otoczeniu, chociaż wiedział, że jest obserwowany. Złe zamiary szły za nim krok w krok, jak kot za wózkiem handlarza ryb. Potrafił wyczuć groźbę, inaczej nie przeżyłby dwóch lat w więzieniu cały i zdrowy.

Wystarczyło ostre spojrzenie rzucone mimochodem, by okiełznać wszelkie niestosowne zainteresowanie mieszkańców cuchnących ulic. Potrafił oni

bowiem - tak jak on potrafił wyczuwać niebezpieczeństwo - wyczuć różnicę między ofiarą a drapieżnikiem. A Ramsey Munro zdecydowanie był drapieżnikiem.

Poprzednie przypadkowe spotkanie z Heleną było sprawą łaski lub kary Opatrzności, zależnie, jak na to spojrzeć. Ale dzisiejsze?

Powiedział sobie, że idzie do ogrodu Vauxhall, bo to dobre miejsce do zdobycia informacji o tożsamości mężczyzny, który o mało nie zabił Kita MacNeilla. Ale prawda była taka, że poszedł tam w nadziei, iż znów zobaczy Helenę Nash i spróbuje rozwikłać zagadkę, jaką stanowiła.

Kim ona jest?

Może, tak jak się przyznawała, nowicjuską szukającą przygód w świecie rozkoszy. Prowadziła wyjątkowo nudne życie, jeśli więc zapragnęła czegoś, co ulży mordędze jej codzienności, nie mógł się temu sprzeciwić.

Dlaczego zatem, do wszystkich diabłów, chciał to zrobić? Dlaczego nawet gdy miętosił jej piersi jak napalony nedorostek pierwszej dziewczynie, chciał ją strzec przed sobą i każdym mężczyzną sobie podobnym?

Zawsze myślał, że rozumie własne motywacje. To, że tak nie jest, nappełniło go niezadowoleniem. Napiął się, wyczuwając, że ktoś się zbliża, lecz po chwili się odprężył.

- Znalazłeś coś? - spytał.

- A niech to! Nigdy nie pojmem, jak to robisz - mruknął Bill, wysuwając się z ocienionego wejścia, by zrównać się z Ramem. -To niesamowite. Skąd wiedziałeś, że to ja?

- Sapiesz jak miech kowalski.

- To pył węglowy - oświadczył Bill z dumą.

- Jakie wieści masz dla mnie?

- Włóczyłem się po nabrzeżach i kazałem moim kumplom robić to samo, ale żaden nie widział gościa z wypaloną blizną w kształcie róży. Nie przez ostatnie pół roku. Tak samo jak żadna z kurew portowych ani nawet tych elegantszych bliżej miasta. Wiadomo, pamięć jest krótka, kiedy człek tonie w dżinie, a tutejsze chłopaki, jak się dostaną na ląd, nie przestają pić, póki się znów nie zaokrętują. Ale oberżysta czy jaka dziewczucha zapamiętałiby gościa w typie tego, co opowiadałeś, a co dopiero jakiegoś żabojada. Marynarze nie cierpią żabojadów, słowo daję.

Ramsey zmrugał oczy, rejestrując w myśli wysiłki, jakie poczynił, by się upewnić, kto groził Kitowi MacNeillowi i jego żonie i zostawił wianek suchych żółtych róż na szyi martwego szczura pół roku wcześniej. Musiał to być ktoś z St. Bride's. Nikt inny nie wiedziałby ani o żółtych różach rosnących

w odciętych od świata opactwie, ani o szczególnym znaczeniu tych róż dla mężczyzn, którzy niegdyś wychowywali się tam jako sieroty, ani o ślubowaniu wierności, które sobie złożyli, a które żółta róża miała symbolizować.

Było ich czterech, wzrastających w wierze w starodawne śluby wierności, pobożności i honoru: Douglas, ich przywódca, żarliwy i pełen oddania; Kit, zadziorny i silny; Dand, bystry i nonszalancki; no i on. Kiedy opat prosił o ochotników, którzy zgodzą się wyruszyć do Francji jako szpiedzy, wystąpili wszyscy czterej. Wszyscy udali się na tę misję. Wszyscy zostali ujęci. Wszyscy byli napiętnowani tym doświadczeniem, i to w najbardziej dotykający sposób.

Odruchowo namacał palcami prawy mięsień piersiowy. Nawet przez bawełnianą koszulę wyczuwał wysklepione krawędzie piętna. Do tej pory czuł odór własnego przypalanego ciała.

Po upływie miesięcy tak ponurych, że teraz wydawały się sennym koszmarem, zostali zdradzeni przez któregoś z nich. Zdrajcą musiał być albo Dand Ross, albo Toussaint, ksiądz wygnany z Francji, pomysłodawca całej intrygi. Nie było innego wytłumaczenia. Nikt inny nie wiedział o sprawach, które strażnik więzienny ochoczo im wyjawiał.

A poinformowawszy ich o wszystkim, zapowiedział, że skończą na gilotynie. Jeden po drugim. Douglas był pierwszy. Dand miał pójść jako następny. Ale w przeddzień egzekucji obiecano im uwolnienie dzięki pułkownikowi Roderickowi Nashowi, który za ich wolność zapłacił własnym życiem.

Zwolnienie z więzienia nie dało im wolności. Podejrzenie prześladowało ich, trawiło braterską więź. Oskarżali się nawzajem, ale nie mając dowodów, nie podejmowali żadnych kroków. Wstrzymywała ich zarówno niewiedza, jak i niegdysiejsze braterstwo.

Gdy ocaleni wrócili do Anglii i złożyli przysięgę wspierania rodziny pułkownika, Ram zerwał z Kitem i Dandem. A jakieś pół roku temu ojciec Tarkin napisał do niego z St. Bride's o rychłym ślubie Kita.

Ram długo się wpatrywał w list. Rozważył sto powodów, żeby nie jechać, tuzin, żeby się nie przejmować. Ale w końcu pojechał. Przez całą drogę z Londynu na północ Szkocji utwierdzał się w decyzji, że spyta Kita ostatni raz, czy to on ich wydał. Nie spodziewał się, że Kit spyta go o to samo. Tymczasem spytał. I tak jak Kit przyjął bez wątpliwości zaprzeczenie Rama, Ram uwierzył w zaprzeczenie Kita.

Potem Kit opowiedział mu, co zaszło podczas jego podróży przez północną Szkocję z Kate Nash Blackburn. Ram zaproponował, że kiedy Kit

będzie prowadził do boju żołnierzy Jego Królewskiej Mości, on postara się odkryć, kto ich zdradził. Kit się zgodził.

W ciągu ostatnich miesięcy wiele razy czuł na sobie zimne dotknięcie czyjegoś wzroku, tak jak dziś. Nie dbał o to, że mogą go dopaść Dand albo Toussaint. Ale żona Kita, a siostra Heleny, także była nękana przez nieznanego przeciwnika, co jasno wskazywało, że nikt bliski im ani zmarłemu pułkownikowi Nashowi nie może czuć się bezpiecznie. Charlotte, chroniona przez bogactwo Weltonów i ich wysoką pozycję w świecie, wydawała się niezagrożona, ale Helena, na łasce starej despotki każącej jej dreptać po całym Londynie dla lada zachcianki, z pewnością była narażona na atak.

Ram nie mógł dopuścić, by stała jej się krzywda.

- Nie słyszałeś czego od swoich zagranicznych kompanów? - Pytanie Billa przerwało nić jego ponurych rozmyślań.

Przez lata sława Rama jako szermierza urosła do tego stopnia, że prowadził międzynarodową korespondencję z kadrą ludzi uważanych za ekspertów. Posługiwał się nimi jako źródłem informacji, próbując wysledzić bezimiennego dotąd przeciwnika.

- Jeszcze nie - odparł. -Ale jeśli to Dand, to nosi piętno w kształcie róży, a jeżeli Toussaint... to czy tak trudno znaleźć jednego francuskiego księdza?

*Opactwo St. Bride's w Szkocji*

*1792 rok*

- Dobrze! - powiedział brat Toussaint, swego czasu ponoć oficer przed rewolucyjnej Francji, gdy Ram odparł jego pozorowane natarcie.

Ram czuł na sobie spojrzenia widzów: Douglasa Stewarta, analityczne i skupione; Kita, pełne determinacji, z którą pokonywał każdą przeszkodę; i Danda, który głośno podpowiadał, że solidne kopnięcie w krocze załatwiłoby sprawę skuteczniej i że jemu wszystko jedno, kogo ma kopnąć.

Oprócz nich wygnany francuski ksiądz uczył tylko jednego chłopca, Johna Pertona Glassa, który teraz siedział z dala od reszty. Upływ lat i ciężka praca, do jakiej opat zmuszał wszystkich chłopców, odarły Johna z tłuszczu, ale nie poprawiły jego charakteru. Zaczął natomiast zdradzać autentyczny talent do szpady.

- Tylko Francuz mógł cię tak dobrze nauczyć podstawowych zasłon -mówił Toussaint.

- Tak, kiedy byłem chłopcem - wyjaśnił Ramsey, dysząc z wysiłku.

- Wciąż jesteś chłopcem.

Ram stłumił rozdrażnienie. W wieku czternastu lat od dawna przestał uważać się za chłopca. Toussaint wiedział o tym, tak jak i o tym, że jego uwaga w trakcie pojedynku rozproszy uwagę Rama.

- Jak doszedłeś do takiej biegłości? Taki biedny sierota jak ty. - Ostatnie słowa zostały wypowiedziane z gryzącą ironią i Ram poczuł ukłucie irytacji. Nie chciał, by mu przypominano przeszłość. Na co mu ona? Ma tu braci.

Zerknął na boki, by zobaczyć ich reakcję. Też wyglądali na speszonych. Zgodnie z niepisaną umową zostawili za sobą czasy sprzed pobytu w St. Bride's jak rzuconą skorupę, pustą i bez znaczenia. Z wyjątkiem paru rzeczy, które po prostu rozumiały się same przez się.

Było jasne, że Kit przed przybyciem do opactwa wiódł życie prostackie i brutalne, a Douglas, przebywający tu najdłużej, był najbardziej oddany ideałom - ciągle wyobrażał sobie szlachetne czyny, jakich kiedyś dokona. Tylko Dand pozostawał kompletną zagadką. Czasami zdawało się, że wywodzi się z kręgów równie elitarnych jak Ram, a kiedy indziej był nieufny i szorstki jak Kit.

- No, powiedz mi - nalegał brat Toussaint.

- Czytałem o tym traktat.

- Czyżby? - Francuz się zaśmiał. - Który sierota tutaj ma twoją zimną krew? Twoje wykształcenie? Kiedy tu przybyłeś, znałeś już łacinę i grekę. Który szkocki sierota zna łacinę w wieku dziewięciu lat?

- Pobożny - odpowiedział niewinnie Dand.

Trzeba dwóch do tej gry.

- A brat? - spytał Ram łagodnie. - Jak na kogoś, kto nie chciał być narzęciem wojny, dziwnie dobrze włada brat bronią.

Uśmiech Toussainta był uprzejmy, ale oczy zmrużyły się w zamyśleniu.

- Jesteś świetny w odpieraniu wszelkiego rodzaju pchnięć, mój mały szermierzu - powiedział cicho. - Ale bądź ostrożny. Nacierając, możesz w ostatecznym rozrachunku sam się wystawić na cios.

Błyskawicznie machnął czubkiem swej klingi wokół klingi Rama. wytrącając chłopcu szpadę z dłoni.

- Właśnie tak.

*10. Natarcie wyprzedzające atak:  
działanie zaczepne powzięte, gdy  
przeciwnik przygotowuje atak*

Ramsey skręcił z wąskiej przecznicy w główną ulicę, na której rynsztok wylewał się z brzegów po niedawnym deszczu, zostawiając wszędzie kałuże brudnej wody. Ulica była zastawiona pojazdami stłoczonymi w miejscu, gdzie wyróciła się ciężka platforma z ładunkiem. Woźnica stał nad przewróconym pojazdem, krzycząc i wymachując batem nad rojem obdartych dzieciaków, które starały się dorwać do rozmiękłych pak z towarem.

Ram przeskoczył śmierdzący ściek i ruszył chodnikiem wzdłuż ulicy. Dwa kwartały domów dalej wspiął się po stromych marmurowych schodkach do frontowych drzwi swojej szkoły. Dom, wzniesiony pokolenie wcześniej przez bogatego kupca, miał dwa piętra. Klasyczną fasadę plamiła sadza, a frontony były wyszczerbione i popękane, lecz budynek wciąż emanował pewną godnością.

Gdy Ramsey otworzył drzwi, jego służący Gaspard zerwał się z fotela, w którym drzemał, i pomógł panu zdjąć surdut. Ram w roztargnieniu skinął głową i spytał:

- Czy karafka jest pełna, Gaspard?
- Tak. - Jedyne oko służącego, bo w miejscu drugiego nosił czarną klapkę, zmrużyło się z dezaprobatą.

Munro nie przejął się naganą. Poznali się w więzieniu LeMons, gdzie trzymano ich obu. Rama za zamiary, nie czyny, a Gasparda tylko za to, że pewnego lata dawno temu nauczył siostrzeńca byłego króla kilku ruchów szpada.

Kiedy Ramseya uwolniono i rozstał się z dawnymi braćmi, przyjechał do Londynu, gdzie spotkał dawnego towarzysza z celi ostrzącego szpada w obskurnej sali szermierczej. Odtąd trzymali się razem.

- Nie ma listów ze Szkocji albo z kontynentu?
- Zawiadomienie od pańskiego agenta nieruchomości ze Szkocji.

Dwa lata temu Ramsey zaczął dyskretnie, przez podstawionych agentów, skupywać ziemie należące kiedyś do rodziny matki, z zamiarem odbudowania posiadłości skonfiskowanej po bitwie pod Culloden. Trwałoby jednak całe lata, nim stać byłoby go na realizację przedsięwzięcia. Chyba że wygra Wszechświatowy Turniej Pojedyneków.



- I wcześniej zjawilo się czterech młodych ludzi na naukę.
- Pamiętasz, jak się nazywali?
- Jeden z nich to lord Figburt.

Ach tak. chłopcy z ogrodu Vauxhall. Doskonale. Ma czterech nowych wyrostków do niańczenia, list ze Szkocji oraz listy od partnerów i ewentualnych przeciwników w turnieju, na które trzeba odpowiedzieć, notatki od płatnych agentów do przejrzania. Musisz też dopełnić koniecznych przygotowań: fizycznych, umysłowych i finansowych, by stanąć do turnieju jako godny przeciwnik. No i jeszcze Helena Nash.

Zapowiadał się pracowity tydzień.

- Dziękuję, Gaspard. Możesz iść spać. Sam się obsłużę.
  - Doskonale, proszę pana. Ale jest jeszcze coś. - Uciekł w bok swym jedynym okiem.
  - Co takiego? - spytał Ram.
  - W salonie czeka markiz Cottrell.
- Naprawdę ciężki tydzień.



Ramsey wszedł do pokoju, który tonął w mroku, bo jedyne światło padało z lampy ustawionej na kredensie. Natychmiast dojrzał swego gościa. Srebrnówłósy starzec stał przy kolekcji szpad i wazył w dłoni jedną z nich, piękny okaz stali z Toledo. Usłyszawszy wchodzącego Rama, odłożył broń do gabloty.

- Słyszałem, że robisz użytek z twych umiejętności - powiedział, nie odwracając się. - Jak rozumiem, to jest twoja *salle*.
- Skromna - odrzekł Ramsey chłodno - ale własna.

Markiz wybrał inną szpadę. Rapiér z Solingen w Niemczech.

- Zebrałeś trochę pięknej broni.
- Zachowałem w pamięci nauki z dzieciństwa. Zaliczam do nich uznanie dla dobrego ostrza.

Cottrell wydał krótkie prychnięcie i się odwrócił. Czas nie obszedł się z nim łagodnie. Twarz o arystokratycznych rysach miał pobrużdżoną i lekko nabrzmiałą, a bystre niegdyś oczy przestoniła katarakta. Jakże musiał nienawidzić swej starości.

Poruszał się wolno, z wyraźnym trudem. Miał sztywne stawy, a palce dłoni lekko zgięte nawet wtedy, gdy niczego w nich nie trzymał. Ram nie potrafił określić, co czuje, patrząc na niego.

- Wiesz, że twego ojca uczył wielki Angelo - powiedział markiz.  
Ram opadł na ciężki fotel i wyciągnął się w nim z wystudiowaną swobodą.

- Owszem, przypominam sobie coś takiego.

Markiz przyglądał się młodszemu mężczyźnie, próbując ocenić, z jakim typem człowieka ma do czynienia. Miał nadzieję sprowokować go do jakiejś reakcji, przychodząc późnym wieczorem niezapowiedziany i nieoczekiwany, ale nieugięty charakter zamieszkiwał tę urodziwą cielesną powłokę. Nieugięty czy raczej twardy. Twardszy niż mój? - zastanawiał się markiz.

- Twój ojciec był najlepszym szermierzem, jakiego widziałem - rzekł.

- Widocznie nigdy nie widział pan człowieka, który go zabił - odparł Ram oschle.

Wargi markiza drgnęły.

- Umyślnie starasz się być wulgarny.

- Czyżby? - Ram sięgnął po karafkę klaretu stojącą przed nim na stole, nalał odrobinę wina do kieliszka i podniósł go do ust. -A ja myślałem, że jestem nadzwyczaj powściągliwy - powiedział znad brzegu kieliszka. -Ale mniemam, że nie przyszedł pan tutaj w tak ukradkowy sposób i o takiej potajemnej godzinie, by rozprawiać o umiejętnościach szermierczych mego rodzica albo o ich braku. Zwłaszcza że przez ostatnie trzy lata odmawiałem spotkania z panem gdziekolwiek i w jakichkolwiek okolicznościach. A jednak pan tu jest. Czy mogę wiedzieć, czemu zawdzięczam ten... honor?

Po chwili milczenia markiz pierwszy raz się uśmiechnął.

- Na Boga, chłodno mnie przyjmujesz.

- Świat jest chłodny, proszę pana.

Uśmiech markiza zbladł. Wpatrywał się w Rama, czekając, aż ten przewie milczenie. Ale Munro tylko pociągnął łyk klaretu, odstawił kieliszek na stół i wyciągnąwszy przed siebie długie nogi, skrzyżował je w kostkach. Potem złożył dłonie na płaskim brzuchu i spojrzał na markiza z udawanym zaciekawieniem, jak dziecko znudzone wymuszoną grzecznością.

Była to taktyka obliczona na rozdrażnienie gościa i odnosiła skutek.

Drzwi otworzyły się z rozmachem, przerywając ciszę, i do salonu wszedł jednooki lokaj, zgięty pod ciężarem masywnej srebrnej tacy pełnej akcesoriów, które byłyby ozdobą kredensu każdego modnego eleganta. Kryształowe półmiski stłoczone na tacy zapełniały stopy pasztetu z gęsich wątróbek, grzanek, winogron w cukrze i kandyzowanych owoców, a czajnik z sewskiej porcelany górował wdzięcznie nad obfitością jadła. Najwyraźniej informatorzy, którzy twierdzili, że Ramsey ledwie wiąże koniec z końcem i stara się żyć jak najoszczędniej, kłamali.

- Widzę, Gaspard - zauważył Ram lakonicznie - że splądrowałeś spizarnię w sąsiedztwie. Upór markiza będzie nagrodzony. To wszystko, dziękuję ci.

Więc lokaj zadbał o to, aby pan wywarł dobre wrażenie. Dzięki Bogu, że ktoś tu ma dosyć rozsądku, by wiedzieć, kiedy pozory się liczą, a kiedy nie.

Lokaj z troską łypnął swym jedynym okiem, złożył szybki ukłon i wycofał się bezszelestnie, zamykając za sobą drzwi.

- Proszę się częstować - powiedział Ram. - Przykro byłoby mi myśleć, że Gaspard wkroczył na ścieżkę występku tylko po to, by zignorowano owoce jego trudu. - Wskazał dłonią małą ucztę.

- Nie. Dziękuję - odparł markiz. - Bardzo jesteś do niego podobny w sposobie bycia. Do twego ojca. Dumny. Nieustępliwy. Rozgoryczony.

- Miło z pańskiej strony, że mi pan to mówi - rzekł Ram spokojnie. - Cieszę się, wiedząc, komu zawdzięczam zalety mego charakteru. To nader inspirujące. Możemy bowiem tylko poprawiać naszą podstawową glinę, czyż nie?

- I zgryźliwy - odciął się markiz. - On też był zgryźliwy.

Brwi Ramseya zmarszczyły się z dezaprobatą.

- Czy nie mógł pan powiedzieć „dowcipny”? Brzmiałoby o wiele lepiej.

Markiz stłumił gniew wrzący pod chłodną maską. Wziął głęboki oddech, a potem, nabrawszy otuchy mimo odmowy, jaka go już kiedyś spotkała, nalał sobie kielich klaretu. Prawie cztery lata zajęło mu znalezienie się tutaj. Najpierw rozsądek powstrzymywał go od przyjścia. Był pewien, że Ramsey wreszcie odpowie na jego wezwania. Jest w końcu markizem Cottrell. Później powstrzymywała go duma. Jest w końcu markizem Cottrell. Ostatecznie to, co go powstrzymywało, przyprowadziło go tu. Jest w końcu markizem Cottrell.

Ostatnim z Cottrellów...

Wypił duszkiem wino i podniósł wzrok na Rama. Połyskliwa masa czarnych pukli, jasna cera, piękne niebieskie oczy.

- I wyglądasz jak on. Całkiem jak on!

- Mój ojciec wyglądał jak katamita? - spytał Ramsey znudzonym tonem.

Markiz nie zdołał stłumić wściekłości.

- Jak śmiesz?!

- Ależ ja tylko powtarzam ostatnie słowa, jakie od pana słyszałem - odparł Ram niewinnie. - Niech pomyślę...

Odchylił głowę na oparcie fotela i zamknął oczy, jakby starał się coś sobie przypomnieć.

- Tak, jestem pewien. Proszę cofnąć się myślą wstecz - zachęcał zjadliwie. - Moja matka przybyła ze mną do pańskiego domu w Mayfair. Służący

kazał nam czekać w tylnym holu. Jak handlarzom. Przypominam sobie dziewczynę polerującą mosiężną tabliczkę na drzwiach. W końcu zjawiał się pan, a matka spytała: „Co będzie z moim synem?” Płakała. Pamiętam to dobrze, bo nigdy przedtem nie widziałem jej roniącej łez. - Urwał i utkwiał wzrok w markizie. - A pan odpowiedział: „Zapewne trafi do burdelu, ma wygląd katamity”. Wzruszył ramionami i się uśmiechnął.

- Kiedy więc zechciał pan wspomnieć o mym podobieństwie do ojca, przyjąłem, że on też miał wygląd...

- Dość! - To słowo niemal eksplodowało z ust markiza.

Uśmiech zgasł na twarzy Rama, zostawiając tylko pogardliwy wyraz.

- Tak - powiedział cicho. - Dokładnie to samo sobie pomyślałem.

- On był moim synem! Byłem pogrążony w bólu! Powiedziałem to, chcąc, żeby ktoś inny poczuł taki sam ból jak ja.

Ram zmrużył oczy.

- A to niespodzianka! Myślałem, że pan się go wyrzekł. „Mój syn nie żyje od przeszło dziesięciu lat”. Zdaje się, że właśnie to pan powiedział na wiadomość o jego śmierci.

- Nie rzucaj mi w twarz moich słów! - Dłonie markiza zaczęły się trząść, a na twarz wystąpiły szkarłatne plamy. - Obwinałem twoją matkę o jego śmierć - ciągnął bez cienia skruchy. - I nadal obwiniam. Gdyby wypełnił swój obowiązek i poślubił kobietę ze swojej sfery, żyłby do dziś.

- Moja matka była córką hrabiego. O ile mi wiadomo, hrabiowie mają wyższy status od markizów - wycedził Ram, zapomniawszy o chłodnej rezerwie.

- Jej ojca wyzuto z tytułu i posiadłości. Była Szkotką i papistką - odparł markiz ze złością. - Odmówiła nawrócenia, nie zważając na moje prośby i skutki jej uporu dla twego ojca i ciebie. Była nie lepsza niż kochanica regenta pani Fitzhugh. Nie miała jeszcze dwudziestu lat, kiedy się „pobrali”, więc związek twych rodziców nawet nie był prawomocny!

- Tak, to musiało być dla pana nader irytujące, że pański syn nie wyparł się małżeństwa z moją matką.

Markiz z coraz większym trudem panował nad furią. Nie wygra z tym młodym człowiekiem, zrażając go do siebie. Nadzieje na przedłużenie rodu i przekazanie tytułu następnym pokoleniom będą stracone, jeśli nie przekona Ramsey'a Munro, by spełnił jego życzenie.

- To nieważne, czego on się wyrzekł - powiedział. - Państwo nie uznaje jego małżeństwa. Ani ciebie.

- Potrafię żyć z tą świadomością.
- Nie musisz.

Ram zerknął w górę znad winogrona, które pieczolowicie obierał ze skórki. Nawet się uśmiechnął.

- Matka nie zostawiła ci nic - rzekł markiz spokojnie.
- Właśnie taką sumę rzeźnik spod Culloden, pański przyjaciel księżę Cumberland, zostawił jej rodzinie.

- Cumberland nie był moim przyjacielem. I nie obchodzą mnie straty jakiejś szkockiej rodziny. Gdyby chcieli zatrzymać ziemię, powinni byli popierać koronę. Ale przede wszystkim nie obchodzą mnie, bo to należy do przeszłości. A przeszłość jest martwa. Jak mój syn. I twoja matka.

- Chciał pan powiedzieć „synowie”, czyż nie? - poprawił go Ramsey łagodnie.

Markiz wzdrygnął się na ten nagły cios. Do licha. Oczywiście, że on wie. Wszystko, co mu donoszono o Ramsey u Munro, wskazywało na to, że powinien wiedzieć.

- Zdaje się, że po mym ojcu spłodził pan jeszcze trzech męskich potomków - ciągnął Ram. - Jeden umarł w niemowlęctwie, drugi zginął kilka lat później w wypadku w Eton. Ostatniego zabito pięć lat temu. Wszyscy zmarli bezpotomnie. Nie zostawili nawet, przynajmniej tak mi mówiono, przydatnych bękartów.

Markiz nie dawał się sprowokować.

- Ogłosiłbym cię moim prawowitym dziedzicem.
- Teraz? - Ram parsknął i zacisnąwszy dłonie na poręczach fotela, pode-rwał się na nogi. Spojrzał na zegar na gzymsie kominka.

Stary, zauważył markiz, i kunsztownie wykonany. Jedyne dekoracyjny przedmiot w salonie. Jako chłopiec Ramsey opływał w luksusy i przyjemności. Czy za nimi tęskni? Jak mógłby nie tęsknić?

Bogactwo jego ojca nie pochodziło od Cottrellów, lecz z ogromnej doży-wotniej spuścizny ze strony matki. Dotknięty wprawdzie bojkotem towarzy-skim, ale zamożny ojciec Rama nie odmawiał żonie i synowi niczego, co dało się kupić za pieniądze: służby i powozów, nauczycieli i instruktorów, okazałego umeblowania, wykwinnego jedzenia i eleganckich strojów. Ramsey żył jak młody książe.

Przez dziewięć krótkich lat.

Dopóki jego ojciec nie zginął w pojedynku, broniąc honoru „tej kobiety”.

Potem życie Rama zmieniło się diametralnie. A teraz ten niegdyś utytułowany chłopiec siedział przed markizem w prawie pustym pokoju w taniej

dzielnicy Londynu i pił kradzione wino. Jak mógłby nie chcieć przyjąć tego, co mu się proponuje? Markiz odstawił kieliszek. Ram ziewnął.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział. - Poczułem się nagle niezmiernie znużony. Gaspard odprowadzi pana do drzwi.

- Nie słyszałeś mnie? - spytał markiz niedowierzająco. - Mogę sprawić, byś został prawnie uznany. Mogę cię uczynić markizem Cottrell!

- Nie może pan - odparł Ram lekkim tonem. - Nie można ot tak sobie zrobić markiza z bękarta. Tylko korona ma moc to uczynić.

Ach, więc to dlatego. Ramsey nie rozumie, jak wielka jest siła markiza. Ani nie wie o planie, jaki jego dziadek zrealizował dawno temu.

- Również ci, którzy cieszą się przychylnością korony - powiedział Cottrell.

- Tak jak pan?

- Tak! Czy wreszcie pojąłeś, jak cenny dar chcę ci ofiarować?

- Doskonale pojąłem - odparł Ram. - I, podobnie jak w zeszłym roku, dwa lata temu i trzy lata temu, nie jestem zainteresowany. Dziwię się, iż może pan przypuszczać, że byłbym.

Markiz wlepił w niego wzrok.

- Nie wierzę ci. Prowadzisz ze mną grę. Chcesz mnie zmusić, bym po wiedział, że mi przykro. Że żałuję mego postępowania wobec twego ojca i jego... twojej matki. Nie zrobię tego. Nigdy! - Walnął pięścią w stół tak mocno, że kieliszek przewrócił się i wino pociekło na podłogę.

Ram patrzył bez emocji na kałużę rubinowej cieczy.

- Myli się pan. Nie oczekuję od pana niczego ponad to, co już pan okazał.

- Wydaje ci się, że jesteś szlachetny - powiedział markiz z irytacją. - Tymczasem jesteś po prostu głupi. Uparty, śmieszny chłopiec. Nie wskrzesisz matki, odmawiając mi.

- Wiem - przyznał Ram spokojnie.

Markiz zacisnął usta i odchylił się w fotelu, by zebrać myśli, zirytowany, że mu popsuto szyki. Brak reakcji Rama na jego prowokacje zaskoczył go. Spodziewał się wściekłości i nienawiści, a nie chłodnego lekceważenia i jawnej pogardy.

Spróbował innej taktyki.

- Przyjmij mą ofertę - rzekł spokojnie, zmuszając się do takiej samej chłodnej uprzejmości, jaką okazywał jego wnuk. - Nie wierzę, że chcesz żyć tak jak teraz. Jak wyrzutek, jak żebrak, który je ochłapy rzucone mu przez ludzi, choć wie, że oni wcale nie są od niego lepsi.

Ram-się uśmiechnął.

- To są bardzo smakowite ochłapy, proszę pana.

Markiz zignorował tę zgryźliwą ripostę. Nie odrywał wzroku od twarzy wnuka, szukając najmniejszej rysy w jego opanowaniu.

- Jakże musi to być nienawistne potomkowi tak dumnych rodziców.

- Co miałyby być mi nienawistne?

- Litość ludzi z towarzystwa i ich protekcyjność.

Żadnej reakcji.

- Czy pozdrawiają cię, gdy spotkają cię na ulicy? Czy zapraszają do swoich klubów? Może tak, ale tylko po to, byś dawał pokaz swej biegłości. Jak niedźwiedź w cyrku.

Ani mrugnięcia.

- "Czy ich żony i córki rozmawiają z tobą? - Czyżby leciutkie drgnięcie kącików ust? Czy wreszcie trafił w czuły punkt? Jest tylko jeden sposób, by się przekonać: naciskać mocniej. - Co za głupie pytanie! Oczywiście, że tak. Tak - ciągnął markiz. - Jestem pewien, że rozmawiają... po zmroku. Albo na kuchennych schodach swych domów, kiedy mężowie drzemią podpię przy stolikach do gry.

Błąd. Gładkie oblicze Rama się rozchmurzyło. Markiz pospieszył odzyskać stracony teren.

- Nie - powiedział. - O nie. Na twoją damę nie czeka mąż. Nie tolerował byś resztek z cudzego stołu. Więc któż to taki? Wdowa? A może awanturka czy młoda dama? Pozwala ci na poufałości w zaciszu swego powozu lub w cienistych zakątkach ogrodów rozkoszy. Ale następnego ranka nie zauważa cię podczas przejażdżki po parku.

Wreszcie błysk jakiejś głęboko ukrytej emocji w spokojnym chłodzie tego spojrzenia.

- Tak, jestem pewien, że damy czynią więcej, niż tylko rozmawiają z tobą.

- Każę Gaspardowi odprowadzić pana do wyjścia.

- Masz zbyt wiele dumy, by być trzymany na uboczu przez jakąś damę niczym skrywane ulubione zwierzątko. Nie jesteś męską nierządnicą.

- Nic pan o mnie nie wie - wycedził Ram przez zaciśnięte zęby.

- Przeciwnie. Wiem o tobie całkiem sporo. Kazałem zrobić wywiad: o twych finansach, twoich znajomościach. Znam cię lepiej, niż przypuszczasz. Na przykład wiem, że odziedziczyłeś po ojcu niezdolność godzenia się na kompromisy. I jego urok. Wątpię, by jakaś kobieta mu się oparła, jeśli pragnął jej dość mocno. I niewiele zdołało oprzeć się tobie. Twoja reputacja jest szeroko znana.

- Niechże się pan na coś zdecyduje! - prychnął Ram. - W jednej chwili cechy Cottrellów wróza mi karierę utrzymanka jakiejś damy, a w następnej jestem tak nieoparcie atrakcyjny dla kobiet, że wystarczy, bym kiwnął palcem, a na wyścigi pospieszą rujnować sobie dla mnie opinię.

- Postaram się ująć to bardziej dosłownie - odparł markiz aksamitnym głosem. - Nie oprze ci się żadna kobieta, przynajmniej nie na parę godzin. Ale podejrzewam, że każda odzyskuje rozsądek, gdy tylko wstanie z twego łóżka. Damy, które chciałbyś poślubić i spłodzić z nimi swego dziedzica, są bardzo ostrożne, gdy tylko sobie przypomną, jak drogo się płaci za miłość, kiedy namiętność wygaśnie.

- Damy, które bym poślubił? - powtórzył Ram niedowierzająco. - Nie wie pan nic o tym, czego pragnę. Zapewniam, że jeśli pewnego dnia ogarnie mnie potrzeba spłodzenia potomka, znajdę mnóstwo cnotliwych...

- Córek sklepikarzy? - Markiz zaśmiał się z satysfakcją. Trafił w cel. Dostrzegł rumieniec pokrywający twarz wnuka. Ten głupiec jest zakochany. W jakiejś damie.

A ona go nie chce.

- Nie, Ramseyu Munro. Urodziłeś się do splendoru i przywilejów, jak młody kalif, wyćwiczony od kołyski w cenieniu tylko tego, co najlepsze, najbardziej wyrafinowane, najwykwintniejsze. Rozejrzyj się. Masz niewiele, ale to, co masz, jest w najlepszym gatunku. Ilu biedaków bez nazwiska posiada japońską klingę z XVII wieku? I ilu bękartów nosi złote róże w krawatach?

Widział, że zadał cięcie prawie do kości.

- Pomyśl o mojej propozycji.

- Nie muszę. Nie chcę niczego, co należy do pana. Ani nazwiska, ani pieniędzy, ani tytułu.

- Ale kimkolwiek jest ta, która cię tak oczarowała, ona może chcieć. Gdybyś przyjął moją ofertę, mogłaby zgodzić się używać twego nazwiska przez całe życie, zamiast używać twego ciała przez parę godzin. - Markiz wstał i wsparty na lasce z kości słoniowej, podszedł do Rama. - O tak. Widzę, że tu idzie o kobietę. Rozpoznaję oznaki. Widziałem takie same u twego ojca. I tak jak on, musisz ją mieć, a nie weźmiesz jej na warunkach mniej honorowych niż te, które narzucasz. Ona zaś, kimkolwiek jest, nie zechce ciebie. Nie otwarcie. Powinieneś to wiedzieć. Czy nie było pewnej młodej damy parę lat temu?

- Proszę wyjść. - Dłonie Rama zacisnęły się w pięści.

Markiz uśmiechnął się zadowolony z siebie.



- Która dobrze urodzona kobieta wyrzeknie się wszystkiego: honoru, rodziny, towarzystwa, dla ciebie takiego, jakim jesteś teraz? Twój ojciec dysponował przynajmniej zachętą, by sprzeciwić się konwencji i społeczeństwu. Był dziedzicem tytułu, bogatym ponad miarę. Ty jesteś bękartem, i do tego biednym.

- Powiedziałem: proszę wyjść!

- Powiedz mi jedną rzecz. Ta młoda dama... czy zdradziła ci swoje prawdziwe nazwisko? Czy też jest zbyt dyskretna albo była zbyt speszona, by przedstawić się jakimkolwiek nazwiskiem?

Markiz zerknął na zaciśnięte pięści Rama. Przebiegł go dreszcz na ten widok, wrażenie od dawna niedoświadczane. Zawahał się. Nie wiedział, jak dalece można naciskać Ramseya Munro. Nie wiedział, co przeżył we francuskim więzieniu ani kim stał się po powrocie.

Nie mógł jednak odejść, nie uczyniwszy wszystkiego, co w jego mocy, by zabezpieczyć prawowitą linię dziedziczenia jego nazwiska.

- Jesteś taki do niego podobny, Ramseyu. Zabijesz się z pragnienia. A nie musisz - szepnął natarczywie. - Możesz mieć wszystko, czego zechcesz.

- Niczego od pana nie chcę. Z wyjątkiem opuszczenia mego domu.

Markiz już otworzył usta, by coś powiedzieć, ale po chwili je zamknął. Niech jego słowa pracują pod jego nieobecność. Odwrócił się i ruszył z wysiłkiem do zimnego, słabo oświetlonego korytarza.

- Zechcesz- mruzczał, mijając jednookiego lokaja przytrzymującego drzwi.  
- Zechcesz.

Ledwie drzwi za markizem się zamknęły, Ram przywołał służącego.

- Gaspard!

Francuz wszedł do salonu. Munro stał pośrodku pokoju w szerokim rozkroku, jak gdyby znajdował się na pokładzie okrętu miotanego sztormem, a nie na stałym lądzie w londyńskim White Friars. Jego oczy miały błyskawice, a wargi wykrzywiały grymas wściekłości. Jak sam Lucyfer na wieść o wygnaniu z nieba, pomyślał Gaspard, świadomy bluźnierstwa, ale niezdolny odpędzić tej myśli.

- Oui? - spytał niepewnie.

- Podaj mi whisky - zażądał Ramsey zdławionym głosem. - Dwie butelki. Nie, trzy. I nie wpuszczaj tu światła, kiedy nadejdzie przeklęty świt.

*. Flanconnade:  
Diagonal: pchnięcie w bok przeciwnika  
odsłonięty tuż pod łokciem*

Dwunastego wieczorem, Beard Street 5, Cheapside. Bal maskowy. Wstęp trzy szylingi. Arlekin.

- Panno Nash.

Helena właśnie znalazła ogłoszenie, które Oswald Goodwin obiecał zamieścić w „London Post”. Podskoczyła na niespodziewany dźwięk głosu chlebobawczynie. Do przybycia gości zostało półtorej godziny, a lady Tilpot zwykle wołała robić efektowne wejście dopiero w ich obecności.

- Proszę się uspokoić, panno Nash - rozkazała, wkraczając do salonu.

Helena oniemiała ze zdumienia. Lady Tilpot porzuciła swoje zwykle ciemne kolory na rzecz białej koronki. Powodzi białej koronki opadającej kaskadą z jej pulchnych ramion i układającej się szerokim kręgiem u stóp. Wyglądała jak głowa cukru.

- Ostatnio bywa pani dziwnie podekscytowana. - Stara dama uniosła dłoń i skinęła upierścienionym palcem. Lokaj podbiegł truchtem, by przytrzymać jej krzesło, gdy będzie sadowiła swą masywną postać. Odprawiła go machnięciem ręki. - Możesz iść oczekiwać gości, John.

U lady Tilpot, jak w wielu dużych domach, wszystkich lokajów nazywano imieniem John, bez względu na to, jakie imię nosili naprawdę. Służący oddalił się, a lady Tilpot spojrzała na Helenę.

- Proszę mi wybaczyć - odezwała się Helena, ukradkiem wpychając gazetę między siedzenie a bok fotela. - Byłam pogrążona w lekturze, a pani, mając tak lekki krok, zaskoczyła mnie znienacka.

Odwołanie się do próżności lady Tilpot dało dobry skutek. Wyszczrzyła zęby w czymś na kształt uśmiechu.

- Myślę, że to wybacalne. Musi się pani starać nie być taka płochliwa.

- Tak, proszę pani. - Zarzut nie był całkiem bezpodstawny. Jeszcze kilka tygodni temu nikt by jej nie posądził o płochliwość. Teraz nerwowość prześladowała ją na jawie, a namiętne spotkania z celtyckim księciem, ciemnym władcą i wojującym aniołem wypełniały noce. Wiedząc, że prawdopodobnie więcej nie zobaczy Rama, z utęsknieniem wyczekiwała nocy, by w snach znaleźć to, czego nie mogła przeżyć na jawie.

Ale Ramsey Munro nie był jedyną przyczyną nerwowości Heleny. Towarzyszące jej ostatnio uczucie, że jest śledzona, nasilało się. Nawet idąc do wypożyczalni książek, chowała się w cieniu i raz po raz zerknęła przez ramię.

A do tego jeszcze róże. Siedem, po jednej każdego dnia, od kiedy wróciła z Vauxhall. Zastawała je w przypadkowych i dziwnych miejscach: czekając u modystki, by odebrać nowy kapelusz lady Tilpot, wychodząc ze sklepu warzywnego albo na półce w wypożyczalni.

W pierwszej chwili róże wydały jej się urocze, ale wkrótce zauważyła, że nie są piękne jak ta, którą dostała w Vauxhall dwa tygodnie temu. Trafiały się przekwitające lub wysuszone, niektóre miały oskubane zewnętrzne płatki, a dzisiejsza była tak gęsto pokryta kolcami ukrytymi pod bujnymi liśćmi, że podnosząc ją ukłuła się do krwi.

- Czy pani mnie słucha, panno Nash? - Lady Tilpot się zniecierpliwiła.

Helena wzdrygnęła się i podniosła wzrok.

- Tak, proszę pani?

Lady Tilpot się nachmurzyła. Nie znosiła, gdy Helena skupiała uwagę na czymś lub kimś innym niż ona.

- Proszę sobie przypomnieć, dla kogo pani pracuje. To bardzo ważne, żeby w moim domu wszystko przebiegło dziś idealnie, ponieważ spodziewam się wizyty siostrzeńca księcia Glastonberry, a jest on zaledwie piąty w kolejce do tytułu. Specjalnie przyszłam wcześniej, by powitać tego młodzieńca.

- Czy to nie Flora powinna go powitać? - spytała Helena.

Lady Tilpot przewróciła oczami.

- Flora? Nie. Oczywiście i ona się pokaże, ale jest pani naiwna, jeśli uważa, że to ją ten młody człowiek chce zobaczyć. To rodzina Flory go interesuje. To... - urwała i zadarła podwójny podbródek- ...ja. Rodzina, panno Nash, jest daleko ważniejsza niż osobiste zalety kandydatki na żonę. Jakie wychowanie otrzymała przyszła oblubienica? Jaki charakter mają jej krewni? Te rzeczy są znacznie istotniejsze niż przypadkowo harmonijne rysy lub - jej oczy padły na blond loki Heleny - niezwykły odcień włosów.

- Tak, proszę pani - bąknęła Helena.

- Wiem, co pani myśli. - Lady Tilpot wychyliła się ku niej. - Myśli pani o własnej rodzinie, która stawia panią w takim złym świetle, i czyni porównania z oczywistą przewagą Flory.

Miesiąc temu, ba! zaledwie dwa tygodnie temu, słysząc tę nonsensowną sugestię, Helena spuściłaby oczy i zachowała milczenie. Teraz, chociaż milczała dla dobra Flory, nie była zdolna odwrócić wzroku. Odpowiedziała na wyzywające spojrzenie pracodawczyni chłodno i bez wzburzenia, co wpra-

wiło lady Tilpot w wyraźne zakłopotanie. Skrzywiła się i zaczęła wygładzać warstwy koronki na kolanach.

- Pewnie zostaniesz niezamężna - rzekła wreszcie. - Ale nie martw się, moja droga. Masz u mnie miejsce i nie widzę powodu, dla którego miałabym cię zwolnić, jeśli nic się nie zmieni.

- Ja się nie martwię - powiedziała Helena obojętnie. Niewiele czasu poświęcała snuciu planów na przyszłość. Przez całe lata odmawiała sobie luksusu oczekiwania czegoś z nadzieją.

Zdawało jej się, że pomaga Florze, ale teraz zastanowiła się, czy nie szuka wymówki, by odsunąć chwilę, kiedy zacznie znowu żyć, kiedy stanie się kobietą, jaką być chciała. Kochaną tak, jak była kochana pani Winebarger, zdolną, pełną życia i... nieczującą strachu.

- Nic pani nie powie na takie dobrodziejstwo? - dopytywała się lady Tilpot poirytowana.

- Pani słowa napełniają mnie nadzieją- odrzekła Helena.

- Hm. - Lady Tilpot się skrzywiła. - Flora ma szczęście, że znam swój obowiązek. Nie wydam jej za nikogo, kto nie byłby dżentelmenem najwyższej próby. Ale też za takiego, który ma fortunę i charakter równe jej własnym!

Spojrzała na Helenę.

- Pani, panno Nash, nie ma fortuny Flory, jej nazwiska ani mnie, czuwa jącej nad jednym i drugim. Będzie dużo lepiej dla pani zostać ze mną, skoro jest pani tak do mnie podobna temperamentem i charakterem.

Gdyby Helena nie miała głęboko zakorzenionego nawyku panowania nad odruchami, otworzyłaby usta ze zdumienia.

- Myśli pani, że nie zauważyłam, iż pomimo wielkiej różnicy w naszej pozycji towarzyskiej są pewne podobieństwa między mną a panią? Ufam, że nie jestem tak nietolerancyjna, bym nie mogła uświadamiać sobie podobieństwa, gdy je widzę, a widzę, że pani, tak jak ja, ma słodką twarzyczkę i anielski charakter, ale jest powściągliwa, unika uczuciowego zamętu, który kala życie prostaków. Wszelka myśl o intymności jest pani równie wstrętna jak mnie. Przyklaskuję pani młodzieńczej rozwadze. - Zamilkła i zlustrowała Helenę wzrokiem od stóp do głów. - Względnie młodzieńczej.

Helena spuściła głowę, by ukryć ogarniające ją uczucie zgrozy. Więc tak jest postrzegana w towarzystwie? Zamknięta w sobie. Niechętna bliskości z ludźmi, wzruszeniom i okazywanym sobie względom. I zadowolona z tego?

Wpatrywała się w swoje kolana, ledwie zważając na dalszą paplaninę lady Tilpot. Czy naprawdę stałaby się osobą, jaką opisała lady Tilpot, gdyby

ucieczka Flory nie pobudziła jej do działania? Czy może to Ramsey Munro ją obudził?

Mysł o Ramie przyniosła ze sobą falę tęsknoty pomieszanej z przerażeniem. Czy kiedykolwiek dozna słodkiego podniecenia z innym mężczyzną? Czy ktoś inny będzie zdolny rozpaść jej zmysły do takiego stopnia?

- Ciociu Alfredo? - Drzwi otworzyły się i na progu stanęła Flora, która w wymyślnej kreacji z różowego muszliny i atlasowych kokardek wyglądała jak ozdobna bombonierka w sklepie ze słodyczami. Może i Flora nie grzeszyła błyskotliwym umysłem, ale władała rodzajem kociej intuicji. Wszystkie telepatyczne wąsiki małej kotki drżały teraz, a oczy były szeroko otwarte z niepokoju. - Czy wszystko w porządku? Może powinnam odejść i wrócić w stosowniejszym momencie?

Lady Tilpot prychnęła z rozdrażnienia.

- Nasi goście zjawią się za kilka minut. Kiedyż to, twoim zdaniem, miał być stosowniejszy moment, Floro? Gdy sobie pójdą? A teraz przestań udawać głuptasa - ciągnęła stara dama - chodź tutaj i usiądź. Już dobrze. Właśnie tak. Napusz sobie włosy, dziecko. Płaskie włosy są zmorą naszej rodziny. Schowaj pantofle pod spódnicę. Proszę ją poszczypać w policzki, panno Nash. Jest zdecydowanie za blada...

Obu im, Florze i Helenie, zostało oszczędzone to ostatnie, gdyż lokaj - bardziej śniady John niż ten, który obsługiwał im wcześniej - stanął w drzwiach i zapowiedział pierwszych gości.



- Jest panią wyraźnie oczarowany - powiedział wielebny Tawster, zerkając na DeMarca i pieczołowicie zlizując cukier z koniuszków palców. Pastor był znanym amatorem kandyzowanych owoców, a teraz, gdy łasowanie obudziło w nim przyływ ciepłych uczuć, postanowił przyłożyć rękę do swatania.

Helena w zamyśleniu obserwowała DeMarca, który stał sztywno przy drzwiach i przyglądał się reszcie towarzystwa ze źle ukrywaną pogardą. Chociaż to właśnie jego początkowo posądzała o przysyłanie róż, nie mogła sobie wyobrazić, jak mógłby zorganizować, by pojawiały się w różnych dziwnych miejscach w tym domu. Raczej musi mieć wielbiciela wśród służby. A co do róży w powozie...? Pewnie ją zostawił poprzedni pasażer. Pierwszą zaś z pewnością przysłał Oswald. Zaczyna puszczać wodze fantazji. Takie są skutki, kiedy się udaje, że jest się kim innym niż naprawdę.

Odwróciła wzrok od wicehrabiego. Spotkali się w tym tygodniu dwa razy, a on nie zdobył się na więcej niż tylko skłonienie głowy. Lord DeMarc, uznała, przypomniał sobie wreszcie o dzielącej ich przepaści społecznej.

- Myślę, że pan się myli, pastorze. On jest tutaj dla Flory.

- Zapewne ma pani rację - przyznał pastor, wrzucając do ust jeszcze jeden owoc. - Ale czy wszyscy mężczyźni nie znaleźli się tutaj z tego powodu? Wyłączając oczywiście mnie. Ja jednak... - westchnął - z pewnością nie jestem obiektem marzeń młodej dziewczyny.

- Być przewodnikiem duchowym lady Tilpot - zapewniła go Helena - to znacznie bardziej heroiczna rola.

- Jest pani jak zawsze dyplomatyczna, panno Nash. - Nachmurzył się lekko i obrzucił ją badawczym spojrzeniem. -Ale...

- Co takiego, pastorze?

Pokręcił głową.

- Obawiam się, że byłbym zbyt bezpośredni.

- Bardzo proszę tak nie myśleć - powiedziała. - Uważam pana za przyjaciela.

- Naprawdę? - Jego twarz się rozjaśniła. - Jakie to urocze z pani strony! - Zachwyt zbladł, ustępując zaniepokojeniu. - Tylko że... czy to sińce pod pani oczyma? Och, proszę mnie źle nie rozumieć. Jest pani jak zwykle nadzwyczaj urocza. Ale czy coś panią trapi?

- Trapi? - powtórzyła Helena, zaskoczona wnikliwością pastora. - Nie. To znaczy nic takiego, co mogłoby pana niepokoić.

- Ojej! Więc jednak byłem zbyt bezpośredni. Błagam o wybaczenie.

- Nie, nie! To nieprawda. Zapewniam.

- W takim razie niech mi będzie wolno o coś zapytać. Widzi pani, przywiązałem się do niej. W jak najbardziej braterski sposób - dodał pośpiesznie. -Nie jestem wprawdzie pani bratem, ale martwi mnie, że jest pani sama na świecie i w razie jakichś kłopotów nie miałaby pani do kogo się zwrócić. Nie lubię źle mówić o mej dobrodziejce - zniżył głos - lecz nie widzę jej w roli pani obrończyni. Ja zaś, choć byłbym uszczęśliwiony i pochlebiałoby mi, gdybym został pani duchowym doradcą, w sprawach świeckich nie jestem odpowiednio przygotowany. - Uśmiechnął się skromnie. -Nie umiałbym stoczyć pojedynku dla pani. Błagam, niech mnie pani uspokoi w tej sprawie, jeśli to możliwe. Czy jest ktoś, na kim mogłaby pani polegać, jeśli chodzi o faktyczną obronę w razie potrzeby?

Przyglądał jej się ze ściągniętymi brwiami.

Czy jest ktoś taki? Nigdy nie zadała sobie takiego pytania.

- Mam siostrę, Kate - odpowiedziała po chwili namysłu. - A mój szwagier jest bardzo dzielny mężczyzną.

- Ale oni są na kontynencie, czy tak?

- Tak.

- Nie ma nikogo więcej? Wuj? Kuzyna? Przyjaciela rodziny?

Ramsey Munro. Gdyby znalazła się w prawdziwych opałach, mogłaby się zwrócić do niego. Zrobiłby wszystko, co w jego mocy, by jej pomóc - ślubował, że tak postąpi - a „wszystko”, co w mocy Ramseya Munro, to było bardzo dużo. Świadomość tego spłynęła na nią uspokajając i rozprasząc obawy.

Uśmiechnęła się do pastora.

- Proszę się nie martwić, pastorze. Nie zostałabym bez pomocy - powie działa.

Tawster spojrział na nią z powątpiewaniem.

- Mam taką nadzieję, panno Nash. To straszna rzecz być samemu na świecie. Doprawdy straszna. A jeśli kiedyś poczujesz pani potrzebę znalezienia powiernika lub doradcy, bez względu na to, co by sugerowały pozory, jestem bardzo dobry w tej roli. Proszę o tym pamiętać, panno Nash.

- Bardzo dziękuję, pastorze. Będę pamiętała - obiecała Helena.

### *podobny do cięcia manewr, który kończy się trafieniem*

Jesteśmy na miejscu, proszę pani.

Powóz zatrzymał się, a Helena ciaśniej zaciągnęła płaszcz pod brodą i poprawiła maskę z papier-mache zakrywającą jej twarz. Wsiadła i zapłaciła woźnicy, po czym rozejrzała się po okolicy, niepodobnej do miejsc, w jakich bywała do tej pory.

Po drugiej stronie wąskiej ulicy pełnej ludzi budynki, stłoczone jeden przy drugim, nikły kilka metrów przed nią w słonawej mgle znad Tamizy. Latarnie gazowe pływały jak lampki spirytusowe w oparze nad brukiem. Światła błyskały z pootwieranych drzwi u stóp schodków prowadzących do podziemnych światów poniżej poziomu ulicy.

Tawerny, pomyślała Helena, widząc grupki ludzi wchodzących do tych jaskrawo oświetlonych otworów i innych wychodzących stamtąd, mężczyzn w prostych kubrakach i kobiety w kolorowych sukniach i szalach. Nie dostrzegła nigdzie tabliczek z numerami, nie wiedziała więc, jak znajdzie adres podany przez Oswalda. Nic tutaj nie przypominało sali balowej ani nawet najskromniejszego klubu. Wszystkie domy wyglądały tak samo, podejrzenie i tajemniczo.

Wreszcie wypatrzyła trzy kobiety w kostiumach wchodzące po niskich schodkach ku niepozornym drzwiom. Dwie, tak jak ona, nosiły maski, trzecia miała odkrytą twarz i prawie tak samo odkryty biust. Powiewały za nimi pióra i unosił się hałaśliwy śmiech. Helena ruszyła ich śladem.

- To pewnie, że on tam jest? - spytała swe towarzyszki ostatnia z kobiet.
- Tak, bez wątpienia. Wiem od Jonatana, że obiecał przyjść. Zapłacono mu za danie pokazu. Rozkosznie wulgarne, prawda?
- Sama bym mu zapłaciła za pokaz - oznajmiła wydekoltowana kobieta.

Drzwi u góry schodów otworzyły się i stanął w nich mężczyzna o umięśnionym torsie, ogorzałej twarzy i bulwiastym nosie. Zmierzył kobiety obojętnym wzrokiem i wyciągnął dłoń. Zachowując się, jakby miały w tym długą praktykę, dały mu kilka monet i kolejno zniknęły w drzwiach. Helena wzięła z nich przykład.

Wewnątrz czekał tłum gości poprzebieranych w kostiumy, a służący w liberii truchtały w tę i z powrotem, odbierając od nich narzutki, płaszcze i peleryny.

Ktoś zdjął Helenie płaszcz z ramion i natychmiast poczuła na sobie ciekawe spojrzenia współuczestników zabawy. Przejrzała się w wielkim lustrze. Jej francuska suknia balowa, którą wyszperała w szafach na strychu u lady Tilpot, chociaż uszyta według mody sprzed trzydziestu lat, prezentowała się okazale. Szeroka spódnica z różowego aksamitu układała się z tyłu w mały tren. Ciasno dopasowane rękawy związane nad łokciem były przybrane bruksełską koronką. Z przodu aksamitna wierzchnia warstwa rozchyłała się, odsłaniając haftowany złotem przodzik i dwa rzędy falban ze złotą lamówką.

Helena uniosła wzrok ku niezwykle śmiałemu kwadratowemu dekoltoowi. Nie mogła sobie wyobrazić lady Tilpot noszącej kiedykolwiek taką suknię. Ledwie potrafiła uwierzyć, że sama pokazała się w niej publicznie. Nigdy by się na to nie zdobyła, gdyby nie anonimowość zapewniona przez złotą maskę.

Służący, niemy jak mim, wskazał obecnym, by ruszyli jego śladem. Poszli za nim, szepcząc i chichocząc jak dzieci, długim, słabo oświetlonym korytarzem



woniewającym tanim olejem do lamp, drogimi perfumami i rozgrzanymi ciałami. Służący pchnął drzwi na końcu przejścia.

Zalały ją światło i hałas, oślepiając i ogłuszając. Śmiechom i gwarom setek głosów towarzyszyły dźwięk instrumentów dętych i piszczenie skrzypiec. Kandelabry i żyrandole odbijały blask tysiąca świec, mieniając się od atłasu i jedwabiu we wszystkich możliwych kolorach i odcieniach, od fryzur, rękawiczek, wachlarzy i masek udekorowanych piórami i futrem, prawdziwymi i sztucznymi klejnotami, nabijanych srebrem i złotymi drucikami. Ogromną salę balową zapełniały zwierzęta i postacie z ksiąg i mitów, historii i dramatu.

Nim Helena zdołała się rozejrzeć, porwał ją prąd napierających ciał. Wyciągała szyję, chcąc zobaczyć, co się dzieje na galerii dla minstreli, gdzie jeszcze większy tłum wychylał się przez barierki, trajkocząc i gorączkowo machając wachlarzami, by poruszyć duszne powietrze. Kieliszki dzwoniły, gdy szampan lał się z butelek obnoszonych przez zastęp lokajów.

Oszołomiona naporem kłębiącej się masy ludzkiej, przeciskała się ku ścianie, próbując chwycić oddech. Ile tu było ludzi! Ile ruchu! Ile hałasu i koloru!

W jednym końcu sali wzniesiono podium. Właśnie stamtąd dochodziło skrzeczenie źle używanych instrumentów, których mistrzowie bardziej byli zajęci kobietami siedzącymi im na kolanach. Jeden z mężczyzn, przebrany za satyrę, biegał jak szalony wśród tłumu, dmąc w róg. Motyl ze skośnie złamanym skrzydłem walił w klawisze fortepianu.

Helena chłoneła ten widok, zszokowana i zafascynowana. Nie mogła uwierzyć, że naprawdę znajduje się na tych... bachanaliach! To wykaczało poza jej wszelkie doświadczenia, było jak ogród Vauxhall, tylko że całkiem oszalały! Musi się stąd wydostać. Iść stąd jak najszybciej. Znaleźć Oswalda i powiedzieć mu, że koniec z ich spotkaniami.

Rozglądała się wkoło za arlekinem, a tłum popychał ją w głąb sali balowej. Panował taki ścisk, że z trudem mogła oddychać. Nagle, równie szybko, jak przedtem ją wessał, potok ludzki wyrzucił ją na pusty płacyk pod galerią minstreli. Z ulgą padła na wolne krzesło pod ścianą. Hałas bębnił jej w uszach, a skóra zwilgotniała od oddechów setek obracających się ciał.

- Jeszcze! Jeszcze! Jeszcze! - Skandowanie zaczęło się gdzieś przed nią, a towarzyszyły mu wiwaty i hukanie.

- Jeszcze? Niech was diabli wezmą, zjedlibyście człowieka żywcem, by dogodzić swym apetytom.

Helena zeszywniała. Poznałaby ten głos wszędzie. Ramsey.

Zaśmiał się, tyleż z rozbawieniem, co z wściekłością.

- Więc zgoda. Kto następny?

Helena wspięła się na palce, ale tłok był zbyt wielki, by mogła coś dojrzeć.

- Obaj? Naraz? - Znów ten skrzeczący śmiech. - Właściwie czemu nie? Dlaczego by nie, u licha?

Próbowała się przedrzeć przez tłum, ale nikt jej nie ustępował. Wreszcie wdrapała się na krzesło, by zobaczyć, co przykuwa uwagę wszystkich.

Ramsey stał pośrodku ciasnego kręgu widzów, zrzuciwszy zarówno surdut, jak i kamizelkę. Biała koszula kleiła mu się do piersi, cała mokra od potu, a halsztuk z nieodłączną różą błyskającą spomiędzy zmiętych fałd wyglądał jak stryżek na szyi, czekający tylko, by się zacisnąć. Podwinął rękawy, odsłaniając przedramiona, prężące się, gdy zadawał rapierem błyskawiczne ciosy w powietrze, niemal muskając twarze i postacie najbliższych stojących. Sykali, cofając się przed klingą a on z dzikim uśmiechem skupiał wzrok na czubku broni. Helena była pewna, że przewidział o grubość włosa, jak blisko przejdzie ten błyszczący czubek, nie drasnąwszy ciała.

Wpatrywała się w Ramseya, zdumiona zmianą jaka w nim zaszła w ciągu zaledwie tygodnia. Jego skóra, zawsze blada, teraz wyglądała jak wyługowana i ostro kontrastowała z wilgotnymi czarnymi włosami lepiącymi mu się do szyi i czoła. Wydawał się dużo lżejszy, jak gdyby w całym jego ciele nie było żadnego miękkiego skrawka oddzielającego skórę od mięśni i kości. Tylko oczy zachowały intensywnie niebieski kolor gazowego płomienia. Zupełnie jakby diabeł wstąpił w gibkie ciało Ramseya, wyglądając przez jego piękne oczy i spalając go od środka.

- No, chodźże pan, nie będę tu tkwił całą noc. - Ram wskazał mężczyznę w pudrowanej peruce.

Mamrocząc pod nosem i sarkając, dżentelmen wzruszył ramionami w niebieskim jedwabnym kubraku, podczas gdy ktoś inny za nim, w czarnych aksamitach hiszpańskiego granda, przenosił ciężar ciała z palców na pięty, dźgając powietrze rapierem.

- Może byś wdział jeden z tych nowych drucianych hełmów, Munro?! - zawołał ktoś.

Munro, zajęty właśnie pozorowanym natarciem, którym ściał koniuszek pióra zdobiącego turban jakiejś damy, złapał kobietę za ramię, pociągnął ku sobie, chichocząc, i teatralnym szeptem spytał:

- Czy on tak nisko ceni mych przeciwników, że posądza ich, iż wyzwolą mnie z doczesnej powłoki, zapomniawszy o regułach gry?

Kobieta pokręciła głową wpatrując się w niego szeroko rozwartymi oczyma.

Ramsey się uśmiechnął.

- Chciałbym!  
- Ale ich jest dwóch, Munro. A pan jest... jest...  
- Zawiany? Podpity? - spytał Ramsey. - Tak. A skoro tak, to ci, którzy mnie wyzwali, powinni nosić te przeklęte kagańce, nie ja. Bo jeszcze bym kórego zabił, a nie bardzo mogę sobie pozwolić na zabijanie mych klientów. Bez nich nie byłoby mnie stać na krawca. Poszukajcie dla nich tych diabelnych siatkowych koszyków! - zawołał, wspierając się ciężko na czubku szpady.

Był, zdała sobie sprawę Helena, nie podpity, ale kompletnie pijany. Dobry Boże, niemożliwe, by naprawdę miał zamiar walczyć?!

- Niech cię licho, Munro - obruszył się hiszpański grand, odpychając drucziane urządzenie, podane mu przez jednego ze służących. - Nie możesz grać dzentelmena, a mnie stawiać w roli tchórza. *En garde!*

Grand zaatakował. Tłum jęknął i zaczął się cofać.

A Ramsey się roześmiał. Śmiał się, gdy zamachnął się uzbrojonym ramieniem i zakończony ochronnym guzem rapier trafił w szpadę granda niczym płonący miecz archanioła Gabriela. Poruszał się, robiąc uniki, jakby frunął. Niby Lucyfer zlatujący ku ziemi na przypalonych skrzydłach, blokował i odparowywał, nacierał i odstępował, z elegancją i precyzją zakorzenioną tak głęboko, że frunął nawet wtedy, gdy się potykał.

Helenie zapało dech, gdy do walki przyłączył się drugi mężczyzna. Zrzucił płaszcz i pozostawszy w samej koszuli, ruszył do ataku. To było nieuczciwe. Za wiele tego. Ram może zostać ranny.

Ale on tylko cofnął się w kąt, używając otaczających widzów jako tarczy. Mężczyzna w samej koszuli stęknął z rozczarowania i natarł ponownie. Ramsey zrobił unik, obracając się bokiem. Czubek szpady przeciwnika go minął. Chwyciwszy gardę, Ram wychylił się w tył, zmuszając przeciwnika do długiego pchnięcia, tymczasem koniec jego rapiera przywarł do koszuli tamtego dokładnie nad sercem.

- Jeden załatwiony - powiedział beztrosko i zamiótł nonszalancko stopą między piętami przeciwnika, powalając go z trzaskiem na ziemię. Tłum zawył z zachwyty.

A grand znowu natarł.

- Co to było, u licha? - wydyszał.  
- Szkocka gra - odrzekł Ramsey. Nie wyglądał na ani trochę zadyszanego. - Prymitywna, ale skuteczna.  
- Przecież... ty byłeś uczniem... Angela? - Grand przypuścił wysokie natarcie, zmuszając Rama do uniesienia rapiera i odsłonięcia boku.

- Popieram wszystko, co wygrywa - odparł Ram. Stał szcęknięta, gdy grand nagle zadał pchnięcie w dół. Ram odparował i mówił dalej: - Sir John Hope przedstawia kilka interesujących spostrzeżeń. Nazywa je „regułami”.

- Powiedz, jakich - wysapał grand.

- Cokolwiek robisz, niech to zawsze będzie wykonane... spokojnie. -Zamiótł ramieniem w dół, by odeprzeć nagły pozorowany atak. -I bez emocji. - Ciągnął wylizaną, przyjmując pchnięcie granda i ześlizgując czubkiem swojej szpady po jego ostrzu.

- I bez pośpiechu, ale zdecydowanie... - Natarł na przeciwnika wzdłuż linii jego klingi; grand spróbował odparować, ustępując pola... ale uderzenie stali o stal zawibrowało w powietrzu - ...I z całą wyobraźną werwą.

Zdawało się, że ostrze Ramseya ma zęby, gdy wysoko przytrzymało ostrze granda, a potem zeszło w dół w szybkiej i czystej riposcie. Tak szybko, że Helena nie dojrzała, jak to się stało, czubek ostrza Ramseya spoczął u nasady szyi granda. Tłum wybuchł aplauzem.

- Czy on nie jest wspaniały?

Helena wzdrygnęła się i spojrzała w dół. Oswald Goodwin stał przy niej, a dzwoneczki jego błazeńskiej czapki brzęczały cicho, gdy wspinał się na czubki butów, by lepiej widzieć.

- Pewnie nigdy pani nie zobaczy lepszej szermierki niż ta, panno Nash! - wykrzyknął z żarliwym uwielbieniem dla bohatera. -No nie! On znów staje do walki!

Helena przyglądała się niespokojnie Ramowi. Lekko się chwiały, wodząc wzrokiem po kręgu twarzy w maskach.

- Kto następny? Zapraszam! Ktoś z was musi być godnym przeciwnikiem!

Kiedy nikt nie przyjął wyzwania, machnął pogardliwie ręką.

Helena usłyszała głos Oswalda:

- Muszę lepiej widzieć. Muszę!

Niewiele ją przejęło jego odejście. Widziała tylko Ramseya, otoczonego zaciskającym się tłumem ludzi w maskach i kostiumach, których przenikliwy śmiech brzmiał jak ujadanie sfory psów. Wszystkich z wyjątkiem jednej postaci.

Na wprost kręgu widzów z drugiej strony sali stał mężczyzna ubrany na czarno, w masce stylizowanej na jakiegoś drapieżnego ptaka z krótkim zakrzywionym dziobem. I skupiał uwagę nie na Ramseyu Munro, lecz na niej. Czuła na sobie jego zimne badawcze spojrzenie.

- No jak?! - wykrzyknął Ramsey i nagle, jakby on też wyczuł wrogi prąd przebiegający po sali, obrócił się i pochwycił spojrzenie drapieżnego ptaka.

- A pan co na to? Wygląda pan na człowieka, który przynajmniej trzymał w ręku szpadę.

Mężczyzna drgnął, ale zaraz pokręcił głową na znak odmowy.

- Nie? - Ram przyglądał mu się jeszcze przez sekundę. - Chyba pana znam i...

- Ja spróbuję.

Głos młodego człowieka przebił się przez hałas. Do kręgu wkroczył młody radża w turbanie zdobionym sztucznymi klejnotami, w pierścieniach na palcach i perłach w uszach. Ramsey rozłożył otwarte dłonie, żartobliwie się poddając.

- Dobry Boże, Figburt, jeśli zamierza pan oślepić przeciwnika, to udało się panu ponad wszelkie wyobrażenie.

Był to chłopiec z Vauxhall.

- A teraz otrzyj mleko z ust i zabieraj się stąd, nim twoja matka zacznie się dobijać do mych drzwi, pytając, co zrobiłem z jej berbeciem.

Tłum ryknął śmiechem.

- O nie, proszę pana - odparł chłopiec. - Nie odejdę, póki nie spróbuję się z panem na szpady.

- Na litość boską, Figburt. Czego chcesz dowieść?

- Że nie da pan rady mnie rozbroić.

- Ach - powiedział Ram. - Mały rewanz?

- Właśnie.

- Jestem daleki od ostrzegania przed mściwymi przedsięwzięciami. Ale zaczekaj sekundę, chłopcze. Jeśli mam odegrać wypadki tej pamiętnej nocy...

- Jego spojrzenie wędrowało po kręgu twarzy i wreszcie padło na młodą kobietę, której blond włosy opadały na prawie nagi biust. Chwycił ją za nadgarstek, pociągnął naprzód i przechylił sobie przez ramię.

Helena poczuła, że krew odpływa jej z twarzy.

- Na szczęście.

Jego usta opadły na usta dziewczyny. Ta zarzuciła mu jedną rękę na szyję, przyciągając jego głowę, a drugą położyła wysoko na udzie Rama i przesunęła nią w górę. Tłum huczał i gwizdał, niektórzy klaskali.

Helena poczuła się, jakby jej wymierzono policzek. Jak gdyby on ją uderzył. Ręka dziewczyny przesunęła się wyżej, szukając bardziej intymnego celu. Helena zacisnęła powieki, omdlewając z upokorzenia, a gdy je otworzyła, napotkała utkwione w sobie oczy Ramseya Munro, poważne i pełne rozpacz. Dziewczyna wciąż wiła się wokół niego, jego ciało wciąż zginało się nad nią, ale oczy należały do Heleny.

Nie chciała go.

Należał do zbyt wielu.

Potykaçąc się, wstała z krzesła i przepchnęła przez tłum tańczący po obwodzie sali. Przed sobą ujrzała drzwi stojące otworem. Wypadła przez nie w tylną uliczkę, oświetloną dymiącymi latarniami i zasnutą mgłą. Mżył drobny deszcz, od którego cienie nabierały blasku, a bruk stawał się śliski. Jakaś para spleciona w uścisku blokowała wyjście na główną ulicę, wydając odgłosy zwierzęcej żądz.

Helena zawróciła w przeciwną stronę, mijając stosy skrzynek i rzędy drzwi z desek, stosy odpadków i sterty potłuczonych butelek. Nad nią ciemne oczy okien patrzyły w dół z wrogą obojętnością. Wydłużyła krok, bo gęsta, ciepła mżawka stawała się coraz mocniejsza.

Aksamitne spódnice namakały, ale Helena nie zwracała na to uwagi. W myślach zaczęła litanie samopotępienia.

Jakaż była głupia! Pragnęła zbliżyć się do płonącego anioła i się nie oparzyć. Pragnęła znaleźć się w jego ramionach...

Uliczka prowadziła na małe podwórko zastawione przez połamany wózek, tak że jedyne wyjście stanowiła ciasna czarna szczelina w rogu. Zatrzymała się, poczuwszy nagle za sobą niebezpieczeństwo.

Nie była sama. Był tu jeszcze ktoś. Ktoś, kto jej źle życzy.

Cofnęła się i mrugając w gęstym deszczu, rozglądała się za źródłem zagrożenia, ale uliczka, z której wyszła, była ukryta w deszczu i mgle. Próbowała nasłuchiwać, ale słyszała tylko szum deszczu.

- Mogę cię ocalić.

Znieruchomiała. Szept rozbrzmiewał echem w podwórku, nie mogła więc rozpoznać, skąd dochodzi. Wyrwała jedną z połamanych szprych wózka, uniosła i zamierzyła się nią jak pałką.

- Odejdź ode mnie.

- Co ty sobie wyobrażasz? - szeptał rozgniewany głos. - Popatrz na siebie. Włosy masz zmierzwiłone jak ladacznica, piersi odsłonięte. Ohyda! Nie powinnaś się tu znaleźć.

- Nie powinnam - przyznała. - To był błąd. Już sobie idę.

- Traktujesz mnie protekcyjnie? - Głos był zimny. Ale czy odezwał się bliżej?

Obróciła się, nieznacznie przysuwając do ściany ze szprychą wzniesioną wysoko w dłoni.

- Nie.

- Lepiej tego nie rób. Przypomnij sobie, do kogo należysz.

Do kogo miałyby należeć? Dygotała, zmieszana i wystraszona.

- Kim pan jest?

- Śmiesz ze mną igrzać? - Ciemna postać nagle wyłoniła się z mroku, podchodząc do niej. Drapieżny ptak. - Pomyśl, moja droga. Kim miałbym być? Przecież wiesz. A jeśli nie, ja cię nauczę! - Rzucił się ku niej z wierzchem dłoni wzniesionym, by wymierzyć uderzenie.

Cofnęła się, wpadając na wózek. W ostatniej chwili złapała się ściany, ale uderzyła boleśnie ramionami o mokrą cegłę. Dźgnęła przed siebie szprychą. Na ten widok mężczyzna zatrzymał się i roześmiał.

- Niestety, moja droga, nie jesteś Ramseyem Munro.

- Nie - odezwał się jakiś głos. - Ale ja nim jestem.

### *13. Corps-a-corps:*

*dostłownie „ciało do ciała”;*

*kontakt fizyczny między dwoma*

*szermierzami podczas walki, nieprzepisowy,*

*jeśli spowodowany rozmyślnie*

Napastnik wytrącił szprychę z dłoni Heleny. Potem szarpnął ją za rękę i pchnął na Rama, a sam zniknął w czarnej czeluści w kącie podwórka.

- Nic ci nie zrobił? - spytał Ramsey, podtrzymując dziewczynę.

Pokręciła głową. Próbował ją odsunąć i ruszyć w pościg za napastnikiem, ale przywarła do niego całym ciałem.

- Proszę. Nie zostawiaj mnie. On sobie poszedł.

Mięsień drgnął w jego szczupłej szczęce, ale nie rozluźnił uścisku.

- Co tu robisz? Gdybyś nie zauważyła sama, wiedz, że to nie jest Aleja Kochanków.

Zmartwiała, pojawiając się, że tymi słowami dał jej do zrozumienia to samo, co czuła, kiedy ich oczy spotkały się w sali balowej: że rozpoznał w niej bezwstydną młodą kobietę w spodniach, którą całował w Vauxhall. Zesztywniała.

- Nie bój się, Corie - powiedział, leciutko się uśmiechając. - Twoja cena na anonimowość jest bezpieczna. Nie jestem bliższy odkrycia twojej tożsa-

mości, niż byłem w Vauxhall. Ale i nie jestem głuchy, kochanie. Twój żonaty kochaś krzyknął, żebyś wdziała różową suknię na następną schadzkę. Więc kiedy zobaczyłem kobietę w różowej sukni obok tego samego błazna, którego wtedy widziałem, domyśliłem się, kim jesteś. Ale nie twego imienia. Nie tego prawdziwego.

Tylko jeden powód mógł sprawić, że tak gorliwie starała się pozostać bezimienna: cokolwiek robiła lub chciała robić, lepiej było zachować to w sekrecie, pod osłoną maski i ciemności. Czyli chodziło o rzeczy, do których wstydziła się przyznać, lub o kochanków, których istnienia nie chciała wyjawiać. A większą goryczą niż fakt, iż chciała tego czegoś zaledwie na krótką, intensywną i skradzioną chwilę, przepełniała go świadomość, że nie chciała tego od niego, tylko od tego arlekina.

Walczył z zazdrością, choć wiedział, że nie ma prawa jej osądzać. Ani prawa, ani powodu. Od tygodnia gryzł się słowami markiza, próbował odpedzić niezliczonymi butelkami wina wizję, którą dziadek roztoczył w jego umyśle, wizję kobiety szukającej tajemnego kochanka, owianego złą sławą, niebezpiecznego, do którego nigdy by się nie przyznała w świetle dnia. Nieobce mu to było już wcześniej. Ale żeby tą kobietą była Helena Nash!

Raptownie wypuścił ją z objęć i nieco się odsunął. Deszcz, który tymczasem rozpadał się na dobre, przemoczył mu koszulę, tak że prawie przezroczysta oblepiała rzeźbioną muskulaturę jego torsu, przylegała do żeber i brzucha.

Był wspaniały. Jak demon wód. Ciemny zarost pokrywał mu pierś i skręcał się wokół płaskich brodawek. Z prawej strony widniał ślad wyglądający jak stylizowana róża. To było niesamowicie, wyuzdanie zmysłowe.

- Gdzie się podział pani arlekin? - spytał Ram szorstko. - Do jego roli należy bronić panią przed niechcianymi awansami. A może - spojrzał na nią z chłodnym zainteresowaniem - nie były one niechciane? Ja zaś jestem niepożądanym intruzem? Jeśli tak, błagam o wybaczenie.

Kryształowo niebieskie oczy wbiły się w niego spoza wyciętych oczu maski. Poznał z ich spojrzenia moment, gdy Helena pojęła sens jego słów. Moment, w którym zdała sobie sprawę, jak ciężko ją obraził. Teraz z pewnością wymierzy mu policzek i odejdzie. A on będzie mógł sobie pójść.

Ale go nie uderzyła.

- Nie sugeruje pan chyba, że chciałam, by ten człowiek mnie napastował?

Wzruszył ramionami z wyszukaną obojętnością.

- Dlaczego nie? To byłaby pierwszorzędną przygoda.



- Poszłam tędy przypadkiem. Nie wiedziałam, że ktoś za mną idzie.  
- Rozumiem. Chciała pani wyjść sama z zabawy, a tu nie dość że jeden, lecz dwaj mężczyźni ruszyli w ślad za panią, ta wrona i ja. Zyskuje pani wielkie powodzenie.

- Dlaczego pan poszedł za mną?

Dlatego, że widziałem, jak sztywniejesz, patrząc, jak ta nędzna fładra próbuje wzniecić we mnie zainteresowanie. Dlatego, że widziałem, jak to cię obraża, a przez to obraża mnie. Poszedłem za tobą, nim zdałem sobie sprawę, co robisz. Dlatego, że tak właśnie zachowuję się ostatnio, jeśli sprawa ciebie dotyczy. Moja ostrożność i dyskrecja spaliły się na popiół z pożądania i rozproszyły na wietrze, zostawiając tylko odruchy i impulsy. Czyli to, czym szermierz gardzi, jeśli chce żyć. Dlatego, że wyjście, które pani wybrała, prowadziło w miejsca, które znam jako niebezpieczne dla samotnej kobiety.  
- Była w tym część prawdy.

- W takim razie jeszcze raz winna jestem panu podziękowanie i prośbę, by pan mnie odprowadził gdzieś, gdzie można nająć dorożkę.

- Nie przyjmę pani wdzięczności, przynajmniej nie za taki drobiazg.

Na te słowa zadarła głowę, a on uśmiechnął się, leniwie wspierając się ramieniem o mur i zamykając jej wyjście. Jest łajdakiem i lekkomyślnym narwańcem. Nie przejmował się tym. Bezczelnie powiódł po niej znaczącym spojrzeniem. Niech pomyśli, że jest niebezpieczny i pijany. Do licha, jest pijany, stale jest pijany, mniej lub bardziej, od wizyty markiza. Dlatego, że markiz, niech szlag go trafi, obudził demony, które Ram wolałby pozostawić w uśpieniu.

A co do bycia niebezpiecznym... Tego też nie musi udawać. Kiedy jej skóra mieni się perłowo, włosy skręcają w ciemne wilgotne pasma, opadają na śnieżnobiałe ramiona i niżej na biust wychylający się z głębokiego dekoltu.

Wyglądała jak wyrzeźbiona z mlecznego lodu, jak istota niezdolna wytrzymać gorąca męskiej namiętności. Gdyby mógł nie wiedzieć, że to pozór. Gdyby mógł nie wiedzieć, że ciepłe, rubinowe wargi są lepszym barometrem jej żaru niż chłodne, lodowoniebieskie oczy, jasne włosy, smukłe dłonie. Ale wiedział.

Wyciągnął rękę i powiódł czubkiem palca po mokrej krawędzi złoto pomalowanej maski. Wyzbył się dumy. Nie zostało w nim nic prócz pożądania: mieć w ramionach Helenę, całować ją, kochać się z nią. O niczym innym nie był zdolny myśleć. Ani o tym, dlaczego ona tu jest, ani dlaczego on, ani co przyniesie jutro, ani co wczoraj zostawiło po sobie.

- To już drugi raz, kiedy pani błazen zostawił ją na pastwę losu - powie dział. - Albo raczej pani od niego uciekła. Czy to możliwe, by była pani tak niedoświadczona, żeby uważać pogoń za najlepszą część tej zabawy?

Nie odpowiedziała. Po prostu stała, poddając się jego lekkiej, muskającej pieszczoce, w deszczu perlącym się jej na ramionach i spływającym na piersi. Zniżył palec do jej nagiego dekoltu i złowił spęczniałą kroplę w ostatniej chwili, nim zniknęła w ciemnej rozpadlinie między piersiami. Helena zadrżała, gdy uniósł palec do warg i spił kroplę.

- To się nawet nie da porównać - szeptał kusząco. - Zgoda, że są biedacy, którzy nigdy nie osiągają błęgiego, płomiennego zakończenia. Szukają, tro pią, walczą i dążą. Serce im przyspiesza, płuca się wysilają.

Musnął spojrzeniem jej zaróżowione ciało.

- Ale nie znajdują zadowolenia, ku jakiemu zmierza ten rozkoszny trud. W końcu ustępują rozczarowani, pobudzeni przez cel, który istnieje poza ich zasięgiem, ale nie poza zasięgiem ich wyobraźni. Chodź, dziewczyno. Twój arlekin to tylko chłopiec. Doświadczenie, jakiego pragniesz, wymaga mężczyzny.

Uniosła zamaskowaną twarz.

- Mężczyzny z bogatą praktyką w osiągnięciu płomiennego zakończenia?

Odczytał aluzję tkwiącą w tym zdyszczonym pytaniu. Nie znajdował na nie odpowiedzi. Miał aż za wiele doświadczenia i za wiele razy chwile po kulminacji były puste. Porzucił wyblakłe wspomnienia, skupiony tylko na jednym - na Helenie.

- Czy nie po to pani tu przysłała?

Słyszał jej urywany oddech. Widział jej fascynację i strach. Najcichszy dźwięk nie zakłócał tej chwili. Mgła otaczała ich jak ciepły koc, zasłaniając wszystko, czego dosięgła, rozmywając ostre kontury i zamazując brzydotę otoczenia.

- Daj mi się poprowadzić, moja mała podróżniczko - namawiał łagodnie. - Pozwól, bym stał się twoją przygodą. - Jego usta zawisły tuż nad słodką, płynną linią, gdzie szyja łączy się z ramieniem. Pachniała suszoną lawendą, wilgotnym pudrem i deszczem. - Powiedz tak. Daj mi zgodę.

Zadrżała pod jego lekkim, urywanym oddechem. Jego wargi musnęły jej ramię. Dopiero wtedy przestała wstrzymywać oddech, wydając westchnienie pełne trwogi, przyzwolenia i... podniecenia. Nie potrafiła wyprzeć się podniecenia.

- Dlaczego ja? - szepnęła. - Są inne kobiety, dużo lepsze...

- Nie ma innej kobiety - mruzczał, przywierając ustami do kremowej kołomy jej szyi. -Nikt tylko ty.

Rozpaczliwie pragnęła mu wierzyć. Głos miał poważny, głęboki, łamiący się. Ale obraz tamtej rozwiązłej piękności z dłonią między jego nogami przemknął jej przed oczyma jak kwas wylany na obraz, niszcząc jego zapewnienia i jej zdolność dania im wiary.

Odepchnęła go.

- Nie mogę...

Chwyił ją za ramiona, okręcił w miejscu, ustawiając tyłem, i pociągnął ku sobie, przycisnął mocno do piersi. Spadł ustami na jej szyję, a wtedy nagle, jakby odbijając raptowną zmianę nastroju, mglista mżawka przybrała na sile.

Powinna była walczyć. Uwolnić się. Ale głód raz obudzony rósł w niej jak zwierzę czekające nakarmienia. Wyciągnęła ręce za siebie i przeczesła palcami jego gęste, wilgotne loki, a głowę oparła na jego szerokim barku. Pod osłoną maski zamknęła oczy.

Powiódł ustami w górę jej szyi, pod brodą po delikatnej skórze pod konchą ucha, a potem w dół, do obojczyka. Tropił czubkiem języka jego zarys, przysuwając na siebie coraz więcej jej ciężaru, w miarę jak kolana jej słabły pod zmysłowym szturmem.

Próbowała się obrócić w jego uścisku, ale otoczył ją w pasie, utrzymując w miejscu, przyciśniętą do niego.

- Nie walcz - szeptał zduszonym głosem. - Tylko czuj.

Posłuchała go.

Wyczuł, że jej napięcie ustępuje, że stopniowo poddaje się rozkoszy. Poddaje się jemu. Deszcz lał się teraz strugami, kłujący i ciepły, przenikający do głębi jak pożądanie, które zalewało jego myśli, plany, sumienie i rozsądek, zatapiając wszystko.

Rozłożył dłoń na powierzchni stanika jej sukni, a natrafiwszy na sztywną płaszczyznę w miejscu, gdzie powinno być miękkie ciało, rozciągnął sznurowanie, wydobyl usztywnienie gorsetu i rzucił na ziemię. Pod spodem została tylko cienka batystowa koszula, na której tajemniczo odciskał się zarys sutków.

Zacieśnił chwyt, położył dłoń na szczycie jej piersi i powiódł w dół. Z gardła Heleny wydarł się cichy jęk rozkoszy.

Powinna go powstrzymać. Powinna natychmiast to zakończyć.

Zanurzył dłoń głębiej, uwalniając pierś z rozluźnionego materiału. Nie napotkał oporu. Helena splotła ręce wokół jego szyi, odchylając głowę i wy-

ginając się w łuk, poddając się jego pieścizocie. Całował jej szyję, czując na wargach i języku skaczący puls. Sutek, który nakrywał wnętrzem dłoni, zbił się w twardą perelkę.

Nigdy nie doznał tak gwałtownego, tak silnego podniecenia. Rozpaczliwie próbował poskromić pożądanie, przywołać nieobecne sumienie i rozsądek. Bez skutku.

Pragnął jej. Musiał ją mieć.

Okręcił ją wkoło i przewiesił sobie przez ramię. Dygocząc cały, delikatnie ścisnął miękką pierś, przysunawszy do ust, zaczął ją ssać. Pod cienkim wolem deszczu skóra Heleny zaczerwieniła się, wonna i ciepła jak miód i whisky - mocna, uderzająca do głowy whisky. Gdy tak ssał, jej pierś drgnęła, a w płucach zrodziły się leciutkie westchnienia i jęki, przytłumione maską. Złota farba zmywała się i ciekła strużkami po jej szyi i ramionach, spływała w dół po piersiach, plamiąc różowy aksamit i leciutką jak babie lato koronkę.

Sycił się jej rozkoszą, napawał jej podnieceniem, lizał, ssał i smakował, i wciąż pragnął więcej. Podrzucił ją na rękach, przeniósł pod ścianę, postawił i otoczył ramionami, osłaniając przed strugami deszczu.

- Pocałuj mnie.

Poderwała głowę, a on zaklął na widok maski, której obecność dźgała go jak zimny nóż.

„Czy ona nosi maskę? Jakie imię ci podała? Czy w ogóle podała ci jakieś imię?” Tydzień pijaństwa nie wymazał słów markiza.

- Zdejmij ją. Zdejmij tę przeklętą maskę! - Tęsknota i ból w jego głosie odarły go ze zwykłej nonszalancji i wyniosłości. Z jękiem uniósł dłoń, by strącić przebrzydłą maskę z jej twarzy, ale jej dłoń okazała się szybsza, chwytając go za przegub z siłą zrodzoną z desperacji.

- Nie! Nie! - dyszała. - Proszę!

- Dlaczego? - spytał. - Czy anonimowość jest tak pikantną przyprawą grzechu? Albo może jesteś tak ważną osobistością że wyjawienie twej tożsamości wywróci wielkie trony w Europie? - rzucił kpiąco. - Kim pani jest, madame, księżniczką? Wielką księżną? Wielką dziedziczką? - rzucał jej wyzwanie, ciekaw, czy będzie śmiała skłamać, odsłonić się jako awanturka, jaką już się ogłosiła, w co on, głupi, nie chciał wierzyć. Teraz wreszcie uwierzy. Zmusi się do tego, by uwierzyć.

Chłostał ją swą pogardą, a ona, mimo że w rozpiętym staniku i z nagimi piersiami, ociekająca w deszczu tanią złotą farbą, tylko spuściła głowę. Jej zgięty kark nappełnił go niezrozumiałą czułością i natrętnym przymusem, by błagać o wybaczenie.

- Więc jak?! - wykrzyknął, nienawidząc tego, że został odarty z jedynej rzeczy, jaką zawsze posiadał: ciężko zdobytego opanowania.

- Nie - wyszeptała z wielką powagą. - Źle to pan zrozumiał. Ja jestem nikim.

..Nikim". Żadne inne słowo nie pokonałoby go tak absolutnie.

..Jesteś nikim, chłopcze", powiedziała kiedyś zmęczona stara kobieta w przytułku. „Szkockim bękartem. Pensa za tuzin takich ostatnimi czasy. Pół pensa. Nic ci nie przyjdzie ze strojenia fochów. Jesteś nikim. Lepiej o tym pamiętaj".

Próbował podsycać w sobie wściekłość, ale rozplywała się z każdym jej drżącym oddechem.

- Dlaczego musisz nosić maskę?

- Bo... - zawahała się, naciągając koszulę, by zakryć piersi - nie zniosłabym, gdybyś się rozczarował.

- Rozczarował? - Żarty sobie z niego stroi? Niewiele kobiet w Londynie mogłoby stawić czoła jej piękności. Jednak jej słowa brzmiały szczerze. Postawiłby własne życie na to, że mówiła prawdę. Ale jak może nie wiedzieć o tym, co opiewa cały Londyn?

Nagle nasunęło mu się inne wytłumaczenie. Ona nie wie, że ją rozpoznał. Myśli, że gdyby zdjęła maskę, odsłoniłaby się jako córka człowieka, który ocalił mu życie. Człowieka, który był szlachetnym bohaterem wojennym. Oczywiście, że nie chce, by Ram się dowiedział, że córka kapitana Nasha włóczy się po White Friars.

Więc może chciała mu jednak powiedzieć prawdę, tyle że zakamuflowaną kłamstwem. Może boi się go rozczarować, ale nie z powodów, jakich by się spodziewał. Lepiej, by myślał, że ukrywa fizyczną skazę czy niedoskonałość, niż że okryła hańbą pamięć ojca.

Wyrwał dłoń z jej chwytu i opuścił do boku.

- W takim razie jak mam cię pocałować w usta?

Helena wahała się, badając spojrzeniem jego twarz, szukając fałszu, znaku, że nie można mu ufać. Nie znalazła. Stał w deszczu jak posąg, przemoczona koszula wtapiała się w jego szeroki tors i muskularne ramiona. Pierś wznosiła mu się i opadała, jakby z trudem chwycił oddech, ale oczy miał spokojne.

Uciekaj! - powiedziała sobie, uciekaj, dopóki on trwa w tym stanie, skłonny się zgodzić. Ale... jego głos był tak zbolący.

- Zamknij oczy - powiedziała łagodnie.

Przygarbił się.

- Niech się pani nie martwi. Nie powstrzymam pani od odejścia tym razem.

- Powiedział mi pan kiedyś, że ma dwie poważne wady, a jedną z nich jest to, że jest pan wielkim kłamcą.

Nachmurzył się.

- Tym razem nie skłamię.

- Więc jeśli pozwala mi pan odejść, to nie zrobi panu wielkiej różnicy, czy będzie miał oczy otwarte, czy zamknięte, kiedy odejdę? - spytała, zdumiona zuchwałością tej niemądrej Heleny Nash, która zajęła miejsce rozsądnej, ostrożnej kobiety, jaką znała. - Proszę zamknąć oczy.

Zacisnęła powieki, a ona położyła na nich dłoń i wspiąwszy się na palce, drugą dłonią oparła się o jego szeroką pierś. Serce było mu jak oszalałe pod jej dłonią.

Przysunęła wargi blisko jego ucha.

- Jeśli jest pan zdolny dać obietnicę, której dotrzyma, to proszę o tę jedną.

Proszę nie otwierać oczu.

Ściągnęła maskę, która zsunęła się i zawisła na troczkach na jej szyi. Potem pocałowała go, delikatnie stapiając usta z jego ustami.

Przez krótką chwilę przyjmował ten pocałunek. Ośmielona jego pozorną uległością, przeczesała wolną ręką jedwabisty mokry gąszcz czarnych włosów, przyciskając usta mocniej do jego ust. Wygięta w łuk, przyciskała się do niego, całowała go z pasją, tak długo pogrzebaną w zapomnieniu. Całowała go, jakby nie potrafiła przestać, jakby chciała utonąć w jego objęciach.

Nigdy przedtem żadna kobieta tak go nie całowała. Nie znajdował słów, by opisać tak przejmujące i bezgraniczne pożądanie. Odchylił jej głowę, wciąż mając jej dłoń na oczach, i znalazł jej usta już otwarte, czekające na jego język, poddane mu, by pokazał jej, co robić, jak osiągnąć szczyt rozkoszy.

To go pogrążyło.

Ta niewinność w sprawach cielesnych. Ta porażająca cnota. Przycisnął ją do ściany, wepchnąwszy udo między jej uda, sięgnął w dół, podciągając obfite warstwy tkaniny, dopóki nie poczuł atlasowego ciepła delikatnego ciała.

Jęk zawibrował głęboko w jej gardle. Pragnęła tego. Tak jak on. Nic ich nie powstrzymywało. Jego dłonie ślizgały się w górę po długich, szczupłych nogach, aż napotkały miękką wypukłość pośladków. Żądza bodła go jak włócznią, do bólu. Ujął w dłonie miękkie kobiece ciało i ją uniośł. Zmusił się, by tak trwać, gdy jej dłoń jak przepaska zasłaniała mu górę twarzy, a ich usta zwierzały się w namiętnej walce, gdy jego członek naciskał na złączenie jej ud. Tak, żeby pojęła, co będzie dalej. Co jest nieuniknione.

Wydała dźwięk będący ni to pomrukiem, ni to jękiem. Jej dłoń opadła mu z oczu, gdy objęła go rękami za szyję, z twarzą przyciśniętą do jego ramienia. Jej oddech uderzał go w ucho, zdyszany z pożądania. I poruszała się, ocierała się o jego erekcję.

Pozwolił jej. Pozwolił użyć jego ciała, znaleźć twardość, która koła bolesny puls podniecenia, cały czas próbując okiełznać własnego demona, który domagał się, by wziąć ją natychmiast. Ból szarpał jego niecierpliwe ciało. Pożądanie targnęło nim. Odchylił do tyłu głowę, zacisnął zęby z powściągliwością, którą w sobie wyćwiczył, a jej biodra ocierały się o niego niepewnie i niewprawnie.

Dziewica? Tak. Albo prawie tak samo niedoświadczona, bez różnicy. Na tyle niezręczna w swym desperackim tropieniu odwiecznych rytmów, że jeśli nie była dziewicą, przeklinał mężczyznę, który wprowadził ją w kobiecość. A jednocześnie do jego umysłu wsączał się szydery szept: Ty jesteś nie lepszy. Ponieważ czuł, że sam długo nie wytrzyma, zanim wyleje nasienie lub zadrze jej spódnice i wejdzie w nią.

W deszczu. Pod ścianą. W obskurnej bocznej uliczce.

Nie. Nie. Nie. Nie będzie tak myślał. Zapomni o wszystkim prócz jej dotknięć w niezgrabnych, rozdzierających duszę, leciutkich pchnięciach o jego ciało. Nie będzie słyszał niczego oprócz jej westchnień i zdyszanego oddechu, gdy chowa twarz wtuloną w jego szyję. Odda jej się, by go użyła, a potem będzie ją miał.

Dlaczego nie? Dlaczego nie dać im obojgu tego, czego tak rozpaczliwie pragną?

Gdzieś w końcu uliczki z trzaskiem otworzyło się okno i jakiś głos zawołał:

- Moje łóżko jest puste, panowie! Nie chce kto trochę zabawy? Trojaka za wszystko, czego chcecie!

Z dzikim stęknieniem samozaparcia Ram oderwał się od niej. Wydała cichy jęk, skonsternowana, zaciskając błagalnie ramiona wokół jego szyi. Tylko tyle był zdolny wytrzymać.

- Nie - wychrypiał z pierśią falującą w wytężonym wysiłku. - Nie. Nie tutaj. Nie w taki sposób. Włóż na powrót maskę!

- Ale...

- Włóż maskę, jeśli nie chcesz być widziana! - wycedził przez zęby, stawiając ją na nogi i odwracając twarz, gdy czuł, jak jej drżące dłonie szukają maski i podnoszą ją do twarzy. Spuścił wzrok na maskę; za jej otworami oczy Heleny odbiły odrobinę światła. Były szeroko otwarte i zalane łzami.

Jego gniew walczył z litością i tęsknotą.

- Jeśli chcesz kochanka, pani, to na Boga, jestem twój. Znasz moje imię. Wiesz, gdzie mnie znaleźć. Wystarczy, że przyjdiesz do mnie. O każdej porze dnia lub nocy. W każdym przebraniu czy ubraniu. Jeśli chcesz, będę błagał o to. Ale nie zrobię tego tutaj. Nie w taki sposób.

Ona nie przyjdzie. Wiedział to już w momencie, gdy zmuszał się do wyrzeczenia tych słów. Mając czas, spojrzawszy na to z dystansu, odzyska rozsądek.

Szorstkie słowa przebijały się przez jej zamroczenie. On jej pragnie, tego była pewna. Nawet brak doświadczenia nie może jej uczynić ślepą na ten fakt. Pragnie jej tak samo jak ona jego.

Pomyślała, że powinna być wdzięczna, ale nie była. Była rozzalona, porzytowana, urażona, pomimo że bez wątpienia on działał w jej najlepszym interesie.

- Dlaczego?

- Dlaczego? - powtórzył i obrócił głowę, by spojrzeć w jej zamaskowaną twarz. - Bo to, czego chcę od ciebie, nie może być dane na schadzce w ciemnej uliczce. Bo jeśli zostaniemy tu chwilę dłużej, wezmę cię pod tą ścianą i nie będzie to nic godnego ciebie ani mnie. Chcę więcej. A ty czego chcesz?

Twoich ramion wokół mnie. Twych warg na moich. Twego ciała przyciśniętego do mnie twardo i niecierpliwie. Wpatrywała się w niego milcząco, dopóki z przekleństwem na ustach nie chwycił jej za nadgarstek i nie pociągnął na środek podwórka. Deszcz ustał i ziemia mieniła się od lśniących kałuż.

- Jedno z nas ma zamiar postąpić szlachetnie. Jedno z nas ma zamiar się zbłąźnić. Obawiam się, moja droga, że mnie przypadają obie role. A teraz ruszajmy, nim zapomnę o mych intencjach i próbuję wypełnić twoje.

#### *14. Froissement:*

*natarcie odbijające klingę przeciwnika  
silnym i szybkim ślizgiem wzdłuż ostrza*

Helena siedziała w powozie, wodząc niewidzącymi oczyma po ulicy za oknem. Maskę, całkiem splukaną ze złotej farby, trzymała na kolanach.  
Czuła



się zdumiewająco spokojna, z wyjątkiem lekkiego dreszczu. Ram wsadził ją do powozu, nie wypowiedziawszy słowa. Nie podniósł też ręki na pożegnanie.

Nie poznawała sama siebie.

Wbrew swej namiętej reakcji nie uważała się za rozpustnicę. Do czasu spotkania Rama Munro. I w tym, jak podejrzewała, tkwił problem.

Bo nawet teraz, widząc swą wilgotną suknię i strużki złota zasychające jej na ramionach i biuście, wiedząc, że wygląda w każdym calu jak kobieta wątpliwej reputacji, a nawet gorzej, zachowuje się jak taka osoba, nie żałowała tego wieczoru. Poza tym, że zadatki tego, co zaczęło się od pocałunków Rama i wzmogło pod ceglana ścianą, nie doczekały się spełnienia.

Nagle ogarnęła ją bezbrzeżna rozpacz. Gdzie on jest? Czy ta flądra, która tak bezczelnie sobie z nim poczynała, teraz go dotyka? Czy leży z nim, pod nim?

Jako najbliższa przyjaciółka własnej siostry, Kate, Helena była jej powiernicą. Niewiele było rzeczy dotyczących intymnego związku pomiędzy mężczyzną a kobietą, o których by nie wiedziała. Tyle że do tego wieczoru większość jej wiedzy była czysto teoretyczna.

Wiedziała, że zostawiła Rama w stanie dotkliwej fizycznej udręki, w stanie, w którym mężczyzna najprawdopodobniej zrobi, co trzeba, by ją usmierzyć. A gdyby ta kokota oddała się do jego dyspozycji, to przecież nie było powodu przypuszczać, że on z tego nie skorzysta - wbrew jego deklaracji, że nie ma innej kobiety niż Helena.

Chciała mu wierzyć i na pół przekonała sama siebie, że Ram naprawdę tak myśli. Jego słowa brzmiały tak prawdziwie, tak gniewnie. Jak gdyby wcale nie chciał, by była tą jedyną, ale nie był zdolny temu zapobiec. Niestety, jej praktyczny umysł upierał się, że jeśli to było prawdą, znaczyło, że zauroczył go kostium, maska, rola, jaką zagrała tylko kilka razy. Jak mógł ogłaszać ją „jedyną kobietą”, jeśli jej nie znał? Jeśli nigdy nie widział jej twarzy?

Ram Munro nie wydawał się typem mężczyzny, który daje się omamić mrzonkom. Ale nienawistna jej była myśl, że jest bezwzględny uwodzicielem, mówiącym to, co pozwoli mu dostać, czego chce.

Tak czy inaczej, powinna trzymać się z daleka od Rama Munro. Nie wolno jej nawet rozważać możliwości przyjęcia skandalicznej propozycji, by została jego kochanką. To by ją dobiło.

Ale pójść do niego jako jego kochanka... Sycić się doznaniem, które w niej wywołał. Czy błagałby ojej względy, gdyby zechciała? Czy może skończyłaby, sama błagając o jego względy?

- Proszę pani? Jesteśmy pod tym adresem, co mi pani dała. - Wzdrygnąwszy się, Helena zdała sobie sprawę, że powóz stoi przy krawężniku. Sądząc z tonu woźnicy, stoi już od jakiegoś czasu.

- Och. Oczywiście. - Otworzyła drzwi i zastała woźnicę czekającego przy nich na zewnątrz. Szybko wysiadła i sięgnęła do kieszeni po zapłatę, ale on uniósł dłoń.

- Dzentelmen już mi zapłacił, paniusiu. Całkiem przyzwoicie. Kazał dowieźć panią bezpiecznie, do których drzwi pani wskaże. Więc które to drzwi?

- To nie będzie potrzebne - odparła Helena. - Nic mi się nie stanie.

Woźnica zerknął na nią z powątpiewaniem, ale wspiął się z powrotem na kozioł. Uchyliwszy kapelusza, cmoknął na konia i odjechał. Rozejrzała się wkoło. Znajdowała się u wylotu znajomej, wysadzonej drzewami uliczki dla powozów, która oddzielała ogrody na tyłach wielkich domów na Placu Hanowerskim, gdzie mieszkała lady Tilpot, od mniej okazałych, ale też eleganckich budynków na Adam's Row.

Musi przejść sto metrów uliczką, po czym wśliznąć się w furtkę prowadzącą do kuchennego ogrodu lady Tilpot, a stamtąd do domu. Zgodnie z wcześniejszą umową, kucharka, jedyna osoba wśród służby lady Tilpot, której pozycja była nietykalna, zostawiła drzwi niezamknięte na klucz. Ale patrząc w dal długiej, cichej uliczki, Helena przypomniała sobie mężczyznę w masce ptaka, jego dłoń uniesioną, by ją uderzyć, jego pulsujący głos: „Ja cię nauczę!”

To było daleko stąd, powtarzała sobie. Tu jest bezpieczna.

Zagłębiła się w korytarz z listowia nad błotnistą alejką. O tak wczesnej godzinie większość powozów, które tu zwykle trzymano, była jeszcze na mieście, dowożąc właścicieli na bale i prozione obiady, koncerty i odczyty. Ruszyła naprzód.

Będąc w pół drogi, usłyszała z tyłu odgłos kroków. Obejrzała się przez ramię, ale światło padające z drzwi pustej stajni omijało kogoś stojącego w ciemności po drugiej stronie. Obróciła się z powrotem i przyspieszyła. Kroki z tyłu zgadzały się z rytmem jej kroków. Podciągnęła ciężkie, obszerne spódnice i puściła się biegiem.

Schwycił ją, nim zrobiła dwadzieścia kroków.

Zacisnął dłoń na jej przedramieniu, szarpnął ją i rzucił na ziemię, tak łatwo, jak sokół uśmierca gołębia w locie. Taftowe halki złagodziły impet upadku, ale nie powstrzymały powietrza od ucieczki z płuc ani włosów od rozsypania się luźno bez pogubionych szpilek. Machała rękami, by trafić napastnika, odgarniając ciężkie, wilgotne pukle z twarzy.

Forrester DeMarc stał nad nią sztywno wyprostowany, z wargami zaciśniętymi w bezkrwistą kreskę.

- Dlaczego mi to zrobiłaś?

Spojrzała na niego, zdumiona i przerażona jego pytaniem. Jego przeszywający wzrok padł na jej piersi, a wtedy w gorącym przypływie zakłopotania uniosła spódnicę i zasłoniła się przed jego spojrzeniem.

- Kto cię widział taką? - spytał, ustawiając się na wprost niej. - Zabiję ich. Wydłubię im oczy. Nikt nie zobaczy cię taką oprócz mnie.

- To pan? - Paraliż pozbawiający ją głosu ustąpił. - Co pan ma na myśli? Nie należę do pana.

- Do licha, należysz! Uganiałaś się za mną. Teraz jesteś moja.

- Co? - On jest szalony. Stał przed nią, spoglądając na nią z góry jadowitymi oczyma, a ona odskoczyła wstecz. - To był pan - wyszeptła. - W ulicze. I pan przysyłał róże.

- Nie igraj ze mną, Heleno.

- Nie igram.

- A co innego robisz ostatnio? Uprawiasz grę. Flirtujesz ze mną, łasisz się do mnie, zastawiasz na mnie sidła. Robiłaś, co tylko w twojej mocy, bym cię zauważył. Nie próbuj zaprzeczać.

- Nieprawda! Traktowałam pana z taką samą uprzejmością, jak każdego gościa lady Tilpot.

Nim mogła mu się wyrwać, chwycił ją za ramię i szarpnięciem postawił na nogi ze zdumiewającą siłą. Spróbowała się wykręcić, ale on boleśnie zacisnął chwyt.

- Kłamiesz - wycodził przez zęby. - Dlaczego kłamiesz? Chcesz, bym się stał zazdrosny?

- Nie! - zaprzeczyła.

Potrząsnął ją jak terier szczurem, mocno wbijając palce w jej skórę.

- Nie kłam!

- Ja nie kłamię. Nie wiem, o czym pan mówi. Nie zastawiałam pułapek. Nie chcę pana względów. Myli się pan. Proszę, milordzie! Pan mi zadaje ból.

- Nie chcesz mych względów? Nie zastawiałaś pułapek? Ha! - Jego śmiech zatęczał o histerię. - Twoje machinacje są widoczne dla każdego, moja droga. Niecałe dwa dni temu ktoś zwrócił mi uwagę, jak oczywiste jest to, co robisz.

- Kto by powiedział taką rzecz? To absurd.

- Nie wiem, w co grasz, Heleno. Ale ja się nie przyłączę. Jesteś moja i nauczysz się o tym pamiętać.

Wpatrywała się w niego z przerażeniem. On naprawdę w to wierzy, zdała sobie sprawę. Naprawdę jest szalony.

- Proszę, niech pan mnie wypuści. Poprawię się - szepnęła, próbując udawać skruszoną. - Proszę. Lady Tilpot wróci lada chwila i może wejść do mego pokoju i odkryć, że mnie nie ma. A wtedy będę jej musiała powie dzieć, co zaszło.

Przekrzywił głowę.

- Czy ty mi grozisz?

- Nie - zaprzeczyła skwapliwie. - Ale niezręcznie by mi było wyjaśniać jej, skąd mam sińce na ręce.

Jego twarz wyrażała tylko pogardę.

- Powiedz, komu chcesz, że ja ci je zrobiłem. - Pochylił się ku niej. - Zaprzeczę. Czy naprawdę myślisz, że ktoś ci uwierzy? Uwierzą mnie, wi cehrabiemu, czy tobie... która jesteś niczym?

Miał rację. Bez świadka to było jego słowo przeciwko jej.

- Proszę. Niech mnie pan zostawi.

- Zostawić cię? O nie! Tej jednej rzeczy na pewno nie zrobię, moja droga. Z całą pewnością cię nie zostawię. Gdziekolwiek się udasz za próg lady Tilpot, będę cię śledził. I - zazgrzytał zębami - póki nie zdecyduję, co z tobą zrobię, masz się sprawować idealnie.

Przełknęła ślinę, zahipnotyzowana jego arogancją i okrucieństwem w gło- sie. Jakby strofował psa.

- Rozumiesz?

Kiwnęła głową, ale to mu nie wystarczyło. Uszczypnął ją, aż się skrzywi- ła.

- Masz przecież głos. Użyj go. Rozumiesz?

- Tak - pisnęła. - Tak. Rozumiem.

- Dobrze. - Nagle, jakby właśnie sobie uświadomił, że rzecz, którą trzy- ma, jest brudna, puścił jej ramię i wytarł palce o rękaw. - Więc idź. Biegnij. Biegnij do tego domu i nie śmiej wyjść, jeśli nie masz uczciwego powodu, z uczciwymi ludźmi.

Kiwała głową gorliwie. Wszystko, byle tylko się od niego uwolnić.

Zmrużył oczy.

- Uważaj na mnie, Heleno. Dowiem się, jeśli postąpisz inaczej. Będę cię śledził. Gdziekolwiek pójdziesz, pójdę za tobą. Nie znajdziesz miejsca, gdzie bym nie miał dostępu. Rozumiesz?

- Tak - szepnęła.

- Idź! - krzyknął.

Nie potrzebowała zachęty. Zebrała spódnice i popędziła, nie zważając na hałas, jaki sprawia, z rękami wyciągniętymi przed siebie, gdy wpadała w furtkę ogrodu. Zatrzasnęła drzwi kuchenne za sobą, zasunęła zasuwę i pobiegła przez puste pokoje, w górę po schodach, frunąc ku bezpieczeństwu swego pokoju.

Wpadła do środka, zatrzasnęła drzwi i przekręciła klucz. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że nie czuje się bezpieczna. Wątpiła, czy kiedykolwiek się poczuje. Ze zdławionym łkaniem się obróciła.

Jej łóżko było zasypane różami.

*Przechwycenie:  
przeciwnatarcie w celu powstrzymania  
natarcia pośredniego*

Dokąd wychodziła? - wypytywał Ramsey Billa Sorry'ego pięć dni później.

- Nie wychodziła w ogóle. - Bill pociągnął długi łyk piwa z kufła, który postawiła przed nim ładna dziewczyna z tawerny. Ramowi była skłonna zaproponować dużo więcej, ale biedaczysko zdawał się nie zauważać obfitości wystawionej na jego widok. Żaloszny pijaczyna.

- Musi czasem wychodzić - upierał się Ram. Nie śmiał pójść sam na Plac Hanowerski, aby Helena go nie spostrzegła i nie domyśliła się, że wie, kim ona jest. Dlatego posłał Billa Sorry'ego, by ją śledził w przebraniu robotnika naprawiającego żelazne ogrodzenie placu. Tylko że, według Billa, nie było co śledzić. Trzymała się blisko domu, rzadko ośmielając się wyjść, i to zawsze w towarzystwie lady Tilpot.

- Musi czasem wychodzić - powtórzył z naciskiem Ram.

- No tak. - Bill podrapał się w głowę. - Wczoraj wyszła i czekała z tą damą i jej bratanicą, aż powóz podjedzie i je zabierze. Ale weszła do domu, kiedy tylko tamte odjechały.

- Jak wyglądała?

- Pięknie, rzecz jasna. - Bill otarł usta rękawem. - Nigdy nie widział takiej urodziwej kobiety. Ma włosy jak... jak - zapatrzył się w swój kufel - jasne piwo.

- *Saulerne* - poprawił Ram w roztertargnieniu.

- Skoro pan tak mówi - zgodził się Bill. - Ładne, jak je zwał, tak zwał. Ale była jakaś taka spłoszona i...
- Ram wyciągnął rękę i chwycił Billa za przegub. Nadzwyczajna siła tkwiła w jego długich, smukłych palcach.
- I co?
- Bill wzruszył ramionami z niewyraźną miną.
- Samotna. Wyglądała... na samotną. Nie wiem, dlaczego, ale takem sobie pomyślał, jak ją zobaczyłem, a potem pomyślałem, jakie to okropne.
- Potrząsnął głową, jakby odrzucając coś, co sobie ubzdurał. - Głupie, no nie?
- Nie - powiedział Ram, zwalniając chwyt. - Nie. To jest okropne.



- Do diabła! - Dand Ross puścił pnącą różę, którą wiązał wygiętą w łuk, by tworzyła bramkę, i zaczął ssać skrwawione palce. - Jeśli rycerz rzeczywiście dał te przeklęte żółte róże opactwu za opiekę nad rodziną podczas zaraży, to chyba nie za bardzo się ucieszył, widząc ich całych i zdrowych po powrocie z krucjaty, bo toto może człowieka zabić. To nie są kolce, tylko cholerne sztylety!
- Douglas Stewart otarł pot z czoła i wstał z miejsca, gdzie pasował słupek w nowym kamiennym murku dzielącym ogród różany.
- Wczoraj miałeś całe uda podrapane i nawet nie pisnąłeś, a dziś nagle beczysz jak kozłą nad byle draśnięciem.
- To dlatego, że wczoraj zrobiłem coś, co było warte tych ran - wyjaśnił Dand. -Niczym sobie nie zasłużyłem, by mnie dźgały te diabelne róże, wszak dbam o nie od pięciu lat jak najtroskliwsza matka.
- Twoja matka musiała być rzadką doskonałością- dogadywał mu Ram, wtłaczając ciężki kamień do dziury, którą wcześniej wykopał -jeśli naśladujesz jej czułą troskę.
- Kit MacNeill, pchając taczkę załadowaną kamieniami, pojawił się w furcie w samą porę, by usłyszeć ostatnie słowa.
- Dand nie miał matki. Został spłodzony w piekle z resztą diabelskiego pomiotu. Przynajmniej tak opowiada John Glass młodszym chłopcom.
- Może i ma rację! - Dand uśmiechnął się bezbożnie. -Ale słyszałem, jak John mówił im to samo o tobie.
- Do licha z Johnem. - Douglas się nachmurzył.- Wmawia tym chłopcom, że mamy tu coś w rodzaju tajnego spisku.

- A nie mamy? - spytał Ram.
- Inni przerwali pracę i przyglądali się z ciekawości.
- O co ci chodzi? - spytał Kit.
- Dand przecież powiedział. Pracujemy w tym ogrodzie od pięciu lat, żeby go przywrócić, jak mówi brat Fidelis, Matce Kościołowi. Czy was nie dziwi, że żaden inny z chłopców nigdy tu nie pracuje? Że jesteśmy tylko my?
- Douglas kiwnął głową.
- Myślałem o tym. Bardzo często.
- A brat Toussaint? - ciągnął Ram. - Dlaczego opat chciał, by uczył nas szermierki i innych sztuk wojennych? Wiem, że niektórzy inni też biorą lekcje, ale nie tyle co my. Dużo mniej. - Wzruszył ramieniem na bolesne przypomnienie długich godzin spędzonych na powtarzaniu ćwiczeń, które im zadawał mnich i były żołnierz w jednej osobie.
- Ale dlaczego? - spytał Dand.
- Bo jesteśmy szkoleni do jakiegoś celu - odpowiedział Douglas poważnie. - Do czegoś ważnego. Czegoś, co zależy od naszego wspólnego działania, razem, jak jeden mąż, czegoś, co zależy od naszego... naszego braterstwa.
- To miało sens. Ram się rozejrzył. Inni też tak myśleli. Kit spoglądał surowo - no, ale on zawsze był taki. Ale i Dand kiwał głową z nietypową dla siebie powagą.
- No więc - stwierdził na koniec Kit - jeśli tego właśnie chce opat, to się nie skarzę. Jesteście dla mnie braćmi i oddam życie za każdego z was.
- Tylko Kit - duży, szorstki i milczący - mógł powiedzieć coś tak donkiszotowskiego bez sprowokowania Danda do kpin. Albo jego samego, uczciwie przyznał Ram.
- Ja tak samo - oświadczył Douglas.
- I ja - bąknął Dand. Spojrzał na Rama i jego oczy, przez chwilę poważne, nagle się zaświeciły. - A co z tobą, Ram? Nie zadeklarujesz z ochotą, że oddałbyś własne życie za moje?
- Chryste! - mruknął Ram z egzaltowanym westchnieniem, nie chcąc im okazać, jak dużo dla niego znaczą, że stali mu się rodziną, którą znalazł, gdy utracił wszystko. Wiedział, że pozostali czują to samo. Wiedział to na pewno. - Myślę, że gdybym musiał umrzeć za kogoś, mógłby to być jeden z was. Ale pod warunkiem, że to by was zobowiązało przez resztę nędznego życia śpiewać pochwały na mą cześć. Tak, nawet mi się ta myśl podoba. To by was okropnie drażniło. Zwłaszcza Danda.
- Myślę - mówił Douglas powoli - myślę, że powinniśmy przysiąc sobie wzajemnie wierność.

To było podobne do Douglasa czynić rytuał z czegoś, co i tak istniało bez formalnego kształtu. Ale Dand, uśmiechając się szelmowsko, uniósł krwawiącą dłoń i kiwnął głową.

- I przypieczętować to krwią? - zaproponował niewinnie. - Jestem gotów.

- To jest to! - oświadczył z entuzjazmem Douglas. - Krew róży.

Nie czekając na zgodę innych, chwycił gęsto pokryte kolcami pnącze, które Dand wiązał, raniąc dłoń w kilku miejscach i krzywiąc się z bólu.

- Do licha, boli. Dalej, teraz reszta was! A potem przysięgniemy sobie wzajemnie lojalność!

I, co zdumiewające, zrobili to.



Na ostry odgłos trzepnięcia Helena podskoczyła.

- Przepraszam, panno Nash! - Lokaj, który rozkładał serwetkę przed położeniem jej Helenie na kolanach, usprawiedliwiał się bardziej z wyrazem zdziwienia niż skruchy.

- Nic się nie stało, Simonie - zapewniła. Wiedziała, że jej zachowanie daje służbie powody do domysłów. Była podenerwowana, płochliwa. Musi z tym skończyć. To szaleństwo musi się skończyć.

Zerknąwszy na przeciwną stronę stołu nakrytego do lunchu, spotkała pełne nagany spojrzenie Flory. Z poczuciem winy przez minutę poświęcała całą uwagę jajku na twardo, chociaż wiedziała, że Flora nie zaczepi jej w obecności służby. Unikała Flory od niefortunnej przygody w White Friars pięć dni temu. Nie. To mydlenie oczu. Nie unikała, lecz ją opuściła.

Kiedy Flora zakradła się do jej pokoju późno w nocy i zastukała do drzwi, Helena ją zignorowała. A gdy wczoraj w korytarzu Flora zalana łzami chwyciła ją za rękaw, błagając o parę minut rozmowy, Helena zbyła ją jakimś „później”, którego nie zamierzała dotrzymać. Jest tchórzem. Obrzydliwym, żalonym tchórzem.

Nawet przemknęło jej przez myśl, żeby stąd uciec, zostawiwszy Florę własnemu losowi. I wcale nie poczucie obowiązku powstrzymało ją od tego kroku. Po prostu nie miała dokąd pójść. Nie było miejsca, w którym mogłaby się czuć bezpiecznie. Pożyczka na poczet spodziewanej spłaty od Kate nie wchodziła w rachubę. Nie mogła wszak zamieszkać samotnie, tylko z kilkorgiem nowo zatrudnionej służby. Co by było, gdyby on pewnego dnia



uznał, że zrobiła coś zasługującego na karę? Tutaj przynajmniej zawsze są w pobliżu ludzie, mała armia służących, a także budząca respekt pracodawczyni.

Znów zerknęła na Florę, skubiącą apatycznie śledzia. Nawet jaskrawość uroczej żółtej sukni nie mogła ukryć jej melancholii. Helena poczuła wyrzuty sumienia. Porozmawia z Florą wkrótce, ale teraz cała jej uwaga skupiła się na DeMarcu.

Kilka razy, gdy ośmieliła się wyjść sama z domu, czekał i pilnował. Nigdy się do niej nie zbliżał, ale zawsze był: w parku, gdzie przystanęła na czekoladę, w wypożyczalni książek, rozparty w swym powozie przy krawężniku ulicy, kiedy szła do modystki.

Tylko wtedy, gdy towarzyszyła lady Tilpot, znikał - albo pewien, że Helena nie zrobi nic, czego by jej pracodawczyni nie pochwałała, albo nie chcąc, by wiadano o jego nadzorze.

- Panno Nash!

Na głos lady Tilpot Helena drgnęła przestraszona.

- Gdybym pani nie znała - oświadczyła stara dama, wkraczając do pokoju wsparta na ramieniu lokaja - pomyślałabym, że uprawiała pani hazard.

- Nie, proszę pani.

- I to ze złym skutkiem. - Lady Tilpot zaczęła, aż lokaj przyciągnie krzesło na honorowe miejsce przy stole, a potem zasiadła jak napuszona kwoka. - Ten sposób, w jaki się pani wdryga i bawi rękami, i płoszy. To są reakcje osoby, która postawiła trochę pieniędzy, których nie ma, i teraz nie jest przygotowana na ich spłacenie.

- Nie, proszę pani - powtórzyła Helena.

- Pani bardziej niż kto inny powinna unikać hazardu - oświadczyła lady Tilpot, nie zważając na zaprzeczenia dziewczyny, tak jak ignorowała wszystko, czego nie chciała słyszeć. Było oczywiste, że bawiła ją myśl o Helenie wykradającej się, by przegrać tych niewiele pensów, jakie miała, wpadającej w szpony nałogu, nad którym straciła kontrolę. - Nie ma pani odpowiedniego usposobienia ani się na tym nie zna, ani nie ma sprytu, ani... ani...

- Pieniądzy? - podpowiedziała Helena.

- Tak, oczywiście to też - rzekła lady Tilpot, przewracając oczyma. - Ale ja miałam zamiar dodać, że nie ma pani rozeznania potrzebnego, by wygrać.

- Jestem pewna, że pani ma rację - zgodziła się Helena.

- Oczywiście. Za to ja - poklepała się po włosach - jestem dobrze uzbrojona, by pokonać Panią Fortunę na zielonym suknie.

Na ten nieprawdopodobny i wysoce poetycki wzlot fantazji Helena uniosła oczy. Wiedziała, że lady Tilpot lubi swoje wieczorne wisty w gronie podobnych jej mizantropów, ale sądziła, że gra to tylko pretekst do sączenia jadu na temat bliźnich.

- Zaledwie dwa wieczory temu wygrałam trzysta czterdzieści pięć funtów i dziesięć szylingów - ciągnęła stara dama.

- Moje gratulacje, proszę pani - powiedziała Helena.

- To żałośnie mało w porównaniu z tym, ile mogłam wygrać.

- Słyszałam, że w niektórych wielkich domach całe fortuny przechodzą z rąk do rąk pomiędzy damami - zauważyła ostrożnie Helena.

- A słyszała pani też o skandalach, które temu towarzyszą? - spytała lady Tilpot sarkastycznie. - Och, pewne osoby są akceptowane w towarzystwie ze względu na mocną pozycję ich mężów. Ale kobieta, która jest sama na świecie, za którą nie stoi żaden mężczyzna, kobieta taka jak ja, musi być ostrożna.

- Jakie to nieznośne dla pani - bąknęła Helena.

Z głośnym trzaśnięciem lady Tilpot roztlukła czubek swego jajka na twar- do.

- Dwie rzeczy są święte i nietykalne w życiu, panno Nash, obie, raz stracone, są nie do odzyskania: zasady i reputacja. Czy nie powtarzam ci tego często, Floro?

Flora, zadumana nad własnymi sprawami, powróciła do rzeczywistości i energicznie pokiwała głową.

- Tak, ciociu.

- Ale - lady Tilpot zamachała nożem w kierunku Heleny - przychodzi taki etap w życiu, kiedy mamy podstawy oczekiwać, że najwyższej próby reputacja może złagodzić pewne plotki, a ja zbliżam się do tego wieku. Tak, tak! Widzę pani zszokowaną minę i rozumiem pani zdumienie, ale to prawda. Zbliżam się do wieku średniego... Szybko! Niech pani się napije wody! Wielkie nieba, panno Nash, co pani sobie wyobraża, żeby tak szybko poły- kać jedzenie?

Helena z wdzięcznością podniosła szklankę do ust. W wieku sześćdziesięciu sześciu lat lady Tilpot postanowiła się cofnąć do wieku średniego. Helena chrząknęła.

- Byłabym bardzo wdzięczna, proszę pani, gdyby pani poświęciła mi parę chwil w dogodnym dla pani momencie.

- Teraz jest dogodny moment - wymamrotała lady Tilpot z pełnymi usta- mi. - Czego pani chce? Więcej pieniędzy? I na co, chciałabym wiedzieć?

Żyjąc na prawach córki w jednym z najlepszych domów w Londynie? Słuchając rozmów najświetlejszych umysłów w tym mieście? Załatwiając tylko trochę prostych sprawunków? Czytając czasem parę stron, by ulżyć czyimś zmęczonym oczom? Może za zagrzenie czasem wieczorem szklanki mleka, by wyciszyć czyjś zbyt pobudzony umysł? Będąc czasem poproszona o wyszukanie na straganach kwiatu, który nie klóci się z suknią chlebobawczyni? Za pełnienie niekiedy funkcji kuriera pomiędzy nią a nieuprzejmymi handlarzami? Szukanie zgubionych...

- Nie zamierzałam prosić o pieniądze - przerwała jej Helena.
- Ach nie?
- Chciałam prosić o radę.

Na to lady Tilpot zrobiła wielkie oczy, a potem zmrużyła je z satysfakcją.

- Więc chodzi tylko o trochę czasu. - Odłożyła nóż i widelec, delikatnie otarła usta serwetką i powiedziała: - No dobrze. Co to takiego?

- To jest... to bardzo osobista sprawa. - Helena rzuciła szybkie spojrzenie na Florę, która, jeśli to możliwe przy jej bladości, zbladła jeszcze bardziej. Czy biedne dziecko wyobraziło sobie, że Helena chce wyjawiać jej sekret? -Dotycząca tylko mnie.

Flora odetchnęła.

- Flora jest uosobieniem dyskrecji, a lokaj niczego nie słyszy. Czyż nie.

John?

Lokaj bez słowa patrzył przed siebie.

- Wolalabym rozmowę na osobności, proszę pani.
- Nonsens. Zranisz uczucia Flory. O co chodzi?

Nalegam. Helena wzięła głęboki oddech.

- O lorda DeMarca, proszę pani.

Lady Tilpot gwałtownie uniosła brwi skonsternowana.

- DeMarca? Forrestera DeMarca? Nie mogę uwierzyć, że próbuje zbliżyć się do Flory za pani pośrednictwem! Nie powie pani czegoś takiego!

- Nie całkiem, proszę pani - odparła Helena, szukając właściwych słów. - Bardzo mi przykro...

- To dobrze! - wykrzyknęła lady Tilpot. - Bo nigdy w to nie uwierzę. Ten człowiek ma za dobre pojęcie o tym, jakich granic się nie przekracza, by użyć płatnej damy do towarzystwa do wejścia w łaski mej bratanicy. Lord Forrester DeMarc należy do najszacowniejszych osób w towarzystwie! Jest wyniosły, troszkę za sztywny, prawdę mówiąc, ale to łakomy kąsek.

- Tak, proszę pani. Lecz to nie Florą jest zainteresowany.

Wydało się, że wszystko w pokoju zamarło. Wszyscy wstrzymali oddech. I Flora, i lokaj, i lady Tilpot, i rzecz jasna, sama Helena. Lady Tilpot po prostu przewiercała ją wzrokiem, a kawałeczek jajka wypadł jej z ust.

Wreszcie zaczęła poruszać ustami, ale wyszeptwała coś tak cicho, że Helena nie dosłyszała.

- Słucham?

- Mną? - powtórzyła stara dama.

Dobry Boże! Helena przełknęła ślinę, zbierając się na odwagę.

- Nie, proszę pani. Zdaje mi się, że lord DeMarc jest... to znaczy on... to chodzi o mnie, proszę pani.

- Co? - Lady Tilpot opadła na oparcie krzesła.

- Daje do zrozumienia, że jest mną zainteresowany.

- To cudownie! - powiedziała Flora, klaszcząc w ręce z zachwytem. - Jak wspaniale! I tak do siebie pasujecie! Oboje tacy dobrze ułożeni i przystojni!

Sięgnęła przez szerokość stołu po dłoń Heleny, chwyciła ją i lekko ścisnęła.

- Nic dziwnego, że byłaś taka roztargniona. No, Heleno, teraz rozumiem. Naprawdę rozumiem!

- Floro - zwróciła się Helena do rozpromienionej dziewczyny. - Źle to...

- Tak, rzeczywiście! - warknęła lady Tilpot. - Tak samo jak pani! - Pokręciła głową, ale w jej twarzy nie było gniewu, tylko politowanie. - Nie muszę wiedzieć, co zaszło między panią a lordem DeMarkiem, by mieć pewność, że było to z jego strony niewinne i bez ukrytych znaczeń. - Utkwiła złowrogie spojrzenie w Helenie. - Błagam, niech pani się nie spodziewa, że zadeklaruję pomoc w skłonieniu tego nieszczęśnika do oświadczenia się kobiecie, której nigdy by nie uznał za równą sobie. - Uniosła dłoń, powstrzymując protest Heleny. - Ma pani szczęście, panno Nash. Nie tylko w tym, że jest pani u mnie od trzech lat, ale że znam się doskonale na ludzkich charakterach. Nie myślę, że z wyrachowaniem zastawiała pani sidła na lorda DeMarca. Nie jest pani podstępna kobietą. W przeciwnym razie nie byłaby pani moją damą do towarzystwa. Ale jest pani w błędzie. Och, niech pani tak nie patrzy, panno Nash. Nie winię pani. W końcu, jest pani niezamężna, a która panna, choćby uważała się za nie wiem jak rozsądną, jest naprawdę rozsądna, kiedy patrzy na znajome młode kobiety, które są zamężne, mają rodziny i dzieci, a ona nie ma żadnej z tych rzeczy? To nic niezwykłego dla osoby

w pani -sytuacji - ciągnęła stara dama - uznać jakiś uśmiech, miłe słówko rzucone mimochodem, trochę kurtuazji za rodzaj zainteresowania, jakiego kiedyś pragnęła i jakie sobie wyobrażała ze strony ukochanego, konkurenta... męża. Ale naprawdę nie wolno pani oszukiwać się tymi marzeniami na jawie.

- Nie oszukiwałam się - powiedziała stanowczo Helena. - On mnie śledzi. Chodzi za mną! - Wiedziała, że jej głos stał się ostry, ale nie panowała nad nim. Bezsenne noce, niepokój i uporczywe prześladowanie ze strony DeMarca doprowadzały ją do szaleństwa.

Najgorsze było to, że jej trzymanie się własnego zdania nie wywoływało zwykłej wściekłości lady Tilpot na wszelkie oznaki uporczywości czy rodziny, ale tylko współczujące kręcenie głową.

- Nie, moja droga, to nieprawda. Jesteś w błędzie i wkrótce to zrozumiesz. Takie rzeczy mijają. Wierz mi, że tak jest. Goście przyjdą za parę godzin, a lord DeMarc będzie wśród nich. Liczę, że się nie skompromitujesz. - Jej twarz przybrała chłodny wyraz. - I nie będziesz wprawiać wicehrabiego w zakłopotanie.

Zwróciła się do bratanicy.

- Floro, będziesz nosiła żonkilową dymkę. Panna Nash poszuka ci wstążek do włosów. Idźcie już.

Poszły.

- Nie jestem zainteresowana lordem DeMarkiem. Jest mi wstrętny.

Flora opadła na atlasowy podnózek w swoim różowym pokoju. Sypialnia była urządzona w stylu tak dekoracyjnym i delikatnym, jak charakter jej mieszkanki, zagracona sprzętami pełnymi złocień i atlasu, ozdobiona jedwabnymi draperiami, upiętymi w girlandy wstążkami, kwiatami i kokardkami w pastelowych kolorach. Mieszkanie w tym otoczeniu było jak rezydowanie w koszyku modystki.

- Więc musisz mu to powiedzieć, nie obrażając go.

- W tym właśnie problem, Floro. On jest nie zrównoważony. Czy pamiętasz, co twoja ciotka powiedziała o moim budowaniu fantazji wokół niewinnych uprzejmości wicehrabiego?

- Tak. To było wstrętne powiedzieć coś takiego. Tak mi przykro...

Helena pokręciła niecierpliwie głową.

- Nieważne, co ona myśli o mnie. Ważne jest, że ma rację, ale to dotyczy DeMarca. To on myśli, że ja jestem... nie wiem czym! Myśli, że w jakiś sposób do niego należą, i zrobi, co w jego mocy, by dopilnować, żebym mu się nie wymknęła.

Flora uniosła twarzyczkę w kształcie serca i wpatrywała się w Helenę szeroko otwartymi oczyma.

- Ale to straszne! Ktoś go musi powstrzymać!

- Kto? - spytała Helena, siadając w fotelu obok Flory. Dotychczas to ona zawsze była tą silną, powiernicą i pocieszycielką. Niespodziewana zamiana ról rozbawiła ją w każdym innych okolicznościach. - Każdy, komu o tym powiem, zareaguje tak samo jak twoja ciotka. DeMarc jest parem. A ja płatną damą do towarzystwa.

Flora zrobiła jej tę grzeczność, że się nie sprzeciwiła.

- Będiesz musiała trzymać się od niego z daleka, póki mu nie przejdzie to zauroczenie.

Pozostawać w tym domu złapana w pułapkę przez obsesję wicehrabiego? Jak długo? Kilka dni? Tygodni? Miesięcy? Dopóki DeMarc nie zmieni zdania? Helena zacisnęła wargi.

Jeszcze nigdy nie poddała się obawom. Jako młoda panna chciała tego, czego pragnie każda dziewczyna: domu, rodziny, pozycji w społeczeństwie, dzięki której będzie ceniona i szanowana. Ale młodzi ludzie, którzy przychodzili w konkury, zdawali się niezdolni do patrzenia poza „przypadkowo harmonijne rysy”, jak to trafnie określiła lady Tilpot.

Nie mieli pojęcia, jak z nią rozmawiać ani co powiedzieć. Umieeli tylko zachwycać się rzeczami, na które nie miała wpływu i które nie były jej zasługą. Przyprawiali ją o poczucie pustki i lęku: o przyszłość, o to, że może naprawdę nie jest niczym więcej niż tylko ozdobnym dodatkiem do domu jakiegoś lorda; ale przede wszystkim o to, że w końcu poślubi jednego z nich po prostu dlatego, by mieć wreszcie za sobą ten pusty rytuał zalotów.

Nie poddała się. Nie zgodziła się, bez względu na to, jak zasmucała rodziców, przyjął żadnych oświadczeń, które złożono.

Ale teraz się bała. Nienawidziła się bać. A co gorsza, obrażało ją to, że musi się bać. DeMarc dokonał tego, czego nie zdołały uczynić śmierć i osobista katastrofa. Już miała schować twarz w dłoniach, ale się opanowała.

- Nie wiem, co zrobię - powiedziała. - Ale dziękuję ci, Floro. I przepraszam. Boję się, że cię nie doceniłam. Byłam tak pochłonięta DeMarkiem i tym... tą sytuacją że myślałam, że nie zniosę twego rozczarowania, kiedy ci powiem, że nie doręczyłam twego listu panu Goodwinowi.

Dlatego, że wolałam wybiec niż patrzeć, jak Ram Munro całuje inną kobietę, a później dlatego, że zostałam w uliczce z Ramem Munro, ucząc się, dlaczego kobieta może zaryzykować wszystko dla mężczyzny. Dlatego, że nie myślałam o tobie, Floro.

Zarumieniła się w poczuciu winy.

- Przepraszam, Floro. Byłam skandalicznie samolubna.

- Nie, nie - zaprzeczyła Flora. Ale jej oczy zalśniły podejrzeniem. - Miałas co innego na głowie niż zajmować się Ossiem i mną. Rozumiem.

Wzięła głęboki oddech.

- Ale muszę porozumieć się z Ossiem. Nie mogę czekać. Muszę z nim pomówić w ciągu tygodnia lub dwóch. - Dzielnie przełknęła ślinę. - Przypuszczam, że pójde sama. Jeśli tylko mi powiesz...

- Floro! - wykrzyknęła Helena. A już myślała, że dziewczyna wreszcie zaczęła zachowywać się dojrzałe. - Nie możesz narażać swej reputacji i co ważniejsze, ryzykować gniewu ciotki, szukając Oswalda Goodwina w miejscach, w których on się ostatnio obraca. Musisz poczekać, aż znajdzie się inny sposób porozumienia z nim. Z niechęcią powiedziała następne słowa: -Naprawdę, Floro. Czas wreszcie dorosnąć.

- Ja dorosłam, Heleno. To dlatego muszę zobaczyć Oswalda - odparła Flora, a łza spłynęła po jej policzku. - Będę miała dziecko.



Flora jest brzemienna, myślała Helena ze zgrozą. Musi coś zrobić. Nie może pozwolić Florze stawić czoła ulicy. Więc musi iść sama. A to znaczy stawić czoło szaleństwu DeMarca.

- Czy mogę usiąść przy pani, panno Nash?

Helena, pogrążona w myślach, spojrzała w górę i zobaczyła, że stoi przy niej Paż, pani Winebarger, z Księżniczką wtuloną w zgięcie ramienia.

- Przepraszam panią. Zamyśliłam się.

- To pani prawo. Przeszkadzono pani. Narzucam się, przerywając pani marzenia.

- Ależ nie - zaprotestowała. Kiedy była z kimś, DeMarc pozostawał w szachu. Całe popołudnie wicehrabia demonstrował obojętność. Ani spojrzeniem, ani słowem nie wyróżniał jej jako obiektu swej uwagi.

Lady Tilpot dostrzegła to. I triumfowała. Dwa razy podeszła do Heleny, by szepnąć:

- On ledwie zauważa, że pani żyje, moja droga! Boję się, że muszę pani pożyczyć mój słownik, panno Nash, bo wyraźnie pomyliła pani słowo „obojętność” z „obsesją”.

Ale Heleny nie zmyliło zachowanie DeMarca. Zawsze potrafił znaleźć się od niej w odległości, jaką sobie ustalili. Przysięgłaby, że uśmiecha się nawet wtedy, gdy jego spojrzenie wydaje się utkwione gdzie indziej.

Poczuła nagły przypływ nienawiści do niego, tak intensywnej, że to nią wstrząsnęło. Nienawidziła więzienia, które wzniosła wokół niej jego obsesja, nienawidziła swego strachu przed nim i swojej niemożności wyzbycia się tego strachu. Jakże miał prawo zastraszać ją i terroryzować? Nie zrobiła niczego, by zasłużyć na jego nikczemną manię!

- Panno Nash? - odezwała się cicho pani Winebarger. - Czy wszystko u pani w porządku? Wygląda pani na wzburzoną.

Helena wdrygnęła się i zdała sobie sprawę, że pruska dama przygląda jej się z troską.

- Dziękuję, czuję się doskonale. Widzę, że pani mąż tym razem również wymówił się od zaproszenia.

Pani Winebarger leniwym głaskaniem wywołała mruczenie swej cętkowanej towarzyszki.

- Turniej pochłania zarówno jego uwagę, jak i cały wolny czas. Myślę - nachyliła się, jakby dzieliła się sekretem - że pierwszy raz od bardzo dawna poczuł, że ma liczącego się rywala. Może nawet dwóch.

- Pana Munro?

Pani Winebarger kiwnęła głową.

- I lorda DeMarca. Wicehrabia wyraźnie się zawziął, by stać się groźnym konkurentem. Aby się przygotować, bywa trzy razy w tygodniu na spotkaniach w szkole pana Munro.

Więc to tam się podziewał, kiedy Helena wychodziła z lady Tilpot po sprawunki.

- Naprawdę?

- Tak. Mój mąż mówi, że wicehrabia będzie tam jutro po południu. - Wyglądała na pełną optymizmu. - To ważne znać zwyczaje przeciwnika. A DeMarc jest bardzo groźnym przeciwnikiem.

- Chciałabym - rzekła Helena - prosić panią o wielką przysługę.

- Ależ oczywiście. A o co, moja droga? - Pani Winebarger nie wyglądała na urażoną.

- Chciałabym, żeby pani poprosiła lady Tilpot, bym mogła pani towarzyszyć w załatwianiu czegoś jutro po południu. Zwykle mam obowiązek towarzyszyć jej, ale jeśli pani ją poprosi, może zechce się zgodzić.



- A jakie to sprawy będziemy załatwiać, panno Nash? - spytała lady Winebarger z błyskiem zainteresowania w oczach.
  - Pójdziemy do sali pana Munro, do L'Ecole de la Fleur.
- Pani Winebarger uśmiechnęła się szeroko.
- Ależ oczy wiście, moja droga-powiedziała życzliwie.-Najwyższy czas, by pani zaspokoila kobiecą ciekawość.

#### *46. Zwód:*

*nacieranie w jednej linii z zamiarem  
przejęcia do innej lub wyhamowanie  
przed dokończeniem natarcia*

Jeszcze raz pani dziękuję - powiedziała Helena, kiedy powóz pruskiej damy podjeżdżał przed szkołę Ramseya Munro.

- To nic wielkiego, moja droga. Warto było spełnić pani prośbę choćby po to, by usłyszeć niedorzeczne wykrety tej Tilpot, dlaczego nie może mi uzyczyć pani towarzystwa. - Uśmiechnęła się figlarnie, ukazując dołeczki w policzkach, i przeniósła śpiącą Księżniczkę z kolan na poduszkę obok siebie. - Gdy podsunęłam jej jako marchewkę obietnicę, że Robert mógłby mi towarzyszyć na jej wieczorku w przyszłym tygodniu, nagle nie tylko nie możliwe stało się możliwe, ale z największą przyjemnością przychyliła się do mej prośby. I nie na jedno popołudnie, lecz kiedy tylko zechcę.

Powóz zakołysał się, hamując; zachwiała się też odwaga Heleny.

- Czy to prawda, że salę pana Munro odwiedzają damy o wątpliwej reputacji? - spytała, kiedy stangret pani Winebarger ruszył przodem, by zbadać sytuację.

Pani Winebarger uważnie popatrzyła w głąb ulicy.

- Tak głosi plotka.
- Podejrzewam, że może wśród nich przebierać do woli - mruknęła Helena.
- Mieć wybór, a korzystać z niego to dwie różne rzeczy, panno Nash -odparła pruska dama. - Pan Munro jest niebywale przystojnym mężczyzną i wspaniałym szermierzem. Jego dziadek był tak samo przystojny i równie dobry w szpadzie.

- Jego dziadek?
- Markiz Cottrell. - Pani Winebarger zerknęła na nią niedowierzająco.
- Nie wiedziała pani o jego nieprawym urodzeniu?
- Nigdy się tym nie interesowałam - przyznała się Helena.
- Doprawdy? Jakie to niekonwencjonalne. Zapewne zobaczy pani dziś starszego pana. Weszło mu w zwyczaj przychodzenie na walki. Chociaż zdaniem mego męża widać, że on i pan Munro nie rozmawiają ze sobą.
- Pani mąż jest we wszystkim na bieżąco.
- Tak. Światek prawdziwych entuzjastów szpady jest bardzo mały. O! Stangret znalazł kogoś z obsługi. Idziemy?

Wysiadły z powozu i weszły na niskie schody, gdzie wysportowany jego-  
mość w średnim wieku z kłapką na oku uklonił się obojętnie. „ -

Przyszliśmy pooglądać walki - oznajmiła pani Winebarger.

- Tak, proszę pani - odparł służący tonem, który sugerował, że słyszał podobne słowa setki razy. - Panie pozwolą tędy.

Poprowadził je do obszernego, nieumeblowanego foyer, gdzie kilka ko-  
biet wdziewało szale i kapelusze, widocznie szykując się do odejścia. Hele-  
na natychmiast rozpoznała Jolly Milar szepczącą z młodą damą w najmod-  
niejszej miętowozielonej sukni. Dobry Boże!

- Charlotte?

Najmłodsza siostra Heleny obróciła się, ukazując wesołe oczy koloru aga-  
tu. To naprawdę Charlotte, wiecznie rozbawiona. Wiecznie rozwichrzona.  
Wiecznie na progu katastrofy. Oto biegnie przez pokój, zarzuca Helenie ręce  
na szyję, jakby stosowne zachowanie nic dla niej nie znaczyło.

- Co ty tu robisz? - spytała Helena półgłosem.

- Helena! - wykrzyknęła Charlotte. - Ależ to cudowne! Przysięgam, He-  
leno, że jeszcze wyjdiesz na ludzi.

Opamiętawszy się, Helena poprowadziła młodszą siostrę, by ją przedstawić  
pani Winebarger. Ta, ze zwykłym sobie wyczuciem sytuacji, wymruczała sło-  
wa powitania i przeprosiła je, mówiąc, że musi wydać polecenia stangretowi.

Ledwie odeszła, Helena zwróciła się do siostry:

- Charlotte, powtarzam, co ty tu robisz? - Objęła spojrzeniem jej towa-  
rzyszki. Oprócz Jolly rozpoznała ulubioną koleżankę Charlotte, Margaret  
Welton, nazywaną Maggie, ale pozostałych młodych dam nie znała. Oczy  
ich wszystkich błyszczały ożywieniem. Tworzyły wesołą gromadkę, tętniącą  
życiem. Aż za bardzo.

- Jak to co? Przyszłam popatrzeć na popisy paru świetnych zawodników.  
Ale jesteśmy tu od dobrych dwu godzin, więc zgłodniałyśmy i postanowiłyśmy

się rozejrzeć za jakimś posiłkiem. Mając nadzieję, że niektórzy z tych zawodników do nas dołączą, *n'est-ce pas* - Charlotte mrugnęła, a potem roześmiała się z miny Heleny. - Bardziej na miejscu jest, moja siostrzyco, pytanie, co ty tu robisz? - powiedziała, trącając ją łokciem. - Czy przyszłaś zobaczyć księcia White Friars? Czy też wpadł ci w oko któryś z jego uczniów?

- Nikt mi nie wpadł w oko! - skłamała Helena.

- Och, wstydz się, Heleno! - odrzekła Charlotte, a krótka fryzurka z luźnych loków załśniła, gdy potrząsnęła głową. - Można by pomyśleć, że w ogóle nie masz oczu. To prawda, nigdy nie byłaś żywiołowa i zawsze trzymałaś się w ryzach, ale nigdy bym cię nie nazwała pryncypialną. I nie brakowało ci śmiałości, moja droga, naprawdę była w tobie fantazja. To ta jędza Tilpot tak cię stłamsiła. Musisz się wyrwać z jej szponów, zanim staniesz się Lodową Dziewicą, za jaką uchodzisz w towarzystwie.

- Co?! - wykrzyknęła Helena.

- A niech mnie! - Charlotte się zdumiała. - Nie uwierzę, że naprawdę nie wiesz, jaki ci nadano przydomek. No tak, przecież ty nigdzie nie bywasz. Nie w prawdziwym towarzystwie. Ta stara kocica i jej kompania się nie liczą.

- Zasznurowała usta, ale żywo strzelała oczami. - Tak, droga siostrzo, mówię ci prawdę! Jesteś znana jako Lodowa Dziewica. Helena Niezdobyta.

- Wielki Boże!

- Nie bądź taka sztywna. Ja bardzo bym chciała uchodzić za nieprzystępną.

- Westchnęła, po czym rzuciła Helenie łobuzerskie spojrzenie. - Dopóki nie zapragnę być przystępna, rzecz jasna. Niestety wątpię, czy umiałabym wia rygodnie grać taką rolę.

- Charlotte! - wykrzyknęła Helena speszona. Charlotte zachowała tę bezkompromisową szczerość, która zawsze doprowadzała ją do rozpacz. Niektórzy uważali to za rodzaj beztroskiej dziecięcej figlarności, ale Helena wyczuwała, że przekora każe Charlotte mówić rzeczy, które inni tylko myślą.

- To z pewnością twój siostra! - uradowała się jedna z towarzyszek Charlotte, ekstrawagancko wystrojona młoda kobieta.

- Tak. Moja siostra jest najpiękniejszą kobietą w Londynie - powiedziała Charlotte z nieskrywaną dumą. To było drugim rysem osobowości Charlotte: bezgraniczne, wierne przywiązanie połączone z absolutną niezgodą na zlekceważenie jej zdania. Zaraz też dodała ze swą zwykłą porażającą szczerością: - Pomyśleć tylko, jakby wyglądała dobrze ubrana.

Młoda kobieta się roześmiała.

- Nie przesadzałaś, jest naprawdę oszłamiająca. - Włożyła rękawiczkę, widocznie nie spodziewając się, że będzie przedstawiona. Helena mogła tylko wywnioskować, że modna piękność, kimkolwiek jest, z pewnością nie jest osobą, z którą znajomość siostry by pochwałała.

- Chodź, Lottie! - zawołała Margaret Welton. - Jenny sądzi, że księżę Sancerre pije kawę na Bond Street, bo mu powiedziałaś, że tam będziesz dziś po południu! A jeśli nie pójdziemy teraz... och! Dzień dobry, panno Nash! Zdziwiałeś widzieć panią tutaj!

- Dzień dobry, panno Welton. - Helena skłoniła głowę. Już nie było szansy, że jej zjawienie się tutaj przejdzie niezauważone. Maggie Welton była tak gadatliwa, jak wskazywało zdrobienie oznaczające srokę, i równie dyskretna jak obwoływacz miejski.

Zrozumiała to Charlotte. Przygryzła wargę, by nie okazać rozbawienia.

- W tym kłopot z nieskalaną reputacją, Heleno - szepnęła. - Widać każdą plamkę.

Rozejrzała się promiennie uśmiechnięta i zawołała:

- Już idę, moje kochane! - Odwróciła się do Heleny i ucałowała ją serdecznie w policzek. - Na szczęście. Zawsze uważałam, że on jest zachwycający.

Nim Helena zdążyła odpowiedzieć na oburzającą insynuację, Charlotte odpłynęła tanecznym krokiem do swych przyjaciółek. Jak motyle frunęły korytarzem i zakreśliły się przy drzwiach, które po chwili otworzyły się, pozwalając im odlecieć.

- Hm. - Jednooki służący chrząknięciem zwrócił na siebie uwagę Heleny. - Jest już kilka innych dam przyglądających się ćwiczeniom, a skoro przyszło pań tak wiele, muszę gorąco prosić o uszanowanie potrzeby koncentracji zawodników i zachowanie milczenia. Zechcą panie pójść za mną?

Gdy z panią Winebarger szły za nim, Helena wykorzystała dogodny moment, by szepnąć do swej dobrodziejki:

- Czy mogę panią poprosić o jeszcze jedną przysługę?

- Tak - odparła pani Winebarger.

- Po pokazie chciałabym sama wrócić do lady Tilpot.

Pani Winebarger odruchowo zmarszczyła brwi.

- To niezwykle życzenie, panno Nash. Nie jestem pewna, czyje pochwalam. Z pewnością Tilpot by go nie pochwaliła.

- Proszę.

- No zgoda - ustąpiła. - Już nie jest pani naiwną panienką, a ja sama nie wypieram się, że zrobiłam w życiu kilka dość niekonwencjonalnych rzeczy. Ale proszę na siebie uważać.

- Dziękuję! - wyrzuciła jednym tchem Helena, gdy służący otworzył solidne dwuskrzydłowe drzwi na końcu korytarza i odsunął się, robiąc przejście.

Weszły do sali balowej odartej z wszelkich ozdób i zbędnego umeblowania w celu stworzenia dużej otwartej przestrzeni, zalanej światłem z pozbawionych zasłon okien na piętrze. Jedynym śladem poprzedniego przeznaczenia sali był ogromny kryształowy żyrandol iskrzący się w górze. Na gołych deskach podłogi wymalowano kilkanaście prostych linii. Wzdłuż nich kilku mężczyzn ubranych w obcisłe spodnie, koszule i kamizelki nacierało i cofało się, zadając pchnięcia szpadą niewidzialnym przeciwnikom.

W najdalszym końcu sali tłoczyła się grupka dam i dżentelmenów. Gdy Helena w towarzystwie pani Winebarger zbliżyła się do nich, dojrzała, co skupiało uwagę widzów: wicehrabia DeMarc w pojedynku z Ramseyem Munro. Z boku stał sędzia, czekając na pierwsze pchnięcie.

To nie był ten sam Ramsey Munro, który snuł się z wdziękiem upadłego anioła, odparowując i odwzajemniając ciosy nieszczęsnych przeciwników na hulance w Cheapside. Teraz poruszał się z artyzmem i precyzją tancerza, mając plecy proste, barki kanciaste, a długie nogi ugięte sprężysto.

DeMarc wyglądał na równie bieglego. Co więcej, jako przeciwnicy byli dobrani pod każdym względem, obaj wysocy i szczupli, o dużym zasięgu ramion i mocnych nogach. Ich ciała poruszały się w przód i wstecz niczym uwięzione na jakimś prostym, niewidzialnym torze, tak że odstęp między nimi pozostawał dokładnie wymierzony i ustalony, jak w jakimś wymyślnym tańcu wykonywanym przy staccacie szpad.

Niektóre ruchy, zbyt subtelne dla nieprzywykłych oczu Heleny, wywoływały pomruki pochwał; inne zbierały lekkie syknięcia zaniepokojenia. Na samym końcu grupki widzów starszy dżentelmen przyglądał się pojedynkowi z wyrazem niezadowolenia na twarzy tak przystojnej, że mógł się równać urodą tylko z Ramem.

- Do środka! -krzyknął zniecierpliwiony! -Do środka!

Ram zdawał się go nie słyszeć.

- Widzę, wicehrabio, że wyćwiczyłeś ukośne odparowanie - rzucił od niechcenia, jakby prowadził pogawędkę.

- Miło mi, że zauważyłeś - odparł DeMarc, jednak z mniejszym opanowaniem. - Albo się mylę, albo twoje pchnięcia są ostatnio bardziej skoncentrowane? Tempo wydaje się szybsze.

Ram wzruszył ramionami.

- Pojedynek przypomina pod wieloma względami uwodzenie. Każda dama, jak każdy przeciwnik, ulega swym własnym tempem, ani za szybko, ani za wolno, dla mężczyzny, który ceni cnotę cierpliwości. I nagrodę.

Wicehrabia zaatakował, nisko sięgając czubkiem szpady. Ram odparował, przynosząc jego klingę i zmieniając linię na wyższą. Twarz DeMarca ściągnęła się, gdy popsuto mu szyki.

- Wiesz, Munro, naprawdę jesteś wyjątkowym szermierzem.

- Zbytek łaski - mruknął Ram.

- Ale nie jesteś dżentelmenem.

Ram błysnął uśmiechem w kierunku rozgoryczonego przeciwnika.

- Tak pan powiada?

- Dżentelmen nie rozprawia o uwodzeniu w obecności dam.

- Jakich dam? Czy tu są damy? - Ram wydawał się zdziwiony, ale nie spuszczał oczu z DeMarca. Śmiech zachwyty rozległ się wśród tychże dam.

- Zaczynam pojmować, wicehrabio, dlaczego tak rzadko udaje się panu mnie pobić...

Musiał nastąpić jakiś lekki ruch, jakieś trudne do zauważenia otwarcie, gdyż Ram nagle zamilkł i rozwinęła się konwersacja szpad. Obrażliwe syknięcie, skarcenie, pogardliwa drwina. Potem, równie szybko, jak się zaczęła, pogawędka ustała. Przeciwnicy odstępili od siebie o krok i wrócił dziwny, kontemplacyjny nastrój pojedynku.

- Dlaczego zatem? - spytał DeMarc, który oddychał teraz ciężiej, a czoło zaczynało mu błyszczeć.

- Jeśli pan zauważył, że w sali są damy, to po prostu nie skupia się pan dostatecznie na walce. Gdy ja, przeciwnie, nie potrafiłbym powiedzieć, czy otaczają mnie damy, czy tańczące niedźwiedzie.

Głośniejsze śmiechy. Stojąca obok Heleny pani Winebarger powstrzymała uśmiech.

To wszystko były oczywiście nonsensy mające ośmieszyć DeMarca. Bo gdyby Munro był tak skupiony na walce, jak zalecał przeciwnikowi, nie wymyślałby bzdurnych rzeczy, jak tańczące niedźwiedzie, ani nie rzucałby prowokujących uwag o braku koncentracji DeMarca. Nie. Ram Munro ma całkiem niezłą orientację, gdzie stoi każda z osób na sali.

Z wyjątkiem jej i pani Winebarger. Nie podniósł wzroku, od kiedy weszły, a inni widzowie częściowo je zasłaniali.

- Skoro tak się rzeczy mają - ciągnął Ram - jak można mnie winić za niedżentelmeńskie uwagi przy damach, których nie zauważam?

- Dobrze wiesz, że są tu damy, Munro. W dodatku niektóre z nich doskonale cię znają. Mógłbym rzec coś więcej, gdyby nie to, że jestem naprawdę tym, kogo ty udajesz.

Leniwy uśmiech wykwitł na ustach Rama.

- To już całkiem bezpodstawny zarzut, wicehrabio. Nigdy nie udawałem zarozumialca.

DeMarc zacisnął zęby. Natarł, pewnie i zwinnie stawiając kroki. Ram odparował tuż przed tym, nim ostrze szpady rywala trafiło ochraniacz na jego piersi.

- Łatwe do przewidzenia, DeMarc - powiedział, wyzbywszy się uprzedzającej grzeczności. - Ma pan niezwykłą biegłość, doskonale instynktowne czytanie zamiarów przeciwnika, ale pozwala pan emocjom wyznaczać strategię.

Jego szpada cięła po klindze DeMarca, przebiła się za jego gardę i błysnęła parę centymetrów od barku wicehrabiego, gdzie zagroziło jej drogę umiejętnie odparowanie.

- W pojedynku jest miejsce tylko dla dwóch ludzi. Nic innego się nie liczy.

- *Pris defer!* - krzyknął starszy dżentelmen, zirytowany i zde gustowany.

Tym razem Ram też nie okazał, że to do niego dotarło.

Związał szpadę DeMarca, spotkał się z odparowaniem i natychmiast ponowił wiązanie. Klingi skrzyżowały się i znieruchomiały, gdy obaj z tą samą siłą naparli na siebie. Mięśnie przedramienia Rama wyprężyły się jak sznurki-

- Ani żona, ani brat, ani ojciec, ani dziecko.

Cedził słowa, wysilając się, by odzyskać przewagę. DeMarc obrócił się bokiem, chcąc zmniejszyć powierzchnię trafienia. Helena odgadła jego plan: zepchnie szpadę Rama, a za nią ramię, w poprzek piersi, a wtedy na krótką, decydującą chwilę, odsłoni się miejsce pod wyciągniętym ramieniem Rama. Wówczas DeMarc cofnie szpadę i uderzy w bezbronny cel.

Inni też to zobaczyli. Rozległy się ciche westchnienia dam, gdy tymczasem Ram gwałtownie osłabił siłę, z jaką odpierał nacisk. Szpada DeMarca, nie znajdując oczekiwanego oporu, wysunęła się za szybko i za daleko, zostawiając bez ochrony jego własną pierś.

To było znakomite.

- Brawo! - zawołała Helena spontanicznie.

Ram, dotąd skupiony na walce, zerknął w jej stronę i w tej rozstrzygającej chwili stracił z oczu swój cel. DeMarc, próbujący cofnąć szpadę, by odparować

wał pchnięcie, którego oczekiwał, zmienił zamiar i pchnął przed siebie, wbijając czubek ostrza w ochraniacz nad sercem Rama.

- Trafienie! Stać! -zawołał sędzia.

Przeciwnicy odstepili od siebie. DeMarc, nie kryjąc triumfu, Ram, nie kryjąc roztargnienia. Błądził spojrzeniem po tłumie. Przecież to niemożliwe, by rozpoznał jej głos. Zawsze się starała go obniżyć i zmieniać. Ale w uliczce w Cheapside... czy o tym pamiętała?

- Co to mówiłaś, Munro, że nigdy cię nie pokonam?

Ram uprzejmie skłonił głowę.

- Dobra robota, wicehrabio.

- Phi! - Zdegustowane prychnięcie przyciągnęło uwagę obu przeciwników, a Helena, obejrzawszy się, zobaczyła, jak markiz znika w drzwiach. Kiedy odwróciła się na powrót, dostrzegła, że DeMarc jej się przygląda. Ram opuszczał pole walki; zatrzymał się na chwilę przy jednookim służącym, by zamienić parę słów przed wyjściem z sali.

- Czy ktoś chce się zmierzyć z wicehrabią DeMarkiem?! - zawołał służący.

Dwóch młodych ludzi wystąpiło na skraj wolnej przestrzeni, rywalizując o prawo stanięcia w szranki z człowiekiem, który pokonał Ramseya Munro. DeMarc nie mógł odmówić, jeśli nie chciał, by go posadzono, że wygrana trafiła mu się fuksem.

Helena wmieszała się w tłum. Odczekała chwilę, nim przeciwnicy zajmą pozycje, a potem wymknęła się na korytarz, gdzie służący pilnował drzwi.

- Czy zechciałby pan przekazać to panu Munro? - spytała, wręczając mu złożony list zawierający prośbę o natychmiastowe posłuchanie.

Jednooki spojrział na nią z powątpiewaniem i wzięwszy list, poprosił, by zaczekała. Niecierpliwie krążyła po pustym korytarzu. Co zrobi, jeśli on odmówi? Nie może odmówić. Sięgnęła do siatkowej torebki po żółtą jedwabną różyczkę, którą odcięła z jednej z sukien Flory. Służący wrócił.

- Proszę. Zechce pani pójść za mną? - Powiodł ją schodami na górę i wprowadził do pomieszczenia wyglądającego na rodzaj męskiego salonu, urządnzonego żałośnie skromnie.

Przed kominkiem stały dwa fotele z wysokimi oparciami, wyściełane spłowiałym niebieskim adamaszkiem, a eleganckie stare orzechowe biurko ustawiono w zasięgu światła padającego z rzędu wąskich, pozbawionych zasłon okien. Po jednej stronie drzwi pod ścianą stała szafa na książki, a po drugiej w prostej witrynie wyeksponowano trzy ozdobnie kute szpady. 1 to było wszystko. Ani dywanu, ani draperii. ani obrazów na ścianach.



- Pan Munro zaraz do pani dołączy. - Nie czekając na odpowiedź, służący wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Nagły prąd powietrza sprawił, że uchyliły się drzwi w przeciwległej ścianie. Helena z pewnym zakłopotaniem zdała sobie sprawę, że prowadzą do prywatnych pokoiów Rama Munro i że spogląda na lustro wiszące nad umywalką. Gdy w lustrze ukazało się odbicie Ramseya, cofnęła się o krok, bojąc się, że ją zauważy. Ale kiedy nic nie zaszło, wychyliła się w przód, by zobaczyć, czy... tak. O tak.

Stał przed lustrem obnażony do pasa, z torsem połyskującym od wody, którą musiał przed chwilą ochlapać twarz i szyję. Woda zbierała się w krople na gąszczu ciemnych włosów pokrywających pierś i ściekała po ostroszowanych konturach muskularnego torsu. Helena przełknęła ślinę, gdy się wyprostował, odsłaniając kształt różny wyryty na stromej płaszczyźnie mięśnia piersiowego.

Przyglądała się, oddychając przez rozchylone wargi, jak napięty mu się mięsień przedramion i bicepsy, gdy chwycił się brzegów umywalki.

Nagłym szarpnięciem poderwał głowę i spotkał w lustrze własny wzrok. Przez długą chwilę badał swoje odbicie. Nie wiedziała, co zobaczył w tej intymnej chwili, ale jego twarz straciła zwykły sarkastyczny wyraz. Wyglądał tak... młodo. Młodo i niepewnie, jakby był pełen... nabożnego lęku. Tak. Właśnie tak.

Zapewne przegrana wprawiła go w taki nastrój. Helena nie znajdowała innego wytłumaczenia. Nie wyglądał jednak na zmartwionego.

Ram odepchnął się od umywalki, chwycił ręcznik z jakiegoś niewidzialnego wieszaka i zaczął się wycierać, znikając jej z pola widzenia.

Cofnęła się, czując, jak puls jej przyspiesza. To był błąd. Straszny błąd. Jak zdoła, będąc przy nim, nie tęsknić do zatonięcia w jego ramionach? On się domyśli. Rozpozna, że to ona jest Corie, kobietą która tak namiętnie przyjęła...

Z tyłu za nią trzasnęły drzwi. Okręciła się w miejscu i chwyciła dłonią za gardło, by przywrócić bicie serca zacinającego się w tym miejscu. Ram stał bez ruchu w czystej białej koszuli i obcisłych spodniach. Wilgotne włosy wiły się nad świeżym kołnierzem, a z zawiniętych rękawów wyglądały muskularne przedramiona.

Jego spojrzenie było obojętne. Ani iskierki cielesnego zainteresowania. Ani drgnięcia nagłego rozpoznania. Jakżeby inaczej. Od tamtego wieczoru mógł trzymać w ramionach tuzin innych dam.

- Helena - powiedział ze spokojną, uprzejmą powagą. Czy w tych sylabach brzmiało powitanie? Nie. Niemożliwe. Po prostu sprawdzał, czy do-

brze pamięta, którą z sióstr ma przed sobą. Z wysiłkiem przypomniała sobie powód, dla którego tu przysła.

- Panie Munro. - Dzięki Bogu, wreszcie nie musi zmieniać głosu, może mówić na swój zwykły jorkszyrski sposób. - Jak to miło, że pan mnie pamięta, zwłaszcza że nasze spotkanie trwało tak krótko i tyle lat od niego upłynęło. A jeszcze milej z pana strony, że zgodził się pan ze mną spotkać w takich niezwykłych okolicznościach.

Przysięgłaby, że jego broda uniosła się lekko, jakby brał głęboki oddech. Stał prawie nieruchomo. Dość długo, by zdążyła zauważyć przepych czarnych rzęs, marmurowy połysk świeżo ogolonej szczęki, światło załamujące się w błękitcie jego tęczówek. Wreszcie ruszył przez pokój, poruszając się wytwornie, uśmiechając oficjalnie, z akurat stosownym stopniem poufałości.

- Oczywiście, że panią pamiętam, panno Nash - rzekł. - Proszę powie dzieć, czemu zawdzięczam tę przyjemność?

Wyciągnęła rękę. On podał swoją. Upuściła żółty jedwabny pączek na jego odwróconą dłoń.

- Chcę, żeby mnie pan uczył szermierki.

## 77. Wiązanie:

### *działanie wymuszające ustawienie klingi przeciwnika po przeciwnym skosie*

Wbrew obawie Heleny Ram nie się roześmiał. Zamknął w dłoni jedwabną różyczkę i wskazał Helenie fotel. Kiedy usiadła, zadzwonił na służącego i po wydaniu mu poleceń wrócił do niej.

- Gaspard poda nam herbatę. - Usiadł naprzeciw niej, wyprostował non szalancko długie nogi i przymknął powieki. - Jak się ma pani rodzina?

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Słucham?

- Pytam o pani rodzinę. Pani siostry. Słyszałem o śmierci pani matki i proszę, by zechciała pani przyjąć spóźnione kondolencje. Panna Charlotte, jak sądzę, nadal mieszka u państwa Weltonów? -Nie odpowiedziała, więc kiwnął

głową.-- Tak jak myślałem. I, oczywiście, wiem o małżeństwie pani Blackburn z moim starym druhem Kitem.

- Wie pan?
- Tak. Byłem na ślubie.
- Naprawdę? Nie widziałam pana.
- Staralem się być ostrożny. - Przekrzywił głowę z leciutkim uśmiechem.
- Ja panią widziałem. Była pani ogromnie przejęta i bardzo się pani starała zaakceptować wybór siostry.

Miał rację. Nie pochwalała wyboru Kate. Ale była pewna, że nikt nie wyczytał tego z jej twarzy czy zachowania.

- Dlaczego był pan taki ostrożny? - spytała zdumiona swą śmiałością. Jego uśmiech był nieoczekiwanie czarujący.
- Nie miałem pewności, czy będę dobrze widziany.
- Dlaczego?

- To długa i nużąca historia, panno Nash. Wystarczy, że powiem, iż Kit MacNeill i ja mieliśmy wobec siebie pewne podejrzenia, które wykluczały, bym otwarcie pojawił się na jego ślubie.

- Mieliście?
- Od tamtego czasu na nowo nauczyliśmy się sobie ufać. To zbyt wielka udręka podtrzymywać ciężkie podejrzenie, nie mając dowodów.

Nie uwierzyła mu. Grał rolę, ukrywając się pod maską zblazowania.

Zmrużyła oczy.

- Po co zadawał pan sobie trud dowiadywania się o moje sprawy rodzinne? Wzruszył ramionami.
- Złożyłem przysięgę. A traktuję takie rzeczy śmiertelnie poważnie - powiedział, przeciągając samogłoski, a jego niebieskie oczy patrzyły czujnie. - Tak to już ze mną jest. Podejrzewam, że to przez lekcje z mitologii, jakie odebrałem w dzieciństwie i najwyraźniej nieźle zapamiętałem. Wszyscy ci herosi z ich ślubowaniami, pracami, powinnościami i poszukiwaniami trwającymi dziesiątki lat.

- Rozumiem.-Całkiem zbił ją z tropu. Czy jest wprowadzony także w jej obecną sytuację?

Jak gdyby czytał w jej myślach, uśmiechnął się chytrze i spytał:

- A jak się ma lady Tilpot?
- Doskonale - odparła Helena, coraz bardziej zdumiona. On ją śledził. Jak daleko zaszedł w swym poczuciu obowiązku? Jak dużo wie?

- Miło mi to słyszeć. A teraz, panno Nash, proszę powiedzieć mi więcej o swym pragnieniu uczenia się szermierki.

Zmusiła się, by wrócić myślami do rzeczywistości.

- O czym tu mówić? Jak sam pan powiedział, złożył pan przysięgę, że postara się w miarę możliwości zaspokajać me potrzeby.

- Tak - przyznał spokojnie.

- No, a teraz potrzebuję się nauczyć, jak się bronić. - Była dumna ze swego opanowania. Dzięki starej sztuczce patrzenia poprzez oczy rozmówcy, a nie w nie, nie spuszczała rzęs pod jego spojrzeniem, by nie sprawiać wrażenia, że płatna dama do towarzystwa jest w jakikolwiek sposób kokietyjna.

Tylko że trudno było patrzeć poprzez błękitne oczy Ramseya Munro.

- Droga panno Nash, jeśli pani potrzebuje obrony, znacznie łatwiej przyjdzie mi ją pani zapewnić niż nauczyć panią władać szpadą. Proszę mi powiedzieć, kogo trzeba zadźgać.

Zarumieniła się.

- Nie wymagam, żeby pan kogokolwiek zadźgał. I zdecydowanie wolę, żeby nikogo nie zadźgano. Ale gdyby wynikła taka potrzeba, że będę musiała się bronić, chciałabym umieć sobie poradzić.

- Rozumiem. - Wstał. - Myślę, że będzie lepiej, jak pani wróci do domu.

- Pan przecież obiecał - przypomniała mu.

- Jestem tego świadom. Ale obiecywałem zaspokoić pani potrzeby, nie kaprysy, a z tego, co mi pani powiedziała, wynika, iż ma pani kaprys nauczyć się szermierki, na wypadek gdyby jakimś zbiegiem okoliczności znalazła się pani w niebezpieczeństwie. Na co jest bardzo prosta odpowiedź: proszę się trzymać z dala od niebezpiecznych miejsc.

- Ale... ja nie mogę.

Jego rysy stwardniały, usta zacisnęły się surowo.

- Nie może pani? Dlaczego? Czy musi pani odwiedzać miejsca, do których inne młode damy boją się pójść? - Jego chropawy głos był zabarwiony szyderstwem. - Trudno mi to sobie wyobrazić. Jeśli więc uczęszcza pani w niebezpieczne miejsca, mogę z tego wyciągnąć ten tylko wniosek, że do browolnie wystawia się pani na niebezpieczeństwo dla kaprysu.

Milczała.

- Proszę nie patrzeć, jakby panią oszukano. Jeśli będzie pani czuła to samo powiedzmy za miesiąc, proszę do mnie wrócić. Do tej pory turniej się skończy i będę miał czas spełnić pani życzenie. - Kiedy nie przestawała wpatrywać się w niego oniemiała, odwrócił dłoń i upuścił różyczkę na jej kolana. - Proszę to zatrzymać do tego czasu.

- Jak pan śmie?! - Powoli dźwignęła się z fotela, nie spuszczać wzroku z Ramseya. Głos jej drżał, jedwabna róża upadła na podłogę. - Jak pan śmie traktować mnie protekcyjnie?!

Teraz nic w niej nie było opanowane ani chłodne. Płonęła oburzeniem.

- Wbrew pana informacjom o mnie i moich siostrach nic pan o nas nie wie. Nic nie wie o mnie. Nie wie pan, jakie okoliczności przyprowadziły mnie do pana *salle* ani co mną powodowało, że odbywam spotkanie sama z panem w tym pokoju, ryzykując mą reputację.

- Rzeczywiście nie wiem - powiedział spokojnie. - Dlaczego więc mi pani nie powie?

Ramsey jej nie pomoże, jeśli mu wszystkiego nie wytłumaczy, a nie wolno jej tego zrobić. Obiecała chronić tajemnicę Flory i Oswalda i dopóki nie zostanie zwolniona z tego przyrzeczenia, może tylko robić niejasne aluzje na ich temat.

- Proszę usiąść, panno Nash.

Ledwie wróciła na fotel, stukanie do drzwi oznajmiło przybycie Gasparda, który wniósł zastawę do herbaty. Z braku stołu ustawiał wszystko na biurku, Helena zaś zastanawiała się, ile może powiedzieć, by zyskać pomoc Rama. Gdy służący wyszedł, zaczęła bez wstępów:

- Ktoś za mną chodzi.

Ram przekrzywił głowę.

- Jestem pewien, że ma pani wielu adoratorów.

- Nie o to chodzi - wyjaśniła niecierpliwie. - Jestem śledzona, tropiona, prześladowana na każdym kroku.

- Wielce nieprzyjemne - rzekł współczująco. - Ale obsesje, w jakie popadają młodzi ludzie na punkcie swych ukochanych, są ulotne. Wystarczy, żeby pani na jakiś czas zniknęła ludziom z oczu. Mężczyźni są z natury niestali, nie wątpię więc, że kiedy pani wróci do towarzystwa, okaże się, iż fascynacja pani wielbiciela skupiła się na damie łatwiejszej do zdobycia albo przynajmniej do oglądania.

- Nie mogę odsunąć się od ludzi - powiedziała.

- Nie? - W jego głosie zabrzmiało nie więcej niż lekkie zaniepokojenie. A koniuszki palców bębniły niespokojnie na oparciu fotela. - A to dlaczego?

Pociągnęła łyk herbaty, którą jej podano.

- Szukam kogoś.

- Jakiejś konkretnej osoby?

- Tak. Pewnego dżentelmena.

- A nie może go pani znaleźć za tydzień? Za miesiąc? Czy to takre ważne żeby go pani miała teraz?

„Mieć go?” To określenie dotknęło ją, ale tylko na moment. Była zbyt zdesperowana, by się przejmować niefortunnym doborem słów. Jeśli wi-

rzyciele dopadną Oswalda, za miesiąc może być po nim. Słyszała ponure historie o tym, jak lichwiarze postępują z ludźmi, którzy nie dotrzymali warunków pożyczki.

- On może zniknąć na zawsze.
- A to byłoby nie do zniesienia? - spytał chłodno.

Na myśl o Florze samotnie dźwigającej ciężar skandalu z powodu swej brzemienności Helena zadrżała.

- Tak - odrzekła.
- W takim razie proszę mi powiedzieć, kto panią tropi, a ja go powstrzymam.

Powstrzyma go? Powstrzyma go od czego? Od przebywania na ulicy, będącej miejscem publicznym? Od przesiadywania w kawiarni? Od przyjmowania zaproszeń do znajomego domu? Od oglądania wystawy w galerii?

- Słucham - nalegał Ram.
- To lord Forrester DeMarc.

Uniósł brwi.

- Wicehrabia DeMarc? Ten, z którym właśnie walczyłem?
- Tak.

Jego zdumienie było szczere.

- Nie bardzo to sobie wyobrażam. On jest zbyt dumny, by uganiać się za kobietą w sposób, jaki pani opisuje. O wiele za dumny. - Zmrużył oczy. - Jest pani pewna?

Powinna przewidzieć, że jej nie uwierzy. DeMarc uczy się u niego.

- On nie robi tego w widoczny sposób. Jest niezwykle wyrafinowany. I tak, jestem pewna.

- Jeśli prawdą jest to, co pani mówi, to będę pani towarzyszył, kiedy ruszy pani na poszukiwanie tego młodego człowieka.

Ramsey zobaczy ją w kostiumie? Dowie się o jej podwójnej tożsamości? Dowie się, że ona jest kobietą, która błagała go, by wziął ją w ciemnej uliczce? Policzki zaczęły ją palić. Dojrzał rumieniec i coś zgasło w jego twarzy, nastąpiła jakaś subtelna zmiana, jak zamknięcie drzwi.

Pewnie pomyślał, że ona nie chce mieć świadka tajemnej schadzki. Co innego mógł pomyśleć? To boli, że ma o niej tak niskie mniemanie.

- Niestety - powiedziała - to niemożliwe. Dżentelmen, którego szukam, nie podejdzie do mnie, jeśli zobaczy w pobliżu drugiego mężczyznę. Widzi pan więc, że muszę sama powstrzymać DeMarca od śledzenia mnie, tak jak sama muszę pójść na spotkanie.

- Dobry Boże, kobieto - rzucił z irytacją- żaden mężczyzna nie jest wart narażania się na zgubę. Jeśli naprawdę tak bardzo boisz się DeMarca, byłabyś niemądra, wystawiając się na ryzyko dla schadzki.

- Nie wiem, czego konkretnie się boję! - wykrzyknęła, doprowadzona do rozpacz. Czy DeMarc zrobiłby jej krzywdę? Nie wiedziała. Wiedziała tylko że boi się iść sama ruchliwą ulicą w środku dnia, bo on będzie czekał dwadzieścia kroków z tyłu; boi się wyrzeć przez okno, bo on tam będzie, stojąc przy krawężniku lub siedząc na ławce z gazetą; boi się skrócić za róg, bo on może tam na nią czekać.

- DeMarc sądzi, że ja celowo go mamiałam - ciągnęła, unosząc dłoń w błagalnym geście proszącym o zrozumienie. - Uważam, że jest nie zrównoważony. Chce, żebym wiedziała, że za mną chodzi, że mnie szpieguje, że śledzi każdy mój ruch.

- A pani nie mamiała go celowo? Nie prowokowała go, doprowadzając do tego stanu?

Chłodne pytanie zaszokowało ją bardziej niż jakakolwiek inna jego reakcja.

- Nie - szepnęła. - Nie. Ja nie jestem... - Nagle uczciwość targnęła nią, podsuwając zmysłowe wspomnienia i nie pozwalając dokończyć. Taką właśnie kobietą była tydzień temu. - On zyskał dostęp nawet do mojej sypialni. Rozsypał mi je na kapie jako rodzaj przypomnienia, że nie ma żadnego miejsca, w którym mogłabym się przed nim ukryć.

- Co rozsypał na kapie? Co zostawił?

- Róże - powiedziała otępiała. - Te wszystkie róże.

- Róże?

Coś w głosie Rama sprawiło, że Helena uniosła wzrok znad zmiętej chusteczki, którą zgmiotła w kulkę na kolanach.

- Tak. Wszędzie je znajdują. Tak jak tę, którą... - Ugryzła się w język, by nie wspomnieć chłopca z Vauxhall, który wcisnął jej w dłoń różę tego wieczoru, kiedy się spotkali.

Ram zmarszczył brwi.

- Ale DeMarc jest uczulony na wszelkie kwiaty. Kiedyś toczyliśmy pojedynki w ogrodzie i wicehrabia odczuł to bardzo dotkliwie, tak że musiał wycofać się z rozgrywki.

- Woli pan mi nie wierzyć. - Helena pokręciła głową. - Nie dbam o to. Chcę tylko wiedzieć, czy zamierza pan dotrzymać swej obietnicy wspomnienia mnie.

Ram wstał.

- Zachowuje się pani dość dziwnie, panno Nash. Odmawia pani zgody, bym jej towarzyszył, a mimo to upiera się, że jest w niebezpieczeństwie.

- Obawiam się, że jestem w niebezpieczeństwie. Nie jestem tak tępa, bym nie zdawała sobie sprawy, że to, co postrzegam jako niebezpieczeństwo, może być w gruncie rzeczy niczym więcej niż przykrą uciążliwością. Sam pan wątpi w... zainteresowanie DeMarca. Ale nie znoszę bać się czegośkolwiek, panie Munro. Nie jest miło żyć w strachu. Może pan nigdy się nie bał?

To była nieprzystojna ironia-zwłaszcza jeśli się znało historię Rama i wiedziało, że spędził prawie dwa lata w więzieniu. Z lekkiego skulenia jego ramion poznała, że trafiła w czuły punkt.

- Przyszłam do pana właśnie dlatego, że nie mam pewności, czy DeMarc stanowi prawdziwe, czy wyimaginowane zagrożenie - powiedziała. - Myślałam, że pan pochwali moją niechęć do poddania się hysterii i domagania się, by mnie pan strzegł na każdym kroku tak długo, jak zapragnę. Że uzna pan to za dość prosty i korzystny sposób spłacenia dawnego długu, długu, do którego sam pan się przyznaje, a nie przy którym ja się upieram. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Wszystko, czego chcę, panie Munro, to zdobycie pewnej wiedzy, jak się bronić, tak bym nabrała dość pewności siebie, by poruszać się swobodnie. Z pewnością może pan to zrozumieć?

Zastanawiał się nad jej słowami przez dłuższą chwilę.

- Dobrze przemyślana argumentacja, panno Nash - powiedział wreszcie. - Czy zawsze pani rozumuje tak jasno?

Przed jej oczyma przemknął obraz jego ramion obejmujących ją pod wilgotną ceglana ścianą, jego ust złączonych w gorącym pocałunku z jej ustami.

- Nie. - Spuściła wzrok. - Obawiam się, że nie.

Uśmiechnął się, ale jego spojrzenie zdradzało, że z powagą ocenia sytuację.

- Dobrze, panno Nash. Będę panią uczył. Proszę przychodzić do mnie w te dni, kiedy DeMarc przygotowuje się do turnieju, a Gaspard wprowadzi panią tutaj schodami dla służby.

Schylił się, podniósł coś z podłogi i sięgnął po jej dłoń. Włożył w nią jedwabną różyczkę, a potem zamknął jej palce na kwiatku.

- Policzymy te lekcje za procent od mego długu. Proszę to zatrzymać, dopóki nie zostanie w pełni spłacony.

- Dziękuję-odparła, przepełniona wdzięcznością i lękiem. Była wdzięczna Ramowi, że się zgodził, a zarazem bała się, że ją zdemaskuje.



Ramsey stał w oknie i przyglądał się Helenie czekającej, aż woźnica wyciągnie z powozu schodki. Kiedy dostał liścik, pomyślał... że przyszła w odpowiedzi na jego bezwstydne wezwanie, by została jego kochanką. W czasie tych kilku porażających chwil serce waliło mu jak oszalałe ze zdumienia i wdzięczności. A potem usłyszał jej głos z lekkim akcentem, tak niepodobny do gardłowego, wyzywającego szeptu, którym mówiła przedtem, i zrozumiał: przyszła do niego jako inna osoba. Powinien był mieć tyle rozumu, by się domyślić.

Teraz obejrzała się przez ramię, jak gdyby poczuła jego spojrzenie, ale ukryła go ciemność panująca w pokoju. Nawet w to mroczne, pochmurne popołudnie jej jasne włosy lśniły jak atlas, a skóra skrzyła się jak osnuty mgiełką alabaster. Zapomniał, jaka jest piękna. Zresztą to nie jej uroda tak go pociągała. Uroda nie zawsze jest dobrodziejstwem.

Ale była piękna, jak wspaniałe posąg wykuty w najszlachetniejszym marmurze, gładki, chłodny i niemy, obojętny na gapiące się tłumy, wyniosły, niezmienny; jej odosobnienie stanowiło tajemnicę i wyzwanie.

On jednak wiedział, że to pozór, że subtelna, niezdojta fasada maskuje jej namiętą naturę. Chyba wolałby nie wiedzieć. Chyba. Przeczesał palcami włosy, gdy zniknęła we wnętrzu powozu i odjechała.

Nie wierzył już, że Helena Nash szuka zaginionego kochanka. Nie tylko dlatego, że taka kobieta jak ona nie bierze sobie kochanków, ale także dlatego, że nie było w niej ani trochę żarliwości czy namiętności, kiedy mówiła o mężczyźnie, którego chce odnaleźć.

Była w niej desperacja, to pewne. Nawet gniew. Ale nie uczucie. I z pewnością nie namiętność. Poznał ton jej namiętności, której wspomnienie pokarało go klątwą wielu bezsennych nocy.

Kogo szuka i dlaczego? Bezwiednie uniósł dłoń do złotej róży wpiętej w krawat. Sądząc z zachowania Heleny, mógłby podejrzewać, że jest coś dłużna lichwiarzom, tyle że nigdy nie słyszał, by jakaś osoba szukała lichwiarza, którego powinna spłacić. Kogo więc szuka? I o co chodzi z tymi różami?



Ram stał przy furcie otoczonego murem ogrodu w St. Brides. Szyję miał poparzoną od słońca, a palce pokaleczone i uwalane ziemią. Uda bolały go od schylania się cały dzień, koszula lepiła mu się do pleców, pokryta plamami potu.

Ale łagodne powietrze późnego popołudnia muskało mu twarz jak balsam, a blask górskiego słońca rysował kontur każdej z róż na tle ciemnozielonych ławic listowia, z którego wyrastały. Drozdy śpiewały w głębi kolczastych altanek, a strużka wody ciurkająca ze studni odpowiadała im własną melodią. Ram uważał, że nic na świecie nie może się równać pięknocią z tym ogrodem.

- Kochasz je czy ich nienawidzisz? - spytał jakiś głos z powagą.

Ram rozejrzał się i ku swemu zdumieniu zobaczył brata Marcina. Zielarz opactwa, zwykle opryskliwy i surowy, teraz stał przed nim, utkwivszy zamysłone spojrzenie w krzyczących barwami pączkach róż, które tak często zwał bezużytecznym kaprysem przyrody. Równie często powtarzał, że nie widzi pożytku z sierot z St. Bride's, jeśli nie może ich zatrudnić przy odchwszczaniu swego rozległego ogrodu zielarskiego, toteż fakt, iż pierwszy raz przemówił do Rama jak do człowieka, jeśli nie jak do równego sobie, nakazywał się zastanowić nad odpowiedzią.

- Jedno i drugie, po trochu - powiedział wreszcie.

Brat Marcin kiwnął głową.

- Tak to jest na tym świecie. Nienawiść i miłość, tęsknota i niechęć, dwie strony tej samej monety. Dlaczego tak jest, to tajemnica, a piękność dla samej piękności to jedna z największych boskich zagadek.

- Jak to?

Brat Marcin zerknął na niego z ukosa.

- Jak sądzisz, młody Munro, czy piękność bez zasługi jest marnotrawstwem... czy darem?

- Dlaczego brat tak nie lubi różanego ogrodu? - spytał nagle Ram.

- Mylisz się - odrzekł brat Marcin i odwrócił się nachmurzony. - Lubię go za bardzo.



- Panie Munro?

Ram wzdrygnął się i odwrócił od okna.

- O, Gaspard, dobrze, że jesteś. Muszę wysłać list. - Nie mógł sam śledzić Heleny: między nimi zadzierzgnęła się więź, więc łatwo wyczułaby jego spojrzenie czy obecność. Ale mógł komuś to zlecić. Komuś, kto będzie też śledził wicehrabiego DeMarca. To pozostawiało jeden wybór: Billa Sorry'ego.

- Tak, proszę pana. Natychmiast. - Gaspard wszedł do pokoju i wręczył Ramowi zapieczętowaną kopertę. - Dopiero co przyszło. Myślałem, że lepiej nie przerywać panu i tej młodej damie.

- Czyżbyś sugerował, że w tym pokoju zaszło coś niestosownego? - spytał Ram tonem, którego ci, co go znali, woleli nie ignorować.

- Nie, proszę pana - odparł Gaspard, wyraźnie zdziwiony taką reakcją. - W żadnym razie. Nic, co by wymagało dyskrecji albo ostrożności. Ta młoda dama wyglądała na bardzo stanowczą.

Ram się uśmiechnął.

- Taka też jest. Ale mylisz się, Gaspardzie. Zachowanie dyskrecji to sprawa najwyższej wagi. Ani słowo nie może stąd wyjść o jej wizycie, tej i na stępnych. Rozumiemy się?

- Najzupełniej, proszę pana.

- Nie może jej dotknąć żaden skandal - ciągnął Ram tonem pozbawionym wszelkich znamion zwykłej mu nonszalancji. - Jej dobre imię nigdy nie zostanie pokalane, czy to przez najniższego sługę, czy przez najwyższego księcia.

Gaspar aż zamrugał jednym okiem ze zdumienia. Nigdy nie słyszał, by Ram mówił w taki sposób, bardziej jakby składał ślubowanie niż wyrażał swe życzenie.

- Nie, proszę pana.

- Dobrze. - Ram nagle się uśmiechnął, jak gdyby świadomy, że zbił Francuza z tropu. Odpreżył się i wziął list, który Gaspard wciąż trzymał w wyciągniętej ręce. - Nigdy tak nie straciłem koncentracji. Nigdy. To mnie denerwuje-

Gaspard odgadł, że Ram nawiązuje do pojedynku z DeMarkiem.

- To przez tę kobietę - powiedział współczująco.

- To mnie nie pociesza, Gaspardzie.

- Ja pana nie pocieszam, tylko ostrzegam. - Francuz się uśmiechnął. - Jak pan myśli, jak straciłem to oko?

Ram odpowiedział uśmiechem, wiedząc doskonale, że utrata oka przez Gasparda nie miała nic wspólnego z kobietą, i rozerwawszy kopertę, wyjął

cienki arkusik zapisany obcym mu charakterem pisma. W miarę jak czytał, uśmiech zamierał mu na ustach.

- Co to? - spytał Gaspard. Spojrzenie Rama było nieobecne, skupione na jakiejś myśli, która wydawała się nieprzyjemna.

- Arnoux - odpowiedział Ram. - To list od Arnoux.

- Strażnika z LeMons?

- Tak.

Zniszczony rozpustą, cyniczny i znudzony Phillip Arnoux był nie lepszy i nie gorszy niż reszta strażników, którzy „opiekowali się” więźniami w lochach, był tylko młodszy. Choć pochodził ze szlachty, miał dość przezorności, by opowiedzieć się po stronie rewolucji. Przenosił się z jednego pułku do drugiego, by skończyć na przydziale do więzienia.

Kiedy kogoś bił, robił to bez emocji. Znaczyło to dla niego tyle co uderzenie złego psa, którego trzeba spędzić z drogi. Jedyną okazję, gdy wpadał w prawdziwe zapamiętanie, stanowiły walki na szpady strażników z niektórymi więźniami. Pojedynki te, jak twierdzili, miały być dla nich ćwiczeniem. I, rzecz jasna, zwycięzcą musiał zawsze być strażnik.

Więźniowie - niedożywieni, żarci przez robactwo - mogli się bronić. Ale było aż nazbyt jasne, że jeśli więzień spowoduje u strażnika jakieś trwałe obrażenie, zapłaci własnym palcem. Albo dłonią.

Albo okiem.

Ram był w tych walkach faworytem jako nie tylko dobry, ale wręcz znakomity w szermierce. I doskonalił swoje umiejętności. Wprawdzie narzucone warunki były nieuczciwe, ale właśnie dzięki temu pojedynki ze strażnikami nauczyły go więcej niż wszystkie lekcje pobrane w dzieciństwie i udzielone mu przez mnicha Toussainta w St. Bride's.

Arnoux był najlepszym z tych, którzy wyzywali Rama.

- Czego on chce? Co pisze? - spytał Gaspard.

Ram skrzywił usta w cynicznym grymasie.

- Przybywa do Londynu pod specjalną ochroną dyplomatyczną jako członek świty francuskiego zawodnika.

- Chce wznieść toast za dawne czasy?

- Nie. Chce mi powiedzieć, kto nas zdradził Francuzom.

Gaspard zrobił wielkie oczy.

- I chce za to dużych pieniędzy - dodał Ram.

*18. Balestra:  
rzut ciała do przodu,  
zwykle poprzedzający atak*

W rzeczy samej, pastorze, wiem od mego przyjaciela, że Ramsey Mutiro wyzwał pełną salę dżentelmenów na pojedynek do pierwszej krwi.

Helena, studiująca najnowszy obraz pana Turnera na wystawie Akademii Królewskiej w Somerset House, zachwiała się. Ramsey miał pojedynek? Czy jest ranny?

Wbiła wzrok w lorda Figburta, który siedział na marmurowej ławce pomiędzy pastorem a lady Tilpot. Z najwyższym trudem powstrzymała się od zapytania o szczegóły. Wytężyła słuch, by dowiedzieć się więcej.

- Tak, słyszałem tę skandaliczną historię. Pokonał wszystkich, czyż nie?

- rzekł pastor tonem pełnym podziwu. - Święta Dziewico, ależ on musi być nadzwyczajny!

Helena odetchnęła z ulgą.

Minęły dwa dni od jej bytności w jego szkole i podczas tych dwu dni rzadko trafiał się moment, w którym o nim nie myślała.

Od lat zbierał informacje o sytuacji jej i siostr, dyskretnie, bez wtrącania się czy porozumiewania z nimi. Cały czas był gotowy do spełnienia przysięgi danej jej rodzinie. Ta wierność przyrzeczeniu głęboko ją wzruszyła.

- Tym gorzej - obruszyła się lady Tilpot. - Ten człowiek jest bezczelny.

Nazwisko jakiejś kobiety zostało puszczone w obieg, a on ma śmiałość wyzwać lepszych od siebie! Pewnie poszło o jakąś lafiryndę z Cheapside.

Spojrzała z wyższością na swą przyjaciółkę, panią Barnes, która im towarzyszyła. Obie damy były znacznie bardziej zainteresowane lustrowaniem siebie nawzajem niż oglądaniem obrazów. Ale na wystawie należało się pokazać, przyszły więc. Flora też musiała tu być. Helena rozejrzała się za dziewczyną.

Flora zmierzała ku miejscu zwanemu Schodami Wystawowymi, z powodu upodobania młodych panów do zbierania się u podstawy spiralnej klatki schodowej, by podejrzeć od dołu, ile się dało, kiedy młoda dama wchodziła po stopniach. W ostatniej chwili skręciła w bok, gdzie coś jaskrawego przyciągnęło jej sroczę oko, a Helena na powrót skupiła uwagę na rozmawiających.

- To doprawdy przesada - oznajmiła pani Barnes autorytatywnie. - Nawet jak na hultaja z nieprawego łoża.

Krew napłynęła Helenie do twarzy. To jej nazwiskiem wycierano sobie gęby. Była tego pewna. Po spotkaniu z Munro dwa dni temu znalazła w domu niepodpisany list zaadresowany do niej. Z dołączoną różą. *Rozpustne zachowanie nie uchodzi bezkarnie*, pisał anonim.

To musiał być DeMarc. Widział ją w sali, a jego opinia o kobietach, które tam bywają była ogólnie znana. Na szczęście wicehrabia - czy to nie będąc zaproszony, czy to nie mając chęci przyjść - nie towarzyszył im tego popołudnia. A może stchórzył?

Nie wątpiła, że jego zemsta polegała na zasianiu strasznej plotki, dobrze bowiem wiedział, że jeśli jakiś cień padnie na jej nazwisko, lady Tilpot każe jej się spakować. Wątpiła jednak, by DeMarc bał się spojrzeć jej w oczy po tak nikczemnym postępku. Było bardziej prawdopodobne, że przyjdzie napawać się triumfem. Coś innego musiało go zatrzymać.

Próbowała robić, co się da, dla Flory. Codziennie wertowała gazety, szukając wiadomości od Oswalda. Nie było żadnej. A ciąża Flory powiększała się z każdym dniem. Biedaczka zaczynała chorować ze zmartwienia. Dla dobra dziecka, które nosi, musi dostać wiadomość od Oswalda.

- Na pewno nie poszło o prostą kobietę - rzekła lady Tilpot w zamyśleniu. - To musi być dama. Która dama sprowokowała to wyzwanie, jak państwo przypuszczają? - Położyła gruby palec wzdłuż nosa i spojrzała na Figburt. - Proszę, lordzie Figburt, niech pan nam powie.

- Ależ, proszę pani - Twarz młodzieńca oblała się rumieńcem. — Nie powiem, żebym nie wiedział, ale pan Munro wygrał wszystkie pojedynki, toteż ci, których pokonał, nie zasługiwali na miano dzentelmenów, gdyby wyjawili tożsamość damy, którą Munro tak dalece chciał chronić.

Podwójny podbródek lady Tilpot zatrzęsł się z irytacji.

- Brednie! Ktoś musi wiedzieć.

- Bardzo panią proszę. - Lord Figburt był wyraźnie zmartwiony. - Nie miałem zamiaru podsycać pani ciekawości, wspomniałem tę sprawę tylko dlatego, że to był pod każdym względem wspaniały, niezrównany pokaz szermierki. Munro jest znakomity!

Helena słuchała ze zdumieniem. Czy to może być ten sam chłopiec, który po pijanemu zaczepiał ją w ogrodzie Vauxhall? Kiedy został jej dziś przedstawiony, patrzył na nią z pełnym szacunku podziwem, ale bez cienia rozpoznania. W ciągu zaledwie kilku tygodni stał się dojrzały, trzyma się prościej,

wyraz twarzy ma uprzejmy. Robota Rama. Najwyraźniej chłopiec ubóstwia mistrza i stara się go naśladować.

- Widzisz, młody człowieku - lady Tilpot nie próbowała ukryć irytacji - jestem zdania, że to niemądre, kiedy osoby z niższych klas robią z siebie mistrzów. To może doprowadzić do tego jakobińskiego nonsensu, który zniszczył Francję.

- Trudno powiedzieć, by Francja była zniszczona. - Pani Winebarger, zakończywszy podziwianie ostatniego portretu księcia Jerzego, wróciła do towarzystwa.

Nie przyszła z nimi, ale ucieszyła się ze szczęśliwego zbiegu okoliczności, który pozwolił im się spotkać. Lady Tilpot i pani Barnes nie mogły zrobić nic innego, jak jej przytaknąć. Tylko Helena była naprawdę zadowolona ze spotkania. Lubiała panią Winebarger.

Ostatnia uwaga pruskiej damy spotkała się z długotrwałym milczeniem, które przerwała pani Barnes. Zdmuchnąwszy na bok pióro, rzekła:

- Pani jest Prusaczką, prawda, pani Winebarger?

- Tak.

- To wszystko wyjaśnia.

Policzki pani Winebarger się zaróżowiły. Jeszcze cięższe milczenie, które zapadło po tych słowach, przerwał młody lord Figburt.

- Już nie będzie się zaliczał do niższych klas.

- Kto? - spytał pastor, zdezorientowany.

- Ramsey Munro. Ma zostać markizem.

- Dobrze sobie! - Pani Barnes wyszczerzyła w uśmiechu żółte zęby. - Wielce zabawne, lordzie Figburt.

- Nic w tym nie widzę zabawnego, proszę pani. Mówię całkiem poważnie - zapewnił chłopiec gorliwie. - Ramsey Munro jest szykowany na dziedzica markiza Cottrell.

- Markiza Cottrell? - Pastor szeroko otworzył oczy. - No tak. Jest między nimi pewne podobieństwo, czyż nie?

- Oczywiście, że jest, pastorze - powiedziała lady Tilpot mentorskim tonem.

- Kiedy tylko ten młody człowiek pojawił się w mieście, było jasne, kim są jego rodzice. A przynajmniej jedno z nich. Syn Cottrella to było niezłe ziółko. Wyjechał z miasta w dość podejrzanych okolicznościach i osiadł w Szkocji. Bóg jeden wie, ile cottrellowskich oczu może człowiek spotkać na północ od Edynburga. Jestem pewna, że tamte okolice w nie obfitują. Zginął też w Szkocji. W jakiejś bójce w oberży, o kobietę, jak mi się zdaje. - Wykrzywiła usta w złośliwej satysfakcji. - Wygląda na to, że niedaleko padło jabłko od jabłoni.

- Ale... - zaczął lord Figburt, zdecydowany bronić swego ideału.

- Żadne ale, młodzieńcze, tytuł markiza jest przekazywany na zasadzie pierwotności - oświadczyła pani Barnes i przyjęła aprobujące skinienie głowy lady Tilpot. - Bękart nie może dziedziczyć. A Ramsey Munro jest bękartem.

- Nie lubię być kłótlivy, proszę pani...

- To niech pan nie będzie.

- Muszę. Widzi pani, obecny markiz ostatnio odkrył, że rodzice pana Munro zostali prawnie zaślubieni, i to w Kościele Anglii. Więc pan Munro nie jest... - splonął rumieńcem, przełknął ślinę i zerknął na panią Winebarger - ...hm, synem z nieprawego łoża.

- Co?

Wszystkie głowy w Wielkiej Sali obróciły się, ciekawe, kto zadał to pytanie. Lady Tilpot, ujrawszy profil Heleny zwrócony ku sobie, zawołała:

- Niech pani poszuka Flory, panno Nash! Dziewczyna skręci sobie szyję, gapiąc się tak **długo na te wszystkie malowidła. A to nie dodaje wdzięku.**

**Helena wstała, ale wciąż nie mogła się otrząsnąć z oszołomienia. Kręciło jej się w głowie, gdy machinalnie przesuwiała się wśród tłumu. Ramsey Munro ma zostać markizem Cottrell.**

Przecież Ramsey Munro, mistrz szpady, żyje, tak jak ona, w świecie zubożalej szlachty i nieprawych dzieci ludzi utytułowanych. Obraca się na obrzeżach dobrego towarzystwa, nie należąc do niego na równych prawach, ale też nie będąc całkiem wykluczonym. Ramsey Munro, nieprawy wnuk markiza, był osobą, z którą zbiedniała szlachcianka mogła utrzymywać znajomość. Ramsey Munro, dziedzic tytułu, był poza jej zasięgiem.

Cóż, pomyślała. Mam Florę, o którą muszę się troszczyć, i Oswalda, którego muszę znaleźć.

A jutro biorę pierwszą lekcję szermierki.

### *19- Styk:*

## *manewr, w którym klingi szpad się dotykają*

Ramsey Munro obserwował swoich uczniów, raz po raz zerkając na zegar. Wskazówki przesuwwały się zdecydowanie za wolno. Jeszcze dziesięć



minut. W duchu śmiał się z siebie. Po wszystkim, co w życiu zrobił, i wszystkim, co jemu zrobiono, zachowywał się jak sztubak, który nie może się doczekać pierwszej schadzki. Za dziesięć minut Helena zostanie z największą dyskrecją wprowadzona do jego prywatnych pokoi na piętrze. Fakt, że , nie zdarzy się to z powodów, dla których zwykle młodą damę wprowadza się dyskretnie do czyichś prywatnych pokoi, tylko dodawał pikanterii całej sytuacji.

- Proszę się postarać tak nie tupać, lordzie Figburt! - zawołał, przechodząc wzdłuż szeregu uczniów.

Za jego plecami otworzyły się drzwi i usłyszał, jak Gaspard wita DeMarca. Zignorował wejście wicehrabiego, choć wiedział, że tym samym leje wodę na młyn plotek głoszących, że odrzucił następne wyzwania DeMarca z obawy przed przegraną. Prawda była taka, iż nie ufał sobie na tyle, by skrzyżować szpadę z mężczyzną, który rzekomo prześladował Helenę.

Powinien skwitować wyniosłość wicehrabiego ironicznym uniesieniem brwi. Niestety nie potrafił. Patrzył na DeMarca i pragnął złapać go za nieskazitelny biały krawat, zawlec do kuchni i spytać, czy naprawdę naprzykrza się Helenie. Sam wciąż miał wątpliwości.

DeMarc zauroczony Heleną- na to zgoda. Niejeden mężczyzna uległ jej chłodnemu, zagadkowemu urokowi, nie wyłączając jego samego. Ale opętany do granic obsesji? Wydawało mu się, że DeMarc nie jest zdolny do ulegania jakimkolwiek obsesjom oprócz manii wielkości, ale nigdy nic nie wiadomo. W tym człowieku było coś niepokojącego.

Zmusił się do skłonienia głowy na powitanie. DeMarc nie był pierwszym jego uczniem, którym gardził. W lochach LeMons uczył arkanów swej sztuki przemysłownika nazwiskiem Callum Lamont.

- Dlaczego mnie uczysz? - spytał zarośnięty brudem młody człowiek, odrzucając kij zastępujący mu szpadę i cofając się przed delikatnie wirującym czubkiem improwizowanego drewnianego rapiera Rama. - Ty i twoi towarzysze nie spoufalacie się z resztą nas.

- Uratowałeś życie memu przyjacielowi.

- A ty zawsze spłacasz długi? - zakpił tamten.

Lamont był zdolny i miał wystarczająco dużo wrodzonego sprytu, by kiedyś stać się naprawdę groźny. Trudno przewidzieć, dla kogo. Ale przedtem

musiałby zostać zwolniony. A nikt nie wychodził z lochów LeMons. Nikt żywy. Uczenie go przynajmniej pomagało wypełnić długie, nużące godziny uwięzienia, przerywane tylko torturami i wymuszaniem zeznań. Lamont ocalił Kita od ciosu nożem w plecy. Z jakichkolwiek powodów.

- Nie mam racji? - zapytał. - Wy czterej myślicie, że jesteście od nas lepsi. Uważacie, że możecie sobie jeszcze pozwolić na takie rzeczy, jak honor i szlachetność. A co one wam dały? Co są dla was teraz warte? Po co zwracacie sobie nimi głowę?

- Powiedzmy, że z przyzwyczajenia- odparł Ram beztrąsko.

- Raczej z dumy - odparł Lamont i utkwiał spojrzenie w broni Rama.

- Masz rację - przyznał Ram. -Ale jeśli zamierzasz użyć swego ramienia jako szpady, zapewniam, że marnie zastąpi stal. A nawet drewno.



Tak, Lamont miał rację. Ram był dumny. Za bardzo. Zawrócił ku DeMarcowi.

- Witam, wicehrabio.

- Panie Munro. - DeMarc skłonił się sztywno. Zachowywał się wyraźnie chłodniej od czasu, gdy zobaczył tu Helenę.

Czy to on jest autorem plotek o Helenie? Myśl o wicehrabi szepczącym do ucha jakiemuś plotkarzowi wydawała się niedorzeczna.

- Co pan powie na małą potyczkę? - spytał DeMarc na tyle głośno, że wszyscy dokoła usłyszeli wyzwanie.

Subtelność nie była mocną stroną tego człowieka. Jeszcze jeden argument przeciwko temu, że posłużył się różami i plotką, by nastraszyć Helenę.

- Nic by mi nie sprawiło większej przyjemności - odparł Ram - ale, niestety, jestem zajęty. Adwokat mego dziadka nalega, by odbyć ze mną pogawędkę.

Nic nie mogło bardziej wytrącić z równowagi DeMarca niż sprawa szlachetnego urodzenia Rama.

- Pańska świeżo odkryta szacowna pozycja ma dobre i złe strony. Przewiduję, że spędzi pan życie, rozpaczliwie grzęznąc - górna warga DeMarca wygięła się, odsłaniając przednie zęby - w papierzyskach.

- Zrozumiałem pana całkiem jasno, wicehrabio. -Przez kilka sekund Ram zastanawiał się, czy nie zostać i nie dać wicehrabiemu lekcji, jakiej się domagał. I paru innych na dodatek.

Uznał jednak, że jedynym przymiotem, jaki DeMarc posiadał w większym stopniu niż snobizm, jest jego biegłość w szermierce. I że traktuje ten turniej poważnie. Z każdym dniem zdobywał większą sprawność, większe umiejętności. Danie mu lekcji mogło potrwać zbyt długo.

A Helena czeka. „- Może znajdę czas później - powiedział.

Wicehrabia wzruszył ramionami i rozejrzał się za innym przeciwnikiem.

Ram przyglądał mu się badawczo.

Róże. Nawet jeśli DeMarc zdołał opanować swą fizyczną reakcję na kwiaty, dlaczego wybrał do terroryzowania Heleny akurat róże? Albo wie o związku Rama z rodziną Nashów i o znaczeniu róż w ich wspólnej historii, albo ktoś inny podsunął mu to narzędzie, albo jest to czysty przypadek.

Ram nie wierzył w zbiegi okoliczności.

Ale jak zbliżyć się do DeMarca, by go wypytać? I kiedy znaleźć stosowny moment na taki wywiad? Ram wolał poczekać, aż jego agenci zbiorą jak najwięcej informacji.

Jak dotąd Bill dowiedział się, że DeMarc rzeczywiście spędza mnóstwo czasu w pobliżu panny Heleny Nash. Ale, jak podkreślił, to znaczyło również, że wicehrabia spędza mnóstwo czasu w pobliżu Flory Tilpot, ładnej młodej dziedziczki z okazałym posagiem.

A co do róż... nikt nigdy nie widział wicehrabiego z różą. Nie znaczyło to że nie ma kogoś działającego w jego imieniu. Tyle że na to też nie był dowodu.

Może róże podrzuca jakiś zadurzony idiota? Lokaj, na którego Helena nie zwraca uwagi. Kupiec. Nawet kwiaciarz. Łatwo było zrozumieć każdego mężczyznę będącego pod urokiem jej wyrazistych oczu, urzeczonego sposobem, w jaki przygryza górną wargę, by się nie roześmiać, oczarowanego ironicznym wygięciem jej brwi w kolorze miodu. Ale kto prócz niego miał okazję zaobserwować te jej cechy?

Stworzyła na widok publiczny twarz pełną godności, spokojną i obojętną. Zapewne niewiele osób, pomyślał z błyskiem pożądania, widziało pannę Helenę Nash bez jej maski.

Znów spojrzął na zegar. Już czas. Wyszedł z sali i ruszył na piętro schodami dla służby. Pchnąwszy bezgłośnie wahadłowe drzwi obite zielonym sukniem, szybko przemierzył wyłożony dywanem korytarz aż do narożnego polkoju, do którego Gaspard miał ją wprowadzić.

- ...myśli pan, że on wygra? - dobiegło go pytanie Heleny.
- To zależy od jego konkurentów, *n'est-cepas!* - odpowiedział Gaspardi

A to nicpoń! Gaspard miał przyjść do Rama natychmiast po przybyciu Heleny, a nie siedzieć i wygrzewać się w blasku jej piękności.

Ram oparł się o ścianę, bezwstydnie podsłuchując. Helena jest w jego domu. W jego pokoju. Uczucie przyjemności, jakim go to napawało, wprawiło go w zakłopotanie. Jeszcze jeden powód, by śmiać się z siebie. Powinien uciec z tą pannicą, pomyślał, zawieźć ją do GretnaGreen i tym sposobem wypełnić resztę swych dni rozkoszną autoironią.

Uśmiechnął się smętnie. Pewnie mądrzej by było uciec z kobietą, zanim się ją nauczy fechtunku...

- Więc pan Munro weźmie udział w zawodach?

- Nie wiem. W zeszłym tygodniu... - francuski akcent Gasparda wibrował zachęcająco - ...miał zamiar się zgłosić w nadziei zgarnięcia udziału zwycięzcy w dochodzie z imprezy. Ale teraz nie ma tak naglącej potrzeby.

- W dochodzie? - powtórzyła Helena, nie rozumiejąc.

- *Oui*, proszę pani. W dochodzie z opłat za wstęp wniesionych przez widzów. Zwycięzcy na różnych poziomach nie tylko są nagradzani sakiewką zebraną z wpisowego uczestników, ale też otrzymują procent od opłat za wstęp. Im wyższy poziom, na którym wygrywają, tym większy ich udział. Zwycięzca całych zawodów powinien zarobić mnóstwo pieniędzy. A do tego - zniżył głos - są jeszcze prywatne zakłady.

- Pan Munro miałby walczyć dla pieniędzy?

Zdumienie, jakie Ram wyczuł w jej głosie, przywołało go do ponurej rzeczywistości. Jakiegokolwiek okoliczności uczyniły z niej płatną damę do towarzystwa, jest damą, i to nie byle jaką, lecz najbardziej godną szacunku z dam. Dziadek może go zrobić markizem, ale czy przez to stanie się dżentelmenem dość dobrym dla niej? Odruchowo sięgnął dłonią do piętna wypalonego na piersi. Ilu „dżentelmenów” zostało napiętnowanych we francuskim więzieniu?

- Obrzydliwie lukratywne, pani zdaniem? - W głosie Gaspara czuło się urazę.

- Przepraszam pana. Musiałam się wydać strasznie zarozumiała - usprawiedliwiła się, a Rama zaskoczył jej ton. Żadnego dziewczęcego bąkania pełnego zakłopotania, tylko kobieca szczerłość. - Po prostu z powodu czci, z jaką pan Munro mówił o swojej sztuce, pomyślałam, że mógłby stanąć do zawodów tylko po to, by się sprawdzić.

- Ram Munro sprawdził się więcej razy, niż powinien jakiegokolwiek śmiertelnik, proszę pani - oświadczył lojalnie Gaspard. - Nie potrzebuje stawać do walki z innymi, by poznać własne możliwości.

Długie milczenie.

- Ma pan na myśli Francję, prawda? Co się wydarzyło...

Nie.

- Gaspard?

Ram wszedł do pokoju, nie okazując pośpiechu. Nie, ukochana. Nawet tobie nie wolno się do tego posunąć.

- Ach. Tu jesteś.

Jego totumfacki odwrócił się, jakby miał nieczyste sumienie.

- Słucham pana?

- Na dole jest pewien młody pyszałek, któremu trzeba dać lekcję. Milord Figburt postanowił wyzwać każdego, kto nosi zaostriżony kij. Chciałbym, żeby twój kij był naprawdę dobrze zaostriżony. - Gdy to mówił, jego wzrok padł na Helenę.

Ubrała się na ich lekcję w prostą suknię koloru surowego płótna drukowaną w grafitowoszare kwiatki, której stanik okrywał lekki kubraczek w kolorze butelkowej zieleni. Na stole obok szpad, które naszykował Gaspard, położyła wystrzępiony słomkowy kapelusz, odkrywając lśniące, starannie uczesane włosy.

- Lord Figburt, powiada pan? Impertynencki szczeniak! To będzie rozkosz. Panno Nash? Było mi miło. - Gaspard uklonił się Helenie i pośpiesznie wyszedł z pokoju.

Przez chwilę Helena przyglądała się Ramowi nieufnie, jak zawodnik oceniający przeciwnika. Docenił wnikliwość tych oględzin. Rozłożył ręce na boki i obrócił się powoli, zataczając krąg.

- Mam nadzieję, że aprobeje pani swój wybór - powiedział - bo jest trochę za późno na zagłębienie koniowi w zęby.

Nie dała niczego po sobie poznać. Ani rozbawienia. Ani zakłopotania. Niech to, ależ się wyćwiczyła w tym opanowaniu. Wolał Helenę z ogrodu Vauxhall, z jej śmiechem, namiętymi ustami i gardłowym głosem. Ta jej maska była znacznie trudniejsza do przeniknięcia.

- Myli się pan co do mego zainteresowania nim, panie Munro - odparła.

- Do licha. Tego się obawiałem - rzekł z żalem i został nagrodzony leciutkim wygięciem jej ust. -Ale proszę powiedzieć, nad czym pani w takim razie snuła domysły?

- Dziwiłam się, że jako nowo odkryty dziedzic markiza Cottrell nadal pan uczy w swej *salle*.

Uniósł brew. A to ciekawe. Nieskrywane wścibstwo? Ze strony chłodnej, zamkniętej w sobie panny Nash?

- Panno Nash, krążą legendy o pani piękności, spokoju, dobroci. Jednak że nie przypominam sobie, by wychwalano pani szczerość. Czy to może nowo odkryta cnota?

No nareszcie. Wymusił na niej uśmiech.

- Nie jestem pewna, czy ktoś uznałby to za cnotę, panie Munro.

- Ja tak. - Odpowiedział uśmiechem na jej rumieniec. - A co do pani uprzejmego zainteresowania moim niedawnym wyniesieniem na wysoką pozycję tak zwanego dziedzica, odkryłem, że podstawowym zajęciem związanym z tym przywilejem jest wyczekiwanie na śmierć własnego przodka.

Najwyraźniej przygryzła górną wargę, by powstrzymać uśmiech.

- Ale - ciągnął - jestem nieufny względem obietnic związanych z czyjąś śmiercią: śmiercią, która ma niemiły zwyczaj albo zakradania się, gdzie jej nie proszą, albo zapominania o zjawieniu się w porę. A skoro tak się rzeczy mają, postanowiłem ograniczyć stawkę zakładu i nie wyrzekać się mych obecnych środków utrzymania.

Opuściła rzęsy, by ukryć spojrzenie, ale zdążył zauważyć w jej oczach błysk uznania.

- Jest pan w najwyższym stopniu bezbożny.

- Czyżby? - mruknął, zachwycony sposobem, w jaki światło padające z okna podkreśla krągłość jej policzka. - Myśli pani, że bezbożnością narażam na zgon mą nieśmiertelną duszę?

- Nie - odparła z uśmiechem nie tyle nieśmiałym, co niewprawnym. - Coś tak niewinnego jak bezbożność znajduje się pod koniec listy zagrożeń dla pana duszy.

- Och, panno Nash, obawiam się tego, co w pani rozwinę - powiedział, kręcąc głową.

Spojrzała skonsternowana.

- Słucham?

- Już pani jest lepsza w szermierce niż większość mych uczniów. - I znacznie bardziej pociągająca, zmieniając się na mych oczach w kobietę o równie wspaniałym umyśle, jak postaci. Wybrał jedną z dwu szpad zostawionych przez Gasparda na stole. - Zaczynamy?

- Oczywiście. - Natychmiast przybrała rzeczowy ton. Oczy jej pociemniały, a on uświadomił sobie, że na kilka minut zapomniała, co ją tu sprowadziło.

Rozpięła kubraczek i zrzuciwszy go z ramion, położyła na stole. Jej suknia była skromna, z niewielkim dekoltem i rękawami w kształcie krótkich bufek. Może i będzie zdolna się w tym poruszać.

- Jestem gotowa. - Skrępowanie wkradło się w jej słowa. - Co mam robić? Uśmiechnij się znów. Pragnij mnie.

- Proszę przybrać postawę, jakby pani przeciwstawiała się napastnikowi. Kiwnęła głową posłusznie ściągnęła barki i wyprostowała się najwyżej, jak pozwalało jej sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Bardzo odważnie. I bardzo sztywno. Powinna się rozluźnić.

- Nie, panno Nash. Nie stawiamy czoła plutonowi egzekucyjnemu, stara my się stanowić jak najmniejszy cel.

Znów kiwnęła głową bardzo poważnie, i przykucnąwszy nisko, spojrzała na niego wyczekująco. Wyglądała jak malutki jasnowłosy jeź. Nadal była żenująco sztywna i wzruszająco poważna.

- Nie, panno Nash. Nie zamierzamy sturlać się z górki, szukujemy się do obrony.

Z jękiem rozpaczy się wyprostowała.

- Doskonale. Więc jak powinniśmy stanąć, panie Munro?

- Biodra prosto, uda lekko ugięte, plecy nieco wygięte, barki lekko obrócone. Odprężeni, gibcy i giętycy.

Skręciła się w jakąś niemożliwą pozycję, starając się spełnić wszystkiej zalecenia, a jednak wszystko robiąc niewłaściwie.

- Czy tak?

- Nie. - Wysilał się, by się nie uśmiechnąć. Nie udało się mu.

Odpowiedziała zmrużeniem jasnych oczu, ale wyprostowała się i mocno zacisnęła wargi. Pewnie od dawna nikt się z niej nie śmiał. No, ale przynajmniej zapomniała o swym podenerwowaniu.

- Niech pan pokaże.

Przyjął właściwą pozycję. Zbliżyła się i przyjrzała dokładnie jego postawie, powoli go okrążając, wodząc wzrokiem po jego ramionach, torsie i udach. Z każdym tyknięciem zegara dotyk jej spojrzenia bardziej przypominał pieszczotę. Gdy stanęła za nim, Ram czuł lekki kwiatowy zapach perfum i słyszał cichy oddech. Przekłęte rozcięcie spodni nagle zaczęło mu się wydawać boleśnie ciasne.

- Może już starczy?

- Jeszcze nie. Wróciła w jego pole widzenia, przekrzywiając głowę w jedną, to w drugą stronę w trakcie oględzin. Pasma jasnych włosów wy swobodziło się ze szpilek i powolnym ruchem spłynęło po policzku, by opase kokieteryjnie na ramię. Lśniło jak jedwab. Wysunęła koniuszek języka, dla lepszej koncentracji dotykając nim środka wygiętej górnej wargi. Jej język smakował pomarańczami, był ciepły i chętny...

- Z pewnością studiowała pani tę pozycję dostatecznie długo? - spytał oficjalnym tonem.

- Jeszcze nie. - Chrząknęła. Nie. Zdusiła śmiech.

Wstrętne dziewczuszyko. Mści się tym śmiechem za jego docinki. Dwoje może grać w tę grę.

Porzucił swą pozę i wolno, by dać jej szansę ukryć bezczelny uśmiech, obrócił się do niej twarzą.

- Czy myśli pani, że potrafi powtórzyć moją postawę? - spytał rzeczowo.

- Och, tak mi się zdaje. - Z pewnością siebie odtworzyła pozę, którą demonstrował. Uczciwość kazała mu przyznać, że całkiem udanie. Ale nie był w nastroju, by okazać łaskę.

- To żalosne - powiedział.

Pokręciła głową w komicznym niedowierzaniu.

- Co?

- Widywałem dyszle bardziej gibkie.

Zaróżowiła się, ale dzielnie spróbowała mocniej wygiąć grzbiet, robiąc to w sposób źle zrównoważony.

- Ach, rozumiem - powiedział. - Ma pani zamiar zacząć karierę akrobatki i demonstruje mi swoją zręczność. Brawo. Ale może byśmy spróbowali szermierki?

Łypnęła na niego spode łba.

- Niech pan się nie wyśmiewa, tylko mi pokaże.

Właśnie takiego zaproszenia oczekiwał. Ustawił się za nią przytrzymując ją w talii zgiętym ramieniem i przyciągając lekko do piersi. Natychmiast zeszywniała. Zignorował napięcie jej ciała, wgniatając jej miękkie okrągłości w twarde zarys swego torsu, kładąc dłoń płasko na jej brzuchu i intymnie przyciskając pośladki do swej pachwiny, a łopatki wbijając sobie w pierś.

Pochylił się nad nią i wolną dłonią przesunął leniwie wzdłuż odkrytego przedramienia, by ująć szczerpy przegub. Pociągnął jej rękę w górę, zginając ją delikatnie, tak by łokieć układał się dokładnie w zgięciu jego łokcia. Owinął jej dłoń wokół rękojeści szpady i nakrył Helenę swym ciałem, dopasowując się do jej gibkiej, kształtnie zaokrąglonej postaci.

Jej serce przyspieszyło. Wyczuwał rytm, podobny do strug deszczu bębniących mu po piersi, lekki i ponaglący. Mięśnie jej brzucha napięły się pod jego szeroką dłonią.

Zniżył usta i szepnął:

- Luźno, panno Nash. Szermierka to tylko nowy rodzaj tańca: taniec śmierci.



Zadrzała. Czuł aurę gorącą unoszącą się z jej skóry.

- Jest to taniec żywy i elegancki, stylowy i spontaniczny - mrucał.  
- Dziarski ukłon, nieodparte zaproszenie, namiętne spotkanie, zapierające dech wyminięcie. Spokojnie, panno Nash. Pani drży. Niech pani się wychyli w tył na mnie.

- Nie mogę.

Taka szczerość. Dużo bardziej prowokująca niż fałszywa brawura.

- A to dlaczego? - szepnął, gładząc jedwabiste włoski na jej karku.

- Ustawił mnie pan w takim wychyleniu do przodu, że jeśli się rozluźnię, to upadnę.

Poderwał głowę, jakby oblała go zimną wodą.

- Złapię panią- powiedział, próbując wrócić do ciepłego, poufalego tonu.

- Czy to miało mnie uspokoić? - spytała. - Bo nie poczułam się wcale uspokojona. I nie wierzę, że chodziło panu o to, by mnie uspokoić. Proszę mi powiedzieć, panie Munro, czy mówiąc, że mnie pan złapie, jeśli upadnę, chciał pan, żebym się czuła wdzięczna, bezpieczna czy zagrożona?

Masz ci los, trafiła go. Wyprostował się nieco i poważnie zamyślił nad jej pytaniem.

- Nie jestem pewien - przyznał.

- Ach tak. - Kiwnęła głową, wyginając szyję, by spojrzeć mu w oczy.  
- Rozumiem. Jest pan w rozterce.

- Naprawdę? - Boże, ależ ona jest fascynująca. Nawet bardziej fascynująca niż piękna. A to znaczy bardzo dużo.

Obróciła się jeszcze bardziej, tak by mogła mówić, patrząc mu w oczy, skutkiem czego okazało się, że trzyma ją zawieszoną, jedną ręką obejmując w talii, drugą wciąż podtrzymując za ramię wyciągnięte ponad nich. Muszą wyglądać jak cudaczny posąg, pomyślał oszołomiony. Mężczyzna i kobieta spleceni w jakiejś odwiecznej walce o to, które z nich wybije dziurę w suficie.

Spojrzał jej w oczy. Patrzyły na niego współczująco.

- Tak - powiedziała. - Wiem, że męska zarozumiałość wymaga, bym, kiedy pan z taką poufałością mnie trzyma, odczuwała dziewczęcą trwożliwość, wewnętrzne drżenie, dreszcz strachu połączony z ekscytującym oczekiwaniem. Podejrzewam, że byłoby jeszcze istotniejsze dla pańskiej męskiej dumy, bym czuła to, kiedy mnie pan unosi. Albo łapie.

- Punkt dla pani - przyznał, opuszczając ręce i wyjmując szpadę z jej dłoni. Puściła broń bez skargi i oswobodzoną dłonią kurczowo złapała go za biceps. Nie powinna była się martwić, nie miał zamiaru jej upuścić. Zresztą trzymał ją tak zawieszoną bez wysiłku, jak gdyby zwykle rozmawiali w ten sposób.

Nie tak planował to spotkanie. Jednak bezsprzecznie miało kuszący urok. Nigdy nie rozprawiał o uwodzeniu z kobietą. Przynajmniej nie z tą, którą chciał uwieść.

Skinęła głową jeszcze raz, nawet bardziej współczująco.

- Z drugiej strony, jako dżentelmenowi, jest panu nienawistna myśl, że mógłby pan wprawić mnie w popłoch, gdy jest pana obowiązkiem, i to za przysiężonym ślubowaniem, strzec mnie, bronić, a nawet mi służyć.

Badawczo wpatrywał się w uroczą, szczerą twarz wzniesioną ku niemu z taką powagą. Ma ułamany przedni ząb, zauważył. Drobiazg, ale tak pikantny w tym idealnym owalu, jak mięta w słodkiej herbacie.

- To dla pana dylemat - stwierdziła rzeczowo. - Lecz choć nie zawsze szedł pan za swymi najszlachetniejszymi odruchami, ufam, że wiedząc, iż cenię sobie mą cnotę, zatrzyma się pan, zanim... - głos jej zamierał, wzięła krótki oddech i ciągnęła dalej: - Wiem, że chciałby mnie pan sprowadzić na manowce, ale proszę tego nie robić.

- Sprowadzić panią na manowce? Jak uroczu to pani ujęła.

Spuściła wzrok.

- Nie wiem, jak ująć to inaczej.

- I jest pani całkiem pewna, że to właśnie zamierzam zrobić?

- Tak. - Oczywiście miała rację. - To właśnie pan robi. Przecież pan z te

go słynie.

A tak się pilnował, by jego uwodzicielski sposób bycia nie wydawał się taki... uwodzicielski. Wyglądała na speszoną i trochę urażoną. Wiedział, dlaczego. Te ostatnie słowa wyjaśniały, co o nim myśli i za kogo go uważa.

- Myśli pani, że grałem rolę uwodziciela już wiele razy? - Nie musiała nic mówić. Czytał odpowiedź w jej oczach. - Zbyt wiele razy - rzucił niefrasobliwym tonem.

- Czy mogło być inaczej, skoro dostaje pan to, o co inni muszą zabiegać? Widziałam, jak tamta kobieta na... - urwała, uświadomiwszy sobie, że o mało nie wypomniała mu całowania kobiety na maskaradzie, zdradzając się, że tam była.

Nie wiedziała, że tamto nie było niczym więcej niż żalostną i nieskuteczną próbą pozbycia się myśli o niej. A on nie mógł jej tego powiedzieć, bo wtedy wyszłoby na jaw, że odkrył jej sekret. Postanowił zaś czekać, aż sama mu się przyzna.

Pragnął jej. A jeszcze bardziej pragnął, by mu zaufała. By mu wierzyła. Dobry Boże! Naprawdę zaczął popadać w szaleństwo. A że chciał, by się

przyznała, musiał się przedstawić od najgorszej strony. Wystarczy jeszcze okrutniejsze szyderstwo.

- Kobieta na...? - naciskał, zły, że nie potrafił zbić jej zarzutu, i jeszcze bardziej zły, że nawet gdyby miał możliwość odeprzeć zarzut co do labiryntu na balu, nie potrafi wy tłumaczyć się z innych. Tych, z którymi sypiał w pierwszym roku po tym, gdy dano mu zrozumienia, jak mało znaczy.

Miała rację. Nie odrzucał niczego, co mu szczerze oferowano. Fakt, że nie przystawał na propozycje tak często, jak przypuszczała, dawał mu niewiele satysfakcji. Fakt, że przestał korzystać z tych propozycji na długo przedtem, nim ją poznał, nie miał znaczenia dla nikogo oprócz niego samego.

- W sali-bąknęła, unikając jego wzroku-widziałam, jak na pana patrzy.

Nie okazała mu tolerancji, to i on nie będzie lepszy.

- Powiedziała pani: „tamta kobieta”.

Zarumieniła się.

- Jedna szczególnie rzucała się w oczy.

- Hm - mruknął, przyglądając jej się leżącej w jego ramionach, z sercem nie dalej od jego serca niż na szerokość dłoni, z piersiami falującymi w szlachetnym oburzeniu, z oczyma błyskającymi kłamliwie. - Musi pani mi ją później pokazać. Biorąc pod uwagę, że pani cnota jest nie do zdobycia. - Do licha, nie potrafił uniknąć gorzkiego tonu. - Ale chociaż jestem... - zmagał się z sobą, by wykrztusić to słowo; nigdy się za takiego nie uważał, ale skoro napiętnowała go tym tytułem, będzie go nosił - ...hulaką to nie jestem łajdakiem.

- Wiem, że pan nie jest - powiedziała spokojnie, przyprawiając go o gwałtowne bicie serca z wysiłku, by zmusić się do powściągliwości i nie objąć jej mocniej. - Jestem niedoświadczona, ale nie naiwna.

Byłoby lepiej dla nich obojga, gdyby była. Gdyby była siedemnastoletnia dziewczyną, która dopiero co wyszła spod ojcowskiej pieczy, od której mężczyzna nigdy nie chciał niczego innego niż tańca lub uczciwego małżeństwa, dziewczyną, która nigdy nie była nagabywana lub prześladowana przez mężczyzn pragnących jej tylko dla jej piękności, dziewczyną, która nie musiała się uczyć ukrywać swych myśli. Taka dziewczyna nie wiedziałaby, co robią mężczyźni tacy jak on.

Ale też nie byłaby tą kobietą.

- Rozumiem - powiedział.

Wydała leciutkie westchnienie ulgi.

- Doceniam pański dylemat - wróciła do poprzedniej szczerości - i doceniam, że wybrał pan podporządkowanie niskich odruchów wrodzonej przyzwyczajoności.

Zamrugła rzęsami.

W przedstawieniu znakomitym przez swoją powściągliwość to było rażąco potknięcie.

Manipulowała nim!

Od chwili, gdy otoczył ją ramieniem, przemyślnie prowadziła go do odstąpienia i pozostawienia jej cnoty i godności nietkniętych.

- Doskonale - powiedział ze szczerym podziwem. - Gdyby pani darowała sobie ostatni element, nauczyłaby mnie przyzwoitości.

Otworzyła szeroko oczy.

- Ale te rzęsy... - pokręcił głową- rozczarowały mnie. Taki wyświechtany, stary chwyt. To do pani nie pasuje.

- To nie wyświechtany chwyt. - Nawet nie próbowała udawać, że nie wie, o czym mowa. - To jest standard. Wypróbowana, skuteczna metoda.

Więcej nieposłusznych loków rozsypało się z jej fryzury, opadając długimi pasmami, które kołysały się przy najdrobniejszym jej ruchu. Błądził spojrzeniem po zarysie jej obojczyka i śladzie wgłębienia nad dyskretną linią dekoltu zabarwionego delikatnym rumieńcem.

- Odniosła pani wiele sukcesów dzięki tej metodzie? - spytał. Jeśli nawet dojrzała szatański błysk w jego oczach, nie okazała tego.

- Hm? - Wpatrzyła się w niego. Jej rozchylone wargi wyglądały zachęcająco miękko i przystępnie. Co ona znowu knuje?

- Skończmy z udawaniem - powiedział stanowczo. - Czy zdołała pani zniechęcić wielu nadmiernie poufałych amantów sposobem podobnym do tego, którego właśnie tak biegle użyła wobec mnie?

- Och. - Zamrugła. - Paru. Chociaż niewielu posunęło się tak daleko w... - Zarumieniła się. - No, wie pan.

- Powinno mi to pochlebiać?

Uśmiechnęła się, niech ją licho, jakby dokładnie to powinien czuć.

- A co robią- ciągnął gładko - gdy ich pani zostawi z zawiązanym językiem, godnych pożałowania, nierozumiejących, jakim cudem kobieta, która rozpalila ich zmysły, zmieniała się w ich guwernantkę?

- Na ogół mnie zostawiają- odpowiedziała z prostotą.

Tej pannicy należy się lekcja. Rozdrażnienie jej machinacjami, irytacja na łatwość, z jaką dał sobą manipulować, i furia z powodu jej domniemań na temat jego rozwiązłej przeszłości mieszały się w silnie działającą miksturę.

- Nie dziwię się.

Upuścił ją.

Nie był to upadek z wysoka, gdyż leżała na jego ramieniu zaledwie pół metra nad podłogą, nie rzucił jej też z rozmachem, raczej położył. Jednak zaskoczenie było zupełne.

Z bezdźwięcznym „och!” wylądowała na zwoju muślinu i halek, prezentując smukłe łydki w jedwabnych pończochach zawiązanych bladezielonymi atłasowymi podwiązkami. Resztki fryzury, dotąd nienaruszone, skłębiły jej się na twarzy.

Przyglądał jej się wyczekująco, z dłońmi wspartymi na biodrach, szykując się na wybuch oburzenia, gniewu lub nawet upokorzenia. Spojrzała w górę i odgarnęła zasłonę lśniących włosów. Jej piękna twarz przestała być opanowana i... rozpromieniła się w wybuchu śmiechu. — *Touche!*

Ani chmury na czole, ani złości, ani wyrzutów.

W tej chwili - pod wpływem prostego, wesoło rzuconego *touche* - Ramsey Munro zdał sobie sprawę, że jest zakochany w Helenie Nash.

## 20. *Minięcie:*

### *nieznaczny ruch klingą pod klingę przeciwnika z zamiarem wyprzedzenia ruchu*

Ram stał, patrząc na nią z przedziwnym wyrazem twarzy. Kiedy Helena była dziewczynką, zdarzyło się, że zaczęły tajemniczo znikać kandyzowane owoce, które ojciec lubił mieć pod ręką na kredensie, żeby pojadać w środku dnia. Poprosił więc córkę, by pełniła z nim straż w spiżarni, z której było wejście do pokoju stołowego. Po godzinnym czekaniu do stołowego wszedł ich piesek Milo.

Rozejrzał się od niechcenia, wskoczył beztróska na stół i zaczął pochłaniać słodycze.

Ojciec, uzbrojony w procę, bez namysłu ostrzelał małego drania suchym grochem. Milo skoczył w górę jak oparzony i zakręcił się w kółko. Wyglądał wtedy właśnie tak, jak teraz Ram, okazując coś pomiędzy popłochem a zdumieniem, ze sporą porcją zgrozy dorzuconą dla równowagi.

Co on teraz myśli?

Nie miała zamiaru posunąć się tak daleko. Nie miała zamiaru pytać o jego dziedzictwo. Nie miała zamiaru okazywać irytacji, gdy nie mogła utrafić w wymaganą postawę. Z pewnością też nie miała zamiaru wypominać mu podbojów. Ale w chwili, kiedy jej dotknął, zrozumiała, że pociąg, który rozpaczliwie próbowała przypisać nastrojowi księżycowej nocy, masek i szaleństwa, jest równie silny w jasnym pokoju. I zdała sobie sprawę, że Ram może dostać od niej, czego zapagnie, niewiele się starając. A czego może chcieć przyszły markiz Cottrell od płatnej damy do towarzystwa, z którą właśnie odnowił znajomość, jeśli nie tego, co dostawał, jak sam przyznał, od mnóstwa innych kobiet?

Obudził się w niej instynkt samozachowawczy. Nie może pozwolić się uwodzić. Nie może stać się dla niego tylko popołudniowym interludium.

- Czy pani dobrze się czuje? - spytał gburowato, gdy wzdrygnęła się, przytomniejąc i zdając sobie sprawę, że przestała się śmiać i wpatruje się w niego. - Bo tak nagle przestała się pani śmiać, a teraz patrzy diabelnie dziwnie. Czy zrobiła sobie pani jakąś krzywdę?

- Nie, nie - wymamrotała, obciągając spódnice na nogach. Podał jej rękę, a ona pozwoliła dźwignąć się na nogi. Zaczynała czuć się trochę nieswojo przez ten nieodgadniony wyraz przyklejony do jego twarzy.

- Zdaje mi się, że źle zrobiłem, upuszczając panią w ten sposób. - Wyglądał na trochę rozszluszczonego i urażonego, a był to wyraz obcy wyrafinowanej, przystojnej twarzy Ramseya Munro.

- Zdaje mi się, że była z mej strony pewna prowokacja - przyznała. -Zawrzemy rozejm?

- Rozejm. Tak.

Przekrzywiła głowę. On naprawdę zachowuje się bardzo dziwnie.

- I możemy kontynuować lekcję?

- Tak. Oczywiście.

Poruszył ramionami, jakby koszula go krępowała. Co nie było wykluczone, sądząc po tym, jak biała tkanina napinała się na jego szerokich barach. Ale wcześniej nie było po nim widać, by było mu niewygodnie. Nagle ściągnął ramiona, tak jakby stał przed plutonem egzekucyjnym, co jej zarzucił poprzednio.

- Najpierw chwyt. - Podniósł z podłogi porzuconą szpadę, podał Helenie i pokazał, jak trzymać rękojeść. - To - wskazał giętki czubek - jest część słaba, najslabsza część klingi, ale też najbardziej elastyczna. -To - klepnął górną część klingi, przy rękojeści -jest forte, najmocniejsza część ostrza.

- Rozumiem.

- Pani- celem nie jest pojedynek - powiedział już całkiem jak nauczyciel, bezosobowo i informujące - Celem jest obrona. Pojęcia linii i reguł pojedynku są nieistotne. Skupimy się na pracy nóg, zasłonach... – Na jej pytające

spojrzenie wyjaśnił: - Zasłona to zablokowanie ciosu przeciwnika. Zwód polega na nacieraniu w jednym kierunku z zamiarem zmiany go na inny. A na koniec nauczy się pani zadawać pchnięcia, przebijając szpadą ciało przeciwnika.

Obserwował ją uważnie, sprawdzając jej reakcję.

- Rozumie pani, że to jest to, o co chodzi w pojedynku, to, po co się uczymy szermierki? Żeby umieć wbić stalowy szpikulec w żywą istotę i pozbawić ją życia.

Poczuła, że krew ucieka jej z twarzy, ale dzielnie kiwnęła głową. Z nagłym grymasem wyrzucił rękę w górę.

- To śmieszne! Pani nie chce nikomu zrobić krzywdy. Niech pani na siebie popatrzy! Jest pani damą, a nie jakąś napastliwą ladacznicą. Dlaczego, u licha, potrzebuje pani to umieć?

- Powiedziałam panu. Lord DeMarc...

- Lord DeMarc jest pompatycznym bufonem, który pewnie źle zniósł, kiedy pani okazała mu obojętność. Może nawet zachował się w sposób, który wyglądał na groźbę, ale żeby naprawdę stanowił zagrożenie... - Pokręcił głową. - Była pani przerażona. Jeszcze teraz jest. Pewnie nigdy nie miała pani do czynienia z mężczyzną tak zadufanym w siebie, który tak silnie zareagował na odtrącenie go. Ale proszę mi wierzyć, panno Nash, chociaż to się rzadko zdarza dżentelmenom, nie jest rzadkie wśród ogółu mężczyzn. Miała pani przykre doświadczenie. Ale nie potrzebuje pani się uzbrajać, żeby...

- Żeby co? - przerwała mu. Stała sztywno wyprostowana. - Mieć swobodę pójścia, dokąd zechcę i kiedy zechcę?

- Tak.

- Myli się pan - powiedziała zdławionym głosem. - Myśli pan, że jeśli mężczyzna nosi krawat w pewien sposób albo płaci długie hazardowe, albo pije, nie upijając się, albo dobrze jeździ konno, albo dobrze się fechtuje, to przestrzega dżentelmeńskiego kodeksu postępowania. I co do większości ma pan rację. Mężczyźni są na ogół tacy, na jakich wyglądają. Łajdak jest łajdakiem, dżentelmen jest dżentelmenem. Ale to nie dotyczy wszystkich. Nie zna pan lorda Forrestera DeMarca. Nigdy nie widział pan wyrazu jego twarzy, kiedy na mnie patrzy, nie słyszał pan nuty szaleństwa w jego głosie, kiedy do mnie mówi. Ja tak. Ale kiedy zaprzeczam temu, co pan o nim sądzi, kwestionuje pan moją zdolność rozeznania, a nie jego charakter.

Odwzajemnił jej spojrzenie spod przymkniętych powiek, ani zakłopotany, ani przekonany. Trudno jej było go winić. Na jego miejscu pewnie by czuła to samo. Sama ledwie wierzy w to, co ją spotkało.

- Może wystarczy, bym przeciwstawił się DeMarcowi? - powiedział wreszcie. - Dał mu do zrozumienia, że jego zainteresowanie jest niedoceniane i nieodwzajemniane...

- Nie!

- Ale dlaczego? - spytał.

- Dlatego, że DeMarc pójdzie natychmiast do lady Tilpot. Jeśli ona uzna, że postawiłam w kłopotliwej sytuacji jednego z jej gości, zwolni mnie ze służby.

- A czy to takie straszne? Jestem pewien, że pani siostra i jej nowy mąż z radością przyjmą panią do siebie.

- Ja też jestem pewna - powiedziała z przekonaniem. - Ale jak pan wie, oni są na kontynencie, a ja nie chciałabym stąd wyjeżdżać.

- Ja bym też nie chciał - mruknął nachmurzony.

- I nie mogę ot tak sobie poprosić Weltonów, bym mogła dzielić pokój z Charlotte! - Nagle opuściła ramiona pod ciężarem jego podejrzeń i własnego braku oparcia. - Proszę mi wierzyć, panie Munro. Wiele rozmyślałam o mej sytuacji. Wierzę, że wybrałam najlepsze wyjście. - Uśmiechnęła się blado. - Więc proszę, czy możemy zacząć z tymi zasłonami?

## *24. Rozbrojenie:*

### *zmuszenie przeciwnika*

#### *do zwolnienia chwytu jego broni*

Wielkie nieba! - Jolly Milar, z oczyma utkwionymi w drzwi sali balowej lady Tilpot, wzdrygnęła się i zamachała wachlarzem. Helena, posłana przez pracodawczynię, by powstrzymała tę utrapioną pannicę od wymknięcia się z którymś z młodych elegantów czekających na uroczysty bal, obejrzała się, gdy wśród trzystu gości lady Tilpot zapanowała martwa cisza.

W korytarzu, przed szeroko rozwartymi dwuskrzydłowymi drzwiami, spokojnie wręczając laskę i kapelusz lokajowi, stał markiz Cottrell, Ignatio Farr. A u jego boku, rozglądając się z wytworną rezerwą, stał Ramsey Munro.



Nosił się ze swobodną nonszalancją, którą wielu mężczyzn naśladowało, lecz niewielu osiągało. Ubrany na ciemnogrnatowo, za jedyną ozdobę miał złotą różę wpiętą w krawat.

Helenie zaparło dech. Co on tu robi? Lady Tilpot nigdy by go nie zaprosiła, bez względu na jego nowo zdobytą pozycję.

- Biedna Tilpot. - Helena, obejrzawszy się, zobaczyła, że pani Winebarger uśmiecha się znacząco. - Prawie można jej współczuć. Dość popatrzeć, jak gorączkowo myśli, co zrobić z tą niespodziewaną i niechcianą parą! Gdzie ich usadzić przy obiedzie? Czy w ogóle ich gdzieś usadzić? - Pruska dama zaśmiała się cichutko. - Co za kłopot.

Helena poszła za jej wzrokiem. Lady Tilpot siedziała sztywno, jakby przyrosła do krzesła, z wargą lekko obwisłą, nerwowo strzelając oczyma, badając reakcję najbliższych znajomych. Stojący obok wielebny Tawster zdawał się prawie tak samo skonsternowany jak jego dobrodziejka, ale o ile Lady Tilpot miała minę zmieszaną, to na jego twarzy rysowało się wniebowzięte zdumienie.

Po jednej stronie lady Tilpot siedziała pani Barnes z zasznurowanymi ustami i wyrazem wyrachowanego zadowolenia. Znalazła się na pierwszym planie czegoś, co może się okazać najbardziej smakowitą plotką dość bezbarwnego sezonu towarzyskiego. Z drugiej strony lady Tilpot Flora, cud piękności w mieniących się diamentowo koronkach, rozglądała się wkoło, wyczuwając nagłą zmianę atmosfery, ale nie mając pojęcia, co ją spowodowało.

- Fatalnie dla siebie - ciągnęła półgłosem lady Winebarger - Tilpot znalazła się między młotem a kowadłem. Jej przyjaciele oczekują, że da ostrą odprawę zuchwałemu panu Munro, ale jest na to za mądra. Jego dziadek, markiz, to potężny człowiek. Bardzo potężny, wie pani.

Helena nie wiedziała. Nie pierwszy raz wydało jej się, że pruska dama wie bardzo dużo, jak na osobę nie tak dawno przybyłą na wyspę. Ale zaraz zapomniała o pani Winebarger, bo Ramsey, niespiesznie obchodząc salę, znalazł się przy niej. Zatrzymał się i skłonił głowę z ironicznym rozbawieniem. I w tej chwili zrozumiała: jego zjawienie się tutaj jest przyznaniem jej racji, że może lepiej rozszyfrowała DeMarca niż on. Przyszedł zbadać sytuację.

Mogło się to wydawać drobnostką, ale nie znała innego mężczyzny, który by taką wagę przywiązywał do jej opinii. I czy to na pewno drobnostka? Sądząc ze ściszonych rozmów dobiegających zza drgających wachlarzy po całej sali, może go spotkać przykra niespodzianka. Postawił się w niezręcznej sytuacji i być może naraził na poniżenie. Dla niej.

Serce skoczyło jej w piersi. Emocje mąciły jej myśli, dobijając się, by dała im ujście. Ale wiedziała, że to wszystko jest absurdem, że niedorzecznie myli wdzięczność z... Wyparła się takiego nonsensu, skarciła swe niesforne serce i obejrzała się za DeMarkiem, którego unikała przez całe popołudnie.

Od razu dojrzała jego blond głowę wyciągniętą ku drzwiom jak u psa myśliwskiego, jego napiętą postać, gdy wpatrywał się w Ramseya. Potem, idąc za spojrzeniem Munro, zwrócił ku niej mroczne spojrzenie. Zmroziła ją wrogość, którą w nim wyczytała.

Z lekkim wzdrygnięciem spojrzała na Ramseya. Musiał zobaczyć wściekłą twarz DeMarca, jego skrzywione wargi i ponure spojrzenie.

Ale Ram już na nią nie patrzył. Zwrócił się ku swemu dziadkowi, słuchając starszego pana, gdy razem wkraczali na salę, a teraz bez pośpiechu przesuwali się wśród tłumu. Głowy obracały się, piersi nadymały z oburzeniem, a pulchne, przesadnie wystrojone matrony rozstępowały się, gdy przechodził między nimi jak młody kocur w gołębniku, nie zważając na sykania, nie przejmując się szmerem wzburzenia, jaki wywoływał.

Było to wielce zabawne.

- Patrzcie! Chce złożyć uszanowanie lady Tilpot! - sapnęła Jolly.

Lady Tilpot schyliła się nad Florą i syknęła jej coś do ucha. Dziewczyna natychmiast się zerwała, szybko ukloniła i wybiegła z sali.

- Ojoj! To źle wróży ambicjom towarzyskim pana Munro. Stara Tilpot nie przedstawi go panie Tilpot - powiedziała z westchnieniem pani Winebarger.

Helena obserwowała tłumek zbierający się za lady Tilpot niczym stado owiec przy bramie pastwiska; wszyscy przepychali się jak najbliżej, by słyszeć zapowiadającą się wymianę zdań, ale nie za blisko, by nie okazać niedyskrecji.

- Myślę, że wszystko dobrze się ułoży. Ten człowiek bierze każdą przeszkodę - szeptał z ożywieniem wielebny Tawster za plecami Heleny. Nie słyszała, kiedy się zbliżył. Teraz patrzyła na niego zaskoczona, ze świeżo obudzonym uznaniem. Chociaż wyraźnie zaciekawiony, pastor ustąpił swego miejsca w pierwszym rzędzie osobom bardziej podekscytowanym.

- Stawiam dziewięć do jednego - zgodziła się z entuzjazmem Jolly, trzepocząc wachlarzem nad biustem.

- Bystry chłopak - mruknęła lady Winebarger, kiedy Ram wstrzymał się, nie okazując zainteresowania, podczas gdy jego dziadek podchodził z majestatycznym namaszczeniem do boku lady Tilpot. Markiz zgiął się nisko w pasie, uniósł jej pulchną dłoń w pobliże swych ust i patrzył prosto w jej okrągłe oczy, coś mruczając.

Wszystkie wachlarze wokół znieruchomiały, gdy ich właścicielki wyteżyły słuch, chcąc dosłyszeć, co powiedział. Zawiodły się. Cokolwiek markiz wymruczał, sprawiło to, że lady Tilpot zaczęła się wiercić niespokojnie i nagle z parsknięciem skinęła władczo na Ramseya, by się zbliżył.

Wyraziwszy spojrzeniem absolutnie nieprzekonywające zaskoczenie, Ramsey wystąpił naprzód i złożył ukłon tak idealny, że przyćmił wytworność swego dziadka.

- Lady Tilpot - powiedział wyraźnie. - Bardzo mi miło.

- Witam w mym domu, panie Munro - rzekła głośno lady Tilpot, a potem, rzuciwszy nerwowe spojrzenie na markiza, dodała jeszcze głośniejsze: - Moja siostrzenica jest teraz zajęta, ale wkrótce wróci. Muszę pana z nią zapoznać.

Na to wśród gości rozszedł się lekki szmer rozmów. Ramsey odpowiedział grzecznie, że będzie zaszczycony, a lady Tilpot przestała wyglądać, jakby oczekiwała po nim, że zedrze z siebie ubranie i zacznie biegać jak szalony po jej sali balowej. On zaś ukłonił się jeszcze raz i przyłączył do czekającego dziadka. Tłum przesunął się i rozproszył.

- I oto Ramsey Munro wchodzi do towarzystwa - skomentował pastor dziwnym tonem.

- Wygląda pan na rozczarowanego, wielbny - powiedziała pani Winebarger.

- Może i trochę jestem - przyznał pastor. - Jest coś niezwykle romantycznego w zdziczałej odrośli arystokratycznego rodu, nie sądzi pani? Tak czy inaczej, jestem pewien, że wszystko to wyjdzie na dobre. - Lekkim uśmiechem umniejszającym własną wartość wymówił się od dalszej rozmowy.

Reszta wieczoru przeszła bez większych niespodzianek. Helena nie oczekiwała, że Ramsey, jako dziedzic tytułu markiza, zostanie jej przedstawiony przy takim tłumie gości, tak jak i on się tego nie spodziewał. Było mnóstwo innych osób rywalizujących o ten honor, stojących dużo wyżej od niej: niezliczone młode damy i modne panny z mamusiami, jak należy wypychającymi naprzód swe potomstwo, córki szlacheckie i dziedziczki starych, znamienitych nazwisk. Kiedy lady Tilpot przypieczętowała swą aprobatę dla Rama, posuwając się nawet do tego, żeby publicznie przedstawić go jedynej siostrzenicy, powszechnie uznawanej za jedną z najlepiej strzeżonych dziedziczek, część towarzystwa, żyjąca troską o swą reputację i zachowanie pozorów, wzięła z niej przykład.

A Helena była zazdrosna. Pierwszy raz od lat zapragnęła mieć piękną suknię. Coś wykwintnego, lekkiego jak babie lato i mieniącego się, coś opływa-

jącego ciało, jak suknie z wysoką talią w greckim stylu, noszone przez inne damy.

Nie żeby jej sukni czegoś brakowało. Pasowała do jej stanowiska, uszyta z koralowego batystu związanego pod piersiami jedwabną kokardą, z krótkimi bufiastymi rękawkami i skromnym dekoltem obramowanym koronką. Jej włosy, zwinięte na czubku głowy, nie wymagały ozdób.

Chociaż napotykała wiele zachwyconych spojrzeń, nikt jej nie poprosił do tańca. Tym bardziej nie Ramsey. Ale też nie zatańczył z żadną inną damą, widać zadowolony z rozpierania się w fotelu z młodymi elegantami i starszymi wojskowymi w najdalszym końcu sali, czyniąc z siebie jak najmilszego gościa. Obdarzał pełnym uszanowania skłonieniem głowy i zachwyconym spojrzeniem chichoczące i paplające młode kobiety, które przechadzały się przed nim. Uważnie słuchał starego generała, który ciężko sapał i krzyczał mu do ucha. Plół kompletne nonsensy nad chusteczką wiekowej baronowej, upuszczoną kokieteryjnie u jego stóp.

Z każdą mijającą godziną mina lady Tilpot stawała się coraz bardziej triumfująca, aż wreszcie około dziesiątej obecność Ramseya Munro w jej domu magicznym sposobem przemieniła się z grożącej katastrofy w sukces towarzyski pani domu i gwóźdź sezonu.

- Tak, tak - mówiła do swych przyjaciół, biorąc z rąk Heleny szklaneczkę ponczu, którą kazała sobie przynieść - oczywiście wiedziałam, że pan Munro ma przyjść. Czyż nie jesteśmy z jego dziadkiem starymi przyjaciółmi?

Helena nigdy o czymś takim nie słyszała.

Lady Tilpot musiała pochwycić odbicie myśli Heleny w jej kpiącym spojrzeniu. Nie podobało jej się, że ją przyłapano.

- Heleno - warknęła - Flora siedzi z markizem przy drzwiach do ogrodu. To słodka, niewinna, ale dość głupiutka dziewczyna, która zanudzi drogiego markiza.

Och, jakie ciepłe potępienie. Nic dziwnego, że Flora uciekła przy pierwszej okazji.

- Proszę tam iść i uwolnić go od jej towarzystwa.

- Oczywiście.

- Zatem, jak mówiłam, Ramsey będzie obecny na wieczorku w przyszłym tygodniu, a wtedy...

Zgodnie ze słowami lady Tilpot, Helena zastała Florę na jednej z kanapek ustawionych wokół sali dla odpoczynku tańczących. Jej suknia mieniła się w świetle tysięcy świec, odbijając klejnoty zdobiące staniczek. Flora wyglądała jak kawałek szklanej tkaniny, połyskującej i błyszczącej.

Markiz siedział w fotelu obok niej. Daleko mu było do znużenia. Miał stalowe spojrzenie, zawzięty wyraz twarzy i, to prawda, był nieco zmieszany, ale z pewnością nie znużony. Helena pospieszyła ku nim, próbując sobie wyobrazić, co takiego Flora - słodka, nikomu się nienarzucająca Flora - mogła powiedzieć, co tak poruszyło markiza.

- Ależ jest pan! Zabiega pan o zbliżenie z wnukiem-mówiła Flora łagodnie, ze łzami połyskującymi jej w oczach. - Uważam, że to bardzo szlachetne!

Och, Floro! Helena w milczeniu dołączyła do dziewczyny. Przecież jest nauczona, że nie należy czynić tak karygodnie osobistych uwag! Ale brzemienność zmąciła jej rozsądek. Zawsze była sentymentalna. A teraz stała się zuchwała i płaczliwa, co składało się na bulwersującą kombinację.

- Floro, kochanie - powiedziała Helena swobodnie, podchodząc do dziewczyny. - Jesteś zarumieniona, a do ogrodu jest parę kroków. Czy nie chcesz łyknąć chłodnego nocnego powietrza?

- Nie, dziękuję, Heleno - odparła Flora, ledwie na nią zerknąwszy, a potem znów zatopiła świetliste spojrzenie w markizie. Wyglądała, jakby w każdej chwili mogła poklepać go po dłoni.

Proszę, Floro, nie zrób tego.

Starszy pan przeszył wzrokiem Florę i przez moment Helena była przekonana, że ma zamiar ostro przywołać ją do porządku, na co w pełni zasłużyła. Zaczęła szukać w kieszeni chusteczki, szykując się do tamowania oczekiwanej powodzi łez. Ale nagle markiz złagodniał.

- Dzisiejsza młodzież - powiedział. - Czy wy nie macie poczucia przywoitości? Nie umiecie panować nad sobą?

- Myślę, że pan Munro doskonale panuje nad sobą- powiedziała Flora, zerkając przez salę na wytwornego wnuka markiza.

Markiz podążył wzrokiem za jej spojrzeniem.

- Tak. To prawda. Co uważam za godne najwyższej pochwały. - Jego znaczące spojrzenie spoczęło na Florze. Ale dziewczyna nie odczytała aluzji.

- Jakie to słodkie! - powiedziała wniebowzięta.

- Słodkie. - Słowo to w ustach markiza zabrzmiało, jakby się nim dławził.

- Tak! - Flora klasnęła w dłonie tuż pod brodą Heleny. - Odnaleźć się po takim długim, mozolnym szukaniu! - Pociągnęła nosem, z oczyma pełnymi łez, a Helena zrozumiała, że nie ma na myśli rozdzielenia Ramsey'a i markiza, tylko swoje z Oswaldem. - To jest takie... cu... cudowne! - Mrugając,

otrząsnęła łzy z oczu. - A znalazłszy go, mógł się pan przekonać o jego zaletach i zasługach! Musi to pana ogromnie cieszyć.

- To naprawdę nie ma znaczenia, czy się cieszę. Moje uczucia względem Ramseya nic nie mają do rzeczy.

- Dlaczego? - wypaliła Helena, nim zdołała się powstrzymać.

Markiz, który ignorował jej obecność jako damy, której nie został przed stawiony, teraz zwrócił na nią wrogie spojrzenie.

- A pani jest...

- Och! - Flora się przestraszyła. - Nie wiedziałam... To jest... To jest panna Helena Nash, markizie. Heleno, Ignatio Farr, markiz Cottrell.

- Milordzie. - Helena dygnęła uprzejmie.

Spojrzenie markiza spoczęło na niej z budzącym się zainteresowaniem.

- Ach. Piękna dama do towarzystwa. I podopieczna mego wnuka. Proszę, siadaj, dziewczyno.

Skąd on to wie? Helena nie mogła wyjść ze zdumienia, zajmując miejsce obok Flory. Przemówił do niej, jakby na głos wypowiedziała swe myśli.

- Czy uważa pani, że dopuściłbym, aby tytuł wpadł w ręce komuś obce mu, panno Nash? Nie jestem romantyczny. Ani nie mam takich skłonności, ani chęci. Kazałem śledzić każdy krok Ramseya. Wątpię, czy jest wiele rzeczy, których bym o nim nie wiedział - powieki opadły mu na jasne oczy - albo osób, które są dla niego ważne.

Gorąco uderzyło na policzki Helenie i z zawstydzieniem uświadomiła sobie, że Flora przygląda jej się z wielkim zaciekawieniem. O nie! Nie zniosłaby wypytywania o Ramseya przez Florę, która czyniłaby najbardziej karkołomne domysły.

Markiz zwrócił się na powrót do Flory.

- A co do odnalezienia Ramseya, panno Tilpot, to nigdy go nie zgubiłem. Mogłem stracić go z oczu na jakiś rok tu czy tam, ale na ogół wiedziałem, gdzie jest przez większość jego życia.

- W takim razie dlaczego pan tak długo zwlekał z uznaniem go? - Flora wydawała się zbита z tropu. Romantyczny blask wysechł w jej oczach i pozwoli zaczynała sobie zdawać sprawę, że ma przed sobą mężczyznę bez odrobiny romantyzmu. Ktoś taki w oczach Flory był istotą nieczłowieczą jak złośliwy skrzat czy inne lichy.

- Wprawilem w konsternację pani młodą przyjaciółkę, panno Nash. Ale nie panią- powiedział markiz w zamyśleniu. - Hm. A co do twego pytania,

panienko... - Zwrócił wzrok ku Florze. - Nie zasługujesz na odpowiedź za taką impertynencją, ale zgadzam się mimo wszystko zaspokoić twą ciekawość.

Zerknął z ukosa ku Helenie, która odniosła dziwne wrażenie, że mówi do niej, nie do Flory.

- Przyjmuje pani, że ja nie uznawałem Ramseya, kiedy było całkiem przeciwnie. Od jego powrotu z Francji szukałem środków, by go przekonać, żeby mi pozwolił podać do publicznej wiadomości dokumenty dowodzące, że jest moim prawnym dziedzicem. To on odmawiał.

Dlaczego? - zdziwiła się w myśli Helena, ale nagle za tym pytaniem przyszło inne. Dlaczego zgodził się teraz?

- Markizie. - Helena pogrążona w myślach nie usłyszała, jak Ram się do nich zbliżył. Gdy teraz podniosła wzrok, ujrzała go stojącego nad nią, z dłońmi splecionymi swobodnie na plecach. Nie patrzył na nią. Za to spoglądał łagodnie na markiza. - Zagarnął pan dla siebie dwie młode damy, kiedy sala jest pełna nieszczęśliwych młodzieńców, którzy są zbyt wystraszeni, by się zbliżyć.

Markiz rzucił Ramowi stanowcze spojrzenie.

- Nie sil się na dworne maniery, Ramseyu. Nie musisz mnie czarować. Znamy się zbyt dobrze, by się oszukiwać.

- Może to nie pana próbuję czarować. - Ram się uśmiechnął.

- Albo oszukać? - Markiz odpowiedział z uśmiechem.

Dobry Boże, pomyślała Helena rozdrażniona, przebywanie z nimi dwoma jest jak wplątanie się między przeciwników toczących pojedynek; same ostre słowa i słowne zaczepki, drobne zadrażnienia i cięcia raniące do krwi.

- Floro, moja droga. Naprawdę masz wypieki. Czy byłabyś tak dobra i prze-spacerowała się teraz?

Flora, przyglądająca się Ramowi i markizowi w osłupieniu, oszołomiona złośliwościami miotanymi tuż nad jej głową, tym razem dała się namówić. Wstała. Markiz również natychmiast wstał.

- Panowie wybaczą - powiedziała słodko Helena i skłoniwszy się im, wzięła Florę pod rękę i poprowadziła ją drzwiami wychodzącymi na ogród.

- Uderzenie powstrzymujące — mruknął za nią Ram.

- Istotnie. Imponujące - usłyszała potwierdzenie markiza.

## *22. Działanie proste: natarcie lub riposta niewymagające zwodów ani gry kling*

Ogród był prawie pusty. Tylko służący zbierał szklaneczki po ponczu, a dwie dostojne matrony oglądały rabatę na najdalszym krańcu ogrodu. Papierowe lampiony łagodnie kołysały się w górze, rozwieszane wzdłuż ścieżek wijących się wśród idealnie wypielęgowanych grządek. Flora zwróciła się wyczekująco do Heleny, gdy tylko stanęły na trawiastej ścieżce.

- Czy dostałaś wiadomość od Ossiego?
- Od Ossiego? Nie. - Helena pokręciła głową. - Przykro mi, Floro. Twarzyczka Flory się skrzywiła.

- Och. Pomyślałam, kiedy się upierałaś, bym z tobą wyszła, że masz nowe wiadomości.

- Nie mam. Chciałam cię tylko odciągnąć od tych dżentelmenów.
- Nie musisz się martwić, Heleno. Doskonale sobie radziłam ze starym markizem, a co do tego sławetnego Ramseya Munro... - Wzdrygnęła się lekko. - Jestem zadowolona, że go poznałam.

Helena popatrzyła na nią z zaciekawioną.

- Naprawdę? A to dlaczego, zechciej powiedzieć.
- Bo ma opinię jednego z najbardziej czarujących mężczyzn w Londynie, nie mówiąc o tym, że najprzystojniejszego. Więc to naprawdę bardzo dobrze, że go poznałam, bo to stanowiło próbę dla mej miłości do Ossiego.
- Ach tak? - W swej szczerości Flora bardzo przypominała Helenie Charlotte, a raczej młodą damę, jaką stałaby się Charlotte, gdyby miała te same możliwości co Flora. Ale czy dla Flory są dobrodziejstwem? To prawda, jest słodka, urocza, uległa i porażająco naiwna. A przez to kompletnie nie nadaje się do innych warunków życia niż jej obecne. Charlotte, pomyślała Helena pierwszy raz, nie znosiłaby cierpliwie takiego życia, lecz triumfowałaby.

- Tak - paplała Flora. - Teraz mogę powiedzieć z całym przekonaniem, że choć zawarłam znajomość z najbardziej uroczym, przystojnym i niebezpiecznym mężczyzną w Londynie, ani trochę mnie nie pociągał.

- No, Floro, chyba trochę przesadzasz - odparła Helena.

- Zgoda - przyznała Flora - ale podobał mi się tylko w najbardziej estetyczny sposób. Jak ładny obraz, powiedzmy jeden z morskich pejzaży pana



Turnera! Wszystko jest bardzo podniecające i ciemne, ale nie chcemy się znaleźć na obrazie, prawda? - spytała poważnie.

- Nie.

Flora pokiwała głową.

- Pan Munro... - urwała. - Czy jest jakiś tytuł dla przyszłego markiza, jak ci się zdaje?

- Nie mam pojęcia. Proszę, mów dalej, Floro.

- Pan Munro jest po prostu zbyt niebezpieczny i za sprytny, żeby dziewczyna czuła się przy nim swobodnie.

Tak. Jest mądry i sprytny i właśnie dlatego dziewczyna będzie się czuć przy nim swobodnie. Przynajmniej ona się tak czuje.

Z najdalszego końca ogrodu Helenę dobiegły nagle głośnie szelesty w krzakach. Spojrzała z ciekawością w tę stronę, ale dostrzegła tylko te same dwie starsze damy, teraz zatopione w ożywionej dyskusji na temat mszyc. Obróciła się na powrót ku Florze.

- Pan Goodwin będzie wniebowzięty, gdy się dowie, że nie ma rywala w Ramseyu Munro.

Na dźwięk nazwiska ukochanego ożywienie na twarzy Flory zgasło.

- Obym mogła sama mu to powiedzieć. Och, Heleno, co ja mam robić? Wkrótce stanie się widoczne, że spodziewam się dziecka, a wtedy ciocia Alfreda wyśle mnie w jakieś straszne miejsce jak... jak... Ipswich! - Jej głos załamał się dramatycznie. - Umrę w Ipswich.

- Nie, nie umrzesz w Ipswich. Poza tym pan Goodwin prawdopodobnie układa jakiś nader sprytny plan zgromadzenia fortuny i połączenia się z tobą, nawet w tej chwili, gdy tu rozmawiamy.

Flora zerknęła na nią podejrzliwie, jakby podejrzewając ironię, do czego miała pełne prawo, gdyż Helena w gruncie rzeczy powiedziała to ironicznie. Kolejne szelesty i trzask łamanych gałęzi dobiegły zza żywopłotu, jak gdyby coś z trudem przedzierało się przez gęste poszycie. Czy to kotka pani Winebarger, Księżniczka, wymknęła się na małe polowanie?

- Doprawdy, Floro - ciągnęła Helena roztargnionym tonem. To coś wy dawało się za duże na kota i zdecydowanie się zbliżało. Przecież nie De-Marc? Widziała go niecałe pięć minut temu, rozmawiającego z pastorem. - Jestem pewna, że pan Goodwin pragnie cię zobaczyć tak samo jak ty jego, ale nie znajduje dobrej okazji. Musisz po prostu być cierpliwa, moja droga. Dbaj o siebie i swoje nienarodzone dziecko. Bądź dzielna dla niego.

Nie mogła lepiej do niej zaapelować. Flora rezolutnie zadarła drżącą brodę.

- Będę dzielna. A teraz chyba powinnam wrócić do cioci Alfredy - powiedziała. - Z pewnością ma kolejkę znakomitych kawalerów, którym obiecała taniec ze mną. Czy i ty idziesz?

- Nie, kochanie. Biegnij sama. - Flora, potulna jak zawsze, zwróciła się ku drzwiom, lecz Helena, coś sobie przypomniawszy, zawołała za nią: -Floro?!

- Tak?

- Jak to jest z tymi młodymi ludźmi, których ci się przedstawia, przy twojej piękności i słodyczy, i... wybac, że jestem wulgarna, ale... bogactwie? Jakimi sposobami powstrzymujesz ich od poproszenia lady Tilpot o twoją rękę?

Gdy Helena wyliczała jej zalety, Flora zarumieniła się i uśmiechnęła, pokazując dołeczki w policzkach.

- Och, bardzo łatwo - odparła. - Kiedy jakiś dżentelmen zbyt gorąco okazuje mi swe względy, po prostu mówię mu, że jest dla mnie nie do pomyślenia życie bez cioci Alfredy w mym przysłym domu.

- Rozumiem - powiedziała Helena z podziwem, a Flora, widząc, że ciotka macha na nią zza drzwi, szybko się oddaliła.

Może Flora też będzie triumfowała...

Za Heleną krzak wydał zduszone, rozpaczliwe stęknienie.

- Florro!

Dobry Boże, Helena poznała ten jęk! To Ossie. Krzak zatrząsł się i posypał się deszcz strąconych liści, gdy młodzian starał się wyswobodzić z gąszczu i pognać za ukochaną.

- Nie! - syknęła Helena. Zerknęła na dwie starsze damy, które przerwały rozmowę, by zobaczyć, co się dzieje. - Kotka pani Winebarger - zawołała głośno - chyba się zaplątała w krzakach!

Skrzywiły się i na nowo podjęły rozmowę.

- Niech pan tam zostanie, panie Goodwin - błagała Helena. — Jeśli te damy zobaczą mężczyznę wychodzącego z krzaków, wrzaskną wniebogłosy i albo pan będzie ścigany jako złodziej, albo, co gorsza, jako mój konkurent! A wtedy lady Tilpot mnie zwolni!

- Ojej!

- Już dobrze, kici-kici - zaintonowała Helena, zagłuszając głos Oswalda, a potem syknęła wściekle: - Niech pan będzie cicho!

- Być tak blisko - zaszeptał drżący krzew - a ona się nie dowie. Dobrze wygląda. Źle mówię, wygląda pięknie. Może jest jej lepiej beze mnie.

- Bez wątplenia tak. Ale pana dziecko mogłoby myśleć inaczej.

- Wygląda jak anioł... - Krzak znieruchomiał i zamilkł. - Dziecko?

- Tak, pan... Tak. Flora oczekuje dziecka.
- Ach!
- Ostrożnie! Nie waż się pan wpaść z tego krzaka.
- Ale... jakim sposobem?
- Z pewnością pan ma o tym lepsze pojęcie niż ja. Ale sądziłabym, że zwykłym sposobem - powiedziała Helena. - A teraz niech pan szybko mówi: co z planem, który pan układał, kiedy się spotkaliśmy ostatnio?
- Dobrze. Tak, bardzo dobrze - odparł krzak w roztargnieniu.
- I ma pan wystarczające środki, by przyznać się do swej małżonki?
- Będę miał. Bardzo niedługo.
- Kiedy?
- Za dwa tygodnie plus minus jakiś dzień czy dwa.
- Czy nie może pan...
- Panno Nash. - Na dźwięk głosu Ramseya Helena okręciła się w miejscu.
- Pan Munro! - wykrzyknęła. Nie może go dopuścić bliżej krzaka. Na tychmiast by poznał, że ktoś się tam ukrywa. - Błagam, niech pan zostanie w miejscu! - zawołała. - Ja... moja... och, suknia mi się zaczepiła o krzaki, , kiedy próbowałam wyciągnąć kotkę pani Winebarger, i nie mogę się tak panu pokazać, dopóki tego nie naprawię.
- Dwie starsze damy na końcu ścieżki obróciły się, usłyszawszy głos Ramseya, i stały, przyglądając mu się z głęboką urazą. Ram odwzajemnił się takim samym spojrzeniem. Nie śmiał narażać reputacji Heleny, podchodząc do niej, kiedy go wyraźnie poprosiła, by tego nie robił.
- Czy potrzebuje pani pomocy?
- Nie, nie - odparła wesoło. - To tylko chwilkę potrwa.
- Obróciła się z powrotem do krzaka.
- Kiedy się spotkamy? Gdzie? Mam panu dużo więcej do powiedzenia.
- List od Flory do oddania...
- Flooorooo-westchnął krzak.
- Dość tego! Gdzie? W Vauxhall?
- Nie! Moi wierzyciele wiedzą o tym miejscu. Czatuja tam - mruknął krzak zmartwiony. - Pomyślę o czymś innym, ale tymczasem...
- Krzak się zatrząsł i nagle wysunęła się z niego dłoń, i chwyciła Helenę za kostkę. Podskoczyła, tłumiąc krzyk.
- Na litość boską, panie Goodwin...
- List - szeptał krzak, gdy dłoń zwolniła chwyt i położyła u jej stóp złożoną karteczkę. - Do mojej Flory. Proszę, niech pani zadba, by go dostała.

- Dobrze. A pan niech stąd idzie. - Z westchnieniem z powodu zniszczenia swej jedynej porządnej sukni balowej przykucnęła i rozdarła kawałek koronki z obrębu, zgarniając jednocześnie list. Potem wstała, cofając się, jak gdyby właśnie się wyplątała.

- Już dobrze! - zawołała, przyłączając się do Ramseya w pobliżu drzwi. - Uwolniłam się!

- Czy jest pani cała i zdrowa? - Zmarszczył brwi. Wyglądał tak przystojnie w ciemnym surducie i spodniach, ze śnieżnobiałym krawatem stanowiącym tło dla czarnych pukli. Księżyc wyjrzał nagle zza chmury, oblewając jego piękną twarz srebrzystym połyskiem.

- Tak. Do rzeczy, czego pan chce? Czy chodzi o lekcje szermierki? Nie może pan się ze mną spotkać w tym tygodniu? - spytała spokojnie.

- Co? - zapytał. - Ach, nie. Nie, nic się nie zmieniło. Japo prostu... zobaczyłem, że panna Flora wychodzi z ogrodu, pani nie idzie za nią, a DeMarca nigdzie nie widać, więc...

Wlepiała w niego wzrok, gdy jej serce wyczyniało dziwne salta. Wyglądał, jak sobie uświadomiła, na niespokojnego. Z tego powodu, pomyślała.

- Więc zauważył pan coś w jego zachowaniu - powiedziała, ignorując zawrotne podskoki serca. - Coś w sposobie, w jaki na mnie patrzy?

- To by było niemożliwe, bo on w ogóle na panią nie spojrział.

- Ach - westchnęła rozczerowana. Byłoby wielką ulgą mieć świadka tego, co widziała: demona czającego się za poważnymi, purytańskimi rysami przystojnego wicehrabiego.

- Przez to właśnie czuję się nieswojo - odpowiedział. - Błysnęła oczami ku niemu. - Przespacerujemy się? - spytał.

Zawahała się, czując aż zbyt wyraźnie śledzące ich krytyczne spojrzenia.

- Wolałabym usiąść, jeśli pan pozwoli. Tam.

Wskazała dwa fotele z kutego żelaza na wprost drzwi prowadzących do sali balowej. Siedząc w nich, byłiby na widoku każdego, kto by zechciał zerknąć z wnętrza sali.

Uśmiechnął się znacząco.

- Zawsze jest pani tak ostrożna?

- Zawsze.

- Więc dobrze. - Zaczekał, aż zajmie miejsce, po czym poszedł w jej ślady. Wyciągnął rękę na oparciu swego fotela, zwieszając palce od niechcenia kilka centymetrów nad jej nagim ramieniem. Palce ma silne, przypominała sobie, i gładkie. Ciepłe i...

To było absurdalne. Wcześniej tego wieczoru DeMarc ją przeraził i była gotowa schować się w mysiej dziurze. A wystarczyło, że Ramsey Munro wkroczył do zatłoczonej sali balowej i świat wydał jej się bezpieczny i pewny — nawet więcej, zachwycający i pełen obietnic.

- Wspomniał pan, iż to, że DeMarc na mnie nie patrzy, budzi w panu niepokój - przypomniała.

- Wie pani, że jest nadzwyczaj piękną kobietą- oświadczył rzeczowo. -Wystarczy się rozejrzeć po sali, by zauważyć ukradkowe spojrzenia mężczyzn skierowane na panią. A DeMarc nie spojrzał ani razu. Więcej, starał się usuwać z miejsc, w których mógłby się na panią natknąć. Dlaczego?

- Nie wiem.

- Myślę, że dlatego, że musiałby się zdradzić z tym czymś, co do pani czuje, kiedy na panią patrzy.

- Rozumiem. - To brzmiało tak dziwnie. Tak szaleńczo. Zadrzała.

Dostrzegł to i natychmiast przysunął się bliżej, wyciągając dłoń, jakby chciał ją do siebie przyciągnąć, ale nagle, gwałtownie, przywołał się do porządku. Albo raczej przypomniał sobie o zafascynowanych widzach na końcu ogrodu.

- Nie pozwolę mu pani skrzywdzić.

- Sama też mu nie pozwolę się skrzywdzić - powiedziała stanowczo. - Dziękuję, że uwierzył mi pan na tyle, by dać wiarę moim obawom. Będę się strzegła dwakroć bardziej.

Jego twarz ściągnęła się w bezsilnej rozpacz.

- Nie potrzebuje pani. Ja mogę pani strzec. To jest to, co uroczyście przyrzekłem. Proszę mi pozwolić.

Spojrzała na niego łagodniejącymi oczyma. Mówił gniewnie i z wysiłkiem próbował panować nad emocjami, a Ram Munro, jakiego znała przedtem, nigdy nie był porywczy.

- Pozwoliłabym, gdybym mogła. Ale...

- Ale co? - przerwał jej. - Proszę mi zaufać.

Pokręciła głową. Gdyby poszedł z nią, Oswald by się z nią nie spotkał. Poza tym zdradziłaby sekret Flory, nie swój. Musi skierować jego uwagę na inny temat.

Zapatrzył się w dal, a oczy błyskały mu w świetle księżyca. Wyglądał jak przystojny książę, któremu pokrzyżowano szyki.

- Czy mogę zadać panu pytanie? - odezwała się wreszcie.

- Tak - odparł z irytacją. - Oczywiście.

- Nie każde pytanie zasługuje na odpowiedź - tłumaczyła się łagodnie. - Nie mam prawa pytać pana o cokolwiek, a pan ma wszelkie prawo oczekiwać ode mnie uszanowania swej prywatności.

Jego gniew uleciał. Mówiła z taką skruchą. Spojrzał na nią. Pragnął jej aprobaty, uśmiechów, zrozumienia. A jeśli odkrywając przed nią kim jest, odkryje też, kim nie jest, to niech tak będzie.

- Moja droga -jego głos brzmiał dziwnie -jestem na pani rozkazy. Czegokolwiek pragniesz, po prostu każ mi to zrobić. Cokolwiek chcesz wiedzieć, pytaj.

- A niech mnie! Nie wiedziałam, że potraktował pan tak poważnie ślubowanie złożone mej rodzinie. - Spróbowała się zaśmiać, ale zabrzmiało to, jakby się zakrztusiła.

Och, to nie ma żadnego związku z moim ślubowaniem, pomyślał, wytrzymując jej spojrzenie. Jej oczy zaśniły, jakby czytała w jego myślach. Wygiął wargi w lekkim uśmiechu.

- Co takiego chce pani wiedzieć?

- Dlaczego markiz czekał tak długo z ujawnieniem tych kontraktów ślubnych?

- Dlatego, że jeszcze pięć lat temu w ogóle nie istniały - odparł bez wahania. - Pozwoliłem podać je do wiadomości publicznej dopiero... - urwał w zamyśleniu - ...pięć dni temu.

Gdyby świat wpadł na trop fałszerstw jego dziadka, wybuchłby wielki skandal, a Ramsey nie tylko zostałby na powrót bękartem bez nazwiska, lecz również straciłby swą szkołę. Dużo zaryzykował, mówiąc jej o tym. Ale nigdy przedtem nie był zakochany. Jeśli odkrycie jego sekretów zachęci ją do powierzenia mu swoich, gra będzie warta ryzyka. Nienawidził tego czegoś, co kazało jej po nocy wychodzić z domu zamaskowanej, a teraz uzbrojonej w szpadę.

Oczy Heleny pozostały spokojne. Podejrzewała to.

- Ale dlaczego teraz?

- Powód tkwi głęboko w przeszłości - odpowiedział. - Czy pamięta pani pozostałych mężczyzn, którzy przyszli do pani domu i przyrzekli wspomagać jej rodzinę?

Kiwnęła głową.

- Pułkownik MacNeill i Andrew Ross - ciągnął Ram. - Czy wie pani, dlaczego znaleźliśmy się w tym francuskim więzieniu?

- Częściowo - odparła. - Kate wyjawiała mi, co powiedział jej mąż. Wyślano panów do Francji, by stworzyć sieć informatorów, której centrum

znalazłoby się w miejscu, jakiego Napoleon najmniej by się spodziewał: w domu jego żony w Malmaison.

- Tak. - Ram musnął palcami złotą różę wpiętą w biały krawat. - Józefina uwielbia różę; ma obsesję na ich punkcie. Jako żonie rosnącej potęgi we Francji królowie i królowe, zdetronizowani książęta i przyszli potentaci przysyłają jej w darze sadzonki róż, wszystkie najbardziej egzotyczne odmiany. Ale żadna nie jest tak egzotyczna jak róża, która wyrosła w małym szkockim opactwie, będąca darem dla opata od pewnego krzyżowca, za opiekę nad jego rodziną w czasie Czarnej Śmierci.

- Żółta róża - powiedziała.

- Właśnie. - Jego lekko chropawy szkocki akcent zaznaczył się wyraźniej. - Żółta róża. Zawieźliśmy Józefinie tę różę i zaofiarowaliśmy naszą biegłość jako poszukiwaczy róż, by przemierzać Francję i Europę w poszukiwaniu nowych odmian do jej ogrodów. Mając jej poparcie na piśmie, moglibyśmy dostać się wszędzie niezatrzymywani.

Jego spojrzenie błędzące w morzu wspomnień nagle się wyostriżyło.

- Plan był dobry - powiedział. - Ale ktoś nas wydał, nim zaczęliśmy go realizować. Schwytano nas i osadzono w lochach zamku LeMons.

Nie odrywała wzroku od jego twarzy.

- Dość powiedzieć, że Francuzi nie potraktowali nas z szacunkiem, jakie go Szkoci mogliby oczekiwać od dawnych sojuszników. - Uśmiechnął się, ale po chwili jego uśmiech zbladł. - Stracili jednego z nas, najszlachetniejszego, Douglasa Stewarta.

Wrócił wspomnieniami do Douga, jego ciemnych włosów zlepionych brudem, ognia w jego jasnych oczach, gorączkowych wypieków na chudych policzkach, gdy strażnicy wlekli go po wąskich schodach na gilotynę. „Zostańcie wierni, chłopcy!” - krzyknął, nim ciężkie drzwi zatrzasnęły się za nim.

- Ale kto mógł was wydać? - spytała, zmarszczywszy brwi.

- Nie wiem - odpowiedział. - To musi być jedna z trzech osób: Kit MacNeill, Andrew Ross lub Toussaint, wygnany francuski ksiądz i były żołnierz, który zaplanował to przedsięwzięcie. Zawsze podejrzewałem, że Toussaint był kimś więcej, niż się przyznawał.

Wygiął wargi w krzywym uśmiechu.

- Nie wydaje mi się, by to był Kit, a z jakichś powodów Kit ostatnio jest gotów przyjąć, że to nie byłem ja. Zanim wyjechał na kontynent, obiecałem mu, że dojdę do tego, kto nas zdradził. Kilka dni temu dostałem list od czło-wieka który był strażnikiem w LeMons. Rozesłałem trochę zapytań, obie-

cując nagrodę za każdą informację prowadzącą do naszego judasza. Ten człowiek odpowiedział. Utrzymuje, że wie, kto był zdrajcą.

- Strażnik ów przybywa w świecie francuskiego szermierza, który dostał specjalne pozwolenie na przyjazd do Anglii na turniej. Umówiłem się z nim na spotkanie w dniu zakończenia turnieju. Wtedy wyjawi mi nazwisko tego, kogo szukam.

- Ale tylko za ogromną sumę - powiedziała, mrużąc oczy. - A markiz ma mnóstwo pieniędzy.

- Brawo.

Popatrzył na nią ze spokojnym rozbawieniem.

- Suma, jakiej żąda Arnoux, daleko wykracza poza wszystko, co mógłbym zebrać.

Siedział przez całą noc, rozważając, co zrobić, a przeszłość wracała i brała w posiadanie jego umysł. Myślał o swej uroczej, nieroztropnej matce, o zawziętym, lekkomyślnym ojcu, o przyjemnym życiu, jakie prowadził w szkockich górach. Potem rozmyślał o kilku strasznych tygodniach po śmierci matki i o tym, jak ojciec Tarkin odnalazł go i przywiózł do opactwa St. Bride's, gdzie trzech chłopcy dopuścili go do braterstwa tak naturalnie, jakby zawsze był jednym z nich. Na koniec jego myśli pobiegły do francuskiego więzienia, gdzie on i ci sami bracia zostali zdradzeni, jeden z nich stracony, a ci, którzy ocalili, nieodwracalnie okaleczeni psychicznie.

Dwukrotnie stracił rodzinę. Śmierć rodziców, wprawdzie bezsensowna, przynajmniej nie była przez nikogo zamierzona. Ale drugim razem... ze złą wolą i rozmyśłem ktoś uknuł spisek, by ich zniszczyć. Dlaczego?

Teraz odkrycie prawdy miał w zasięgu ręki. Musiał tylko zadać sobie pytanie, jak bardzo mu zależy, by wiedzieć. Bardziej niż na tym, by kazać staremu cierpieć za okrutny sposób, w jaki potraktował jego rodziców?

Na pewno bardziej.

- Jestem jedynym żyjącym krewnym markiza, a to, panno Nash, go nęka. Jego duma jest jednak niezmiernie, wie, że starzeje się, i rozpaczliwie pragnie kontynuacji swego rodu. Więc napisałem do niego, że pozwolę mu się odnaleźć jako jego prawy dziedzic, jeśli niezwłocznie przekaze mi czterdzieści tysięcy funtów. Markiz spotkał się ze mną w biurze swego adwokata tego samego dnia.

- To musi być dla pana bardzo trudne.

Przyjrzał jej się rozbawiony.

- Trudne? Dlaczego pani tak sądzi?

- Bo nie chciał pan tej spuścizny - odparła z przekonaniem. - To obejmuje zobowiązania i kompromisy, których pan sobie nie życzy ani nie przewidywał.



Jego rozbawienie zmieniło się w zainteresowanie.

- Bękart taki jak ja, któremu ofiarowuje się niewyobrażalne dla niego bogactwo i władzę? Jak mógłbym tego nie chcieć?

- Dlatego, że chce pan czego innego - myślała głośno, patrząc na niego z powagą. - Chciał pan... uczyć szermierki tak, jak pana zdaniem należy jej uczyć. Chciał pan czegoś dla siebie. I dać coś z siebie.

- Tego chciałem? Skąd pani wie? - Jej intuicja zapierała mu dech. Miała rację. Chciał mieć *salle* na własność, taką, o jakiej marzył, chciał uczyć szermierki nie jako rozrywki dla znudzonych synów zamożnych arystokratów, lecz jako dyscypliny, jako sztuki.

- Bo słyszałam, jak pan o tym mówił, słyszałam tembr pana głosu.

Nie zaprzeczył jej sugestiom, ale też ich nie potwierdził. Co dobrego by z tego przyszło? Życie, o jakim marzył, znalazło się poza jego zasięgiem. Markiz nie zajmuje się nauczaniem. Będą inne obowiązki i powinności, które wypełnią mu czas, inne pole dla talentów i bystrości umysłu, którą nawet nie wie, czy posiada, nie mówiąc już o tym, czy potrafi zrobić z niej dobry użytek. Ale spróbuje. Jak powiedział Callumowi Lamontowi, płacenie długów weszło mu w zwyczaj. A teraz ma dług nie tylko wobec markiza, ale i wobec tych, którzy żyją z tego, że pracują na markiza.

- A co pani powie o sobie? Czego pani pragnie?

- Być ceniona. Być wartościowa.

Zdał sobie sprawę, że mówiła bez zastanowienia, z głębi serca.

Ja cię cenię, pomyślał. Ja znam twoją wartość.

Odwrócił głowę ku drzwiom sali balowej. Uznane piękności, wyrachowane matrony i, niech to licha! nawet kilka szacownych dam spędziło wieczór, rzucając mu zaciekawione spojrzenia i kokieteryjne uśmiechy. A jedyna kobieta, od której pragnął tych spojrzeń i uśmiechów, uważa go za kobieciarza, teraz zaś dowiedziała się, że jest oszustem.

Dwie starsze damy wreszcie zmęczyły się rozmową i wracały właśnie do sali balowej. Uśmiechnął się rozbawiony.

- Będzie pan znakomitością - powiedziała Helena spokojnie. - Już jest pan traktowany z honorami.

- Dziwne, prawda? - spytał niedbale.

Nie patrzył na nią. Pragnienie dotknięcia jej, chwycenia w ramiona było prawie nie do pokonania. Cały wieczór grał rolę dobrego dziedzica, rozmawiając, kłaniając się i dygając przed ludźmi, którzy nic go nie obchodzili, tylko po to, żeby uspokoić obawę co do niebezpieczeństwa, w jakim mogła

się znaleźć. Helena Nash była jedyną osobą, o którą dbał, i jedyną, której zdawał się nie imponować. Jak może zrobić na niej wrażenie?

Och, dobrze rozumiał, że fizycznie reagowała na niego. Ale magnetyzm pomiędzy nimi ją przerażał, jego pociąg do niej wprawiał w popłoch. Musi być cierpliwy, działać powoli, ostrożnie. Nawet jeśli go to zabija.

Spojrzał na Helenę. Jej twarz była spokojna, ale czuło się napięcie w palcach zaciśniętych na kolanach.

- Powinniśmy iść - powiedziała, wstając w nagłym przypływie rozważli.  
- Jeśli dłużej będziemy widziani razem, zyskam opinię zbyt ambitnej.

Wstał i ruszył za nią. Znalazłszy się przed drzwiami, przystanął, a on to wykorzystał. Przysunął się do jej boku, wziął ją za rękę i pociągnął ku sobie, w cień.

- Nie - powiedział, wpatrując się w nią. - Pomyśl, że ja jestem zbyt pospolity.

- Ale pan nie jest. Ma pan zostać markizem Cottrell.

Popatrzył na nią, czując się dziecinny, niemądry i nieokrzesany.

- A pani ma zostać moją małą instruktorką dworskich manier? Rozumiem. Proszę mi więc powiedzieć, co powinien zrobić nowo odnaleziony dziedzic wielkiego tytułu, kiedy znajdzie się sam na sam w ogrodzie z kobietą, którą żarliwie pragnie pocałować?

Usłyszał, jak przełknęła ślinę, zobaczył głębokie kałuże jej źrenic pochłaniające niebieskie kręgi tęczówek, gdy wlepiła w niego wzrok.

- Puścić ją i odejść. - Nie brzmiało to jednak przekonująco.

- Cóż - powiedział z ciepłym uśmiechem -jestem świeży w tej roli, więc skłonny do popełniania błędów.

Chwyił ją w ramiona i pocałował z gorliwością, która zaparła jej dech. I dopiero wtedy ją puścił. Ale to ona odeszła - nie, uciekła pędem.

Ukryty w cieniu starej galerii dla muzyków wicehrabia DeMarc oparł głowę o ścianę i zamknął oczy. Ale wciąż ich widział. Munro, ciemnego jak sam grzech, gdy pochylał się nad nią, gdy światło księżycy zmieniło ją w piękność tak olśniewającą, że bolały go oczy od patrzenia na nią. Helena! Moja Helena!

Munro pocałował ją. Pocałował tak, jakby wsysał ją w siebie, zatonął w jego ramionach. Potem nagle Munro ją puścił i się odsunął.

Nie zamienili słowa. Nawet się nie dotykali. Nie musieli. Dotykali się na tyle innych sposobów. Jego ciemność sączyła się w jej świetlistą, bladą piękność, ona przyjmowała to, chłonęła jego twardą, mroczną duszę. Nie, nie, nie, nie. To jest ohyda. Zbeczieszczenie ich związku. Helena należy do niego.

Czy Munro myśli, że on mu japo prostu odda? Czy ona myśli, że może go zwyczajnie porzucić? Niedoczekanie!



Ram Munro kocha Helenę Nash.

Drugi mężczyzna, który się im przyglądał, westchnął, poczuwszy się trochę rzewnie, trochę sentymentalnie. Ten biedny głupiec naprawdę ją kocha.

Oczywiście nic z tego nie będzie. Ona mu nie ufa, a Ram, cóż, jest tak zniszczony, jak może być człowiek, który wy dostał się z piekła. Munro po prostu o tym nie wie. Ale on wie.

Naprawdę odda Ramowi przysługę, zabijając go. Nie będzie musiał cierpieć, patrząc, jak zachwyty jego ukochanej zmienia się w nienawiść. Nie będzie musiał cierpieć, gdy ją straci. Nigdy nie będzie taki, jaki przyrzekł być, nie wypełni świętych przyrzeczeń, jakie złożył, przyrzeczeń wobec dawnego i nowego porządku...

Mężczyzna zmarszczył brwi. Kręciło mu się w głowie od wspomnień i obrazów, tak że czasami trudno było rozdzielić, które są prawdziwe, a które zrodzone w ciągu długich godzin myślowej udręki.

Z jękiem rozpaczy zrzucił rękawiczkę i sięgnął do kieszeni po scyzoryk, który pomagał mu się skoncentrować. Tego sposobu nauczył się dawno temu we Francji. Z westchnieniem ulgi wbił ostry jak igła koniec noża w mięsistą poduszeczkę u nasady kciuka. Natychmiast rozjaśniło mu się w głowie. Jeszcze jeden obrót i wróciła przytomność umysłu, a z nią słodki rozsądek.

Ram próbuje się zmienić. Człowiek nie może się zmienić. Czy nie tak naucza Kościół? Trzeba umrzeć, by móc się narodzić na nowo? Tak jak on się narodził. Niestety narodził się w świecie wciąż zaludnionym tymi, którzy go znali jako kogoś innego. Nie może na to pozwolić. Nie chce spędzić reszty nowego życia, oglądając się przez ramię.

Więc oni muszą umrzeć. Wszyscy.

Nie jest to dla niego łatwe. Patrzył na Rama Munro pełen podziwu, z prawie ojcowskim poczuciem dumy. To on to sprawił. On odpowiada za ten dumny sposób bycia, zabójczą zręczność w szpadzie, twarde, uparte serce.

Czy to dziwne, że nie może się zmusić, by ich pozabijać? Po prostu nie może. W końcu on też złożył śluby.

I nie jest zdrajcą.

### *23. Wolta: zwrot lub obrót ciała szermierza*

Dobrze. A teraz wzdłuż linii.

Zachęcona do dalszych wysiłków przez pochwałę Rama, Helena wyprostowała rękę, lekko nachylając w dół klingę. To była jej siódma lekcja w ciągu ostatnich dwu tygodni, jeszcze bardziej przyjemna niż sześć poprzednich. Polubiła nie tylko fizyczną stronę szermierki, wymagającej precyzji i koordynacji ruchów, ale także wszelkie niuanse taktyczne, czyniące z tego sportu prawdziwą sztukę.

Po oszałamiającym pocałunku w ogrodzie wahała się, czy znów tu przyjść. Przyszła i teraz była zadowolona ze swej decyzji. Ram przywitał ją bez żadnych oznak, że pocałunek był czymś więcej niż chwilowym szaleństwem, ona zaś doszła do wniosku, że więcej w nim było gniewnego grania na nosie w odpowiedzi na sytuację, w której się znalazł, niż impulsu nie do odparcia. Powoli się odprężyła. On też.

Nie podejmował dalszych prób uwodzenia jej. Owszem, dotykał jej, i to często, ale były to dotknięcia bezosobowe. Ku swemu zmartwieniu nie mogła się zdobyć na taką samą obojętność. Ilekroć Ram obejmował palcami jej nadgarstek, by ułożyć właściwie szpadę, chwycił ją za bark, by obrócić sylwetkę, lub przekrzywił jej brodę kciukiem, jej ciało reagowało jak na pieszczotę kochanka. Na szczęście on zdawał się tego nie zauważać.

Jej zadowolenie powiększał nieoczekiwany dar losu w postaci zniknięcia lorda DeMarca. Już od ponad tygodnia nie widywała go na wieczorkach u lady Tilpot ani nie natrafiała na jego spojrzenie, gdy na nią czatował. Czuła ulgę, mimo braku pewności, że w końcu odzyskał rozsądek.

Ale Helena zdawała sobie sprawę, że choćby DeMarc miał się już nigdy nie pojawić w jej życiu, nie zrezygnuje z godzin spędzanych z Ramem. Były ożywcze, radosne, dające satysfakcję.

Dopiero po lekcji Ram porzucał rolę nauczyciela. Nalegał, by została na herbatę, i czarował ją z zapalem, gdy byli obsługiwani przez jego ponurego jednookiego totumfackiego. Bawił ją wspomnieniami ze swego dzieciństwa w górach Szkocji i wprawiał w zamyślenie opowieściami o tym, jak stracił rodziców i został przywieziony do St. Bride's.

Zadawał jej też pytania. O siostry i o życie u lady Tilpot. Skłaniał ją do wypowiedzenia opinii o burzliwych debatach w parlamencie, o kwestii irlandzkiej i o najnowszej modzie. Podawał w wątpliwość jej podziw dla różnych osób i jej niechęć do różnych rzeczy. I zawsze słuchał tego, co mówiła, jak gdyby jej zdanie naprawdę miało dla niego znaczenie.

Nie patrzył na nią z leniwą poządlwością, która, jak wiedziała, jest oznaką męskiego zainteresowania, i nie próbował jej dotykać. Zdawało się, że stracił dla niej zainteresowanie jako kobiety. Powinna być zadowolona. Powinna...

- No nie! Dokąd pani uciekła, panno Nash? Bo najwyraźniej tutaj jest pani nieobecna.

Ostrze jej szpady opadło podczas tych niepokojących rozmyślań. Zarumieniła się, a Ram płaskim uderzeniem odrzucił jej brzeszczot, chwycił ją za przegub i szarpnięciem wyprostował jej rękę.

- Tak się nie powinno uczyć szermierki - gderał pod nosem. - Ani pracy nóg, ani podstaw, tylko cięcia, pchnięcia i dźgnięcia. Przez panią upadłem tak nisko, jak jeszcze nigdy. Jest pani zadowolona?

- Przepraszam.

- W gruncie rzeczy - dodał z nagłą gwałtownością - to może panią kosztować życie.

- Ale...

- Trochę wiedzy to bardzo niebezpieczna rzecz, panno Nash. Napastnik będzie działał błyskawicznie i nie będzie przestrzegał żadnych reguł.

Oczywiście miał rację. Cały czas wiedziała, że jej cel jest nieosiągalny. Ale nawet tych trochę umiejętności dodawało jej pewności siebie. Przynajmniej nie będzie biernie czekała, aż stanie się ofiarą.

- Wiem - odparła rozdrażniona. - Ale muszę coś zrobić. Nie mogę po prostu... Muszę coś zrobić!

Spojrzał na nią z zagadkowym wyrazem twarzy.

- *Passata sotto* - powiedział wreszcie. - Można to uznać za rodzaj sekretnej kruczki - ciągnął zatroskanym tonem. - Jedyne przewaga, jaką ma

osoba nieumiejąca się bronić, gdy jest atakowana, polega właśnie na tym, że nie umie się bronić. Napastnik nie spodziewa się, że będzie walczyć. *Passata soto* jest niezgrabne, trudno po nim odzyskać równowagę i łatwo je odparować, ale tylko wtedy, gdy ktoś się go spodziewa. Pozwoli pani, że pokażę. Niech pani zada pchnięcie, prosto we mnie.

Trzymał szpadę swobodnie, z nisko opuszczonym końcem. Zawahała się. Och, wiedziała, że Ram odparuje wszystko, do czego była zdolna, a koniec jej klingi był dobrze zabezpieczony gałką, ale wzdragała się przed dźgnięciem go z rozmysłem, gdy stał w takiej bezbronnej pozycji.

- Niech pani to zrobi.

Zrobiła. Zadała pchnięcie prosto przed siebie, jak ją uczył, ale Ram, zamiast odrzucić w bok jej klingę, naparł głębiej, jednocześnie przechylając się na bok i padając z wolną dłonią płasko wspartą na podłodze, tak że jego noga wyciągnięta w tył, tors i uzbrojone ramię tworzyły jedną długą linię, której koniec - czubek ostrza - dotykał jej żeber.

Spojrzała na czubek szpady wgniatający się w jej suknię.

- Ależ to cudowne! Nie miałam pojęcia, że można zrobić coś takiego.

- Zwykle bywa to ostatni punkt pojedynku - powiedział Ram oschle, otrzepując dłoń o nogawkę spodni. - Albo się nim wygrywa, albo przegrywa.

- Czy użyje go pan na turnieju?

- Postanowiłem wycofać się z turnieju - odparł. - Muszę poczynić przygotowania do czego innego. Liczy się czas, a brak środków już nie jest dla mnie nagłą sprawą.

- Przygotowania do spotkania ze strażnikiem z francuskiego więzienia? - spytała poważnie. Nie mogła się otrząsnąć z lekkiego rozczarowania. Pragnęła z całego serca zobaczyć pojedynek Rama.

- Tak - przyznał. - A teraz proszę zdjąć suknię.

Zamrugwała.

- Nie może pani ćwiczyć *passata sotto* w sukni, panno Nash. Każę Gaspardowi coś znaleźć. Młodzi ludzie, którzy są stałymi klientami, zostawiają czasem ubrania, a Gaspard je pierze.

Wyglądał bardzo posepnie. W niczym nie przypominał mężczyzny, który pieścił wargami jej szyję i kazał jej się rozluźnić w jego ramionach. Pociągnął za sznur dzwonka, a potem stanął przy oknie z dłońmi splecionymi na plecach i wyrżał na ulicę w dole.

Nie upłynęło wiele czasu, a zjawił się Gaspard i wysłuchawszy dość dziwnego polecenia swego pana, wyszedł na poszukiwanie odpowiedniego ubioru.

- Czy-domyśla się pani, jak daleko jestem gotów się posunąć, by wypełnić ślubowanie wobec jej rodziny? - mruknął Ram, nie odwracając się.

- Aż do nauczenia mnie *passata sotlol* - spytała żartobliwie, próbując rozproszyć jego ponury nastrój. Dawny Ram Munro nie miewał nastrojów; był równie biegły w panowaniu nad emocjami, jak we władaniu szpadą.

Odwrócił się. Jego twarz wciąż była posępna.

- Naprawdę nie może pani zdobyć się na to, by mi zaufać? Czy kiedykolwiek zrobiłem coś, co wskazywało na to, że nie jestem godny zaufania?

- Nie! - odparła, a potem spytała: - Czy pamięta pan, kiedy pierwszy raz przyszedłem do pana sali?

Skinął głową.

- Czy to tego samego dnia stoczył pan pojedynki z ośmioma mężczyznami, by bronić dobrego imienia pewnej damy?

Zaskoczyła go. Nie przypuszczał, że ktoś o tym wie.

- Jakie to smutne, że honor tak mało znaczy wśród wyższych sfer - powiedział spokojnie. - Widzę, że muszę złożyć wizyty tym dżentelmenom, i... i

- To nie będzie konieczne - przerwała. - Nikt nie zna nazwiska tej damy.

Wiadomo tylko, że zostały stoczone owe pojedynki. Ktoś, pewnie na tyle pijany, że w ogóle nie słyszał zniewagi, o którą poszło, był tak zachwycony, że o tym opowiedział.

- Rozumiem.

Popatrzyła mu w oczy.

- Czy to ja byłam tą damą, panie Munro?

- Zadałem sobie sporo trudu, panno Nash, by chronić nazwisko tej damy. Trudno, bym teraz je wyjawiał, skoro byłem gotów zranić ośmiu ludzi, chcąc zachować sekret.

- Szanuję pana za to. Ale ten sam kodeks honorowy, który panu zabrania wyjawienia nazwiska owej damy albo dżentelmenów zamieszanych w tę sprawę, powstrzymuje mnie od wyjawienia sytuacji dotyczącej osób, którym przyrzekłam pomoc i milczenie.

- Trafiony! - mruknął. -Ale...

Rozległo się stukanie i do pokoju wszedł Gaspard z przewieszonymi przez ramię spodniami i koszulą. Bez słowa położył je na stole.

- Poczekam na zewnątrz - powiedział Ram. - Proszę mnie zawołać, kiedy się pani ubierze.

Helenie, obeznanej z męskim przyodziewkiem w ciągu ostatnich dwóch miesięcy, zrzuć sukni i wdźwignij spodni nie zajęło dużo czasu. Zostawi-

ła koszulę rozchyloną pod szyją, zawinęła rękawy do łokci i wetknęła poły za pasek. Potem wzięła szpadę i zadała pchnięcie. Tak! Teraz było znacznie lepiej. Uśmiechnęła się szeroko.

- Panie Munro! - zawołała.

Wszedł do pokoju i skrzyżowawszy ręce na piersi, powiódł po niej wzrokiem od pantofli po rozanielony uśmiech.

- Czuje się pani tak, jak trzeba? - spytał.

- Czuję się wyzwolona, panie Munro. Powinnam była nosić męski strój od początku. Jestem pewna, że pójdzie mi dużo lepiej przy swobodzie ruchów, jaką daje to ubranie.

- Więc zamierza pani od dzisiaj pokazywać się publicznie w męskim ubra-  
niu?

Zarumieniła się.

- Nie, oczywiście, że nie - odparła z nagłą świadomością, że Ram, zobaczywszy ją w tym ubiorze, może sobie przypomnieć inną młodą kobietę w męskim stroju. Zerknęła na niego. Patrzył na nią spod przymkniętych powiek, mroczny i wciąż gniewny, ale bez oznak, że ją rozpoznaje.

- Możemy zacząć? - spytała.

Przez następne dwie godziny kazał jej ćwiczyć tę samą sztuczkę. Zmuszał ją do pchnięć tak głębokich i tak często powtarzanych, że mięśnie ud krzy-  
czyły w proteście. Dźgała i wychylała się w bok, podpierając się dla równo-  
wagi o podłogę, aż wewnątrz jej dłoni pokryły sińce. Za każdym razem war-  
czał na nią by pchnęła szpadą w górę, a sam odchylał się, gdy to robiła, tak  
że żebra ją paliły, a ręka dygotała z wysiłku, podtrzymując niezbyt przeciez  
ciężką szpadę.

Nie podda się, myślała. Nie pozwoli się zniechęcić.

Gdy wreszcie uniósł swą szpadę i zaczął mówić, miała dość. Nim dokoń-  
czył słowo, osunęła się tak, że jej ciało ułożyło się w jedną linię, i wyprę-  
żywszy się na zewnątrz i ku górze, uderzyła w jego koszulę. Z satysfakcją  
usłyszała, jak rozdziera się materiał. Wygrała punkt z Ratnseyem Munro!  
Skoczyła na nogi z okrzykiem triumfu, z oczyma świecącymi radością.

Ramsey spojrział na swoją koszulę. Musiała zawadzić o szew, przez co  
rozdarł się cały bok i kawałek rękawa. Materiał opadł luźno, odsłaniając  
muskularną pierś.

- Lubiłem tę koszulę - mruknął.

- Trafiłam! - zawołała podniecona. - Uśpiłam pana czujność!

- Faktycznie - przyznał.



- Widzi pan? Nie trzeba się o mnie martwić. Skoro opanowałam prawdziwie cudowny manewr, będę bezpieczna i...

Nawet nie dojrzała jego ruchu. W jednej minucie paplała rozradowana nowo nabytą umiejętnością, a w następnej trzymał ją w objęciach, wykrzywiwszy szyderczo wargi. Popychał ją do tyłu, potykając się, a ona wiała się rozpaczliwie w jego ramionach.

- Ach! - Uderzyła plecami o ścianę, wypuszczając głośno powietrze z płuc.

- Nie jesteś bezpieczna! - powiedział zdławionym głosem. - DeMarc się przyczaił. Nikt go nie widział od przeszło tygodnia, a ty nie wiesz, gdzie on jest. Byłem głupcem, pokazując ci sztuczkę, która pozwala ci myśleć, że jesteś w jakiś sposób przygotowana do bronięcia się szpadą. Ale ty jesteś jeszcze głupsza, jeśli uważasz, że ta drobna sztuczka uczyniła cię nieetykalną.

- Niech mnie pan puści - powiedziała. Jak on śmie tak się z nią obchodzić? I co boli bardziej, jego stalowy chwyt czy piekące lekceważenie?

Odepchnęła go, próbując się uwolnić.

- Niech pan nie...

Przyciągnął ją z powrotem, mocno trzymając za nadgarstki, i przyparłszy do ściany, przycisnął własnym ciałem.

- Jeśli ktoś za panią chodzi, to ci ludzie nie będą przestrzegać reguł. Nie pozwolą na kilka próbnych pchnięć, nim pani zacznie.

- To co mam zrobić pana zdaniem? - spytała z wściekłością. - Poprosić pana, by chodził za mną przez resztę mego życia?

- Tak. - Popatrzył jej w twarz płonącymi niebieskimi oczyma. - Tak. - Przyciągnął ją ku sobie i znów pchnął na ścianę, jakby chciał wbić jej do głowy trochę rozsądku. - Tak.

Zaklął cicho, a potem jego gniewne usta znalazły się na jej ustach. Próbowała się wywinąć, ale było za późno; ogień, który tlił się dotąd, wybuchnął płomieniem. Helena jęknęła, wtulając się w jego twarde ciało, szukając ustami jego warg.

Cofnął głowę i odsunął się od niej. Milczał chwilę, patrząc, jak stoi przyciśnięta plecami do ściany, z piersią falującą ze wzburzenia pod cienkim płótnem koszuli. Mała i bezbronna, skrzywdzona i wzburzona.

- Wyjdź za mnie - wychrypiał.

Szeroko otworzyła oczy.

- Co?

- Wyjdź za mnie. Pozwól mi cię bronić. Pozwól...

Roześmiała się łamiącym się głosem, nienaturalnie wysokim.

- „Czy ma pani pojęcie, do czego jestem gotów się posunąć, by wypełnić moje zobowiązanie wobec pani rodziny?” - powtórzyła jego słowa. - Tak, teraz zaczynam mieć pojęcie.

- Nie to miałem na myśli. - Na pół odwrócił się od niej i obiema rękami odgarnął włosy z twarzy.

- Nie? - spytała drżąca. - A co w takim razie? Że w ciągu dwóch tygodni pokochał mnie pan z tak gorliwym i szczerym oddaniem, iż nie wyobraża sobie życia bez mnie? Czy też czuje pan, że tak mnie skompromitował, że nowa pozycja dżentelmena wymaga, by postąpił pan honorowo? - Wyrzucała te słowa z goryczą. - Cóż, chwali się to panu. Jest pan pierwszy na długiej liście tych, którzy czuli się w ten sposób zmuszeni do oświadczeń.

Nie odpowiedział. Nie mógł jej powiedzieć o latach, które spędził, czuwając nad nią, o początkowym urzeczeniu jej spokojem, o rosnącym pożądaniu, uznaniu dla jej odwagi i inteligencji, i dowcipu. Wreszcie o przekonaniu, że gdziekolwiek pójdzie, nigdy nie pozna kobiety podobnej do niej, nigdy nie doświadczy takiej miłości jak ta.

Nie uwierzyłaby mu, gdyby jej wyznał, że ją kocha. Poszukał więc innych argumentów, by ją zdobyć.

- Wyjdź za mnie, bo to jest rozsądne, Heleno. - Wzniósł oczy, jakby szukał natchnienia. - Wyjdź za mnie, bo zostanę markizem, a ty będziesz wspa niałą markizą. Wyjdź za mnie, bo nigdy cię nie znudzę. Wyjdź za mnie, bo nasze dzieci będą nieopisanie śliczne. Wyjdź za mnie, żebyś mogła stać się najlepszą kobietą szermierzem na świecie. Wyjdź za mnie, bo cię pragnę. Po prostu wyjdź za mnie, Heleno. Błagam cię.

Wpatrywała się w niego, aż zdał sobie sprawę, że jej cudowne niebieskie oczy są zalane łzami. Nie chciał jej doprowadzić do płaczu. Sięgnął ku jej twarzy i wierzchem palca wskazującego obwiodł linię policzka.

- Przysięgamy, że spędzę życie, zabiegając, byś tego nie żałowała.

- Ramsey, ja nie mogę...

- Proszę. Nie odmawiaj mi jeszcze - rzekł poważnie. - Obiecuj mi, że przynajmniej nad tym pomyślisz. Chociaż przez kilka dni.

Spuściła wzrok.

- To niczego nie zmieni.

- Proszę.

Cofnęła się, udręczona pożądaniem, smutkiem i poczuciem winy.

- Pomyślę - szepnęła i uciekła.

## *24. Starcie: ciąg wzajemnie powiązanych działań i przeciw działań w pojedynku szermierczym*

Kocha Ramseya. Ta świadomość kłuła ją z ostrością, z jaką stal nie mogła rywalizować.

Kocha jego dowcip i wyniosłość, ironię i godność. Podziwia w nim wszystko. Każdą chwilę z nim spędzoną - czy to jako „Corie”, czy jako „panna Nash” - zalicza do najbardziej satysfakcjonujących momentów życia.

Ale nie może za niego wyjść.

Dlaczego mu powiedziała, że rozważy jego propozycję, skoro już wie, że ich związek nie przyniósłby niczego prócz bólu serca? On dopiero niedawno został dziedzicem wielkiej fortuny. Jeszcze nie zdaje sobie sprawy, jakie perspektywy małżeńskie się przed nim otwierają. Ale Helena, która pędziła życie na obrzeżach elity towarzyskiej, dobrze zna możliwości, jakie go czekają. Może się związać z jakimś wielkim rodem, potężnym zarówno pod względem politycznym, jak i finansowym.

Nie. Oddałaby im obojgu złą przysługę, gdyby powiedziała „tak”. Może by i była cudowną towarzyszką życia, ale jak długo to potrwa, nim przestanie go bawić? Nim Ram zapragnie towarzystwa bardziej tradycyjnej i mniej zaborczej kobiety? Nim weźmie sobie kochankę. Nie zniósłaby tego.

Choć wiedziała o wielu damach i dżentelmenach żyjących w ten sposób, była pewna, że nigdy nie będzie zdolna słuchać, jak powóz odjeżdża, wiedząc, że mąż jedzie do innej kobiety, a następnego ranka uśmiechać się do niego znad filiżanki kawy.

Raczej by go zabiła.

Wzięła głęboki oddech. Tak. Ramsey Munro jej pragnie. Ale pragnął też „Corie”. I kobiety na tamtych bachanaliach. A ilu innych pragnął dawniej i zapragnie w przyszłości?

Oświadczył się tylko dlatego, że jest cnotliwą, choć ubogą kobietą z towarzystwa, a on przysiągł zrobić, co w jego mocy, by ją chronić. Nie powiedział niczego o uczuciach ani tym bardziej o miłości. Och, pragnął jej z pewnością. Oświadczył się, bo nie mógł złożyć innej propozycji kobiecie szlachetnie urodzonej. Czy jednak nie poprosił „Corie”, którą bez wątpienia uznał za awanturnicę, by została jego kochanką?

A ona tego chciała. Chciała zostać kochanką Ramseya Munro.

Tylko w ten sposób mogła spędzić z nim miesiące, a może lata. A kiedy jego uczucie osłabnie, nie będzie skazana na znośnienie przez resztę życia jego grzecznej obojętności.

Tak, zostanie jego kochanką.



Stał z odsłoniętą piersią w cuchnącym lochu, gryzący zapach własnego palonego ciała wypełniał mu nozdrza, pulsujące dzwonięcie wypełniało uszy. Choć ledwie mógł ustać, jakoś trzymał się wyprostowany, wzrok mając przyćmiony pograżaniem się w upragnionej nieświadomości.

- Ładne, nieprawdaż, monsieur? - Strażnik więzienny wskazał na jego pierś i odstąpił o krok, by podziwiać swe dzieło. - Prawie takie ładne jak ty. Może w przyszłym tygodniu napiętnujemy ci policzek. Choć z tym jest pewien kłopot. Piętno przechodzi na wylot przez szczękę. To nie wygląda ładnie. Damy raczej wpadają w przerażenie, niż omdlewają z zachwyty.

- Nie chciałbym przerażać dam - zdołał wydyszeć.

Nie krzyczał. A może jednak? Teraz nie robiło mu to wielkiej różnicy. Ważne, że nie powiedział im o wieśniaku, który im pomagał, ani o kapitanie okrętu, który go przewiózł, ani o młodym poruczniku w Malmaison, który był ich kontaktem.

- Podoba mi się twoje wyrafinowanie, Munro. Twoja wytworność. To wielka przyjemność spotkać tutaj kogoś takiego jak ty. Reszta to zwykle szumowiny.

- Boże drogi, *gardien*, czy pan mi czyni propozycje? - spytał Ram, wykrzywając wargi w swym dawnym pogardliwym uśmiechu. Tysiące zakończeń nerwów odsłoniętych i przypalonych rozgrzanych do białości żelaznym stemplem wrzeszczało, wyciskając mu łzy z oczu. Zaraz zacznie łkać. Nienawidził myśli, że strażnik będzie tego świadkiem. - Bo, choć mi to pochlebia, muszę odrzucić ten honor. Widzi pan, jest pewien człek na dole, który wypycha we mnie kleik, a ja nie zniósłbym, gdyby mnie posądził, że woląłem lepszego...

Cios spadł mu prosto na głowę. Jego ostatnia przytomna myśl to była wdzięczność.

Ram zerwał się i siadł sztywno na łóżku, z trudem chwytając powietrze. Wspomnienia wróciły, jak zawsze przedtem, kiedy był najslabszy, najmniej podejrzliwy - czyli we śnie. Ujął się pod boki i próbował wyrównać oddech. Właśnie wtedy zauważył, że w pokoju panuje całkowita ciemność, jedyne światło pochodzi od jasnego paseczka pod drzwiami prowadzącymi na korytarz. Ktoś zaciągnął ciężkie aksamitne zasłony w oknach. Ktoś, kto jeszcze tu jest. Kto stoi bardzo blisko...

Zamachnął się, zawadził o niewyraźną postać i cisnął ją na łóżko. Ogarnęło go bezbrzeżne zdumienie, gdy siadł na niej okrakiem, przygniatając sobą. Ją. Helenę.

Ubraną, jak sobie uświadomił, w spodnie. Aksamitne, sądząc z dotyku. Musi, pomyślał, nosić swoje przebranie chłopca.

- Powiedziałeś, że jeśli przyjdę do ciebie, powitasz mnie jako kochankę.  
- Jej głos był ochryply. - Nie wspominałeś, że mam być partnerką w zapa-  
sach.

Jego kochanka? Powoli osunął się w tył, uwalniając jej ręce. Szukał właściwego tonu, odpowiednich słów, jednocześnie porządkując splątane myśli.

- Ależ moja droga, to jest dokładnie to samo - rzekł wreszcie.

Przełknęła ślinę. Wyczuwał ciepło sączące się przez jej aksamitny surdut, biodra naciskające wewnątrz jego ud, lekkość jej postaci... I nagle przypomniał sobie, że ma na sobie tylko nocną koszulę, więc ona też musi czuć całkiem sporo.

Odsunął się od niej. Nawet nie drgnęła. Leżała nieruchomo na wznak, ledwie widoczny kształt na pościeli. Słyszał jej oddech, przyspieszony i płytki. Przestraszona? Przemyśliwująca od nowa pomysł zostania jego kochanką?

Nagle poczuł jej dłonie na piersi, przesuujące się ku szyi. Zręcznie ściągnęła rozchełstaną koszulę, a potem, niczym ślepiec poznający rzeźbę, zaczęła błądzić palcami po piętnie z niezwykłą delikatnością.

- Przyglądałam ci się, kiedy spałeś.

Zdziwił się. Sen miał bardzo lekki. Zawsze tak było. Często od tego zależało jego życie. Widać jakaś część jego umysłu rozpoznała ją i pozwoliła mu spać dalej w poczuciu bezpieczeństwa.

- Widziałam to. To róża, prawda? - szeptała, igrając koniuszkami palców z jego ciałem, z jego życiem.

- Tak.

- Byłeś...

- Napiętnowany. W więzieniu.

- Dlaczego?

- Strażnik twierdził, że dla pamięci. Ale nie o tym, o czym on chciał, bym pamiętał.

Jej dotyk był hipnotyzujący, głos zdawał się ciepłym prądem, w którym pragnął zatonać.

- Więc o czym?

- Dla pamięci, bym się trzymał z daleka od więzień.

Nie oczekiwała tego. Usłyszał jej westchnienie, a potem cichy śmiech. Splotła dłonie na jego szyi.

- Szkoda. Róża, tak egzotyczna i wykwiwna, powinna przypominać o przyjemnościach.

- Czyżbyś mnie kusila?

- Mam nadzieję.

Jaką grę prowadziła? Był już zmęczony grami. Od snów o śmierci przeniósł się do czujnego wyczekiwania na jawie, a jego ciało świętowało, ocięzale z pożądania, twardsze z każdym momentem. Był niecierpliwy, niezaspokojony, a opanowanie, które tak pieczołowicie praktykował, nie zdawało egzaminu tutaj, w ciemności, gdy miał pod sobą jej ciało.

- A jak mam zareagować? - spytał chłodno, chociaż jego dłonie wsunęły się pod jej ramiona, lekko ją unosząc.

- Jak mężczyzna - odpowiedziała.

- Och, mogę cię zapewnić, że pod tym względem nie będziesz zawiedziona. - Uśmiechnął się w ciemność. - Chodziło mi o to, jaki styl powinienem przybrać. Kim mam być w tym ciemnym pokoju?

- Nie rozumiem - odparła zmieszana.

- Wolisz gładkiego szermierza, wyrafinowanego hultaja czy podejrzanego bywalca spelunek? Mam być czuły czy szorstki, pochłonięty własną przyjemnością? Mam cię zasypywać komplementami czy przysięgami?

Cofnęła się.

- Nie rozumiem cię. Przyszłam na twą prośbę. Powiedziałeś, że jeśli ze chcę kochanka, powinnam przyjść do ciebie. A teraz ze mnie żartujesz.

- A ja myślałem, że ty żartujesz ze mnie. - Wymacał zapięcie jej surduta, rozpiął, uniósł jej ręce i uwolnił od ubioru krępującego swobodę ruchów. Leniwie rozwiązał krawat, pozwolił mu zsunąć się na podłogę i zabrał się do rozpinania jej koszuli. Nie opierała się. Jednym płynnym ruchem ściągnął jej koszulę przez głowę i wymacał palcami tkaninę pod spodem. Cienką jak pajęczyna, ciepłą i delikatnie perfumowaną. Haleczka.

- Jak... jak to? - Zacisnęła dłonie na jego ramionach, jak gdyby potrzebowała kotwicy. Zignorował trwożę ukrytą w tych skurczonych palcach.

Zignorował, chcąc podnieść ją z łóżka, postawić na nogi i odesłać, skąd przyszła.

- Cóż - powiedział, skubiąc kokardki na górze koszulki, dopóki ich nie rozwiązał, tak że materiał się rozchylił. Rozłożył go szeroko i wyczuł, że nocne powietrze pokryło gęsią skórką ciało miękkie jak aksamit. - To ty przyszłaś do mnie w ciemności przebrana za chłopca. - Opuszczał głowę, aż dotknął wargami nasady jej szyi. Rozchylił usta. Jej puls trzepotał mu się gorączkowo pod językiem. - Skoro sama grasz rolę, myślałem, że chciała byś i mnie jakąś wyznaczyć. - Powiodł koniuszkiem języka po delikatnej kości obojczykowej. - Mam sporą biegłość w wielu rolach.

Zadrzała. Puścił ją, siadł w pewnej odległości i ściągawszy nocną koszulę, odrzucił na bok.

Spojrzał w dół na jej majaczącą w ciemności postać, wziął ją za rękę i położył sobie jej dłoń pośrodku piersi. Poznał, że jest nagi, skuliła dłoń w pięść.

- No więc - pytał zdławionym głosem - czego ode mnie chcesz? Jaki kostium mam przywdziać?

Jej twarda piastka powoli się rozsunęła, a napięcie w całym ciele zelzało w ostatecznej kapitulacji.

- Kochaj mnie.

Słowa nie głośniejsze niż oddech, ostrożne i niepewne, przebiły go na wylot, naznaczając jak piętno.

Opadł w dół i zawisł nad nią wsparty na rękach. Całował jej skronie i oczy, gładkie czoło i zarys szczęki, występ nosa i okrągłość policzka. Jej dłoń, rozchylona jak kwiat na kędzierzawych włosach okrywających mu pierś, chłonęła jego gorąco, rytm jego pulsu.

- Kochaj mnie - powtórzyła.

Opadł niżej z jękiem i nakrył ją swym ciałem. Miękkie piersi poddały się, gdy wodził dłońmi od jej ramion ku wąskiej talii i rozkoszemu, kobiecemu rozszerzeniu bioder. Stały mu na drodze aksamitne pantalone. Rozpiął przednie rozcięcie i przesunął ręce w dół jej bioder, zdzierając spodnie, najpierw jedną nogawkę, potem drugą.

Przeturlał się na bok, pociągając ją ze sobą a jego dłoń zaczęła powrotną wędrówkę w górę, od aksamitnej skóry wnętrza jej uda. Wsunęła się pod cienką koszulkę i poszukała piersi, jędrzej i kształtnej. Ugniatał ją delikatnie, bawił się nią, słysząc najpierw leciutkie zachłyśnięcie, potem cichy jęk i wreszcie drżące westchnienie.

Wtedy otoczył twardą brodawkę wargami i zaczął ssać.

Helena wierciła się niespokojnie, nie wiedząc, czego chce, jak o to prosić, co dać w zamian. Jak to dziewica, pomyślał Ram z błyskiem humoru, a wtedy z lekkim jęknięciem wygięła się w łuk na spotkanie rozkoszy, jaką jej dawał, i zagłębiła dłonie w jego włosach. Serce zabiło mu mocniej, a w głowie zawirowało od jej zapachu i smaku.

Jakimś cudem zdobył się na powściągliwość, dając pierwszeństwo potrzebie zwolnienia tempa, ważniejszej niż potrzeba zanurzenia w niej twardej męskości rosnącej mu między nogami. Puścił spęczniałą brodawkę i powiódł długim, wilgotnym pocałunkiem ku płytkiemu zagłębieniu jej brzucha, by przeciągnąć językiem po małym węzélku i wywołać dreszcz w całym jej ciele. Gładząc jej ramiona, boki i uda, przesuwał się niżej.

- Proszę - szepnęła. - Proszę, Ram. - Wbiła palce w jego barki, szukając jakiejś kotwicy w sztormie, który przewalał się nad nią i w niej.

Podsunał pod nią dłonie, ujął i unióś krągłe pośladki i jednocześnie cofnął ramiona, rozsuwając jej uda.

- Ram?

- Zaufaj mi. Pozwól mi zrobić tak, by było lepiej - szeptał, delikatnie muskając wargami i pieszcząc jej uda.

- To nieprzyzwoite! - sapnęła, próbując zacisnąć uda. Bez powodzenia.

- Tak - powiedział i opadł na nią ustami. Szarpnęła się, a on przytrzymał ją ciaśniej i przesunawszy w dół, leniwie tropił miękką kobiecą fałdkę wzdłuż wąskiego wejścia do malutkiego pączka na górze.

- To jest grzeszne... Ach!

Trącił językiem malutki środek. Wzdrygnęła się. Zareagowała natychmiast, wyginając się w łuk ku jego ustom. Uniósł ją tym razem mocniej drażniąc językiem, ustalając pewien rytm.

- Nie... och, proszę. - Słowa padały zdławione, jej ciało stało się wilgotne. - Nie wolno... nie, proszę. Zrób to... Co to?

Pieścił ją teraz szybciej, czując narastające napięcie w smukłych udach i w palcach rąk wbijających się zapamiętale w jego barki. Pożądanie go rozdzierało, paliło ogniem gorętszym niż wszystko, co mogło zaoferować więzienie LeMons.

Krew szumiała mu w uszach. Mięśnie brzucha się napięły. Jeszcze nie. Jeszcze nie. Trzeba jej pokazać, że na końcu czeka rozkosz. Nie tylko ból.

Zamknął oczy i wszedł w nią językiem.

- Och...! Och...! Nie. Tak! - Zadrzała, wygięła się w łuk i tkwiła tak nie ruchomo długą chwilę. Nie oddychała. A potem krótki spazm. I jeszcze jeden. Osuwała się bezwładnie, gdy napięcie odpływało z jej ciała.

I wtedy się roześmiała.



Roześmiała się, bo bała się, że się rozplacze. O Boże! Nic dziwnego! Wszystkie te rzeczy, o których Kate jej mówiła. Och, teraz rozumie.

- Na ogół młode damy nie odpowiadają śmiechem na me pieszczoty. - Jedwabisty głos Rama wślizgiwał się w jej myśli jak ciepła brandy, rozgrzewając ją na nowo. Czy taki los jest jej teraz przeznaczony? Kilka słów Rama i jej skóra płonie, piersi stają się ciężkie i wrażliwe, a usta boleśnie pragną jego ust?

Uniosła ramiona i znalazła go schylonego nad sobą twardy, umięśniony tors, szczupłe boki, szerokie bary, wąskie biodra. Wstrzymywał oddech, trwając w wyczekiwaniu. Czego? Jej dotknięcia?

Zsunęła dłonie z jego ramion na pierś, przeczesując miękkie kędziory. Zadrżał, lecz pozostał nieruchomy, gdy wodziła koniuszkami palców po piętynie w kształcie róży. Chciała go pocałować, a w tej ciemnej magicznej kuli była zdolna zrobić wszystko, co zechce.

Zarzuciła mu ręce na szyję i podciągnęła się, całując piękną twarz, szorstką od porannego zarostu. Całowała jego brodę i szyję. Przesunęła się niżej, muskając wargami obojczyk i miejsce nad zaognionymi, wypukłymi szramami piętna.

- Jestem uważany przez prawie wszystkich, którzy mnie znają, za wyjątkowo powściągliwego. - Jego głos nie brzmiał powściągliwie. Brzmiał ironicznie. - Ale ty rzucasz wyzwanie tej opinii, moja kochana.

- Naprawdę? - mruknęła, szczypiąc go. Jego skóra, tak cudownie ciepła, była lekko wilgotna. Dowód wstrzemięźliwości, którą sobie przypisywał.

- Chciałem uczynić to delikatnie. Subtelnie.

- Co? - spytała, próbując ściągnąć go na siebie, ogarnięta nagłą potrzebą zatonięcia w nim, stopienia się ich ciał.

- To - powiedział i opadł w dół. Spotkała jego wargi otwartymi ustami, szukając językiem jego języka. Wymieniali z zapamiętaniem namiętne pocałunki, a jego członek pulsujący twardą obecnością naciskał na wnętrze jej ud.

Sięgnął dłonią, rozchylił fałdki, które zwilżyła rozkosz, i odnalazłszy ten najwrażliwszy punkt, zaczął gładzić go kciukiem. Wygięła biodra ku górze, chcąc więcej, lgnąc do niego. Trzęsącymi się dłońmi rozchylił jej nogi, wsunął się między nie i zastąpił palec czymś grubym i twardym.

- Jeszcze, Ram - błagała rwącym się głosem. - Proszę.

Wszedł w nią. Otworzyła szeroko oczy, a nadchodzące spełnienie uciekło przed tym ostrym wtargnięciem. Skuliła się i cofnęła instynktownie. Chwytał jej biodra drżącymi dłońmi.

- Nie! - wychrypiał. - Nie ruszaj się!

Przygryzła wargę, zmuszając się do trwania w bezruchu. Słyszała jego oddech, szorstki i nierówny. Jego głowa opadała, czoło zbliżało się, by spocząć na jej ramieniu. Czekwała, napięta i trochę wystraszona. Wiedziała, że to zwykle boli, ale pomyślała, że przez to, co się zdarzyło przedtem, przyjęła...

Pocałował ją w szyję, oparł głowę na jej głowie i delikatnie całował skórę za uchem. Jego uścisk stopniowo zelżał, chociaż ta jego część nadal zagłębiała się w jej ciało, wciąż twarda i gruba.

- Przepraszam - powiedział i delikatnie musnął wargami jej usta. - Ni gdy tego nie robiłem z dziewicą. Ja... nie jestem... - głos mu zamierał. - Chciałbym to zrobić lepiej, gdybym tylko wiedział jak.

Kochała go.

Sięgnęła dłonią do jego policzka. Zanurzył twarz w jej dłoni. Poruszyła się. Uczucie jego obecności w niej już nie było takie bolesne, a ruch trącił strunę rozkoszy.

- Czy to jest uprawianie miłości? - spytała.

Poruszył się, wycofując się z niej. Nie chciała mu pozwolić. Zaskoczona, podążyła za jego ruchem.

- Nie - szepnął. - Tak jak teraz.

Znów wsunął się w nią, wywołując szarpnięcie na nowo obudzonego pożądania. Cofnął się i zaczął niespieszny powrót, a ona uniosła biodra, by go przyjąć, ogarnięta niecierpliwym pragnieniem.

- Dobry Boże - wychrypiał zdławionym głosem i zaczął się poruszać w powolnym, zaborczym rytmie, w którym przyciskał najbardziej wrażliwą część jej kobiecego ciała do twardego grzbietu swojego członka. Chciała więcej. Chciała czuć go głęboko w sobie, jego ciało złączone z jej ciałem. Rozłożyła szerzej nogi, wygięła biodra, odpowiadała na coraz szybsze pchnięcia. Stęknął, chwycił jej nogi pod kolanami i oparł sobie na biodrach, czyniąc swe posiadanie głębszym.

Jej ciało przyjmowało to skwapliwie. Kiedy chwycił jej dłonie i splótłszy jej palce ze swymi, rozciągnął jej ręce wysoko nad głową i trzymał ją tak przygwożdżoną, rozpoznała szalejący puls, który narastał, zataczając coraz ciaśniejsze kręgi. Czowała go w sobie i na sobie, silnego, męskiego... rozkosz rozlewającą się w niej... krzyk męskiej ulgi i... wtedy... wtedy... och! wtedy!

Opadła wyczerpana, bez sił, gdy się z niej wysuwał. Jej myśli roztapiały się i wirowały. Własne ciało wydawało się obce, bezwolne, bezwładne. Hedonistyczne, pomyślała. Nasycone taką rozkoszą, że większej by nie zniosła. Może polubi bycie hedonistką. Sięgnęła ku Ramowi, chcąc znów badać płaszczyzny i kontury jego postaci. Ale on usiadł.

- Przyniosę wodę i ręcznik.

To byłoby cudownie...

- Nie! - Usiadła gwałtownie i okryła się prześcieradłami, jak gdyby mógł ją widzieć. - Nie! - Jeśli przyniesie wodę, przyniesie światło. Zobacz ją. Nie była na to gotowa. Chciała istnieć poza światem jeszcze choć chwilę dłużej. Z nim.

W pokoju panowała cisza. Na zewnątrz, za oknem, ciężka platforma przetoczyła się z turkotem, dzwonki uprząży dźwięczały w ciszy pierwszego brza-sku.

Materac zatrzeszczał, gdy Ram wstawał.

- Dlaczego nie, Heleno? - spytał chłodno. - Czy wciąż się upierasz, by za mnie nie wyjść?

## 25. *Odwrót:*

### *cofnięcie się; przeciwieństwo ruchu do przodu*

Na dźwięk swego imienia Helena zerwała się na równe nogi.

- Od kiedy wiedziałeś?

Zasłony nagle się rozsunęły, światło zalało pokój. Przyciągnęła prześcieradła do piersi, mrugając. On obrócił się, z dłonią wciąż na sznurze zasłony, całkiem nagi. Jakby tego nie zauważał. Stał tak samo wyniosłe i obojętne, jak w sali balowej lady Tilpot, prezentując umięśnione ręce i potężne nogi pokryte takim samym ciemnym owłosieniem, jak to najego piersi i w dole brzucha. Spojrzała niżej. Gorąco uderzyło jej na policzki i odwróciła wzrok.

- Od kiedy? - powtórzyła.

- Od początku. Wiedziałem, kim jesteś, w chwili gdy cię zobaczyłem w Alei Kochanków.

Wiedział? Całował ją w taki sposób w Vauxhall, prawie ją posiadał pod ścianą w zaułku, a potem spotykał się z nią jako Heleną Nash, udając, że ją uwodzi, że wcześniej nie poznał, jak żarliwą odpowiedź może od niej wydo-  
być. Pozwolił jej przychodzić do siebie, choć cały czas wiedział, że ona...

- Ty bękarcie.

Stał tyłem do światła, tak że nie dało się odczytać wyrazu jego twarzy.

- Zgadza się. - Co za jedwabisty głos. A jaki suchy. -Ale myślałem, że już omówiliśmy tę kwestię.

- Bawiłeś się mną! Tak jak się bawisz tymi mężczyznami, których uczysz szermierki.

- Nie. To nieprawda.

- Prawda - upierała się, upokorzona i wściekła. Poderwała się z łóżka, chwyciła swe pantalony i zaczęła wkładać.

On nawet nie drgnął.

- Czy powinienem powiedzieć, że żałuję? - spytał. - Bo jeśli tego pani sobie życzy, zrobię to, ale proszę sobie przypomnieć, panno Nash, że to pani zaczęła maskaradę. Ja tylko się dostosowałem.

Złapała białą koszulę leżącą na krześle i wciągnęła przez głowę.

- Trzeba mi było powiedzieć! Mógł pan przerwać maskaradę w każdej chwili!

- I co? - Jedwabistość zniknęła, teraz w jego głosie dźwięczał gniew. -Zepsuć pani przygodę? To dla mnie nie do pomyślenia rozczarować damę.

- Bękart!

- Znowu? Doprawdy, jeśli zamierza pani odwiedzać różne zakazane miejsca, będę musiał panią nauczyć kilku nowych słów. „Bękart” jest żałośnie nijaki. Poczula łzy napływające do oczu. Nie. Nie będzie płakać. Podniosła z podłogi swój krawat i zawiązała na szyi, po czym wsunęła bosc stopy w pantofle.

- Heleno. - Podeszedł do niej. Teraz światło padało mu prosto na twarz. Surową i gniewną. - Heleno, zaczekaj.

- Po co? Żebyś się jeszcze trochę pośmiał?

- Nie śmieję się.

Odrzuciła w tył głowę, odgarniając włosy.

- Jakie to musiało być zabawne. Dostojna, niedostępna panna Nash spółkująca z tobą jak kotka w czasie rui. Och! - Zakryła twarz.

Złapał ją za rękę i okręcił ku sobie.

- Więc stoisz o tyle wyżej ode mnie, że myśl o pożądaniu mnie rozpala ogień upokorzenia na twych policzkach? - wycedził przez zęby.

Nigdy, nie widziała na jego twarzy takich emocji. Oczy mu płonęły, szczęka drgała, wargi wykrzywiały się szyderczo.

- A skoro już jesteśmy przy omawianiu miejsca i czasu zrzucenia maski, panno Nash, to kiedy zamierzała pani mi powiedzieć, kim jest? A może chciała pani po prostu przychodzić po ciemku do mego łóżka, dopóki się pani nie znudzi kochanek bękart?

- Nie!

- Więc kiedy? - spytał, boleśnie ściskając jej nadgarstek. - Kiedy zamierzałaś wyjawić mi swe imię, Corie?

Wlepiała w niego wzrok, rozwścieczona, niezdolna odpowiedzieć. Nie wiedziała, kiedy. Nie wybiegała myślą tak daleko naprzód. W tym właśnie tkwił problem. Będąc z nim, w ogóle nie myślała. Po prostu... pragnęła. Dlatego, że go kocha.

Była taka naiwna, taka głupia. Przecież on musiał wiedzieć. Wszystko, co jest zdolna ocalić z tej nocy, to nędzne strzępy dumy. Zadarła brodę, nie zważając na łzy ciekące jej po twarzy.

Zmarszczył brwi w nagłym bólu.

- Nie rób tego.

- Pozwól mi odejść.

- Nie. Nie masz racji. - Pokręcił głową. - Mówimy o zupełnie różnych rzeczach. Wyjdź za mnie.

- To nie będzie konieczne. Zapewniam cię, nie poczęłam. - Spodziewała się miesiączki lada dzień.

- To nie ma nic wspólnego z koniecznością - odparł, a gniew na nowo rozpalił się w jego oczach. - Musisz wiedzieć, że ja...

- Panie Munro! - Rozległo się gwałtowne stukanie do drzwi sypialni. -Panie Munro! Proszę! - nawoływał gorączkowo Gaspard.

- Nie teraz, Gaspard! - zagrzmiął Ramsey, nie przestając patrzeć w oczy Helenie.

- Ale proszę pana! Powiedział pan, że jeśli ta dama przyjdzie, mam pana zawiadomić, żeby nie wiem co! - krzyczał Gaspard zza drzwi. - Ona tu jest! Bardzo zdenerwowana. Nalega, że musi pana zobaczyć!

Ból, szybki jak myśl, targnął Heleną. Otworzyła szeroko oczy zaszokowana zdradą.

- Nie. - Przeszywał ją wzrokiem. - Nie. - Kręcił głową, wyciągając do niej ręce, ale cofnęła się gwałtownie, byle dalej od niego, i po omacku szukała drzwi.

- Heleno, to nieporozumienie. - Jego głos był napięty, ale w oczach zgasła nadzieja. Wyglądał jak skazaniec.

- Och, nie - wyszeptała wargami mokrymi od własnych łez. - Zrozumiałam. Proszę przekazać me przeprosiny tej damie i powiedzieć jej, że nie zdawałam sobie sprawy, że stoję jej na drodze.

Szarpnięciem otworzyła drzwi i wybiegła.



Ramsey klął dziko, narzucając na siebie szlafrok i wybiegając za Heleną na korytarz. Zniknęła. Niech to diabli! Miał ją w ramionach, w swoim łóżku i ją wypędził. Przez swoją dumę, przez tę przeklętą dumę!

Miała rację. Powinien był jej powiedzieć na samym początku, że wie, kim ona jest. Ale nie powiedział. Najpierw dlatego, że nieufnie traktował jej zapewnienia, że szuka przygody, a później dlatego, że chciał, by do niego przyszła. Pragnął, aby zrozumiała... do diabła, co? Że go kocha i może mu zaufać?

Dlaczego miałyby to zrobić, skoro nigdy nie zaznała tego od niego? Boże, jak uparcie błędził... a teraz ją stracił.

Pustka otwarła się w jego sercu, zostawiając tylko ziejącą ranę. Zacisnął powieki. Litościwy Boże, co on zrobił?

- Ramsey!

Z dzikim stęknieniem obrócił się w miejscu na dźwięk kobiecego głosu.

Paź Winebarger chwyciła się dłonią za serce i cofnęła, widząc wyraz jego twarzy.

- Ona zniknęła, Ram! Helena! Spędziłam całą noc na poszukiwaniach, objechałam całe miasto, zanim tu przyszedłam, bo wiedziałam, że ty...

Zacisnął powieki i wziął głęboki oddech. Walczy o panowanie nad sobą, pomyślała. Ram Munro, najbardziej opanowany mężczyzna, jakiego znała. Wyciągnęła ręce w geście współczucia i błagania.

- Tak mi przykro. Zgubiłam ją z oczu, a DeMarc nie wiadomo gdzie się podziewa i... Och, Ram! Obawiam się najgorszego! Wybacz mi! Przysięgam, że robiłam, co w mojej mocy. by spełnić, o co prosiłeś. Proszę, ubierz się zaraz. Musimy ją znaleźć.

- Ona jest bezpieczna, Paziu.

- Nie. - Pokręciła głową. - Zniknęła...

- Właśnie wyszła ode mnie.

Odrętwiała Helena wchodziła schodami dla służby do swego pokoju na drugim piętrze. Oczywiście, że jest inna kobieta. To równie oczywiste jak to, że wiedział, kim ona jest. Mężczyzna taki jak on pewnie rozpoznawał kobiety po zapachu. Pewnie uczył się na pamięć indywidualnych kształtów, brzmienia okrzyków, sposobu, w jaki całowały...

Otarła oczy mokre od łez. Nie wolno jej płakać. Już nigdy więcej. Musi odzyskać panowanie nad sobą. Czy nie jest pełną godności, niedostępną panną Nash?

Cały czas dawał jej wskazówki. Nie chciał jej uczyć szermierki, ale przy wszystkich zastrzeżeniach, jakie zgłaszała, nie wymienił najbardziej oczywistego: że kobieta nie nosi szpady. Chyba że nie jest ubrana po kobiecemu. A kiedy na jej widok powiedział „Helena”, zwracał się do niej po imieniu, a nie przywoływał w pamięci twarz osoby niewidzianej od dawna.

Dlaczego mu nie powiedziała? Dlaczego nie wyjawiała, kim jest, na samym początku? Znała odpowiedź. Dlatego, że zafascynował ją, ten jego świat bez reguł i bez konsekwencji. A jednak były konsekwencje. Zakochała się. Ustaw się w kolejce, Heleno, powiedziała sobie. Czekać na swoją kolej. Niech to licho, znowu łyzy.

Zawsze uważała się za lepszą od innych, uświadomiła sobie. Trochę wyżej stojącą pod względem zalet umysłu i odrobinę bardziej wyrafinowaną w swym opanowaniu.

Przygryzła wargi. Do diabła z opanowaniem. Pragnęła po prostu znów znaleźć się w jego ramionach.

Czy powinna wrócić do niego i powiedzieć: „Tak, wyjdę za ciebie”, a przez następne lata starać się nie słyszeć szeptów o jego kolejnych podbojach?

Tak. Nie!

Więc może powinna zostać jego kochanką? Przedmiotem, który można wymienić na nowy, kiedy ładniejsza, świeższa twarz wpadnie w oko? Och, z pewnością załatwiłby rzecz, jak należy. Ram Munro wszystko robi, jak należy. Urządziłby ją w jakimś domu z przyzwoitą sumką w banku, ale... widywałaby go z jego najnowszą miłością. W parku. W operze. Na przejażdżce w St. James.

Czy perspektywa złamanego serca jest warta roku z nim? Czterech lat? Dziesięciu? Nie. Tak!

Z piękącymi oczyma stanęła pod swymi drzwiami. Gdzieś w głębi domu zegar wybił piątą. Rozwiązała krawat i coś ukuło ją w kciuk. Apatycznie

zerknęła na dłoń. Złota szpilka z różą połyskiwała na tle białego jedwabiu. W pośpiechu musiała wziąć krawat Ramseya zamiast swego.

Dotknęła małej rzeźbionej róży drżącymi palcami i pomyślała o Ramie. Choć torturowany, napiętnowany, nie dał się złamać.

„Trzymać się z dala od więzień” - powiedział, że tego nauczyły go doznane cierpienia. Nosił różę zarówno na ubraniu, jak i pod nim.

Pchnęła drzwi...

- Helena!

Cofnęła się odruchowo na dźwięk głosu Flory, a potem niepewnie weszła do środka. Na jej łóżku wznosiło się kłębowisko kołder i kap.

- Floro?

Wielkie brązowe oczy wyjrzały znad skraju ciężkiej wełnianej kołdry.

- Co ty tu robisz? - spytała Flora niespokojnie. Nie, to nie był niepokój, tylko złość.

- Sypiam tutaj. - Helena nie miała zamiaru wyjaśniać, skąd wraca. - Co ty tu robisz?

- Zostawiłam ci list. Wsunęłam pod drzwi wczoraj po dziesiątej.

- Jaki list? - mruknęła Helena zdezorientowana. Nie była w nastroju do zajmowania się dziwactwami Flory, będącymi skutkiem jej brzemienności.

- Poprosiłam cię, żebyś zamieniła się ze mną na pokoje o północy. Więc kiedy tu przyszedłam i nie zastałam ciebie, uznałam, że ty... - Zbita z tropu szeroko otworzyła oczy. - Jeśli nie byłeś w moim pokoju, to gdzie byłeś? I to tak ubrana?

- Ja... szukałam pana Goodwina, oczywiście.

- Całą noc?

- Tak.

- Och, moja droga! - Kapa zsunęła się, gdy Flora usiadła, wyciągając ręce do Heleny. - Moja najdroższa przyjaciółko. Ale nie musiałaś! Gdybyś tylko przeczytała list. Bo w rzeczy samej pan Goodwin jest tutaj!

Flora strzepnęła kapę, odsłaniając czerwonego jak burak, lecz promieniącego zadowoleniem Oswalda Goodwina. Na szczęście w nocnej koszuli. Helena wlepiła w niego wzrok i otworzyła usta ze zdumienia.

- Co pan Goodwin robi w moim łóżku? - spytała i zaraz dodała: - Nie, nie odpowiadaj. Po prostu zabierz go stąd.

- Oczywiście, panno Nash - powiedział Oswald i przesunąwszy się na skraj łóżka, zaczął wpychać ręce w coś, co wyglądało na jeden z peniuarów Flory.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że gdyby cię przyłapano...



- Oj, Heleno! - wykrzyknęła Flora. - Naprawdę uważasz mnie za taką głupią? Oczywiście, że zdaję sobie sprawę z konsekwencji. Właśnie dlatego zamieniliśmy się z tobą pokojami. Ciocia Alfreda czasem zagląda do mnie w nocy, ale za nic w świecie nie przysłaby do pokojów służby.

- A co miałabym jej powiedzieć, gdyby zjawiała się w twym pokoju i zastała tam mnie?

- Coś byś wymyśliła - odparła Flora ufnie.

Spryciara, pomyślała Helena.

- Ale czy nie mogliście poczekać z... z... byciem razem?- spytała. - Przecież pan Goodwin zapewniał mnie, że jego łódź, że tak powiem, już wchodzi do portu.

- Istotnie - przyznał Oswald, uśmiechając się promiennie i zawiązując na kokardkę różową szarfę peniuaru. -To dlatego przysłałem Florze list z wiadomością, że do niej przyjdę. Sprawy ułożą się za dwa dni.

- Dwa dni - mruknęła Helena podejrzliwie.

- Tak. Wtedy jest finałowa tura Wszechświatowego Turnieju Pojedynków. Walki eliminacyjne mają się odbyć dziś i jutro.

- Walki eliminacyjne - powtórzyła Helena, nie rozumiejąc. - Dlaczego mówi pan o turnieju, skoro... - urwała nagle, zaklinając go w myśli: Och nie. Och, proszę. Nie.

- Eliminacje. - Flora mądrze pokiwała głową; najwidoczniej podczas tego wieczoru z Oswaldem wśród innych rzeczy nabyła biegłości w terminologii turniejów szermierczych. - Służą do uszeregowania zawodników stosownie do ich poprzednich zwycięstw lub ich reputacji. Niektórzy dżentelmeni nie musieli walczyć w turach eliminacyjnych. Tacy jak hrabia Winebarger i Michel St. Joan.

- Nie zapominaj o panu Munro - rzekł Oswald.

Helenie serce zabiło mocniej.

- Panu Munro?

- Tak! - potwierdziła Flora podekscytowana. - O panu Ramseyu Munro. Tym dżentelmenie z balu cioci Alfredy. Nie udawaj, że nie wiesz, o kim mówię, bo krążą plotki, że nie mógł się od ciebie oderwać i że siedzieliście razem w ogrodzie przez całych dwadzieścia minut.

- A co ma tu do rzeczy pan Munro? - spytała Helena.

- To on sprawi, że Ossie i ja będziemy mogli się połączyć.

- Co?

- To prawda, panno Nash. - Oswald obszedł łóżko, stanął przy Florze usadowionej na brzegu i wziął ją za rękę. Flora z westchnieniem zadowol-

nia przytuliła policzek do jego dłoni. - Studiuję od miesiący obsadę turnieju i po rozmowach z każdym, kto coś znaczy w tym sporcie, jasno widzę, że chociaż turniej obfituje w sławnych szermierzy, Munro góruje nad wszystkimi. Helena przyglądała mu się przerażeniem.

- Postawił pan zakład, że Ramsey Munro wygra turniej?

- Tak!

Ale Ramsey się wycofuje.

- Nie wolno panu-powiedziała omdlewającym głosem.

- Proszę mi wierzyć, panno Nash - odparł Oswald, kołysząc się na piętach - wiem, co robię. Munro ma taką zimną krew jak nikt na świecie.

- I co z tego?

Oswald wychylił się i zerknął na prawo i lewo, jakby podejrzewał, że ktoś ich podsłuchuje.

- Niewielu ludzi to wie, gdyby wiedzieli, nie byłbym na drodze do zdobycia aż takich pieniędzy, ale Munro siedział we francuskim więzieniu przez ponad dwa lata.

- To wie każdy.

Wyprostował się i kiwnął głową.

- Zgoda, to tak. Ale nie wiedzą, że w czasie tych dwóch lat był zmuszany do staczania pojedynków ze strażnikami.

O tym nie wiedziała.

- Pojedynków - ciągnął Oswald - w których za zranienie strażnika płacił utratą jakiejś części swej anatomii. Musiał więc udoskonalić swą sztukę do perfekcji, by wygrywać, nie zrobiwszy krzywdy przeciwnikowi; lub przegrywać, sam uniknąwszy poważnych obrażeń.

Helena poczuła mdłości. Oswald mówił jak o walce kogutów, a nie o żywych ludziach.

- Musiał się nauczyć kontrolować emocje, co niewielu, nawet najlepszych, potrafi. Wyobraża pani sobie, jak wielką przewagę daje to w turnieju? Ale mało ludzi o tym wie. I stawki zakładów tego nie oddają.

- Ramsey Munro nie uchodzi za faworyta?

- Nie. Jest względnym nowicjuszem w tym sporcie, skoro pojawił się w Londynie niecałe cztery lata temu. Ma opinię dobrego szermierza, ale nie tak dobrego jak inni. Błagałem, żebrałem, pożyczałem od wszystkich znajomych i udało mi się uezbierać pięćdziesiąt trzy tysiące czterysta osiemdziesiąt osiem funtów, które postawiłem na niego w proporcji jeden do dwunastu.

- Niech pan je wycofa.

- Za późno - powiedział Oswald radośnie. - Już zrobiłem zakład.
- A gdyby Munro nie walczył? Zwróć panu pieniądze? - spytała zrozpaczona.

Flora i Oswald popatrzyli na nią z politowaniem i wymieniali spojrzenia jasno wyrażające, jak się na niej zawiedli.

- To nie są ludzie, którzy zwracają pieniądze. Mógłbym przenieść zakład na innego uczestnika. Ale, szczerze mówiąc, bałbym się to zrobić. Nie wiem nic o pozostałych szermierzach.

- Ale powiedział pan, że od miesiący studiuję obsadę turnieju.

- Cóż, badałem ją z pewnego punktu widzenia. Obserwowałem Munro. Dlaczego, jak pani myśli, umówiłem się z panią na tej, hm, dość frywolnej zabawie w White Friars? Nie zwykłem bywać w takich miejscach. Jestem mężczyzną żonatym! Poszedłem, bo usłyszałem, że Munro daje pokaz.

- A jeśli Munro przegra? Oswald zakołysał się na czubkach palców.
- To się nie stanie.

- A jeśli jednak? - spytała i zastanowiła się, dlaczego to Flora nie zadaje tych pytań, tylko siedzi i gapi się na Oswalda, jakby był Apollem przybywającym po nią w słonecznym rydwanie.

- Będę musiał poderżnąć sobie gardło - powiedział Goodwin, wzdychając ciężko. - Jedyne honorowe wyjście.

Na to Flora zbladła, chwyciła się za serce i zarzuciwszy Oswaldowi ręce na szyję, zaczęła pochlipywać z twarzą wciśniętą w różowy peniuar okrywający jego ramię.

Oswald poklepał żonę po plecach i popatrzył złowrogo nad jej głową na Helenę.

- Jak pani mogła, panno Nash? Przy jej brzemienności i w ogóle?
- Muszę iść - odparła.

Uśmiechnął się z przymusem.

- Tak byłoby najlepiej.

Wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Poruszała się jak we śnie. Nie widziała innego wyboru prócz tego, co zamierzała zrobić. Ubierze się w którąś z sukien Flory, przywita się z lady Tilpot na śniadaniu i powie jej, że Flora ma atak migreny. Wysłucha relacji z partii wista swej chlebobawczyni, a potem da sześć pensów chłopcu, który zamiata skrzyżowanie ulic, by zaniósł list do Rama Munro.

Razem ze złotą szpilką.

*26. Ponowienie:*  
*kontynuowanie działania po natarciu*  
*chybionym lub odparowanym*

Amfiteatr Królewski był wypełniony po brzegi. Salę, w zasadzie przeznaczoną na pokazy jeździeckie, wysypano świeżymi trocinami na ten ostatni dzień Wszechświatowego Turnieju Pojedynek. Uczestnicy czekający na swą kolejkę tłoczyli się wokół areny, obserwując walki przyszłych rywali. Pojedynek toczono do pięciu trafień. Zawodnik, któremu się to udało, przechodził do następnej tury.

Choć reguły zabraniały rozlewu krwi, krew lała się często, bo w miarę postępu turnieju pojedynki stawały się bardziej zacięte, a zmęczenie i nerwy brały górę nad zawodnikami.

Był już wczesny wieczór, a miały się odbyć jeszcze trzy rundy, zanim dojdzie do walki o mistrzostwo. Towarzystwo, znudzone maskaradami trwającymi cały sezon, asystowało wydarzeniom z całym rozmachem, zelektryzowane plotką, która wyciekła z amfiteatru i rozniosła się jak pożar: Anglik, nieprawy wnuk Cottreila - który już nie jest bękartem, ale to całkiem inna historia - przechodzi kolejne stopnie rozgrywek z determinacją, która zdaje się sugerować, że ma on naprawdę zamiar wygrać ten przeklęty turniej!

Trzy poziomy balkony otaczających arenę już były pełne, a z każdą chwilą przybywało coraz więcej osób, dam i dżentelmenów. Udzieliwszy pokaznej pożyczki właścicielom amfiteatru na jego przebudowę w ubiegłym roku, lady Tilpot zasłużyła sobie na główną lożę.

- Teraz będzie kolej na Milforda - poinformowała doborowe towarzystwo, które gościła. Zaczęła nazywać Rama jego kurtuazyjnym tytułem hrabiego Milford z poufałością, która wyprowadzała Helenę z równowagi. - Nie wiem, przeciw komu staje. Ale nie sądzę, by to miało znaczenie. I tak wygra.

- Słyszałam, że miał się wycofać - powiedział któryś z młodych szermierzy.

- Ja też - dodał lord Figburt. Figgy również stanął do rozgrywek. Doszedł wczoraj do trzeciej tury, nim przegrał, i był całkiem z siebie zadowolony. - Zastanawiam się, co się stało.

To przeze mnie, pomyślała Helena, wciąż zdumiona własną śmiałością. Ułożenie liściku, który mu posłała, zajęło jej sporo czasu, choć był bardzo krótki:

*Musisz, wygrać turniej pojedynków.*

*Helen*

Do listu dołączyła złotą różę.

Ramsey nie odpisał. Ale wczoraj rano stawił się do rozgrywek i zaczął pokonywać kolejnych konkurentów.

- Duma - oznajmiła lady Tilpot. - Duma narodowa. Coś, co inni młodzi ludzie powinni naśladować. - Obróciła swą masywną postać i rzuciła surowe spojrzenie siostrzenicy, schowanej z tyłu łoża z tym niefortunnym, jak mu tam, Oswaldem Goodfinem? Goodriddance?

Flora odpowiedziała na spojrzenie ciotki przepaszającym uśmiechem i leciutkim wzruszeniem ramion, jakby pytała, co może zrobić, nie okazując się niegrzeczna. Cóż, nic nie mogła poradzić, uznała lady Tilpot. Nie może go przecież poprosić, by się przesiadł i zrobił miejsce bardziej pożądanemu konkurentowi. Ani nie...

- Ach! Widzę go! - Pani Winebarger, siedząca za Heleną, wskazała wa chlarzem przeciwległy kraniec areny.

Helena wyprostowała się, by dojrzeć ciemną głowę Rama poruszającą się w morzu ludzkim. Płynnym, stanowczym krokiem wszedł na wystający próg otaczający pole walki.

Thum tupął i wydawał okrzyki zachwytu. Od dziesiątków lat w sztuce szermierczej dominowali Francuzi, Prusacy i Włosi. Ramsey był dla tych widzów rodakiem mającym bronić ich honoru.

Jak na mistrza, wydawał się żałośnie nieświadomy swej pozycji. Nie pozdrowił widzów. Jego twarz była skupiona, poważna i chłodna. Wziął szpadę ze stołu, na którym umieszczono broń zawodników przed pojedynkiem, i trzymał ją opuszczoną u boku. Jego przeciwnik, wysoki Hiszpan z wysklepioną pierśią, chwycił swą broń i wykonał kilka zamasztych cięć w powietrzu.

- Senor Calvino jest bardzo dobry - mruknęła pani Winebarger. - Szybki i zwinny. Przynajmniej tak twierdzi mój mąż.

- Tak - odezwała się lady Tilpot z nieszczerym współczuciem, spoglądając na pruską damę. - Fatalnie się złożyło. Szkoda. Jestem pewna, że pani małżonek sprawiłby się doskonale.

Pan Winebarger został poprzedniego dnia zraniony; przeciwnik przebił mu udo mniej więcej sekundę po ogłoszeniu końca pojedynku. Wprawdzie tętnice i ścięgna pozostały nieuszkodzone, lecz był niezdolny do dalszej rywalizacji.

- Tak - westchnęła pruska dama - sprawiłby się dobrze.

- Dziwię się, że zostawiła go pani samego w nieszczęściu. Chociaż oczywiście, jesteście zachwyceni, że czuła się pani na siłach przyjąć.

- Coś mi nakazywało tu przyjść - odparła pani Winebarger, lekko się czerwieniąc.

Na dole zaczął się pojedynek. Ram, skoncentrowany, poruszał się z powściągliwym spokojem. Jego zrównoważenie ostro kontrastowało ze zdawałoby się niewyczerpanym wigorem Hiszpana. Calvino nie zadawał pchnięć, tylko rzucał się na przeciwnika, jego długie uzbrojone ramię wyciągało się do granic możliwości. Ale każdy atak Ram parował, każdą linię jakimś sposobem przenosił, a na koniec czubek jego klingi sięgał rywala. Zdobył punkt, potem drugi i trzeci.

Hiszpan, uświadomiwszy sobie, że przegra, jeśli nie zdobędzie panowania nad sytuacją, wykorzystał swój wyższy wzrost i większy ciężar: silnym natarciem torując sobie dostęp za gardę Rama, zarobił dwa punkty w krótkim odstępie czasu. Zachęcony sukcesem, napał znowu.

Ale Ram szybko rozpoznał taktykę przeciwnika i równie szybko się do niej dostosował. Przysunął się bliżej, zacieśniając obszar działania. Klingi błyskały i spadały, uderzając ze śmiertelną precyzją.

- Cztery! - krzyknął sędzia, wskazując Rama. A potem: - Pięć!

Tłum oszalał, gdy Hiszpan, zdyszany i czerwony na twarzy, zgiął się w głębokim ukłonie, dziękując przeciwnikowi za walkę. Ram oddał ukłon z wyraźną niecierpliwością i ignorując dzikie okrzyki, którymi powitano jego zwycięstwo, zniknął w tłumie.

- Dobrze. Szybko i skutecznie - oświadczyła lady Tilpot. - Kiedy będzie walczył następny raz?

- Za jakąś godzinę zmierzy się ze zwycięzcą drugiego półfinału.

- Doskonale. A kto to taki?

- Francuz St. George albo Włoch Cavaliere, Vettori.

- To będzie bardzo zajmujący spektakl - powiedziała lady Tilpot. - Nie przypuszczam, byśmy mieli czas pójść poszukać jakiejś małej przekąski - dodała smętnie, ale nagle twarz jej się rozjaśniła. - Pani, panno Nash, nie obchodzą pojedynki i szermierka. Więc niech się pani na coś przyda i przyniesie nam trochę ciasteczek i owoców, i trochę lemoniady. Ser byłby też całkiem na miejscu. A jeśli będzie masło i miód do ciasteczek, to tym lepiej.

Helena nie mogła odmówić. Wstała i zaskoczyło ją, że pani Winebarger siedząca za nią też wstaje.

- Pomogę pani, moja droga. Jedna osoba nie poradzi sobie z przyniesieniem tego wszystkiego.

Lady Tilpot nawet nie próbowała się sprzeciwić. Przydatność pani Winebarger dla niej skończyła się wraz z kontuzją jej męża.

- Dziękuję - bąknęła Helena, idąc za pruską damą korytarzem.

Gdy się oddaliły, pani Winebarger wzięła ją pod rękę i poprowadziła ku jednej z wnęk otaczających zewnętrzną ścianę.

- Cały dzień szukałam okazji, by z panią pomówić - powiedziała, siadając i wskazując Helenie, aby zrobiła to samo.

Ta posłuchała jej niechętnie.

- Bardzo panią proszę, nie chcę stracić walki pana Munro...

- Panno Nash. - Pani Winebarger uniosła dłoń, przesywając Helenę wzrokiem. Na jej twarzy malowało się napięcie. -To pani jest powodem, dla którego zostawiłam dziś Roberta.

- Jak to? - Helena się zdziwiła. - Nie rozumiem.

- Moja droga, musisz obiecać, że wysłuchasz wszystkiego, co mam ci do powiedzenia. Że nie odejdziesz po moim pierwszym zdaniu. Możesz mi to obiecać?

Helena spojrzała na nią skonsternowana.

- Tak, proszę pani.

Pani Winebarger wzięła głęboki oddech.

- To ja jestem kobietą która przyszła do domu Rama dwie noce temu.

Tej nocy, kiedy pani tam była.

Helena osłupiała tak, że nie mogła wymówić słowa. W jednej chwili zniechęciła tę kobietę, zniechęciła poufalskością, z jaką wypowiadała imię Rama, zniechęciła współczuciem w jej ładnych oczach. Wszystko wyglądało logicznie: urocza Prusaczka znała różne szczegóły o Ramie i jego rodzinie, znała jego *salle*, a jej mąż był zawsze wygodnie nieobecny. To była ta kobieta, którą Ram kazał wpuszczać bez względu na to, co robił i z kim.

Ale jeszcze gorszym, bardziej druzgocącym ciosem niż odkrycie związku, pani Winebarger z Ramem była wynikająca stąd świadomość, że on powiedział Prusaczce o niej. O nich.

- Powiedział pani o mnie? - spytała głucho. Wstała. Dlaczego nie chronił jej godności, czy raczej tych jej resztek, jakie jej zostawił.

Pani Winebarger kiwnęła głową.

- Tak. Jeszcze zanim się poznałyśmy. Po części dlatego przyjmowałam zaproszenia lady Tilpot: byłam ciekawa tej młodej kobiety, którą Ram był tak oczarowany. Zwłaszcza że nie wydaje mi się, by sam sobie z tego zdawał sprawę.

Helenie serce zaczęło bić udręczonym, gwałtownym rytmem.

- Obawiała się pani, że ktoś zajmie pani miejsce?  
- Miejsce? - Urocze zielone oczy otworzyły się szeroko. - Och, moja droga. Nie! Ja przyszłam do Ramseya, by mu powiedzieć, że ciebie zgubiłam!  
- Co?  
- Ram poprosił mnie, bym pani pilnowała- wyjaśniła pani Winebarger.  
-Bym się z panią zaprzyjaźniła.  
- Dlaczego?-Helena na powrót opadła na kanapkę.-Nie rozumiem.  
- Mój mąż i Ram dzielą zamiłowanie do szermierki - odparła pruska dama ale dzielili też celę we francuskim więzieniu. Anglicy nie są jedynymi, z którymi Francja jest lub była w stanie wojny. Ram pomógł memu Robertowi w ucieczce. Kilka lat później, kiedy mąż usłyszał o zwolnieniu Rama, przyjechaliśmy do Anglii. Chciałam poznać człowieka, który ocalił Roberta. Staliśmy się bliskimi przyjaciółmi i pozostawaliśmy w kontakcie przez lata.  
- Uśmiechnęła się ciepło. - Potem, kiedy Robert zgłosił się do turnieju, skorzystaliśmy z okazji, żeby odnowić tę przyjaźń. W rozmowie wspomniałam, że poznałam panią, o której słyszałam od niego w przeszłości. Było dla mnie jasne, że Ram się o panią martwi, o coś, co pani zrobiła, o jakieś ryzyko, na które się pani jego zdaniem narażała. Spytałam, jak mogę pomóc. - Wzruszyła ramionami, jakby reszta była oczywista.

- Ale dlaczego? Dlaczego on...

Pani Winebarger pokręciła głową.

- Moja droga, on cię kocha. Czy nie wiedziałaś o tym?

Helena znieruchomiała. Kocha ją? Nie. To niemożliwe. Nigdy nawet nie próbował jej tego wyznać. Czuł się za nią odpowiedzialny. Pragnął jej. Miał zobowiązania wobec jej rodziny.

- Nie. - Pokręciła głową. - Może jest zauroczony. Ale gdy tylko mu się znudzę, znajdzie się inna na moje miejsce. W Londynie - powtórzyła gorzko słowa Jolly Milar - roi się od byłych kochanek Ramseya Munro.

Pruska dama się zawahała.

- Gdyby Ram wiedział, że ci to opowiadam... - Urwała zakłopotana, ale po chwili wzięła głęboki oddech i zaczęła mówić. - Pozwól, że ci opowiem o młodym człowieku wychowywanym przez kochających rodziców w przekonaniu, że pomimo nieprawego urodzenia jest wart tyle samo, co każdy inny na tej ziemi. Gdy miał dziewięć lat, jego rodzice zmarli, a on trafił do przytułku, gdzie spędził kilka strasznych tygodni. Potem, niemal cudem, albo tak by się wydawało, został zabrany z przytułku przez pewnego księdza, który zawiózł go do małego klasztoru w górach Szkocji. Tak znalazł nową



rodzinę, kochających opiekunów, a także duchowych braci i na nowo utwierdził się w tym, że jest wartościowy, że ma wiele zalet. Znów zaczął w to wierzyć. Chłopiec wyrósł na młodego mężczyznę o niebywałej urodzie, ale nie tak pięknego jak jego dusza, szlachetna i dzielna. Tak szlachetna i dzielna, że on i jego towarzysze zgodzili się podjąć niebezpiecznej misji na prośbę swego dobroczyńcy opata. Ram nazwał to francuskim fiaskiem, zdała sobie sprawę Helena.

- Ale zostali schwytani i osadzeni w więzieniu, gdzie nasz chłopiec był torturowany, napiętnowany i zmuszany do walki w pojedynkach. Potem patrzył, jak ukochany przyjaciel zostaje stracony, wiedząc, że zdradził go jeden z tych, którym ufał i których kochał. Po niemal cudownym ocaleniu został uwolniony i przyjechał do Londynu. Dwudziestotrzyletni, z bagażem przeżyć, jakie nie powinny być udziałem żadnego młodego człowieka, a za razem niedoświadczony w sprawach, w jakich nie powinien być doświadczony żaden młody człowiek.

Gorąco uderzyło Helenie na policzki. Domyśliła się, że Ram nie miał doświadczeń z kobietami. Następne słowa pani Winebarger to potwierdziły.

- Ona była córką baroneta. Ładna, pociągająca, uparta. Amoralna. Pragnęła Rama. Pragnęła go i postanowiła go zdobyć, bo zawsze dostawała to, czego chciała.

- A Ram? - spytała Helena cicho.

- Zakochał się w niej do szaleństwa. I myślał, że ona też go kocha.

Helena spuściła oczy.

- Poprosił ją, by za niego wyszła. - Spojrzenie pani Winebarger stało się twarde. - Cóż, możesz sobie wyobrazić jej zaskoczenie i rozbawienie. Ram był bardzo przystojny i wspaniały jako kochanek, ale nie miała zamiaru poślubić szkockiego bękarta. Chciała jednak zatrzymać go jako kochanka po tym, jak poślubi bogatego hrabiego w średnim wieku, siostrzeńca ich sąsiada. Ram bardzo grzecznie odrzucił propozycję i powiedział jej, że więcej się nie zobaczą. Potem przez jakiś czas siał spustoszenie wśród chętnych młodych dam, które mu się narzucały. Uznał, że skoro sam był wykorzystywany, to dlaczego nie ma się dobrze bawić.

Helena odwróciła głowę, niechętnie słuchając potwierdzenia wszystkiego, co o nim słyszała.

- Tylko że - głos pani Winebarger złagodniał - wcale się dobrze nie bawił. Porzucił rozpustę dość szybko, bo jak sądzę, zaczął się za siebie wstydić. A wtedy pewnego wieczoru w Vauxhall spotkał ciebie. To nie był pierwszy raz. Obserwował cię od lat. Co? Widzę, że to wiesz. Dziwię się skąd. Mówił

nam, jak był ostrożny i dyskretny, śledząc twoje poczynania. Żaden cień nie mógł paść na dobre imię pięknej panny Heleny Nash, a co mogło być bardziej kompromitujące niż Ramsey Munro? Myślę, że już wtedy był na pół zakochany w tobie. Wydawałaś mu się taka idealna. Spokojna i obojętna, nietknięta przez swój upadek w świecie. Niezepsuta przez niskie namiętności, które nim na krótko zawiądnęły.

- To wszystko fałsz - szepnęła Helena. - Pozór. Maska.

- Część tak - zgodziła się pani Winebarger. - Ale nie wszystko. On tego nie wiedział. Wiedział tylko, że nagle zjawiłaś się w Vauxhall w przebraniu chłopca i powiedziałaś mu, że się spotykasz z żonatym mężczyzną i szukasz przygody. Czy to dziwne, że zwątpił w ciebie lub w uczucia, jakie w nim budziłaś? Nie. Naprawdę dziwne jest to, że zignorował świadectwo własnych oczu i uszu i zakochał się w tobie wbrew faktowi, że zdawałaś się ulepiona z tej samej gliny co kobieta, która kiedyś złamała mu serce.

Helena podniosła wzrok.

- W pani oczach ja wyglądam na nic niewartą i godną pogardy, a on na szlachetnego i wielkodusznego. Ale przecież wiedział, kim jestem. I posta nowił zataić to przede mną, gdy mnie oceniał.

Pani Winebarger kiwnęła głową.

- Tak. Popelnił błąd. Ale może czekał, aż sama ujawnisz mu swą tożsamość.

- Chciał mnie wypróbować. Dlatego, że mi nie ufał. Nie twierdzę, że miałam rację, ukrywając przed nim, kim jestem, lecz przynajmniej nie oczekiwałam, by się przede mną sprawdził.

- Ale się sprawdzał. Niejeden raz - odpowiedziała cicho pani Winebarger. - Poprosił mnie, bym cię śledziła. Poprosił markiza, którego zawsze uważał za winnego śmierci swych rodziców, by zabrał go do lady Tilpot, bo chciał się osobiście przekonać, jakie niebezpieczeństwo ci grozi. Czy możesz sobie wyobrazić, jak trudno mu było wystąpić z taką prośbą? A jednak to zrobił. Co więcej może zrobić?

Zrobił więcej! - zdała sobie sprawę Helena, wpatrując się w swe splecione dłonie. Zrobił dla niej wszystko. Wszystko! Przecież jest tutaj, staczając pojedynki, na których mu zupełnie nie zależy, tylko dlatego, że go o to poprosiła.

A ona? Była zbyt głupia, by to dostrzec, ponieważ wierzyła, że żaden mężczyzna tak idealny, tak przystojny nie może mieć uczciwego i wiernego serca. Ponieważ chciała, by on jej ufał, choć sama nigdy mu nie zaufała. Tak bardzo się myliła. Zasługuje na to, by go stracić!

Dobry Boże, nie może do tego dopuścić.

- Muszę go znaleźć.

Pani Winebarger się uśmiechnęła.

- Tak.

Mała, brudna dłoń nagle szarpnęła Helenę za rękaw. Spojrzała na umorusaną, uśmiechniętą twarz ośmioletniego chłopca.

- Jeden pan powiedział, żebym znalazł najładniejszą blond damę i to będzie panna Helena Nash. Zgadza się? To pani?

- Tak - powiedziała Helena w roztargnieniu. Musi napisać list. Nie, musi natychmiast poszukać Rama. Gdy tylko turniej się skończy...

- To proszę. - Chłopiec wetknął jej w dłoń różę. Piękną żółtą różę.

Zerwała się na nogi i zakręciła w miejscu, szukając wzrokiem w tłumie.

- Gdzie on jest?

- Powiedział, że ma go pani spotkać za amfiteatrem, w alejce przy stajniach. Teraz.

- Ale... - Spojrzała na panią Winebarger.

Pruska dama skinęła głową.

- Ja się zajmę lady Tilpot. Idź.

Helena przepychała się przez gęsty tłum widzów, zbiegając po szerokich schodach do głównego poziomu, ale tam tłok zakorkował frontowe foyer. Obeszła foyer wkoło, pchnęła drzwi dla służby i znalazła się w kuchni otoczona przez zdumioną służbę, brodząc po kostki w obierkach i kurzym pierzu.

- Muszę się dostać w alejkę przy stajniach. Którędy najbliżej? - zapytała.

Jedna z dziewczyn, mieszająca w garnku, odłożyła łyżkę i wskazała tylne drzwi.

- Dziękuję - sapnęła Helena. Musi zobaczyć Rama. Musi mu powiedzieć, że go kocha, że była ślepą, zarozumiałą kobietą. A potem błagać go, by jej wybaczył.

Wypadła przez wskazane drzwi i zgodnie ze słowami dziewczyny znalazła się w szybko ciemniejącej alejce. Mury amfiteatru oddzielał od sąsiednich budynków wąski zaułek, który kończył się niedaleko na podwórzcu stajni.

- Ram?! - zawołała. - Ram!

Jakaś postać weszła w obszar przyćmionego światła padającego z wysokich okien powyżej. Rozbłysło na złotowłosej czuprynie.

- Koniec z Ramem, moja kochana - powiedział Forrester DeMarc. - Już na zawsze.

## 27. Forte: dolna, najmocniejsza z trzech części klingi

*Ten diabeł tu jest. Widział mnie. Jeśli mamy się spotkać, to tylko w stajniach za amfiteatrem za godzinę. Nie zostanę dłużej. Przynies pieniądze.*

Arnoux

Ram zaklął szpetnie i zgniótł list w dłoni. Za godzinę? Wtedy będzie toczył pojedynek, najprawdopodobniej z tym piekielnie dobrym Włochem Vectorim. Ale jak może odwrócić się plecami do Kita, do Douglasa? Zaciśnął zęby w rozpacz, rozdarty przez po trzykroć przeklęty wybór stojący przed nim. Helena czy przeszłość? Helena, której obraz palił jego serce jak kwas, czy towarzysze młodości, jego bracia?

- Panie Munro?

Ram się obrócił. Brudny ulicznik stał w drzwiach małej izby przeznaczonej dla zawodników.

- Czego chcesz, synku?

- Dali mi wiadomość dla pana — odparł chłopiec.

- Tak? Twarz lorda Figburta ukazała się nagle za chłopcem.

- Ach. Tutaj pan jest!

Ram popatrzył niecierpliwie na młodzieńca, wpychając list do kieszeni. Figburt uprawiał egzaltowaną odmianę kultu bohatera, a on nie chciał, by robiono z niego bożyszcze.

- Proszę bliżej, Figburt - mruknął z sarkazmem. - Czy jeszcze ktoś chowa się w holu? Może by zaprosić ich wszystkich? Najzwyczajniej urządzić przyjęcie?

Figburt zaczerwienił się, ale wszedł.

- To tylko ja, panie Mun... hm, milordzie. Myślałem, że może potrzebuje pan kogoś do przewinięcia rękojeści pana szpady.

- Nie, dziękuję - odparł Ram i zwrócił się do chłopca. — Teraz ty, młodzieńcze. Co to za wiadomość?

- Ma się pan spotkać zaraz w alejce za amfiteatrem.

Nastój od razu mu się poprawił. Jeśli spotka się z Arnoux teraz, zdąży stoczyć finałowy pojedynek. Sięgnął po surdut.

- Z kim mam się spotkać?

- Z ładną blond damą.  
 Ram zakręcił się w miejscu.  
 - Panną Nash?  
 Twarz chłopca się rozjaśniła.  
 - Aha. Z panną Nash. Miło na taką popatrzeć, co nie?  
 Ram nie słuchał. Już odsunął od siebie chłopca i Figburta i zniknął w zewnętrznym holu. Lord Figburt i ulicznik popatrzyli po sobie i jednocześnie wzruszyli ramionami.  
 - Kobiety to istne utrapienie - oznajmił chłopak z jawnym niesmakiem.  
 - Żeby tylko uważał na czas, bo to nigdy nie wiadomo.  
 - Jak to? - spytał Figburt.  
 - Kiedy mój tato ma coś takiego w oczach, to jak nic wiadomo, że spędzi całą noc ze swoją lalunią. A milord ma zaraz walkę, no nie?  
 - Tak - powiedział lord Figburt, a jego wzrok padł na szpadę, którą Ram zostawił. - Ma walczyć.  
 Z nagłym postanowieniem wziął szpadę i ruszył za swym bohaterem.  
 - Dokąd pan idzie? - spytał ulicznik z zaciekawieniem.  
 - Dopilnować zwycięstwa Anglii.  
 Chłopiec popatrzył za odchodzącym, wzruszył ramionami, wziął dzban z maścią, który mu podał inny dzentelmen, i zabrał się do pracy.

- Myślałem, że jesteś inna. Że jesteś damą. I byłaś nią. Moją damą-głos DeMarca rozbrzmiewał echem w uliczce.  
 Ram zwolnił, a strach zacisnął się w pięść wokół jego trzewi, gdy wśliznął się naprzód pod osłonę cienia.  
 - Byliśmy razem szczęśliwi, czyż nie? Byliśmy?  
 - Tak, milordzie.  
 Zamknął oczy, klnąc w duchu, gdy wszystkie jego obawy się potwierdziły. To była Helena. Mówiła spokojnie, ale oddech miała przyspieszony, nerwowo.  
 - Ale on cię zepsuł. Splamił - głos DeMarca przycichał, stawał się mroczny i gniewny. - Mężczyzna ma swoją dumę, Heleno. Mężczyzna, prawdziwy, mężczyzna nie wchodzi w drogę drugiemu mężczyźnie, wkraczając na jego teren, czy nie tak?  
 - Czy ja jestem kawałkiem ziemi, milordzie?

- Co? - DeMarc wydawał się speszony.

Nadzwyczajny pozorowany atak, pomyślał Ram. Odwracać jego uwagę, wyprowadzać z równowagi. Doszedł do miejsca, skąd mógł ich widzieć. Szpada DeMarca była wymierzona w serce Heleny, gdy powoli zmuszał ją do cofania się w róg na zakręcie alejki.

- Jak dużo tej ziemi? - pytała Helena. - Hektar? Czy może ogródek kuchenny?

- Żarty sobie ze mnie robisz!

- A pan mnie obraża.

- Nie można obrazić dziwki.

Ram przemykał w cieniu uliczki, rozglądając się rozpaczliwie za czymś nadającym się na broń. Niczego nie znalazł.

- Jestem zdziwiona, że mężczyzna o pana bystrości miałby być zbalamucony przez kogoś takiego jak ja.

- Nie zawsze byłaś dziwką - powiedział DeMarc nadąsany. - Ale tak samo jak Sara Sweet myślałaś, że możesz mnie porzucić. Rzucić mnie dla tego czarnowłosego bękarta. Dlaczego?

Helena zbladła.

Niech to szlag! - pomyślał Ram. Wciąż jest za daleko. DeMarc może dźgnąć Helenę, zanim on się znajdzie przy nim.

- Nie martw się. Wiem, co zrobić - ciągnął wicehrabia. - Wiem, jak cię uratować. Musisz umrzeć.

- Jak to mnie ma uratować? - Zabrakło jej konceptu. Ram czytał to z jej oczu. Jej chwilowa zadziorność zniknęła, został tylko strach.

- Nie będziesz mogła więcej grzeszyć przeciwko mnie. Koniec zdrad. Koniec kłamstw. Tak jak Sara. - Jego głos złagodniał, stał się prawie rozmurzony. Wsunął czubek klingi i igrał nim nad jej dekoltem. Zamknęła oczy i zadrżała. - Byłaś taka idealna. Będę płakał po tobie, moja droga.

- Niech pan zachowa łzy dla siebie, wicehrabio - powiedział Ram, wkraczając w krąg światła.

DeMarc odwrócił się od Heleny, końcem szpady drasnawszy jej biust. Ramsey stał ze zwykłą pewnością siebie, z odkrytą głową, bez surduta, bez kamizelki i rękawic. Bez szpady.

- Munro! - wykrzyknął DeMarc. - Jak to miło, że do nas dołączyłeś.

- Jak, mógłbym odmówić tak czarującemu zaproszeniu, wicehrabio?  
-odparł Ramsey.

- Co za nonsensy opowiadasz. Munro. Zresztą nieważne. Jesteś tu. W samą porę, by umrzeć.

- Miałem nadzieję, że pora na mnie jeszcze nie nadeszła.

DeMarc wzruszył ramionami, próbując naśladować wyniosłą swobodę Ramseya.

- Jest pan skazany na rozczarowanie.

- W przeciwieństwie do pana, wicehrabio, który jesteś po prostu skazany na zgubę.

- Doprawdy?

- Tak. Skaleczył pan pannę Nash, a tego nie będę tolerował. Jak poważnie jest pani zraniona?

- To tylko zadrapanie - zawołała Helena pospiesznie. Wbrew pozornej niefrasobliwości troska Rama o nią może rozproszyć jego uwagę. - Przysięgam.

- Dziękuję, moja droga- powiedział cicho, a wyraz twarzy, z jakim zwrócił się do DeMarca, wystarczył, by krew zastygła jej w żyłach. - Myślę, że panna Nash powinna teraz odejść. Nie widzę konieczności, by stała się świadkiem dalszych nonsensów.

- Jakich to? Twojej śmierci? -odparł DeMarc, uśmiechając się ze straszliwą pewnością siebie. - Wolę, żeby została. Jeśli się ruszy, przekłuję jej serce. A potem zabiję cię. - Zerknął na Helenę. - Cofnij się do tego rogu. Już! Albo umrzesz.

Gdyby go nie posłuchała i próbowała uciec, musiałaby przejść w zasięgu jego szpady, wycofała się więc potulnie do rogu.

- A teraz, Munro, czas się ładnie pożegnać i umrzeć.

Zbliżył się do Rama ze szpadą lekko opuszczoną w dół i otwartą dłonią wzniesioną jak w zaproszeniu. Munro się nie poruszył. Z szybkością atakują- , cego węża DeMarc ciął szpadą a Ram odchylił się we właściwym momencie.

- Bardzo dobrze, Munro. Można by pomyśleć, że kiedyś używano cię jako żywego celu. A jeśli plotki nie kłamią istotnie nim byłeś! - Zachichotał, a koniec jego szpady zataczał kółeczka w powietrzu.

Natarł znowu. Tym razem Ram nie zdołał uniknąć śmiertelnego ostrza. Przeszło mu przez koszulę, rozrywając ją wzdłuż żeber i odsłaniając nabiegającą czerwienią linię.

Helena zagryzła wargę do krwi. Nie wolno jej wydać żadnego dźwięku ani wykonać najmniejszego ruchu. Nie może zrobić niczego, co by go rozproszyło.

- Co? - prychnął DeMarc. - Nic nie masz do powiedzenia?  
 Ram powiódł wzrokiem w górę i w dół i beztrąsko uniósł czarną brew.

- Dlaczego ludzie uparli się, żeby niszczyć mi najlepsze koszule?  
 - Munro! - nagły okrzyk kazał obu mężczyznom się obejrzeć. Lord Figburt stał w alejce kilka metrów od nich, ściskając w ręku szpadę. - Pańska broń! - zawołał i rzucił ją przed siebie.

Ramsey schwycił szpadę za rękojeść, a ostrze wydało miły świst, gdy zataczał nim koło.

- Ach - powiedział ze swobodną uprzejmością. - Właśnie jej szukałem. Dziękuję, Figburt.

Chłopak uszczęśliwiony szybko się wycofał. Ale Ram na niego nie patrzył. Jego spojrzenie było utkwione w DeMarcu.

- Wicehrabio. Proszę się pożegnać.

DeMarc z rykiem zaatakował, trafiając na ostrze Rama.

Ram odparował atak, ale siła DeMarca wyraźnie go zdumiała. Wicehrabia zbliżał się ku niemu, wykazując się doskonałą pracą nóg. Jego ostrze błyskało i dźwięczało, kreśląc hieroglify w powietrzu. Ale bez względu na to, jakiej linii szukał, Ram ją zamykał; każdy atak odparowywał.

Powinam uciec, pomyślała Helena. DeMarc nie będzie mnie ścigać. Ale stała nieruchomo, bojąc się, że najłżejszy nawet ruch przyciągnie wzrok Rama i da lśniącemu czubkowi broni DeMarca dostęp, jakiego szukał.

- Mój Boże! - usłyszała głos z końca alejki. - To DeMarc! I chyba koniec szpady ma niezabezpieczony!

Nieznanym mężczyzną miał rację. Na ostrzu DeMarca nie było grubego tamponu, który okrywał ostre czubki szpad zawodników. Obejrzała się na grupkę młodzieńców, którzy zebrali się przy wyjściu prowadzącym do alejki. Chciała do nich krzyknąć, by pomogli, by powstrzymali to szaleństwo, nim Ram zostanie ranny, ale myśl o rozproszeniu uwagi Rama pozbawiła ją głosu.

- A ten, z którym walczy, to kto? - spytał jeden z nich.  
 - To Munro!  
 - Ale Munro ma zaraz finałowy pojedynek!  
 - To na pewno Munro. Mówię ci! Idź zawołaj resztę!

Proszę, Boże, zachowaj go bezpiecznie, modliła się Helena. To nie było starcie zaaranżowane dla zadośćuczynienia regułom honoru. Było zajadłe, śmiertelne. DeMarc walczył jak szaleniec, namiętność i nienawiść przydały jego zwykłej biegłości niesamowitej siły i rozmachu. Odpowiedzi Rama były lekkie, prawie delikatne: to przeniesienie linii DeMarca, to pozorowany



atak, który kierował natarcie wicehrabiego centymetry za szeroko. Nie wymuszał otwarcia, nie szedł za cofaniem się przeciwnika.

- Znów ta sama niska linia, DeMarc? Ile to już razy? Pięć? Sześć? To zawsze była pańska słaba strona. Sama technika, żadnego arcyzmu.

- Każę namalować obraz krwią z twego serca.

- Ach, co za wyrafinowanie. Tak jak ta próba zmiany styku. Bo to miała być zmiana styku, prawda?

Przez chwilę słychać było tylko szcęk kling; przeciwnicy odskoczyli od siebie, czujnie mierząc się wzajemnie wzrokiem.

- Mój Boże! To naprawdę Munro i DeMarc! - Więcej głosów dobiegło tym razem z okien wychodzących na alejkę z piętra amfiteatru.

Helena zerknęła w górę. Mężczyźni i kobiety tłoczyli się po kilkoro w każdym oknie. Rozejrzała się wkoło i zobaczyła ludzi wypełniających koniec alejki, przesuwałych się i wyciągających szyje, by lepiej widzieć. Dwie damy w średnim wieku wdrapały się na wyładowaną platformę, by zasiąść na piramidzie skrzyń, jakby znajdowały się w swoich łóżkach.

Na Boga, czy oni rozumieją, co się tu dzieje? Że gra idzie o życie Rama?

- Bękart! - Obróciła gwałtownie głowę na okrzyk wściekłości i zawodu DeMarca. Spychał Rama wzdłuż alejki, chcąc go zapędzić w narożnik za rzędem beczek. Ale Ram zniweczył ten zamiar, wskakując na jedną z beczek i kopiąc drugą, tak że potoczyła się na DeMarca. Wicehrabia zaklął szpetnie i uskoczył w bok.

Z lekceważącym śmiechem Ram zeskoczył na ziemię.

- Dlaczego po prostu nie dasz mi się zabić, Munro? - spytał DeMarc, starając się odzyskać klasę.

- A gdzie by w tym była sztuka? A bez sztuki, jaka satysfakcja ze zwycięstwa?

- Twoja troska o mnie jest wzruszająca.

- Przysięgam, wicehrabio - powiedział Ram, gdy jego ostrze prześliznęło się wzdłuż postaci DeMarca - że zrobił pan postępy od czasu, gdyśmy ostatnio wymieniali uprzejmości. Co też pan porabiał?

DeMarc zadał serię krótkich, gwałtownych cięć, które trafiły w przedramiona Rama, rozcinając mu skórę.

- Szykowałem się, by cię uśmiercić!

Ram wycofał się, robiąc ćwierć obrotu, przed natarciem DeMarca odsłaniając swój bok. DeMarc skorzystał z tego. Zadał pchnięcie prosto przed siebie, ale w ostatniej chwili Ram odkręcił się i wbił koniec szpady w wyciągnięty biceps wicehrabiego.

- Au! - DeMarc odskoczył.

Ram się uśmiechnął.

- Mógł pan lepiej wykorzystać ten czas.

- Będę ucztował na twym grobie - zaklinał się DeMarc.

- Co za chorobliwa wyobraźnia, wicehrabio. Dawniej miał pan lepsze maniery. Choćby te wszystkie róże, którymi zasypywał pan pannę Nash. Sam byłem zaskoczony tak romantycznym gestem.

- Jakie róże? - obruszył się DeMarc. - Nie dawałem jej żadnych róż. Dałem jej moje serce! Ale ona wołała twój...

- Cóż, wicehrabio - strofował go Ram - jeśli to jest przykład pańskiej kurtuazji, to nic dziwnego, że panna Nash pana nie chciała.

Na dźwięk nazwiska Heleny DeMarc zmrużył oczy.

- Och, będę ją miał. A potem ją zabiję. Jak Sarę Sweet.

- Wicehrabio - powiedział Ram, cofając się i przybierając pozycję szermierczą- zdecydowanie nie powinien był pan tego mówić. *En garde*.

Dopiero teraz Helena zrozumiała, co Ram robił przez te długie minuty. Nie tylko pozwalał wicehrabiemu marnować siły na pchnięcia i brutalne ataki, ale obserwował go, badał, oceniając w myśli jego umiejętności.

Jego natarcie było błyskawiczne, tak szybkie, że oko ledwie mogło je zarejestrować. DeMarc natychmiast się cofnął. Ram poszedł za nim elastyczną, elegancką pracą nóg, wykorzystując jego przelotne zachwiania równowagi, zmuszając, by ustępował pola, odbijając klingą coraz bardziej chaotyczny grad ciosów.

Skończyło się równie szybko, jak się zaczęło. W jednej chwili DeMarc nacierał, w następnej czubek szpady Rama zakręcił się wokół ostrza wicehrabiego, ześlizgując się po nim. Rozmach tego ruchu wyrwał broń z dłoni DeMarca i szpada brzęknęła o ziemię. Ram nonszalancko odrzucił ją dalej kopnięciem.

DeMarc przykucnął w miejscu, w którym się znalazł, gdy szpada wypadła mu z ręki. Oczy mu biegały jak u szczura szukającego ucieczki.

Ram popatrzył na niego z góry.

- Chwali się panu, wicehrabio, że wreszcie się pan przyznał.

- Co?

Ram odwrócił się od niego i stanął twarzą do potężnego tłumu, który ich otaczał.

- Słyszeliście, że lord DeMarc przyznał się do zamordowania niejakiej Sary Sweet i do zamiaru postąpienia tak samo z panną Heleną Nash? - zawołał na cały głos.

Rozległy się głosy potwierdzenia i gniewne pomruki. Ktoś krzyczał, wzywając konstabla. Ktoś inny nawoływał, by aresztować DeMarca. Ram spojrzał na Helenę i jego twarz złagodniała.

- Heleno! - zawołał, ruszając ku niej.

Gdy szedł, ujrzała, że za jego plecami DeMarc wstaje z twarzą wykrzywioną nienawiścią i dłonią zaciśniętą na rękojeści odzyskanej szpady. Zadał pchnięcie w nieosłonięte plecy Rama.

Nie!

Ram okręcił się wkoło, przechodząc do natychmiastowego ataku. I jego szpada trafiła w rękojeść DeMarca z impetem spadającego tłoka, łamiąc czubek i wbijając wyszczerbiony koniec w gładką gardę, gdy reszta ostrza wygięła się pod naciskiem. Wicehrabia nie zdołał przeciwstawić się sile tego ciosu. Runął na wznak, a gdy ustał nacisk utrzymujący w miejscu wyszczerbiony czubek szpady, wygięte w łuk ostrze uwolniło się, odskakując sprężysto, i smagneło go po barku, rozcinając ciało do kości.

Ram kopnął precz jego broń, choć było jasne, że DeMarc nie podniesie ostrza ani teraz, ani nigdy więcej.

- Niech ktoś sprowadzi chirurga! - zawołał. - I sędziego pokoju.

- Ale... to był wypadek! - krzyknął ktoś.

- Jasne jak słońce, że to wypadek! - dodał inny głos, a potem jeszcze inny i kolejne. Ram rozejrzał się wkoło. - Wszyscy widzieliśmy!

- Na Boga, człowieku, za kwadrans masz walczyć o mistrzostwo! - wykrzyknął ktoś. - Za Anglię!

- Lepiej się pospiesz. - Dystyngowany starszy pan w asyście dwóch wysokich młodych mężczyzn w liberiach zbliżał się do DeMarca. - My się tym zajmujemy.

Helena wreszcie zrozumiała. Anglia nigdy nie miała wielkiego mistrza szpady. Teraz była na to szansa. Była to też, uświadomiła sobie, jedyna szansa Flory.

Tłum w alejce rozprasał się tak samo szybko, jak się zebrał, spiesząc, by zająć miejsca przed końcową atrakcją. W ciągu kilku minut uliczka prawie opustoszała. Zostali tylko starszy dżentelmen i jego lokaje wynoszący DeMarca a także lord Figburt, kręcący się niespokojnie w połowie drogi do wyjścia. No i Ram.

- Nie mogę, Heleno - powiedział, marszcząc brwi.

- Oczywiście, że nie - przyznała. - Jesteś wyczerpany i ranny, więc... i tak byś nie dał rady wygrać.

Spojrzał na nią, zaalarmowany czymś w jej głosie. Czymś, czego nie potrafiła przed nim ukryć. I wtedy poczuła, że nie chce niczego przed nim ukrywać. Że nie musi. On ją zna równie dobrze, jak ona zna siebie.

Już dość masek. Chce tylko być z nim.

- Dlaczego mnie prosiłaś, bym walczył, Heleno? - spytał.

Popatrzyła mu w oczy.

- Chodzi o Florę, siostrzenicę lady Tilpot. Poślubiła potajemnie nieponia bez grosza nazwiskiem Oswald Oodwin. Odgrywałam rolę kuriera między nimi. To dlatego byłam w Vauxhall. Ale Flora go kocha. I w dodatku nosi jego dziecko, a Oswald zapożyczył się na małą fortunę i wszystko postawił na twoją wygraną w turnieju, żeby móc przyznać się do Flory jako swej małżonki. Flora boi się, że w przeciwnym razie ciotka postara się o unieważnienie małżeństwa, dziecko zostanie jej zabrane, a Oswald trafi na resztę życia do więzienia za długi.

Przyjrzał jej się z powagą.

- A ty co o tym sądzisz?

Helena się uśmiechnęła.

- Myślę, że Flora ma rację.

- A dla ciebie to ważne? - spytał spokojnie.

- Tak - odparła.

Musnął ją po policzku dotknięciem lekkim jak piórko.

- Więc lepiej, żebyśmy wygrał ten przeklęty turniej.

## *28. Supinacja: zwrócenie dłoni wnętrzem do góry*

Milordzie! - zawołał Figgy Figburt. - Proszę!

- Muszę już iść-szepnął Ram i jeszcze raz musnął jej policzek. - Muszę się przygotować.

- Wiem - powiedziała Helena.

Zawahał się, ale wreszcie opuścił rękę i ruszył za Figburtem do amfiteatru.

Helena zastanawiała się, skąd ma oglądać pojedynek. Pewnie lady Tilpot obmyśliła już jak najbrutalniejszy i najbardziej publiczny sposób odprawienia jej. Nie przejmowała się samą odprawą, ale nie chciała dać swej chlebowdawczyni satysfakcji. Co znaczyło, że będzie musiała stać w drzwiach kuchni, jeśli chce zobaczyć finałową walkę.

Niczego sobie nie wyrzucała. Zrobiła, co mogła, dla Flory i Oswalda. Jakikolwiek los ich czeka, ona nie będzie już starała się go odmienić.

Ruszyła uliczką i wtedy dostrzegła zmięty skrawek papieru. Leżał w pobliżu miejsca, gdzie stał Ram, kiedy DeMarc rozciął mu koszulę. Podniosła papier i zerknęła na podpis. *Arnoux*. To było nazwisko człowieka, z którym Ram miał się spotkać jutro wieczorem. Przeczytała list i zrozumiała, co Ram miał na myśli, gdy mówił, że nie może walczyć.

To nie miało nic wspólnego z jego ranami czy wyczerpaniem. Nie mógł walczyć, bo musiał się spotkać z Arnoux. To była jego jedyna szansa poznania nazwiska człowieka, który zdradził jego i jego towarzyszy w więzieniu LeMons. Zrezygnował z tej szansy i wybrał pojedynek.

Dlatego, że dla niej to było ważne.

Mój Boże, co ona zrobiła? Lata poszukiwań obracają się wniwecz, żeby Flora i Oswald mogli żyć długo i szczęśliwie. Ale co z Ramem? Co z jego potrzebą zakończenia historii rozpoczętej lata temu z czterema chłopcami związanymi braterstwem? Co z jego potrzebą zrozumienia, znalezienia odpowiedzi?

Skierowała się ku stajniom i weszła do środka. Było tam cicho i pusto, bo stajenni wymknęli się do amfiteatru na finałową walkę. Słyszała tylko parskanie koni i czuła zapach siana i dobrze naoliwionej skóry.

Szła w głąb stajni, mijając ciemne sylwetki koni w rzędach boksów. Nagle wyczuła czyjąś obecność. Była pewna, że się nie myli. Ktoś tu jest.

- Arnoux? - spytała cicho. - Monsieur Arnoux?

- Tutaj - rozległ się cichy szept. - Tu z tyłu.

Ruszyła w kierunku głosu i na samym końcu stajni ujrzała mężczyznę, który siedział na ziemi oparty o drzwi boksu.

- Monsieur?

Jakiś cień poruszył się za mężczyzną siedzącym z głową spuszczoną na piersi, jakby spał.

- Monsieur?

Ciemna postać zmaterializowała się z mroku, wysoka, szczupła i dziwnie znajoma. Ten człowiek porusza się jak Ram, zdała sobie sprawę. Zbliżył się, a wtedy zobaczyła, że jest ubrany na czarno, a na twarzy ma jedną z siatkowych masek szermierzy używanych do ochrony podczas ćwiczeń. W dłoni trzymał szpadę. Z rosnącym przerażeniem zauważyła, że ścieka z niej krew.

- Ach, panna Nash - zamruczał mężczyzna. - Taka oddana dziewczyna. Nie przypuszczałem, że przyjdzie pani zamiast niego. A powinienem był. Pani poczucie obowiązku jest ze wszech miar imponujące. To jest ta cecha, na której grałem od początku.

Cofnęła się o krok.

- Proszę. Niech pani nie ucieka. To tylko wszystko skomplikuje, a ja panią lubię. Naprawdę. Prawie tak mocno, jak pani nienawidzę.
- Nienawidzi pan mnie? - Zrobiła następny krok w tył i jeszcze jeden. Mężczyzna szedł za nią, ale jakby od niechcenia, jak gdyby dawno przewi-  
dział każdy jej ruch. - Dlaczego? Kim pan jest?
- Nie poznaje mnie pani? To przykre. Ale... - stłumiony chichot wydobył się zza maski - przyznaję, że zarazem sprawia mi pewną satysfakcję. Czuję się grzesznie dumny z mych talentów aktorskich. Choć jestem pewien, że pani może równie dumna ze swoich.
- Kim pan jest? - Ukradkiem kontynuowała drogę ku drzwiom.
- Mam pomysł. Zagramy w pewną grę. Zawsze byłem dobry w grach. Oto wskazówka: Droga panno Nash, czy byłaby pani taka miła i przyniosła mi jeszcze trochę? Przepadam za kandyzowanymi owocami.
- Pastor Tawster - szepnęła.

Zaśmiał się i ściągnął maskę, odsłaniając łysinę i łagodną twarz. Tylko że nie wyglądał teraz łagodnie. Ożywienie odsłoniło jego drapieżną urodę, której nie dostrzegала, kiedy usta miał zasznurowane, a oczy skromnie spuszczone.

- Tak. Wielebny Tawster. Całkiem zabawne, ale nie przypuszczam, by pani doceniła ironię. Nie? No dobrze. Wie pani - pochylił się do niej poufale - ja wcale nie lubię kandyzowanych owoców.
- Ale pana postawa, pana głos!

- Wypchane stroje i udawanie.
- Nie rozumiem.
- Oczywiście, że pani nie rozumie. Ale wytłumaczę pani, bo naprawdę wysoko ją cenię i uważam, że umrzeć w niewiedzy to straszna rzecz. Sam nie chciałbym, by mnie to spotkało, a jak mówią, nie rób drugiemu...

Była tuż przy drzwiach i miała właśnie wybiec przez nie na podwórze. On szedł krok w krok za nią, jakby się nie przejmując.

- Niech mi pan powie.
- Jeśli przestanie pani próbować ucieczki, powiem. To zbyt dobra historia, by ją opowiadać, tupiąc wokół.

On jest szalony, pomyślała, lecz wycofywała się dalej. Na zewnątrz zapadł zmrok. I było pusto.

- Pozwoli pani, że ujmę to tak - powiedział. Ostrość stali pobrzmiwała w jego głosie z lekkim gardłowym akcentem. Francuz? - Jeśli się pani nie zatrzyma, zabiję panią.

Zatrzymała się, a serce podeszło jej do gardła.

- No proszę, od razu lepiej. Więc przy czym to jesteśmy? No tak. Dla czego pani nienawidzę. Dlatego, że jest pani pomiotem pułkownika Nasha, człowieka kompletnie pozbawionego wyczucia czasu. Gdyby nie wtrącił się w LeMons i nie upierał, by oddać życie za... na pewno pani dobrze wie, za kogo - błysnął oczami - nie musiałbym teraz spiskować, by ponieśli śmierć.

Mimo przerażenia Helena zauważyła dziwny dobór słów.

- Dlaczego chce pan ich zabić?

- Przenigdy bym ich nie zabił. - Jego żartobliwy ton zmienił się w śmiertelnie poważny, a spojrzenie, które w niej utkwił, było tak pełne odrazy, jakby powiedziała coś nieprzyzwoitego. -Ja ich kocham. Jak braci. Jak synów. Chociaż zawsze odsuwali mnie od siebie. - Uśmiechnął się. -Nie zabiję ich. Nie. Widzi pani, gdybym to zrobił, to oni by wygrali. Byliby lepsi ode mnie. To byłby grzech. Ale to nie znaczy, że nie ukartuję ich śmierci, tak jak już ukartowałem ładną śmierć dla Rama.

- Jak? - spytała Helena z nagle wyostrzoną uwagą.

Wydawał się zadowolony z jej pytania.

- Wiedziałem o jego ślubowaniu wobec pani rodziny. Wiedziałem, że jest pani sama na świecie, bez opieki i bez przyjaciół. Więc naraziłem panią na niebezpieczeństwo, zasugerowałem pani, żeby poszukała kogoś, kto ją z tego niebezpieczeństwa wydobędzie, i pozwoliłem sprawom toczyć się własnym trybem. Oczywiście sprzyjałem niebezpieczeństwu - uśmiechnął się skromnie - nawet bardzo.

- Nie rozumiem.

- Oczywiście, że pani nie rozumie. Sedno mojej misternej aranżacji tkwiło w tym, żeby nikt nie mógł się dowiedzieć, iż mam z tym coś wspólnego. Wkrótce po przybyciu do Londynu poznałem DeMarca i szybko zdałem sobie sprawę z jego skłonności do obsesji. Wicehrabia był dość mocno wytrącony z równowagi niefortunnym epizodem z poprzednią wybranką, Sarą Sweet. Przyszedł do mnie po rozgrzeszenie. Dałem mu coś więcej: panią.

- Pan go zachęcał? - Helena była zdumiona, że jeden człowiek mógł manipulować drugim w tak złowieszczych celach.

- O tak. Często i usilnie. To ja utwierdziłem go w przekonaniu, że pani odwzajemnia jego uczucia, a potem powiedziałem mu, że pani go „zdradziła”. To ja posłałem go do Vauxhall po tym, jak mu powiedziałem, że poszła tam pani uwodzić mężczyzn. Nie dawał się do końca wystrychnąć na dud-

ka, oczywiście. Z nimi zawsze tak jest. - Westchnął ciężko. - Ram trafnie wyliczył niedostatki wicehrabiego: brak twórczej fantazji, brak wyobraźni, brak stylu. Więc czasem popychałem rzecz naprzód. Kto, jak pani myśli, napastował ją w deszczu w White Friars? DeMarc? - Prychnął pogardliwie. - DeMarc za nic w świecie nie pokazałby się w masce. A róże? Miły akcent, nie sądzi pani? Lady Tilpot dała mi nawet klucz do domu...

- Pan jest szalony.

Tawster zamyślił się nad jej słowami.

- Nie. Ja jestem sprytny. Postawiłem DeMarca na drodze Rama. Było zaplanowane, że ma go dziś zabić. Posłałem pani kwiat, a Ramowi wiadomość, że chce się pani z nim spotkać. A najpierw przekazałem DeMarcowi informację, że Ram i pani macie tu schadzki. Ale ten wstrętny chłopak, Figburt, przyszedł ze szpadą Rama i... cóż, sama pani widziała. - Westchnął, a potem, jakby przypomniał sobie coś przyjemnego, powiedział: - Na szczęście jestem człowiekiem przewidującym i zawsze przygotowuję plan zastępczy. Dopóki oni wszyscy nie umrą, muszę, przynajmniej czasowo, pozostawać w takim czy innym przebraniu. Chłopcy nie mogą się dowiedzieć, z kim mają do czynienia. Dlatego właśnie musiałem zabić Arnoux tam w stajni. I dlatego muszę zabić panią. Przykro mi.

- Co pan nazwał planem zastępczym?

Jego rysy ściągnęły się w zatroskanym wyrazie przypominającym zmar-twioną minę wielebnego Tawstera.

- To obrzydliwe, stopień nędzy i upodlenia, w jakich pozwalamy żyć mieszkańcom tego wielkiego miasta. Czy pani wie, że ten chłopiec, którego posłałem do pani i Rama, mieszka w jednej izbie z ośmiorgiem innych ludzi? Przerazające, prawda?

- O czym pan mówi?

- Za pół korony był gotów obluzować gałkę chroniącą koniec szpady, której Vettori miał użyć, czy raczej - zerknął na wieczorne niebo - używa, i posmarować ostrze maścią, którą mu dałem. To trucizna. Nie mówię, że chłopiec o tym wie. Ale za pół korony nie zadawał wielu pytań.

O nie! Świadomość tego, co zrobił Tawster, dotarła do niej w całej pełni. Poluzowana gałka, walka finałowa, zażarta i gwałtowna. Najmniejsze draśnięcie...

Odwróciła się i rzuciła do ucieczki.

Natychmiast ruszył za nią. Biegła, potykając się w ciemnej uliczce, czekając na cięcie jego klingi w plecy. I wtedy zobaczyła ją, połyskującą, wciąż leżącą na ziemi: szpadę DeMarca.



Rzuciła się ku niej, chwyciła za rękojęć i wstając, obróciła się twarzą do swego prześladowcy. Biegł za nią truchtem, bez pośpiechu, a jego twarz, dobry Boże! Jego twarz wyrażała ulgę graniczącą z rozkoszą.

- Dzięki ci, moja droga! Miałem nadzieję, że to zrobisz. Brawo, dzieło czyno! Brawo!

Dłonie trzęsły jej się tak bardzo, że musiała użyć obu, by unieść broń, a gdy to zrobiła, ostrze opadło i zwisało luźno. Jego uśmiech był miły, nawet współczujący.

- Chociaż to absurdalne, naprawdę ciężko mi było się zmusić, by cię za bić, kiedy byłaś bezbronna.

Zbliżył się do niej na zasięg broni i przybrał postawę *en garde*.

- Zaczynaj, moja droga.

Ze szlochem zamachnęła się klingą trzymaną oburącz, starając się odzyskać zimną krew. Mąciło jej się w oczach, a ręce wydawały się ciężkie i bezwładne.

Bez najmniejszego trudu odbił jej uderzenie.

- Czy nie możesz się lepiej postarać? Nie masz najmniejszego pojęcia o szermierce, prawda?

„Jedyna przewaga z pana strony to rzucające się w oczy nieobyć z bronią. I nikt, kto pana takim ujrzy, nre potraktuje pana poważnie”. Słowa Rama wypowiedziane do Figburtatego pierwszego wieczoru w Vauxhall szemrały jak uspokajający wietrzyk w jej beładnych myślach.

„Jedyna przewaga, jaką ma osoba bezbronna, kiedy jest atakowana, jest taka, że jest bezbronna. Napastnik nie oczekuje po niej, że będzie walczyć”.

Tawster przyglądał jej się rozczarowany.

- No cóż, nie mogę stać tu całą noc w nadziei, że nagle rozwinie pani jakieś umiejętności. - Z westchnieniem zrobił krok naprzód.

- Ty draniu! - Zadała pchnięcie i opadłszy ciężko na ziemię, wyprostowała ramię jednym płynnym ruchem... I wtedy poczuła, jak czubek ostrza wbija się w gęstą ciężką substancję i zatrzymuje na czymś twardym w głębi. Z krzykiem wypuściła szpadę.

Tawster spojrział na ostrze wystające mu spomiędzy żeber.

- Na Boga! - powiedział słabnącym głosem. - *Passata sotto*. Niech cię licho.

Zrobił krok naprzód, ale nagły ból sprawił, że zachwiał się, przewrócił oczy ma i upuścił szpadę. Chwycił wbite w siebie ostrze obiema rękami i szarpnął.

- Ach! - Jego zamglone spojrzenie uniosło się ku niej, a wargi wykrzywiły się w paskudnym uśmiechu. - Powiedz Ramowi, że Dand śle mu uszowanie!

Helena nie czekała, by zobaczyć, co się dalej stanie. Zerwała się na nogi, już będąc myślami przy Ramie. Musi się do niego dostać, ostrzec go! Musi zdążyć, nim będzie za późno!

Popędziła uliczką, wpadła do amfiteatru i pomknęła korytarzem ku wejściu na główną arenę. Z wnętrza dobiegał ryk rozentuzjzmowanego tłumu. Dobry Boże! Nie!

Przepchnęła się przez wyjący tłum stłoczony wokół areny.

- Widzieliście kiedy coś takiego?!
- Mój Boże, ten bękart nawet nie widział, co się dzieje!
- Jeszcze nie rozumie, jak go to spotkało!

Nie. Nie. Nie. Przepychała się w tym tumultcie, desperacko chcąc się do niego dostać. Wreszcie przedarła się i zobaczyła Rama. Żywego.

W tej chwili zapomniała o wszystkim, o Tawsterze i DeMarcu, o zamordowaniu Arnoux, o zatrutej szpadzie. Liczyło się tylko to, że Ram żyje.

- Dziękuję ci - wydyszała, ledwie świadoma łez ciekących jej po twarzy.

Uczepiła się najbliższego rękawa i ciągnęła, dopóki mężczyzna o krągłej

twarzy nie spojrział na nią. Jego twarz promieniowała dumą.

- Co się stało? - spytała Helena.
- Ani jednego trafienia. Włoch nie zaliczył ani jednego trafienia! - wy

krzyknął w odpowiedzi. -Nigdy czegoś takiego nie widziałem. I myślę, że nie zobaczę! Niesamowita biegłość! Niesamowita!

Ramsey obracał się, wodząc wzrokiem po wiwatującym tłumie. Zatrzymał się, gdy ją zobaczył.

A tłum rozstał się, tworząc korytarz między nimi. Jak we śnie, Helena ruszyła ku niemu.

Usłyszała, że ktoś woła:

- Jaka nagroda dla angielskiego mistrza?! Jakiej nagrody pan pragnie?

Spojrzenie Rama zatoneło w jej spojrzeniu.

- Jest tylko jedna rzecz, której pragnę - powiedział. Patrzył na Helenę,

bojąc się jej odpowiedzi, niepewny, lecz gotowy wyrzec się dumy, oświadczając się publicznie.

Duma. Miała jej aż za wiele. Kiedyś uważała, że to jedyna rzecz, jakiej świat nie może jej odebrać. Czepiała się jej kurczowo, ukrywała się za nią, stała się podejrzliwa przez jej pielęgnowanie. Ale czym jest duma bez takiej samej dawki pokory? Bez zaufania? Bez miłości?

- Panno Nash - zaczął Ram. - Panno Nash, czy zechce pani...

Położyła palce na jego ustach, uciszając go. Źle ją zrozumiał.

Zacisnął

powieki, uznawszy jej gest za próbę oszczędzenia mu wstydu przed ludźmi.

Przełknął ślinę i otworzył oczy. Były udreżone, stęsknione, jak oczy ska-  
żańca. Zaczął się odwracać.

- Ożeń się ze mną, Ramseyu Munro - powiedziała. Znieruchomiał.

Wszystko wokół nich znieruchomiało. Głosy ścichły, okrzyki zamarły,  
oklaski ustały.

- Co? - Zatrzymał się, oszołomiony.

- Ożeń się ze mną, bo kiedy wieczorem zamykam oczy, każdy sen, który  
przywołuje mnie do życia na jawie, każdy obraz, który budzi wyczekiwanie  
następnego dnia, jest pełen ciebie. Widzę twoje ramiona otwierające się, by  
mnie objąć, i chcę czuć ich moc. Widzę twój uśmiech i też chcę się uśmiech-  
nąć. Słyszę twój głos i chcę odpowiedzieć. Bo cię kocham.

Spojrzał na nią. Nadzieja i ostrożność walczyły ze sobą w jego oczach.

Próbowała znaleźć słowa, które sprawią, że on zrozumie. I znalazła. Ram  
zawsze cenił ironię.

- A jeśli mnie nie poślubisz z tego powodu, to ożeń się ze mną dlatego, że  
będziesz markizem, a ja będę wspaniałą markizą. Ożeń się ze mną, bo nigdy  
cię nie znudzę. Ożeń się ze mną, bo nasze dzieci będą prześliczne. Ożeń się  
ze mną, żebym została najlepszą kobietą szermierzem na świecie. - Spuściła  
wzrok. - Ożeń się ze mną, bo cię pragnę. Po prostu ożeń się ze mną, Ram.  
Błagam...

Chwylił ją i uniośł w drżących ramionach.

- Dość, dziewczyno - powiedział z ustami przy jej ustach. - Jestem twój.

## 29. Unik:

*przemieszczenie się w celu*

*uniknięcia trafienia*

Kiedy posłali straż po ciało Tawstera... okazało się, że zniknęło.

## Epilog

Może byśmy po prostu przemianowali St. Bride's na Gretna Green -gderał brat Marcin, aptekarz opactwa.

- Lubię śluby - odparł jego towarzysz, okrągły i dobroduszny brat Fidelis, który jako główny ogrodnik otrzymał zadanie udekorowania kaplicy kwiatami i teraz, dzień po ceremonii, zbierał je z powrotem. — I czy był kiedyś piękniejszy ślub?

- Pani Blackburn była kropka w kropkę tak samo przystojna - obruszył się brat Marcin. Przywiązał się do siostry Heleny, Kate, podczas jej pobytu w opactwie, i nikomu nie pozwalał jej krytykować.

- O tak. Ona jest bardzo urodziwa. Ale panna Nash! - Brat Fidelis uśmiechnął się rozmarzony. - Wyglądała jak anioł z tymi złocistymi włosami i w tej ślicznej białej sukience.

- Anioł poślubiony Lucyferowi - mruknął ponuro brat Marcin. - Co ojciec Tarkin zobaczył w tym czarnowłosym szczeniaku, tego nigdy nie zrozumiałem. Zawsze był dwa razy za sprytny i bardziej wyniosły niż sam Książę Ciemności.

- Nigdy się przy nim nie czułem nieswojo.

- Nie powiedziałem, że czułem się przy nim nieswojo! - zachnął się brat Marcin. - Powiedziałem, że miał wyniosłe maniery.

- Ma zostać markizem. Markiz powinien być trochę wyniosły.

- Tak - rzekł w zamyśleniu brat Fidelis. - Dziwna sprawa, nie myśli brat? Żeby jego zrobiono markizem? Byłem pewien, że Anglia nie uznaje katolickiego ślubu z niepełnoletnią oblubienicą.

- Hm - mruknął brat Marcin bez zainteresowania. - Nigdy nie pojmowałem, jak działa to prawo.

- Z pewnością nie działa w ten sposób, mogę zapewnić...

- Chodźmy! - Jeden z młodszych braci zajrzał do kaplicy, przyklęknął przed ołtarzem i przywołał ich gestem do wyjścia. - Odjeżdżają!

- Rychło w czas! - burknął brat Marcin i potruchtał, goniąc brata Fidelisa, który dreptał przed nim. - Następnym razem, widzi brat, będziemy mieli chrzest.

Mrocznym spojrzeniem powiódł po widocznie brzemiennej postaci młodej Flory Goodwin, która uśmiechała się wniebowzięta ze swego miejsca u boku niezbyt mądrego, lecz kwitnąco wyglądającego męża. Za nimi siedziała ze skwaszoną twarzą kluchowata kobieta w czerni. Po kim nosiła żalobę, brat Marcin nie próbował zgadywać. Ale gdyby zapytał, lady Tilpot oznajmiłaby z grobowym chłodem: „Po mej bratanicy”.

Tyle że Flora by się tym nie przejęła. Miała swego Ossiego, a Ossie miał fortunę, wkrótce zaś oboje będą mieć małe Goodwiniątko. Jeśli okaże się chłopcem, dostanie na imię Oswald. Jeśli dziewczynką-Alfreda. Ponieważ Flora, mimo że dokonała w przeszłości pewnych wyborów, które wskazywały na coś przeciwnego, nie była głupia.

Młoda dama o włosach w kolorze imbiru, zmierzająca ku trójce zakonników o wiele zbyt swobodnym krokiem i ze zbyt światowym uśmiechem jak na jej młody wiek, też nie była głupia. Charlotte Nash nie miała ciemnej urody Kate ani eterycznej piękności Heleny. Lekko skośne orzechowe oczy, usta, które można by nazwać pełnymi, choć większość osób określiłaby je jako zbyt duże, i cera okraszona miodowymi piegami czyniły ją znacznie mniej urodziwą od sióstr. Nikt jednak, łącznie z nią samą, nie wydawał się tym przejmować. Była nierozważna, samowolna i bezkompromisowa. Urastała wokół niej reputacja awanturnicy i flirciary o niewyparzonym języku i ciętym dowcipie.

Była to reputacja, którą starannie pielęgnowała.

- On jest po prostu najsmakowitszym mężczyzną w Anglii - oznajmiła bratu Fidelisowi, ten zaś splonął rumieńcem.

- O czym pani mówi, młoda damo? - spytał brat Marcin.

- O Ramseyu. To po prostu straszne, że jest teraz moim szwagrem. Ale -roześmiała się - cieszę się, że zostanie markizem. Powinno mi to pozwolić na dużo większą swobodę.

Na zgorzone spojrzenie brata Marcina uniosła brew.

- Ktoś powinien był wziąć na panią różgę wiele lat temu - oświadczył aptekarz.

- Doprawdy? - Uśmiechnęła się figlarnie. - Nigdy nie dostałam różgą. Hm. To mogłoby się okazać pobudzające.
- Brat Marcin westchnął ciężko i oddalił się pospiesznie.
- To było aż za łatwe - oznajmiła Charlotte rozczarowana.
- Moja droga - powiedział brat Fidelis, a jego miła okrąglą twarz się nachmurzyła. - Tak dalej nie można. Musi pani patrzeć w przyszłość, myśleć o rodzinie, której zapragnie pewnego dnia, o mężu, którego zechce pani szanować i zechce także być szanowana przez niego, o miejscu przy kominku w wymarzonym domu.
- Phi! Kominki wymagają czyszczenia, mężowie są zbyt zaborczy, a co do rodziny, to... - wzruszyła ramionami - dzisiaj jest, jutro jej nie ma. Proszę tak na mnie nie patrzeć, bracie Fidelisie, i proszę się nie martwić. Mam dokładnie zaplanowaną przyszłość i będzie ona fascynująca.
- Naprawdę? - powiedział brat Fidelis z nadzieją. - Ale... co będzie pani robić, jeśli nie wyjdzie za mąż?
- Będę się skandalicznie prowadzić - dodała po prostu i tym razem nie czuło się przekory w jej słowach.



- Jesteś pewien, że powiedział twój żonie: Dand? - Ojciec Tarkin, siedzący przy wielkim biurku w swych prywatnych pokojach, zmarszczył brew. Schylił białą głowę nad różańcem zaciśniętym w dłoni, nim zerknął nad blatem zarzuconym korespondencją, mapami i książkami ku miejscu, gdzie stał Ramsey Munro.
- Tak - odparł Ram. -Ale ja nigdy nie widziałem tego człowieka. A jeśli nawet go widziałem, nie zwróciłem na niego uwagi. Helena powiedziała, że jedyne, co się w nim rzucało w oczy, to łysina.
- Więc nawet nie znamy koloru jego włosów.
- Nie wiemy nawet, co ten człowiek sugerował. Powiedział Helenie: „Powiedz Ramseyowi, że Dand śle mu uszanowanie”. Mógł dawać do zrozumienia, że zabił Danda.
- Opat potrząsnął głową, jak gdyby chciał uporządkować myśli. Był starym człowiekiem o prostych plecach. Ram jako chłopiec, próbował naśladować tę uparcie wyprostowaną postawę.
- Musisz być ostrożny, Ramseyu.

- Mam taki zamiar, chociaż wątpię, czy to potrzebne. Sądząc z opisu Heleny, ma przedziurawione płuco. Mógł zdążyć się odczołgać, ale najprawdopodobniej zmarł od tej rany.

- Nie możesz z góry zakładać, że tak jest.

- Ojciec opacie - powiedział Ram - zapewniam, że od mego zwolnienia z LeMons niczego nie zakładałem z góry, a teraz, z Heleną... - Uniósł dłoń.

Nie musiał mówić nic więcej. Opat widział ich razem: jak na siebie patrzą, jak się do siebie odnoszą.

- Więc będziemy czekać - rzekł. Zamierzał przedsięwziąć pewne działania, by się upewnić, co się naprawdę rozgrywa. Działania, które nie wymagały uczestnictwa Rama. Uśmiechnął się. - Słyszałem, że ostatnio odkryłeś swe legalne pochodzenie.

Na to Rama był łaskaw okazać zmieszanie.

- Czuję, że dokonuję właściwego wyboru, ojciec. Markiz dał mi środki, by wykryć zdrajcę. Cena, choć była ciosem dla mej dumy, nie wydawała się za wysoka.

- Nie, synu, nie była. A Bóg zna prawdę. Więc co teraz?

Ram posłał mu krzywy uśmiech.

- Z powrotem do Londynu. Znaleźć jakiś dom. Helena mnie namawia, bym napisał traktat o szermierce! Mógłbym to zrobić. Mogę nawet uczyć. Gdy wygląda na to, że się zostało bohaterem narodowym, można robić, na co ma się ochotę.

- Zaproponujesz Charlotte Nash miejsce w twej nowej rodzinie?

Ram się nachmurzył.

- Helena już jej zaproponowała, a Charlotte odmówiła. Powiedziała, że ma dość zmieniania adresu, a jeśli Weltonowie pragną jej towarzystwa, byłoby nieuprzejmie ich go pozbawiać.

- Sprawia wrażenie bezkompromisowej młodej damy.

- Tak.

- A jakie są odczucia twej żony, jeśli chodzi o siostrę?

- Nadspodziewanie dobre. Mówi, że Charlotte będzie triumfować, cokolwiek to znaczy, a ja, jako nowo upieczony mąż, oczywiście się zgadzam. Poza tym - ciągnął - poinformowała mnie, że w najbliższej przyszłości zamierza się skoncentrować na czymś innym. Postanowiła zabawić się w swatkę.

- Naprawdę? A kogo chce swatać?

- Mego dziadka i lady Tilpot. Uważa, że jedno jest warte drugiego. - Jego niebieskie oczy błyskały uznaniem.

Opat, zawarłszy znajomość z lady Tilpot i usłyszawszy sporo o markizie w ciągu kilkudziesięciu lat, wlepił sowi wzrok w Rama.

- Twoja żona ma zdecydowanie jezuickie nastawienie umysłu.

- Wiem - odrzekł Ram z dumą. - Zachwycające, prawda? - Spojrzał na zegar na stole. -A mówiąc o żonach, bardzo bym chciał zostać, ale jeszcze bardziej chcę dołączyć do Heleny. Jestem pewien, że czeka już w powozie. Moja żona jest bardzo punktualna. - Uśmiechnął się szerzej. - Lubię to powtarzać: moja żona.

- Ma się rozumieć. - Opat wstał. - Niech Bóg będzie z tobą i twymi bliskimi, Ramseyu.

- Najwidoczniej jest, ojciec - powiedział Ramsey w nawrocie swego cierpkiego humoru. -I jestem Mu za to bardzo wdzięczny.



Helena, pożegnawszy się z gośćmi weselnymi, wsiadła do bogato zdobionej karocy, którą markiz uparł się posłać do opactwa - chociaż nic go nie mogło skłonić, by wziął udział w papistowskiej ceremonii, przy której uparł się Ram. Z uśmiechem wyczekiwania na ustach usadowiła się na miękkich aksamitnych poduszkach.

Chwilę później drzwi się otworzyły i wsiadł Ram. Zastukał mocno w dach, po czym zajął miejsce naprzeciw niej. Powóz natychmiast ruszył.

- Będziemy w Sterling przed zmrokiem - powiedział.

- To dobrze - odparła i lekko ziewnęła.

- Jesteś zmęczona - rzekł współczująco.

- Trochę - przyznała. Godziny ich nocy poślubnej były wypełnione po ostatnią sekundę, ale nie snem.

- Pozwól, że zasłonię okna. Obudzę cię, kiedy będzie kolacja.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się słodko, gdy Ram zmieniał słowa w czyn.

Wnętrze karety pogrążyło się w ciemności, ciepłe i przytulne. Helena poczękała aż wyjadą z dziedzińca opactwa i znajdą się na drodze na południe, a wtedy bardzo powoli zsunęła się ze swego siedzenia i przeniosła na stronę Rama. Wyciągnęła ręce i znalazła jego pierś. Słyszała, jak łapie oddech, ale się nie poruszył. Zwinnymi palcami wyciągnęła mu złotą szpilkę z krawata i włożyła sobie do kieszeni. Potem, gdy milcząco przyzwał, zsunęła mu surdut z ramion.

Powolnymi ruchami rozwiązała jedwabny krawat i, znalazłszy perłowe guziczki koszuli, rozpięła je jeden po drugim. Stopniowo ściągała ją, aż



poczuła pod dłonią kędzierzawe włoski okrywające muskularną pierś. Przycisnęła wargi do jego ciała i poczuła, jak serce Rama zabiło mocniej w odpowiedzi.

Jej palce przebiegły zmysłową ścieżką w dół jego piersi na twarde brzuch i zatrzymały się na pasku spodni. Dotknęła wargami płaskiego męskiego sutka i musnęła językiem twardego śródeczek. Jego ciało zadrżało. Dłoń uniosła się i mocno zacisnęła na jej nadgarstku, ale ani jej nie ponaglała, ani nie wstrzymywała - po prostu ją trzymała. Uśmiechnęła się przytulona ustami do jego ciała.

Jest bardzo krępkim mężczyzną. Może wiele znieść. Jej mąż już wiele zniósł, myślała z troską, gdy jej wolna ręka gładziła zbite, gładkie krawędzie jego piętna.

Obsypywała lekkimi pocałunkami jego pierś, z czułością i rozkoszą pieściła ukochanego.

Jego dłoń opadła w dół, chwyciła ją za brodę i uniosła jej twarz.

- Myślałem, że mamy odpoczywać. - Głos miał rozbawiony.

Objęła go za szyję i przyciągnęła ku sobie jego chętne usta.

- Wpadłam na lepszy pomysł - szepnęła, gdy ich wargi się zetknęły. I była to prawda.

## Od autorki

*Mam wielki dług wdzięczności wobec Cliffa i Missy Herson, nadzwyczaj fachowych i życzliwych trenerów drużyny szermierczej Uniwersytetu Minnesoty. Nie tylko podzielili się ze mną swymi umiejętnościami, lecz dali mi też szansę fechtowania się. Wszelkie błędy w tej książce dotyczące opisu przebiegu pojedynków są skutkiem mojej licencji poetyckiej, a każde niepowodzenie w odpowiednim wyjaśnieniu pewnych terminów jest wyłącznie moją winą. Dziękuję wam, Cliffie i Missy.*

*Co do Wszechświatowego Turnieju Pojedynków, nie znalazłam dowodu, że coś w rodzaju takich zawodów istniało w czasach regencji, chociaż pokazy walk sławnych szermierzy odbywały się we wszystkich wielkich stolicach Europy. Co więcej, często odbywały się na zasadach, jakie opisałam: zwycięzca dostawał część wpływów z opłat za wstęp. Nie mam powodu wątpić, że gdyby ktoś wysunął pomysł międzynarodowego turnieju, można by to było zorganizować. Nawet podczas wojny arystokracja napoleońskiej Francji i Anglii znajdowała sposoby współdziałania.*

*I ostatnia dygresja. Zafascynowała mnie wiadomość, że jeden z najbardziej zaufanych znawców róz Józefiny Bonaparte (Anglik) otrzymał immunitet dyplomatyczny, pozwalający podróżować w tę i z powrotem pomiędzy Francją a rodzinną Anglią przez cały czas trwania wojny.*

*Przecież dama musi mieć ogród.*